

Alternatywna historia Ameryki, która  
przeraża wiarygodnością

# PODZIEMNE LINIE LOTNICZE

Ben H. Winters



Ben H. Winters

# **PODZIEMNE LINIE LOTNICZE**

Przełożył: Rafał Lisowski



## **Podziemne linie lotnicze**

Ben H. Winters

*Przełożył:* Rafał Lisowski

Original title: Underground Airlines  
Copyright © 2016 by Ben H. Winters  
Map by Darren Bennet / DKB Creative  
All rights reserved.

First published in English by Mulholland Books, an imprint of Little, Brown and Company, a division of Hachette Book Group, Inc.

© Copyright for the Polish translation by Rafał Lisowski, 2018

© Copyright for this edition by Wydawnictwo RM, 2018

All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25  
rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

*Redaktor prowadzący:* Irmina Wala-Pęgierska

*Redakcja:* Joanna Niczyj

*Korekta:* Mirosława Szymańska

*Nadzór graficzny:* Grażyna Jędrzejec

*Projekt okładki:* Tomasz Bogusławski

*Edytor wersji elektronicznej:* Tomasz Zajbt

*Opracowanie wersji elektronicznej:* Marcin Fabijański

*Weryfikacja wersji elektronicznej:* Justyna Mrowiec

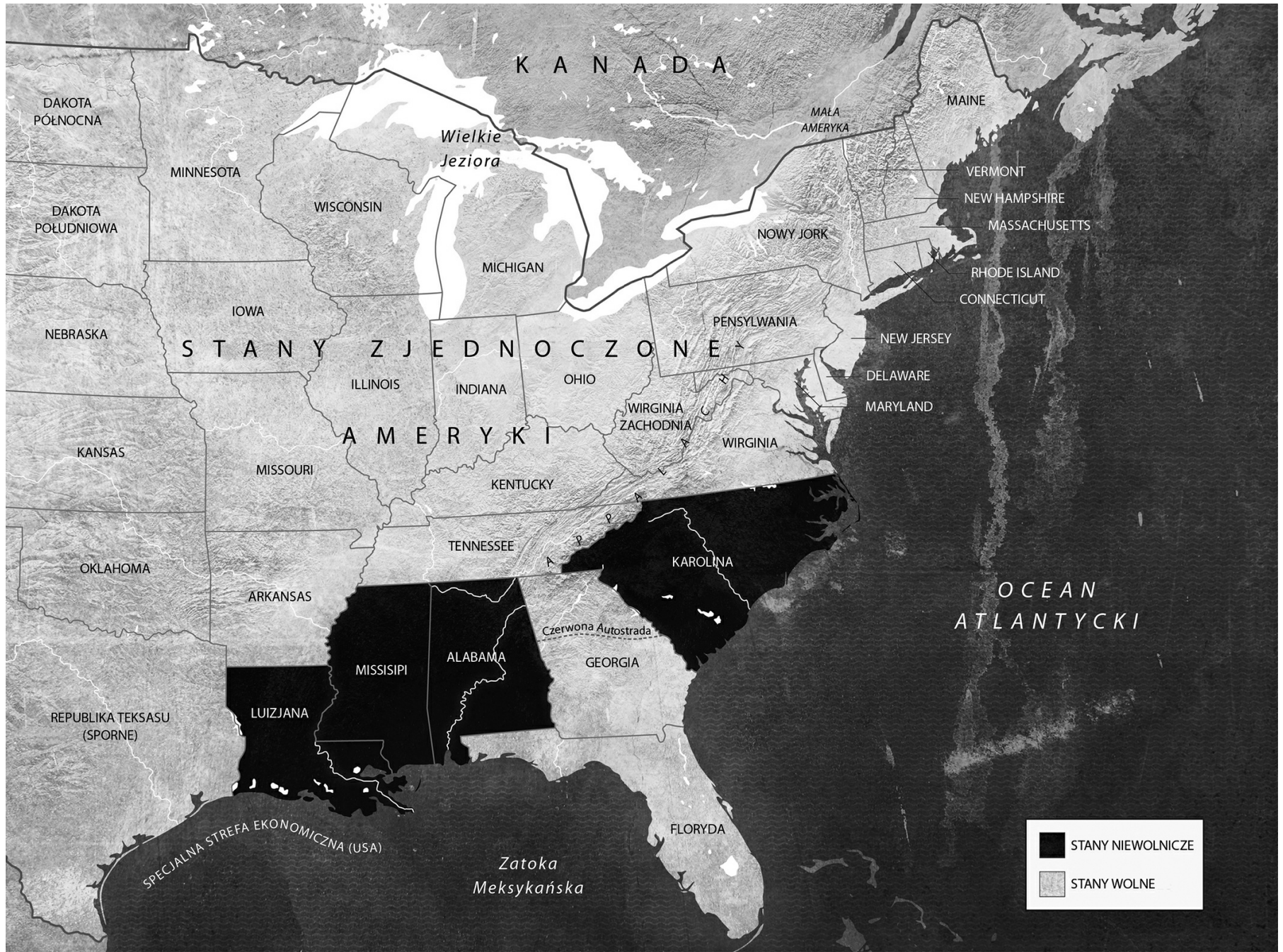
ISBN 978-83-7773-729-3

ISBN 978-83-8151-053-0 (ePub)

ISBN 978-83-8151-054-7 (mobi)

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

*Dla moich dzieci i ich przyjaciół*



# Spis treści

## Część pierwsza. Północ

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.

## Część druga. Południe

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

- 6.
- 7.
- 8.
- 9.

Część trzecia. Północ

- 1.
- 2.
- 3.

Podziękowania

O Autorze

*Żadna przyszła poprawka do Konstytucji nie zmieni treści powyższych pięciu artykułów (...) ani nie zostanie wprowadzona do Konstytucji żadna poprawka uprawniająca Kongres bądź dająca mu władzę zniesienia niewolnictwa lub ingerencji w niewolnictwo w żadnym ze Stanów, w których jest ono dozwolone prawem.*

— Z osiemnastej poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych. To ostatnia z sześciu poprawek, które wraz z czterema rezolucjami Kongresu tworzą tak zwany kompromis Crittendena, przedłożony przez senatora Johna J. Crittendena z Kentucky 18 grudnia 1860 roku i ratyfikowany przez Kongres 9 maja 1861 roku



Część pierwsza

# PÓŁNOC

*Dziwny to ogień, ten ogień poczucia moralnej wyższości,  
którego ciepło taką daje przyjemność, ale który wcale nie  
przegania mroku.*

— Augustin Craig White, z *Mrocznej wieży*,  
broszury Amerykańskiego Stowarzyszenia  
Abolicjonistycznego, 1911

# 1.

**No dobrze** – powiedział młody ksiądz. – Myślę, że jestem tym człowiekiem, którego pan szuka.

– Mam nadzieję – odparłem. – Boże, mam nadzieję.

Splotłem palce i pochyliłem się nad stołem. Wiedziałem, jak wyglądam: żałośnie. Byłem unizony, nerwowy, wylewny. Czułem, jak tanie, cienkie okulary zsuwają mi się z nosa. Czułem, jak desperacja wyciska mi pot na czoło. Odetchnąłem, a zanim zdążyłem się odezwać, podeszła kelnerka, żeby nalać nam kawy i wręczyć jadłospisy. Ksiądz Barton i ja zamilkliśmy, uśmiechnęliśmy się drętwo do dziewczyny i do siebie nawzajem.

Kiedy odeszła, ksiądz Barton odezwał się pierwszy.

– Cóż, muszę powiedzieć, panie Dirkson...

– Niech mi ksiądz mówi Jim. To wystarczy.

– Muszę powiedzieć, że srogo wystraszyłeś LuEllen.

Z zakłopotaniem spuściłem wzrok. LuEllen była recepcjonistką, kościelną sekretarką czy jak ją tam nazwać. Białowłosą panią o rumianych policzkach, która siedziała za biurkiem u Świętej Katarzyny, czyli w tym dużym kościele przy Meridian Street, a ja tego popołudnia w jej gabinecie zachowałem się chyba jak dzikus. Zgrzytałem zębami i nie ustępowałem. Zdałem się na jej łaskę. Błagałem o spotkanie z księdzem. Ale podziałało. Oto siedzieliśmy, dzieląc się chlebem, łagodny młody ksiądz i ja. Jeśli do tego kościelnego towarzystwa coś dociera, to właśnie jęki i lament.

Skłoniłem głowę i przeprosiłem księdza Bartona za urządzenie takiej sceny. Poprosiłem, żeby przekazał pani LuEllen moje przeprosiny. Potem zniżyłem głos do szeptu.

– Proszę posłuchać, będę z księdzem szczery i po prostu powiem prawdę. Jestem zdesperowanym człowiekiem, nie mam się do kogo zwrócić.

- Tak, rozumiem. Naprawdę rozumiem. Ale niestety... - Ksiądz spojrział na mnie z powagą. - Niestety nie mogę nic zrobić w pana sprawie.

- Słucham?

Kręcił głową, a ja czułem, że moja twarz sztywnieje. Czułem, że oczy robią się wielkie. Czułem, że skóra staje się gorąca i napięta na policzkach.

- Zaraz, zaraz. Chwileczkę, proszę księdza. Ja nawet nie...

Ksiądz Barton łagodnie uniósł rękę wewnątrz w moją stronę, więc zamilkłem. Wróciła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Idealnie pamiętam tamten moment, widzę tę restaurację, oświetloną blaskiem zmierzchu, wpadającym przez duże okna. Nazywała się Fountain Diner, miły rodzinny lokal w okolicy zwanej Near Northside w Indianapolis w stanie Indiana. Przy tej samej Meridian Street co kościół, ale z pięćdziesiąt przecznic dalej w kierunku centrum. Przystojny, chłopięcy Barton siedział naprzeciwko mnie, góra trzydziestoletni, ze zmierzwioną blond czupryną, niebieskimi irlandzkimi oczami i bladą cerą, która lśniła, jakby ktoś ją wyszorował. Nasz stół znajdował się w samym środku restauracji, nad nami wisiał duży wiatrak, którego łopaty leniwie kręciły się w kółko. W powietrzu niósł się jasny zapach czegoś, co smażyło się i skwierczało, brzęczały cicho noże i widelce. W boksie za nami siedziały trzy starsze panie z fryzurami prosto z salonu, wymalowane czerwoną szminką. Balkoniki zaparkowały równym rzędkiem jak oczekujące powozy. Narożny boks zajmowało dwóch gliniarzy, jeden czarny, jeden biały. Ten czarny przechylił się przez stół, żeby obejrzeć coś na telefonie tego białego. Obaj rechotali z jakiegoś policyjnego dowcipu.

Jakoś udało mi się zamówić jedzenie, a gdy kelnerka odeszła, ksiądz rozpoczął przemowę równie staranną jak najlepsza homilia.

- Obawiam się, że odniosłeś mylne wrażenie, za co oczywiście nie ponosisz winy. - Mówił bardzo cicho. Obaj zwracaliśmy uwagę na tamtych gliniarzy. - Wiem, co ludzie mówią, ale to nieprawda.

Nigdy nie byłem zamieszany w... w... w takie zajęcia. Przykro mi, przyjacielu. – Delikatnie położył dłoń na mojej dłoni. – Bardzo mi przykro.

I rzeczywiście tak to brzmiało. O, tak. W jego spokojnym katolickim głosie lśniły dyskretne przeprosiny. Barton ścisnął mi dłoń jak prawdziwy ojciec, mimo że byłem od niego co najmniej dziesięć lat starszy.

– Wiem, że nie to chciałeś usłyszeć.

– Ale... zaraz, chwileczkę, proszę księdza. Przecież ksiądz tutaj jest. Przyszedł ksiądz.

– Ze współczucia – odparł. – Kierowało mną współczucie.

– O Boże. – Odchyliłem się od niego, czując się jak cholerny głupiec, i ukryłem twarz w dłoniach. Serce mi drżało. – Boże święty.

– Masz moje współczucie i moją modlitwę. – Kiedy podniosłem wzrok, patrzył prosto na mnie spokojnymi kryształowo niebieskimi oczami, z których biła życzliwość. – Ale muszę być szczery i powiedzieć, że nie mogę dać ci nic więcej.

Przyglądał mi się nieruchomym wzrokiem, czekał, aż skinę głową i powiem: „Rozumiem”. Czekał, aż się poddam. Ale nie mogłem się poddać. No bo jak?

– Niech ksiądz posłucha. Po prostu... Ja jestem wolnym człowiekiem, proszę księdza, zgodnie z prawem – powiedziałem, a potem parłem dalej, zanim zdąży mi przerwać: – Wyzwolonym wiele lat temu, dzięki dobremu Bogu w niebie i testamentowi mojego pana. Mam papiery. Moje papiery są w porządku. Zrobiłem certyfikat średniego wykształcenia i pracuję, proszę księdza, mam dobrą pracę i nic mi nie grozi. Chodzi o moją żonę, proszę księdza, o moją żonę! Latami jej szukałem i wreszcie znalazłem. Namierzyłem ją, proszę księdza!

– Rozumiem – rzekł ksiądz Barton, skrzywił się i pokręcił głową.

– Ale... Jim...

– Ona ma na imię Gentle, proszę księdza. Gentle. Ma trzydzieści trzy albo cztery lata. Ja... – Przerwałem, przegnałem łzy, by odzyskać godność. – Niestety nie mam jej zdjęcia.

- Proszę cię. Jim. Proszę.

Rozłożył ręce. Miałem sucho w ustach. Obliziałem wargi. Wiatrak nad nami obracał się obojętnie. Jeden z policjantów, ten biały, o szerokim karku i różowej skórze, odchylił się do tyłu i walnął w blat stołu, rykiem śmiechu reagując na coś, co powiedział jego czarny partner.

Zachowałem spokój i wbiłem wzrok w księdza. Niech zobaczy mnie wyraźnie, niech mnie dobrze usłyszy.

- Gentle jest w kopalni odkrywkowej na zachodzie Karoliny, proszę księdza. Warunki panują tam makabryczne. Jej właściciel zatrudnia nadzorców, proszę księdza, takich najokrutniejszych, wie ksiądz, z prywatnej firmy. No i ta kopalnia... Sprawdziłem to, proszę księdza, ta kopalnia już parę razy dostawała kary z BPP. Płacili grube miliony za złe traktowanie, ale... wie ksiądz, jak to jest z tymi karami. Kropla... no, wie ksiądz, kropla w morzu. - Barton kręcił głową, znacząco zgrzytał zębami, ale nie przestawałem, nie mogłem przestać, moje słowa zmieniły się w gorący strumień, rozpalony i gniewny. - No więc w tej kopalni, to kopalnia boksytu... I tam jest jedna OP, która odpowiada jej wiekiem i... i wagą, rozumie ksiądz? Zgodnie z prawem, proszę księdza...

- Jim, proszę.

Ksiądz Barton dwukrotnie zastukał palcami w stół. To był drobny, lecz stanowczy gest, jakby przywoływał mnie do porządku albo nakazywał posłuszeństwo. Współczujący poblask w jego głosie zaczynał przygasać.

- Musisz mnie posłuchać. My tego nie robimy. Wiem, co mówią o mnie i moim kościele. Naprawdę wiem. Jestem orędownikiem Sprawy, tak jak jest nim Kościół, zarówno z perspektywy zasad, jak i wiary. Wypowiadałem się na ten temat i nadal będę się wypowiadał, ale to wszystko, co mogę robić. - Znów pokręcił tą swoją młodą głową, spojrzał wprost na mnie, a potem odwrócił wzrok, odwrócił go od mojej rozpacz i mojego żalu. - Współczuję ci i będę się modlił za ciebie i twoją żonę. Ale nie mogę zostać jej wybawcą.

Milczałem. Na moje usta cisnęły się słowa, ale je stłumiłem. To było gorzkie rozwiązanie.

Najlepiej, jak mogłem, przebrnąłem przez krótką wspólną kolację, ze wzrokiem wbitym w talerz, w kanapkę z rybą, sałatkę coleslaw i mrożoną herbatę. Bóg jeden wie, czego się spodziewałem. Przecież nie mogłem sobie wyobrazić, że cierpienie Gentle tak bardzo wzruszy tego człowieka – to dziecko – że zerwie się on na równe nogi i ruszy na Południe z bronią w rękę, że zbierze silną grupę i staranuje wrota kopalni boksytu w Karolinie, że wyjmie komórkę i zwoła armię abolicjonistów.

Po pierwsze, taka armia nie istnieje. Każdy to wie. A przynajmniej każdy, kto ma trochę oleju w głowie. Nie istnieje nic takiego jak Podziemne Linie Lotnicze, na pewno nie w sensie wielkiej, zorganizowanej instytucji. Nie ma centrum dowodzenia na pustyni w Nowym Meksyku, tak jak to pokazali w tym filmie sprzed kilku lat. Nie ma sił paramilitarnych ze śmigłowcami i bombami błyskawicowymi, które czekałyby na znak antyniewolniczego generała, by wkroczyć do akcji.

Są natomiast akcje ratunkowe. Są wyzwoliciele. To wszystko dzieje się po kawałku. Małe grupy ochotników z Północy, śmiałych lub szalonych, urządza błyskawiczne wyprawy do Twardej Czwórki, wyciągają ludzi i wiozą ich do wolności. Są działania ad hoc, są nieduże organizacje, komórki, a każda zarządza własną trasą linii lotniczych. Trzeba tylko znać właściwych ludzi. A ten mężczyzna, ksiądz Barton, miał być jednym z nich. Człowiekiem, z którym warto się skontaktować. Wszystko, co słyszałem, wszystkie zebrane do tej pory informacje potwierdzały, że właśnie tutaj, w Indianapolis, w środkowej Indianie, ksiądz Barton ze Świętej Kaśki – to jest właśnie ten człowiek.

A teraz siedziałem naprzeciw niego bezsilny i patrzyłem, jak z papierową serwetką zatkniętą za koloratkę je hamburgera i starannie ociera keczup z kącików ust. Słuchałem, jak łagodnym tonem zapewnia mnie – „by rozwiać moje obawy” – że każda pozycja w menu ma certyfikat Północnoamerykańskiego

Stowarzyszenia Praw Człowieka, organizacji z siedzibą w Montrealu, zajmującej się kontrolą linii zaopatrzenia. Obojętnie pokiwałem głową.

- Aha - mruknąłem do kubka z kawą. - Aha, dobrze. - Jakby to miało jakieś znaczenie.

Indiana była „stanem czystych rąk”, podobnie jak większość innych w kraju. Obowiązywało tu prawo zakazujące lokalom usługowym serwowania jakichkolwiek produktów pochodzących z Czwórki. Cała reszta, ci wszyscy kanadyjscy audytorzy linii zaopatrzenia, te wszystkie niezależne inspektoraty i certyfikaty „Wolny od okrucieństwa” - cóż, to tylko marketing. Wymyślne frazesy, obliczone na pozyskanie datków przez antyniewolnicze organizacje non profit. Ale ksiądz Barton wskazał swoim chudym palcem na złotą pieczęć na moim jadłospisie, jakby to była jakaś nagroda pocieszenia. „Nie wyzwolę twojej ukochanej z kajdan, biedaku, ale mogę cię zapewnić, że nie byli w nie zakuci ludzie, którzy zbierali dla ciebie pomidorki”.

Po skończonym posiłku Barton wyjął portfel, a wtedy wyciągnąłem rękę i położyłem ją na jego dłoni.

- Zaraz, zaraz. - Mój głos nieco zadrżał. - Ja zapłacę.

- Och nie. - Ksiądz pokręcił głową i nie cofnął ręki, więc pozostaliśmy w tej pozycji, jakby to było dzieło sztuki: biała dłoń na brązowym portfelu, czarna dłoń na białej dłoni. - Nie mogę na to pozwolić.

- Niech ksiądz da spokój. - Spojrzałem na niego zza okularów. - Chcę podziękować za poświęcony mi czas, to wszystko. To miło, że ksiądz poświęcił mi czas.

Barton wypuścił powietrze, lekko skinął głową i powoli zabrał rękę z tego naszego stosiku. Oto, co wtedy myślał: „No już, daj temu człowiekowi zapłacić - to będzie dla niego prezent, poczuje, że coś zrobił”. Nie chcę, żeby to zabrzmiało, jakbym był szalony albo coś w tym stylu, ale wierzę, że czasami mam tę dziwną moc. To znaczy: czytania w umysłach. Nie czytania konkretnych myśli, ale uczuć. Czytania ludzi. Poznawania, co ludzie czują.



Wyciągnąłem z kieszeni kurtki parę zmiętych banknotów, wygładziłem i położyłem na rachunku. Potem przesunąłem po stole kartkę, poplamiony kawałek serwetki.

- Ale proszę wziąć to. Tu jest mój numer komórki. Na wypadek, gdyby ksiądz zmienił zdanie.

Ksiądz Barton wpatrywał się w kartkę.

- Bardzo księdza proszę - powiedziałem. - Niech ksiądz to weźmie.

Wziął, podniósł się i poprawił koloratkę, a ja przez ułamek sekundy nienawidziłem tego człowieka, tego pewnego siebie chłopca. „Jestem orędownikiem Sprawy... zarówno z perspektywy zasad, jak i wiary...” Idź do diabła, synu, pomyślałem, tylko przez moment, przez krótki moment. Z tym swoim współczuciem dla mnie, z tą sztywną koloratką i alabastrowymi policzkami. Idź do diabła. Nie powiedziałem tego jednak. Nic w tym stylu. Nie podniosłem głosu ani nie uderzyłem pięścią w stół. Gniew w niczym by nie pomógł. Co najwyżej zwróciłyby uwagę tamtych dwóch gliniarzy, tego białego o szerokim karku i jego roześmianego czarnego partnera. Mogliby tu przyczłapać tym charakterystycznym powolnym policyjnym krokiem, żeby zapytać księdza Bartona, czy wszystko w porządku. A mnie - czy nie zechciałbym na chwilę pokazać papierów, jeśli to nie problem.

Przeprosiłem, mówiąc, że muszę do toalety, i czmychnąłem, ledwo nad sobą panując.

Widziałem kiedyś w telewizji pewnego biznesmena, właściciela drużyny futbolowej ze Środkowego Zachodu. Ów bardzo bogaty człowiek zapewniał o swoich abolicjonistycznych poglądach, jednocześnie broniąc faktu, że wzmacnia linię defensywną swojej drużyny o paru krzepkich OP, korzystając z niesławnej zasady o „tymczasowym zawieszeniu statusu”. „Czy podoba mi się ten system?” - pytał, kręcąc głową, ubrany w garnitur za tysiąc dolarów, z fryzurą za stówę. „Oczywiście, że nie. Ale jedno wam powiem: dla tych chłopaków to okazja. A ja ich kocham. System jest zły, ale ja kocham moich chłopaków”.

Jakże nienawidziłem tego człowieka, kiedy oglądałem go w telewizji, a księdza Bartona w restauracji nienawidziłem w ten sam sposób. Dla tego dziecka niewolnictwo było grą, zupełnie jak dla gładkiego właściciela klubu sportowego i dla wszystkich fanów futbolu, którzy kręcą nosem na zespoły z czarnej branki, ale i tak co niedziela oglądają mecze w zaciszu własnego salonu. Dla kogoś takiego jak ksiądz Barton deklarowanie nienawiści do niewolnictwa było łatwe. Nie tylko łatwe, ale i przydatne, zaspokajające – satysfakcjonujące. No a poza tym straszliwe zimne macki niewolnictwa nigdy nie mogły go, oczywiście, dotknąć bezpośrednio.

Mój gniew pęczniał, a potem minął, jak to zwykle z gniewem bywa. Kiedy ksiądz obejmował mnie pocieszająco w drzwiach lokalu, kiedy szedł do swojego samochodu, kiedy przystanął, żeby się obejrzeć i spojrzeć na mnie zatroskanym wzrokiem – dokładnie tak, jak przewidziałem, jak wiedziałem, że zrobi – jego spojrzenie zastało mnie stojącego na progu całkiem nieruchomo, pokornego, złamanego bólem. Zdjąłem okulary i po moich zniszczonych słońcem policzkach powoli, pojedynczo, ciekły łzy. Kelnerka wystawiła głowę, żeby mi przypomnieć, że zapakowała na wynos resztę kolacji, ale ja ledwo ją słyszałem, tyle wysiłku kosztował mnie ten wyraz twarzy pełen rozpacz.

## 2.

**Byłem wolny** od czternastego roku życia, a tego wieczoru, kiedy GPS w desce rozdzielczej samochodu prowadził mnie przez nieznanym ulice Indianapolis, zbliżałem się do czterdziestych urodzin.

Większość życia spędziłem więc poza Twardą Czwórką, w wolnej części kraju wolnych ludzi. Ale nawet po tylu latach codziennie zaskakiwały mnie drobne cuda wolności. Choćby wyjście z restauracji z czystą głową, pełnym żołądkiem i styropianowym pudełkiem z resztką jedzenia. Choćby zatrzymanie się na minutkę na parkingu, zanim wsiądzie się do samochodu, zapach mokrego asfaltu, krople mżawki zbierające się na czole. Choćby świadomość, że gdybym chciał, mógłbym się przejść po okolicy, udać się do parku, usiąść na ławce i poczytać gazetę. Choćby możliwość zajęcia miejsca za kierownicą, poczucia winylu pod tyłkiem, słuchania, jak silnik kaszle i mruży. Wszystkie te rzeczy to były drobne zaskoczenia. Cuda wolności.

Byłem właścicielem skromnego nissana altimy z praktycznym silnikiem o mocy stu siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych i nieciekawą jasnobrązową tapicerką, ale bardzo lubiłem nim jeździć. Przez większość lat, które spędziłem za kierownicą, nie można było dostać japońskich samochodów, bo Japonia sygnowała konsensus europejski, prawie całkowicie zakazujący handlu ze Stanami Zjednoczonymi. Na moje szczęście w 2012 roku wybrali tam nowego premiera, który przerzucił się na politykę „wpływu interesariuszy”, zapożyczony to określenie od Izraelczyków. Nienawidź grzechu, kochaj grzesznika; otwarte granice to otwarty dialog – pełen pakiet.

Międzynarodową dyplomację ogólnie mam w dupie, ale zajebicie lubiłem tę altimę. Zapalała bez problemu, działało grzanie, działały wycieraczki, hamulce, okna i magnetofon też.

Ostrożnie jechałem Meridian Street w kierunku północnym, oddalałem się od Fountain Diner, oddalałem się od księdza Bartona i jego pustych przeprosin. Świat, którego opis słyszałem w radiu, był tym samym światem, który widziałem przez zabrudzoną szybę auta: szary i brzydki, pachnący przemocą i strachem przed przemocą. W tamtym tygodniu odbywały się przesłuchania Batlisch: w Senacie ciskano pioruny, na ulicach panowało zamieszanie. Nominacja tej kobiety „wywołała pożar”, jak lubiono trąbić w radiu. Protesty i kontrprotesty w Waszyngtonie, w Filadelfii, skąd pochodziła nominatka, oraz w wielu innych miejscach. Przemoc – przemoc i strach.

Były też lokalne kontrowersje, dotyczyły zbiórki charytatywnej „Szafa Suzie”: ludzie gromadzili się w kościelnych piwnicach, by przygotowywać paczki z pomocą wysyłane na plantacje – koce, batony i inne tego typu rzeczy. W radiu najpierw porozmawiano z miejscowym obrońcą bezdomnych, który pytał, dlaczego mamy wybiegać myślą tak daleko na południe, „skoro i u nas jest tyle cierpienia”. Następnie wystąpił rzecznik Czarnych Panter: potępił kampanię jako „zwykłe usypianie sumienia”, a samą Suzie nazwał naiwną. Co uderzyło mnie jako dość surowe, bo przecież dziewczynka miała dopiero dziewięć lat i w ogóle.

Same typowe rzeczy – nowe historie to po prostu stare historie powtórzone po raz kolejny.

Zgasilem radio i wyłowilem ze schowka kasetę Michaela Jacksona. Taśma zasyczała, kiedy wcisnąłem ją do magnetofonu. To była składanka, którą nagrałem sobie wiele, wiele lat temu. Mówili, że wkrótce w nowych autach nie będzie już magnetofonów, bo amerykański rynek w końcu doganiał świat, przestawiając się na płyty kompaktowe. Ale jeszcze nie teraz.

Podkreśliłem głośność. Michael śpiewał *Human Nature* z albumu *Thriller*, a ja śpiewałem razem z nim.

W drodze powrotnej do hotelu zatrzymano mnie na punkcie kontrolnym, czego się spodziewałem. Z powodu tej sprawy z Batlisch, a także kilku paskudnych incydentów wzdłuż granicy

z Kanadą na czterdziestym dziewiątym równoleżniku, panowało spore napięcie. W Indianapolis, podobnie jak w wielu innych miastach, ogłoszono „stan podwyższonej gotowości”, co oznaczało, że policja mogła zatrzymywać czarnych kierowców, kiedy chciała - nie żeby zwykle potrzebowała ku temu szczególnych powodów. Sygnał syreny usłyszałem na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Ditch Road, więc wysiadłem powoli, nie sprawiając kłopotów, pokazałem ręce, stanąłem tam, gdzie mi kazali, tępo patrzyłem w drzwi jakiegoś spożywczaka, kiedy obszukiwał mnie tęgi patrolowiec z nieświeżym oddechem i podrażnieniami po goleniu na twarzy.

Uważnie sprawdził moje papiery. Moje papiery okazały się w porządku. Słońce już prawie zaszło. Niczym żółty zaciek nad horyzontem pomyj.

### 3.

**Pod koniec** naszej wspólnej kolacji, gdy sprzeczailiśmy się o to, kto zapłaci rachunek, podwędziłem księdzu Bartonowi portfel. Ten drobny, płynny manewr nie sprawił mi żadnych trudności: wykonywałem go w przeszłości dziesiątki razy. Oto on, biedny człowiek zawstydzony moim żalem, wzburzony moją nieustępliwością, szukający ucieczki z tej naładowanej emocjami sytuacji. To byłoby dla niego zbyt wiele, by w tak trudnych okolicznościach pilnować czegoś tak prozaicznego, tak świeckiego jak portfel. W łazience sfotografowałem jego zawartość przy użyciu małego urządzenia podłączanego do mojej komórki, a potem wsunąłem portfel z powrotem do kieszeni Bartona, gdy objąłem go na pożegnanie.

A teraz, kiedy ponownie znalazłem się w hotelu Capital City Crossroads przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, zamknąłem drzwi na klucz i zaciągnąłem zasłony, otworzyłem laptopa i zacząłem wprowadzać dane do doskonałego programu mapującego, który miałem tam zainstalowany. Wpisałem adres domowy z prawa jazdy Bartona. Wprowadziłem adresy trzech restauracji i pięciu stacji benzynowych, z których korzystał w ostatnim czasie i zrobił mi przysługę, zachowując kwitki. Wpisałem adres siłowni, lokalnej biblioteki i salonu Sport Clips, gdzie się strzygł. Wpisałem również adres restauracji przy Meridian Street, gdzie właśnie zjedliśmy, bo to on zaproponował ten lokal, oraz kościoła parafialnego Świętej Katarzyny, gdzie kilka godzin wcześniej zaskoczyłem biedną LuEllen.

Nigdy dotąd nie byłem w Indianapolis, byłem natomiast w wielu innych miastach, a każde miasto jest takie samo. Osiedla i drogi wodne, duże drogi i boczne dróżki. Pośrodku pierścień centrum otoczony pierścieniem autostrady niczym ogrodzeniem dla psa. Dzielnice czarnych, dzielnice białych, dzielnice mieszane. Apteki

CVS, Starbucksy, Walmarty, sklepy Townes Store. Gdziekolwiek trafisz, świat wygląda tak samo.

Powiniennem dodać: na Północy. Świat jest taki sam w każdym północnym mieście. O Południu wiem teraz znacznie mniej.

Program mapujący zmienił każdy adres w mrugającą czerwoną kropkę. Kiedy skończyłem wprowadzać dane i spojrzałem na mapę, jedna z tych kropek od razu zaczęła śpiewać. Wołała mnie. Większość była zbita w kupkę w pobliżu kościoła parafialnego księdza Bartona lub nieco na północ, wzdłuż handlowego korytarza Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, ze dwa czy trzy kilometry od miejsca, w którym teraz siedziałem. Ta jedna kropka znajdowała się natomiast daleko, daleko w dole, w innej części miasta. Migiała na przecięciu Trzydziestej Ósmej i Graceland Street, w okolicy, która na mapie nosiła nazwę Mapleton-Fall Creek.

- Dobra - powiedziałem na głos. - No dobra. - Dotknąłem palcem kropki, jakbym chciał ją poczuć, zmierzyć jej siłę.

Nie nazywam się Jim Dirkson.

Ani Dudley Vincent, chociaż pod tym nazwiskiem mieszkałem w Hilton Garden Inn przy lotnisku w Cleveland aż do zeszłej nocy, kiedy zadzwonił pan Bridge, obudził mnie i kazał się pakować. W tej chwili prawo jazdy pana Vincenta oraz jego karta American Express, pocięte na kawałki, leżały w budowlanym kontenerze na śmieci za jednym z centrów handlowych w Cleveland.

Miałem wiele nazwisk. Albo raczej: na początku każdego zlecenia zwykle myślałem o sobie jako o kimś, kto w ogóle nie ma nazwiska. Kto w ogóle nie jest osobą. Zaginął człowiek, to wszystko - zaginął i się ukrywał, a ja nie byłem osobą, ale manifestacją woli. Byłem mechanizmem - narzędziem. To wszystko, czym byłem.

Spojrzałem na kropkę przy Trzydziestej Ósmej Ulicy. Mrugała, a ja mrugałem do niej. Adres pochodził z potwierdzenia wypłaty z bankomatu przed trzema dniami - w niedzielę o godzinie 16.32. Dwieście dolarów w bankomacie Regions. Postukałem jeszcze w kilka klawiszy, a wtedy laptop ożył i wyświetlił na mapie żądane

informacje, zaciemniając każdy kwartał miasta zgodnie z odsetkiem populacji afroamerykańskiej.

Potem oparłem się na krześle i położyłem dłonie płasko na biurku po obu stronach klawiatury. Główne skupisko kropek, oznaczające tradycyjny rewir księdza Bartona, znajdowało się w strefie oznaczonej bladym kolorem - w kwartałach o populacji afroamerykańskiej wynoszącej poniżej dziesięciu procent ludności. Natomiast ta jedna kropka, jedna samotnie mrugająca kropka w Mapleton-Fall Creek, ona śpiewała inną piosenkę. Nie mieściła się w najciemniejszej części miasta - nią był teren o szerokości sześciu przecznic tuż obok centrum, na północny zachód. Uznałem, że na pewno jest tam Freedman Town. Ale w rejonie, gdzie ksiądz Barton w niedzielne popołudnie pobrał dwieście dolców - tam też była spora pigmentacja, bez dwóch zdań.

Zagwizdałem bardzo cicho, wciąż siedząc bez ruchu z dłońmi na stole.

- Dobra - szepnąłem. - Dobra, dobra, dobra.



## 4.

**O 21.49 wstałem** zza chwiejnego biurka i wyprostowałem się, unosząc dłonie, aż dotknęły sufitu niskiego hotelowego pokoju. W kieszeni kurtki, którą zdjąłem po przyjsciu, namacałem paczkę papierosów marki Baba. Postukałem nią o krawędź biurka, zdarłem folię i wyjąłem pojedynczy papieros.

Dokładnie o 21.50 zadzwoniła moja komórka. Zawsze dzwoniła dokładnie o 21.50.

- Halo.

- Dobry wieczór, Victorze - odezwał się głos w słuchawce, niski i równy. - Jak postępy?

Właśnie tak zawsze mówił pan Bridge - za każdym razem - kiedy prowadziłem sprawę, kiedy było otwarte dochodzenie. Zawsze dzwonił o 21.50, a jego głos zawsze brzmiał jednakowo.

- Dziękuję, całe i zdrowe - odpowiedziałem. - A pańska mama?

Pan Bridge się nie zaśmiał. Nigdy się nie śmiał.

- Jak postępy? - powtórzył.

- Na razie w porządku. - Wyszedłem na mały balkon. Pokój znajdował się na pierwszym piętrze, czułem więc dokuczliwą woń oparów z parkingu. - Szczerze mówiąc, szłoby mi znacznie lepiej, gdybym dostał pełne akta.

- Dostaniesz.

- Już to od pana słyszałem. - Zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się.

- Janice wrzuci pełne akta najpóźniej jutro w południe. Będą do ściągnięcia z drugiego serwera.

- Tak jest, massa. Sie wie.

Martwa cisza. Z tego pan Bridge nie mógł się zaśmiać. Ufałem w jego zapewnienia dotyczące akt. Mój opiekun z US Marshals Service był poważnym człowiekiem i rzadko składał obietnice, których nie mógł dotrzymać. Zresztą, choć z niewyjaśnionego

powodu dostarczenie pełnych akt się opóźniało, większość ważnych szczegółów i tak już znałem. Uciekła Osoba Przeznaczona do Pracy. Ów człowiek nazywał się Jackdaw. Jego PIN to 78312-99. Firma, której był winien usługi, to plantacja tekstylna o nazwie Garments of the Greater South Incorporated – Odzież Wielkiego Południa. Mieściła się w Pine Woods, przedmieściu Tuscaloosy w Alabamie.

Uciekł człowiek. Moim zadaniem było go znaleźć.

- Victorze? Jak twoje postępy?

Szybko zaciągnąłem się papierosem.

- No cóż, ksiądz dobrodziej i ja przełamaliśmy się chlebem. Nazywam się Dirkson. Moja żona ma na imię Gentle i jest przeznaczona do służby podziemnej w Georgii.

Znowu cisza w słuchawce. Pana Bridge'a nie interesowały drobiazgi. Pan Bridge czekał na informacje. Nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz, ale rozmawialiśmy przez telefon już od prawie sześciu lat, dlatego miałem konkretne wyobrażenie o człowieku za biurkiem w Gaithersburgu. Wyprostowana sylwetka przed klawiaturą komputera, okrągła, blada twarz i obwisłe różowe policzki. Może zwyczajny wąs, gęsty, ale zadbany. Oczy płaskie jak srebrne dolarówki.

- Jedyne szkopuł w tym – dodałem – że nasz kolega Barton wcale nie zajmuje się uciekinierami. Ani on, ani jego kościół. Ani nikt, kogo w życiu spotkał. Zszokował go sam pomysł.

- Kłamie.

- No co pan nie powie.

- Obwąchuje cię.

- Niech obwąchuje.

- Dotrzesz do niego.

- Spróbuję.

- To nie ponaglenie, to nie nagana, to po prostu stwierdzenie faktu. Dotrzesz do niego – powtórzył Bridge.

Tak właśnie mówił ten człowiek: jasno stwierdzał proste prawdy. Przez lata współpracy nigdy nie wyczułem w jego głosie nuty sarkazmu czy jakiejś subtelności. Zawsze miał ten sam ton, zimny

i nieugięty jak żelazo, z nutką południowego akcentu, która unosiła się niczym smużka dymu z lufy. „Dotrzesz do niego”.

Mój układ z panem Bridge'em był prosty. Jasny jak światło reflektora na więziennym spacerniku. Mocny jak prawo.

Zgodnie z ustawą o zbiegłych osobach każdy, kto zbiegnie ze służby, ma zostać pojmany i zwrócony z dowolnego miejsca Stanów Zjednoczonych, zarówno ze stanów niewolniczych, jak i wolnych. Do pomocy w takich operacjach są zobowiązane wszystkie organy ochrony porządku publicznego (a także „wszyscy dobrzy obywatele”), ale bezpośrednio odpowiada za nie US Marshals Service. Ustawa weszła w życie w pradawnym roku 1793 pod dawną nazwą, ale wielokrotnie ją aktualizowano: wzmocniono w 1850 roku, uszczelniono w 1861, a od tamtej pory korygowano i wzmacniano jeszcze sześć razy. Kiedy w 1875 roku Kongres wreszcie zniósł niewolnictwo w stolicy, lobby posiadaczy niewolników udobruchano, podnosząc kary za obstrukcję. Kiedy w 1935 roku prezydent Roosevelt zaproponował utworzenie „kompleksowego modelu regulacyjnego” plantacji (oraz Biura Praktyki Pracy, żeby pilnowało jego przestrzegania), uciszył wyjących senatorów z Południa szeroko zakrojoną ustawą o nietykalności, która chroniła marszałów przed nadgorliwymi prokuratorami z Północy.

Coś za coś. Wet za wet. Negocjacja i mediacja. Kompromis. To dzięki niemu Unia wciąż trwa.

Ludzie wciąż jednak znajdują sposoby na uniknięcie przepisów ustawy o zbiegłych osobach. Lokalni szeryfowie torpedują śledztwa, legislatury stanowe uchwalają ledwie zawoalowane przepisy o wolności osobistej, nawet jeśli Sąd Najwyższy stale zwraca je z pieczęcią „niekonstytucyjne”. Każdego roku mnóstwo „dobrych obywateli” woli iść do więzienia niż ruszyć palcem, żeby pomóc marszałowi polującemu na niewolników. Od 1970 roku na mocy poprawki Moore'a Afroamerykanie służący w organach ochrony porządku publicznego mają prawo odmówić uczestnictwa w takich akcjach.

Dlatego też US Marshals Service musiało znaleźć inne metody realizacji swojej misji.

To byłem ja. Ja byłem tą „inną metodą”. Człowiek bez nazwiska, niby-pracownik tajnego pionu, podróżujący od miasta do miasta, od zlecenia do zlecenia, nadzorowany telefonicznie przez głos z Marylandu. Bridge przydzielał mi sprawy, ale pod względem taktyki miałem wolną rękę. Realizowałem misje sprawnie i skutecznie, a jak długo mi się to udawało, moja przeszłość pozostawała pogrzebana. Przebywałem na Północy i byłem wolny. Coś za coś. Negocjacja i mediacja. Kompromis.

Kiedy skończyliśmy połączenie, czułem się podły i nikczemny, tak jak zawsze po rozmowie z panem Bridge'em. Pewne emocje kipiały w brzuchu i podchodziły do gardła. Pewne wspomnienia dzwoniły łańcuchami. Jak zawsze. Pstryknąłem palcami, odrzucając niedopałek gównianego pakistańskiego papierosa, patrzyłem z mroku balkonu w głębszy mrok parkingu i czułem się tak, jakbym prawie nie istniał.

Ale istniałem. Byłem prawdziwy i moja sprawa też taka była. Gdzieś w tym mieście przebywał samotny zbieg, przerażony, zmęczony, oszołomiony widokami i dźwiękami wolnego świata, a ja zamierzałem go znaleźć. Znaleźć i zaciągnąć do domu. Do domu.

Jak mówił Bridge, pełne akta miały przyjść nazajutrz. Nazajutrz moje poszukiwania miały się zacząć na dobre.

# 5.

**Kiedy** się nad tym zastanowić, to niezwykle, ile złożonych mechanizmów budujemy, żeby uniknąć czegokolwiek, co wprawia nas w niepokój albo wywołuje ból. Ile wałów i grodzi, ile labiryntów i fos.

Kiedy nazajutrz rano, w czwartek, zszedłem do holu, miałem czystą głowę, byłem spokojny i skupiony. Dobrze się wyspałem. Dochodziło wpół do ósmej, a ja byłem jedynym gościem w strefie śniadaniowej przylegającej do głównego holu hotelu Crossroads. Tak właśnie lubię. Lubię schodzić na te darmowe śniadania, kiedy już wszystko rozstawiono, ale zanim nadciągną chmary ludzi, uśmiechniętych, roztrajkotanych, smarujących tosty masłem. Ja nie gustuję w porannych pogawędkach. Znalazłem miejsce przy oknie i położyłem gazetę na stoliku, żeby go sobie zaklepać. Zawsze staram się nocować w hotelach, które oferują tego typu darmowe śniadania: podgrzewacze pełne bekonu i siekanych ziemniaków w ziołach, bezdenne kubki kawy, słodkie bułeczki w papierkach. Mam zwyczaj delektować się wszystkim, czym można się delektować, wszystkim, co dostępne, wszystkim, co wystawiają do wzięcia.

Przejrzałem pierwszą stronę „Indianapolis Star”, w całości poświęconą Donatelli Batlisch, tej od pożaru, tej, która zapaliła zapałkę. Prezydent nominował ją na stanowisko przewodniczącej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, a ktoś odkopał jej pracę magisterską, w której opisała „grę instrumentów dostępnych w świetle obowiązującego prawa”, które pozwalałyby ukarać firmy inwestycyjne obracające zyskami z plantacji. Później Batlisch udzieliła wywiadu „Time’owi” albo „U.S. News”, jednej z tych gazet, w którym odmówiła odcięcia się od ówczesnych poglądów. Zapewniła jedynie, że nowe stanowisko będzie piastować bez uszczerbku dla prawa. Wtedy prezydent,

zdeklarowany „centrysta” w kwestii Starego Pytania – co jest konieczne, żeby zostać prezydentem – zaskoczył wszystkich, nie wycofując nominacji.

„Czy to punkt zwrotny?” – pytano na pierwszej stronie gazety w artykule, który właśnie zaczynałem czytać, żując bajgla. „Czy to jest ten moment, w którym sprawy zaczną się zmieniać?”

– Nie – odpowiedziałem gazecie. – Nie jest. – Ugryzłem kolejny kęs. Przewróciłem stronę.

Do pomieszczenia weszła dziewczyna, biała dziewczyna w niebieskich dżinsach, dżinsowej kurtce i wytartych czarnych martensach. Młoda dama przyniosła ze sobą sporą torebkę i na moich oczach od niechcienia zaczęła wrzucać do niej kolejne rzeczy. Ta biała babka powinna popracować nad złodziejskimi umiejętnościami, to na pewno. Przed każdą drobną kradzieżą rozglądała się na prawo i lewo jak mysz z kreskówki, która zamierza zwędzić kawał sera, a potem upuszczała w czeluść torebki, cokolwiek miała pod ręką – banana, jednorazowe pudełko muesli.

Wszedł pracownik hotelu, ubrany w spodnie khaki i koszulkę polo. Stąpał po grubej wykładzinie dywanowej na tyle cicho, że dziewczyna nie zwróciła na to uwagi, ale ja, wyczulony na drobne dźwięki, doskonale go słyszałem. Czekał, patrzył, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, a tymczasem dziewczyna wzięła sobie jeden z papierowych kubków, które stały obok ekspresu do kawy, i zaczęła go napełniać dwuprocentowym mlekiem przeznaczonym do płatków śniadaniowych.

– Proszę pani? – nagle odezwał się głośno. – Czy mogę pani w czymś pomóc?

– Co? – Kobieta obróciła się szybko, wyszarpnęła kubek spod dozownika z mlekiem, rozlewając je przez krawędzie naczynia. – Nie. Nie, wszystko w porządku. Radzę sobie. Dziękuję.

Mężczyzna podszedł do niej szybkim krokiem, ważny w tych swoich spodniach z kantem i fuksjowej koszulce z naszywką HOTEL CROSSROADS na kieszeni na piersi. Spojrzałem z powrotem na gazetę i zacząłem studiować nagłówki.

Przesłuchania Batlisch. Pacersi wygrywają zacięty mecz. Wilmington dołącza do zbankrutowanych miast Syracuse i Detroit, które będą następne?

- Pożywienie serwowane podczas śniadania jest przeznaczone do konsumpcji wyłącznie w porze śniadania.

- A, zaraz. - Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć i rozejrzała się wkoło. Nawet nie umiała wymyślić kłamstwa. - To znaczy, tak. No, oczywiście.

Mężczyzna przyglądał się jej.

- Przepraszam, czy może mi pani przypomnieć swój numer pokoju?

Miał taki ton głosu, którego hotelowi kierownicy chyba uczą się w szkole dla hotelowych kierowników: gładki, czepialski i pełen dezaprobaty. Uśmiech dziewczyny bladł, przygasał.

- A, dobrze - powiedziała, bawiąc się jasnożółtą spinką we włosach w kształcie motyla. - Nie... nie pamiętam w tej chwili.

- To może mi pani pokaże kartę do pokoju?

Na identyfikatorze kierownika widniał napis PAN PAULSEN, ale ja już wcześniej wiedziałem, jak mężczyzna się nazywa. Kojarzyłem go, tę jego lśniącą łysinę i drobną twarz - za małą jak na tę dużą głowę - sprawiającą, że wyglądał z lekka złowrogo. To u niego się wczoraj zameldowałem, on dał mi kartę do pokoju i kazał wpisać się do rejestru „kolorowych gości”. Rzucił mi tę wyświechtaną formułkę: „Taka polityka firmy, ale gdyby to ode mnie zależało...”. Nie obraziłem się. Dawno do tego przywykłem. Nocowałem już w wielu hotelach.

- Dobrze, więc... nie mam karty - mówiła teraz biała dziewczyna, przestępując z nogi na nogę w tych swoich dużych butach. - No bo widzi pan, my tutaj nocujemy, to znaczy będziemy nocować. - Przed słowem „my” się zająknęła, tylko trochę.

- Co proszę? - zapytał pan Paulsen. - „Będziecie” tu nocować?

Słuchałem uważnie, częściowo schowany za gazetą, i zajadałem bajgla. Właściwie było to dla mnie coś nowego, słyszeć, jak ktoś tak małostkowo gnębi białą osobę szpetnym, na wpół groźnym tonem. Ta młoda kobieta to było chuchro, dziewczęce z figury

i twarzy, jej oczy były dwoma ciepłymi brązowymi kółkami, usta miała cienkie i różowe, a nieuporządkowane brązowe włosy – upięte tym plastikowym żółtym motylkiem. Kierownik ją zastraszał, a ona kiwała głową jak uczennica, która dostaje burę, zbierało jej się na płacz, policzki czerwieniały, a oczy powoli robiły się coraz większe.

– Tak. No, rozumie pan, jestem z Eastville. Przyjechałam na giełdę pracy. Tę medyczną. Wie pan? Jestem... byłam asystentką medyczną. Tak właściwie to pomocą w zakresie opieki domowej. Szukam nowej... No, nieważne. Chodzi o to, że moja siostra mówiła, że mogę nocować u niej, ale potem się okazało, że tam jest jej chłopak albo, nie wiem, coś w tym stylu. – Zmieszana uśmiechnęła się do Paulsen, któremu nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy. Mężczyzna nie wsparł jej w niczym. – Przepraszam. Za dużo informacji, co? Ale na dzisiaj będzie mi potrzebny pokój, przysięgam na Boga. – Wzruszyła ramionami i jeszcze raz się uśmiechnęła. – Do pokoju jest śniadanie, nie?

– Śniadanie jest wliczone w cenę, to prawda. I będzie pani do niego uprawniona, kiedy zostanie naszym gościem.

Do strefy jadalnianej zaczęli napływać inni goście. Dwóch bladych biznesmenów z nadwagą i rumianymi, obwisłymi policzkami, którzy zatknęli sobie serwetki za kołnierzyki koszul. Trzy dziewczyny w wieku studenckim, ubrane w długie spódnice z falbanami i wyglądające jak ewangeliczki. Wszyscy bardzo się starali nie zauważać przedstawienia przy bufecie. Był też mały chłopiec, który właśnie ciągnął mnie za rękaw. Spojrzałem na niego z góry, a on uśmiechnął się szeroko.

– Hej, co oni mówią?

Był czarny. Miał wesołą, psotną buzię, okrągłe policzki, ładną, jasną cerę, oczy jak dwie piękne, głębokie sadzawki. Na jego koszulce widniał Kapitan Ameryka. Mały przysunął się do mnie i próbował przeczytać do góry nogami pierwszą stronę gazety. Nagle cała sytuacja nabrała ostrych krawędzi: „my” wypowiedziane przez tę białą kobietę, pan Paulsen traktujący ją



z góry. Młoda biała matka z czarnym synem, próbująca sobie radzić w świecie. W tym świecie.

- Nie możecie, no, dać mi śniadania z góry? - pytała kobieta. - W sensie, awansem?

- Nie - odparł pan Paulsen. - Nasze zasady na to nie zezwalają. - Słowo „zasady” było jak zatraskująca się krata. Lada chwila miało paść: „Obawiam się, że będę musiał wezwać ochronę, jeśli...”.

Tymczasem jej syn, który mógł mieć z sześć czy siedem lat, zbliżył się do mnie bez skrępowania, wspiął się na place i patrzył na moją gazetę.

- Co to za słowo?

- Kontrowersja - odparłem. Pokazałem mu duże „K”.

Pokiwał głową.

- Aha.

Zaczepiał mnie bez zażenowania. Cóż za dzielny, uroczy chłopiec. Dziwiłem się, że nikt go nie nauczył, że nie rozmawia się z nieznajomymi. Może czarni nieznajomi byli w porządku. Dzieciak poruszał ustami i mrużył oczy, wpatrując się w to słowo.

- Kontrowersja - powtórzył.

- Bardzo panią proszę...

- Wie pan co? W porządku.

Powoli, z wyolbrzymioną godnością, biała dziewczyna wyjęła z torebki łupy: trzy bułeczki, jedną po drugiej, pudełko płatków, banana i dwie pomarańcze, a potem dwie plastikowe łyżeczki i jogurt. Ułożyła te rzeczy wzdłuż stołu bufetowego niczym ofiary wotywnie, a tymczasem jej nemezis w fuksjowej koszulce stała z założonymi rękami.

Kiedy podeszła do mojego stolika po syna, wychwyciła mój wzrok i rzuciła mi przelotne, smętne spojrzenie o całkowicie zrozumiałym znaczeniu: „Co za fiut, nie?”.

Wyznacznikiem mojej relacji z białymi w ogóle, a białymi kobietami w szczególności - wynikającej nie tylko z ostrożności związanej z moim zawodem, ale także z mojego wychowania - jest to, że nie odpowiedziałem na jej spojrzenie. Skwapliwie się czymś

zająłem, sięgnąłem przez stół po świeżą serwetkę, a tymczasem ona podniosła chłopca z ziemi i z nim odeszła. Przód mojego egzemplarza „Indianapolis Star”, który malec wciąż ścisnął w palcach, zwisał z jej pleców jak peleryna.

Siedziałem tak przez parę chwil, oddając się temu uczuciu, a potem złożyłem resztę gazety.

Mały czepialski pan Paulsen wymaszerował z kącika śniadaniowego z zarożniętą miną, nie kłopotząc się przeproszaniem za tę scenę – na pewno nie kogoś takiego jak ja.

Auto białej dziewczyny nietrudno było znaleźć na parkingu: zdezelowane południowoafrykańskie gówno z wgniecionymi drzwiami od strony kierowcy i jasnoróżowym lakierem, obłazącym i poplamionym rdzą. Motoryzacyjny odpowiednik dżinsowej kurtki i wytartych martensów. Ona sama siedziała za kierownicą i wypełniała formularz podania o pracę, pierwszy z całego stosu takich formularzy ułożonych na książce w twardej oprawie, którą z kolei próbowała równo utrzymać na kolanach. Miała skupioną, zatroskaną minę, kosmyk włosów trzymała w kąciku ust. Jej synek siedział na fotelu obok, z nogą opartą o wieko schowka, i grał w jakąś przenośną grę elektroniczną.

Zastanawiałem się, czy nie zastukać w szybę, ale tego nie zrobiłem. Jedzenie, które zebrałem, wciąż ułożone na tacy, postawiłem na ziemi tuż przed drzwiami kierowcy, a potem poszedłem do pracy.

## 6.

**Zaparkowałem** pod cmentarzem, mniej więcej pół kilometra na zachód od bankomatu z adresu, i ruszyłem w tamtą stronę. Miałem do pokonania kilka przecznic, tymczasem dzień się rozkręcał, a słońce powoli rozchodziło się po asfalcie. Nie padał deszcz, ale chyba miał ochotę, gniewnie skłębione chmury gromadziły się nisko na niebie.

Idąc w kierunku Mapleton-Fall Creek, przeciąłem Central Avenue. Spojrzawszy na południe, zobaczyłem dym z kilkunastu małych ognisk, który unosił się i mieszał nad obozowiskami, paleniskami, stłoczonymi namiotami. To musiało być Freedman Town, położone osiem kilometrów dalej w stronę centrum, w zupełnie innym świecie. Może sprawa była aż tak prosta: może człowiek, którego szukałem, leżał teraz zrozpaczony pod porwanym kocem gdzieś we Freedman Town, stłoczony między kuzynami w nieogrzewanej kawalerce. Klasyczne posunięcie, posunięcie głupca, posunięcie zdesperowanego uciekiniera.

Nie mogłoby być jednak aż tak łatwo. Gdyby biuro Bridge'a uważało, że sprawa wymaga tylko zakradnięcia się do Freedman Town i zapukania do paru drzwi, właśnie to bym teraz robił. Albo raczej uznałoby, że moje usługi nie są potrzebne. Białe furgonetki mogły tam zajechać bez mojej pomocy.

Mapleton-Fall Creek jawiło się natomiast jako schludna okolica jednokondygnacyjnych bungalów z aluminiowym sidingiem i przystrzyżonymi zielonymi trawnikami, które były jak wycieraczki z napisem „witamy”. Domy były stare, ale zadbane, na małych drewnianych werandach stały całe masy mebli ogrodowych - foteli bujanych i ławek. Każdy budynek pomalowano na jakiś jaskrawy kolor, a stowarzyszenie sąsiedzkie najwidoczniej dopilnowało, żeby nikt nie przyszedł na imprezę ubrany jednakowo: był dom bładoniebieski, był radośnie żółty, był

jeden zielony i jeden różowy. Przy jednym z domów, za niskim płotem z siatki, ujadał czarno-biały pies. Z rynien sąsiedniego zwisał sznur lampek bożonarodzeniowych, rozwieszonych albo zbyt wcześnie, albo zdecydowanie za późno.

Na jednej z werand siedziała bardzo stara czarnoskóra kobieta z papilotami we włosach, kołysząc się powoli w bujanym fotelu. Pomachała do mnie, a ja odpowiedziałem jej tym samym. Czułem tutaj atmosferę przyjemnej okolicy, czarnej okolicy ludzi pracy, ubogich, ale dumnych. Takiej, przez którą biały przejeżdża z blokadą w drzwiach samochodu, bo ma ją za niebezpieczną tylko ze względu na kolor skóry mieszkańców.

Wszedłem w Trzydziestą Ósmą i skręciłem w prawo, mijając ciąg lokali handlowo-usługowych, wszystkich o tak wczesnej porze pozamykanych na głucho. Był tam sklep z odzieżą o nazwie „Duży i mały”, salon fryzjerski „Panowie i panie”, lokal ze stekami i lemoniadą nazwany po prostu „Stek i lemoniada”. Był też jeden smutny sklep monopolowy z farbą obłazącą z framug drzwi, a przed nim samotny pijak w za dużej ciepłej kurtce. Zgrywał opanowanego, nie mogąc się doczekać, aż otworzą. To właśnie tutaj w niedzielne popołudnie przyjechał rumianolicy ksiądz Barton. Z jakiegoś powodu zawitał w tę nietypową dla siebie okolicę, zatrzymał się obok banku, o tam, przy stacji benzynowej niedaleko „Smażonych ryb Kapitana D”, żeby pobrać dwieście dolców, które do czasu wczorajszej kolacji zdążyły zniknąć z jego portfela.

Bankomat mieścił się pod niewielkim zielonym daszkiem, tuż obok samego banku, na prawo od wejścia. Gdy powoli szedłem w tamtą stronę, czułem, jak wstępuje we mnie duch młodego księdza, prawego białego człowieka stąpającego śmiało i bez lęku przez czarną okolicę, duszpasterza o poważnym, świątobliwym wyrazie twarzy. Na sekundę zatrzymałem się przy bankomacie, a potem powoli obróciłem się wokół własnej osi. Odegrałem nawet, że wyjmuję portfel, wkładam do niego banknoty i chowam go z powrotem. W połowie tego obrotu patrzyłem w głąb poprzecznej ulicy, Central Avenue, w kierunku południowym.

Przecznicę dalej migiała tam latarnia odbijająca się niewyraźnie w koleinie pełnej wody deszczowej. Przy ulicy znajdowała się pusta, zachwaszczona działka, a po drugiej stronie był niewielki pomalowany na biało budynek z drewnianym krzyżem nad drzwiami. Napis pod krzyżem głosił: KATOLICKA OBIETNICA ŚWIĘTEGO ANZELMA: ZAPRASZAMY MIESZKAŃCÓW.

- No dobra - powiedziałem, przyśpieszając kroku i kiwając głową. - Dobra, dobra, dobra.

Zbliżając się do budynku, usłyszałem szum i ryk niewielkiego silnika, a potem zobaczyłem jego: ogrodnika, zgarbionego i skupionego, przesuwającego się równo wzdłuż krawężnika z dmuchawą do liści. Przeganiał chmury kurzu i odpadków z chodnika na jezdnię.

- Ej, człowieku - odezwałem się, podchodząc, i pomachałem rękami. - Zaczekaj chwilę.

Ogrodnik podniósł głowę, znużony i nieufny, ale zgasił silnik.

- O, dobra. Cześć, człowieku. - Zbliżając się do niego, wszedłem w rolę: trochę niedoświadczenia, trochę chwiejnego kroku, trochę piachu w oczach. Włóczęga, głupek, wstawiony o poranku. - Jak leci, bracie?

- W czym mogę panu pomóc?

Ogrodnik był zmęczonym czarnoskórym mężczyzną w średnim wieku i tyle miał już za sobą tej pieprzonej podwórkowej roboty, że starczyłoby dla paru ludzi. Nie był jeszcze stary, ale szybko się do starości zbliżał. Zmęczony tego ranka, zmęczony do szpiku kości. Chciał zrobić, co do niego należało, i wrócić do swojej ciężarówki, zanim zacznie padać, jeżeli miało zacząć.

- Aha, tak - powiedziałem. Mówiłem szybko, oblizywałem usta i mamrotałem. - No, mówię ci, człowieku, tak se chodzę. Kumasz? Tak se chodzę dzisiaj.

Odrobinę uniósł brwi. Miał na sobie zielony kombinezon z imieniem RUBEN wyszytym na białym owalu nad kieszenią na

piersi oraz z dużym czarnym napisem na plecach: USŁUGI OGRODNICZE CIRCLE CITY.

Wyrzuciłem z siebie następujące słowa:

- No więc zobaczyłem, że tu jest kościół, nie? I tak poczułem, że muszę wpaść. Bo słuchaj, człowieku, ja ostatnio słyszę anioły, wiesz, i one mi mówiły, że muszę się poukładać. Z Bogiem się poukładać. Anioły mi mówiły, że muszę iść i poukładać się dzisiaj.

- Tutaj się, chłopie, nie poukładasz. - Na spękanych wargach Rubena na moment pojawił się uśmiech. - To nie jest kościół. To świetlica.

- Co? Aha.

- Należy do Kościoła, ale to nie kościół. No i jest zamknięta.

- Żeż cholera.

Rubenowi to się spodobało. Parsknął śmiechem, niskim i chropowatym.

- Sorry, szefie. Ta, jak jej tam... no wiesz, diecezja zamknęła to miejsce jakiś czas temu. Z pół roku temu albo jakoś tak. Każą nam tu przyjeżdżać raz w tygodniu, żeby nie zarosło i w ogóle, ale to wszystko.

- O rany. Rany, rany. Chyba coś się moim aniołom porąbało.

- Chyba tak.

Obaj się zaśmialiśmy, ja i mój ziomek Ruben, a ja stałem, kołysałem się w tym swoim pijaństwie, kręciłem głową i uważnie przyglądałem się budynkowi. Nie był tak okazały jak Święta Katarzyna przy Meridian Street, nic z tych rzeczy: stary, obłożony drewnem, parterowy, z płaskim czarnym dachem. Od frontu znajdowały się tylko jedne drzwi, do których dochodziło się krótkim chodnikiem, obrośniętym równym żywopłotem i bluszczem. Jedno z okien było pęknięte - przez środek przebiegała rysa jak niezaleczona rana. Natomiast od strony klamki jasno błysnęło złoto.

Przez sekundę zawiesiłem wzrok na tych drzwiach, z nadzieją mrużyłem oczy, jakbym chciał je otworzyć siłą woli i dostąpić zbawienia, którego szukałem.

- No dobra. - Ruben uniósł dmuchawę do liści. - Wracam do roboty.

- Poczekaj chwilę - rzuciłem, bo nagle coś mnie olśniło. - Przyjmujecie może do roboty?

Mężczyzna zmarszczył czoło, znowu patrząc na mnie sceptycznie.

- Nie wiem. Musiałbyś zapytać Ricka.

- Ricka?

- Aha. Ricka albo... Nie wiem, Ricka albo Tiny'ego.

- Tiny'ego?

- Zgadza się.

- Masz jego numer?

- Jest na wozie, człowieku.

Ruben miał mnie dość. Odwrócił się i uruchomił dmuchawę. Życzył mi powodzenia, przekrzykując jej ryk, a ja poczłapałem do jego wozu, pakistańskiej półciężarówki na wysokich kołach, do której przypięta była przyczepa zagracona kosiarkami, grabiami i innym szajsem. Na boku półciężarówki i przyczepy widniał napis USŁUGI OGRODNICZE CIRCLE CITY, a pod spodem - numer telefonu.

Cała świetlica była nie większa od domku z Monopoly i chyba przedpotopowa, starsza niż Adam i Ewa.

Nowy był tylko zamek w drzwiach. Mosiężny i błyszczący.

Uśmiechnąłem się pod nosem, spisując numer z półciężarówki. Byłem zadowolony z siebie, że zauważyłem ten szczegół. Cieszyłem się, że potwierdzenie z bankomatu zawiodło mnie do banku, do katolickiej świetlicy, do Rubena, do tych drzwi. Cieszyłem się, że tyle osiągnąłem, jeszcze zanim Bridge i jego ludzie przysłali mi pełne akta sprawy. Odczuwałem przyjemność ze swojego odkrycia, przyjemność z pracy.

Taki właśnie jest problem z wykonywaniem szatańskiej roboty. Od czasu do czasu bywa satysfakcjonująca. Cholernie satysfakcjonująca.

W Indianapolis miałem ze sobą cały mój zwykły sprzęt. Część została w pokoju w Capital City Crossroads, część była ukryta w bagażniku auta. Komplet kostiumów - parę peruk, trochę sztucznej biżuterii, a także podstawowe elementy charakteryzacji: tubka specjalnego kleju, podkład w kilku odcieniach, kredka do brwi. Miałem sześć różnych par okularów z zerowymi szklami i sześć par szkieł kontaktowych w różnych kolorach. Oraz inne narzędzia: zestaw wytrychów oraz drugi, zapasowy. Smycze z fałszywymi identyfikatorami w fałszywych oprawkach. Ubrania i buty. Mój telefon, ładowarkę i różne akcesoria. Mój komputer. Papiery Jima Dirksa oraz na trzy inne nazwiska, a każde miało wiarygodną podkładkę, każdy numer telefonu działał i prowadził do prawdziwej osoby, która wiedziała, co powiedzieć, gdyby ktoś zadzwonił. No i oczywiście gotówka - rolki banknotów spięte gumkami, przeznaczone na dodatkowe wydatki, które należało zgłosić po ukończeniu każdego zlecenia.

Miałem broń, ale została w hotelu. Właśnie tam prawie zawsze ją trzymałem. Jestem tajnym agentem wykonującym niebezpieczną pracę, ale należy zrozumieć, że jednocześnie jestem afroamerykańskim mężczyzną żyjącym w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Zawsze mogły się trafić kontrole. Zawsze mógł mnie ktoś zatrzymać. Raz po raz musiałem wybebeszać torbę na oczach jakiegoś czujnego stróża prawa: zastępcy szeryfa, patrolowca, policjanta stanowego, nie wiadomo. Albo po prostu zarabiającego marne grosze dupka z centrum handlowego, który podjeżdżał na segwayu i migał mi odznaką ze sklepu z przebraniami, żeby pokazać dziewczynie ze stoiska z okularami przeciwsłonecznymi, że ma dużego.

Kiedy działy się takie rzeczy, nie miałem wyboru i musiałem ulec. Nie posiadałem żadnej odznaki, żadnego identyfikatora, byłem prawdziwym tajniakiem pełną gębą. Gdybyście zobaczyli, jak podróżuję, gdybyście przeszukali mi walizkę albo bagażnik, wzięlibyście mnie za złodzieja albo jakiegoś oszusta.

Którym oczywiście byłem. Naprawdę, to właśnie ja. Byłem złodziejem. Byłem jakimś oszustem.



Kiedy znowu wyszedłem na dwór, obok mojej altimy, tuż przy bramie cmentarza, stał radiowóz. Zatrzymałem się i patrzyłem na niego przez chwilę: czarno-biały pojazd Komendy Miejskiej Policji Indianapolis z wykonanym od szablonu napisem na boku, kogutami na dachu oraz długą anteną, która sterczała z tyłu dumna i sztywna. Rozejrzałem się po ulicy, żeby sprawdzić, czy właściciel wozu jest w pobliżu, ale było równie cicho jak przedtem. Nawet niebo, wciąż szare i zimne, wyglądało tak samo – chmury nie poruszyły się ani trochę. Wszystko było tak samo z wyjątkiem oznakowanego radiowozu.

Parę razy podskoczyłem na piętach, jakby moje ciało szykowało się do ucieczki. Ale nie uciekłem. Nie zrobiłem nic. Stałem bez ruchu, patrzyłem na tylny zderzak radiowozu, na groby, na domy w głębi ulicy, narastał we mnie niepokój i snuł się jak mgła.

Myślałem sobie, że wczoraj wieczorem w Fountain Diner, kilka stolików ode mnie i księdza, siedziało dwóch gliniarzy, czarny i biały, oglądali coś na telefonach, śmiali się i zajmowali sobą. Powoli podszedłem do zaparkowanego auta policyjnego, słuchając odległych, niewyraźnych odgłosów miasta. Jakieś klaksony gdzieś w oddali. Terkot podnoszonej kraty – może właśnie otwierano „Stek i lemoniadę” albo „Dużego i małego”.

Zapamiętałem numer. Radiowóz numer 101097. Duże miasto, pomyślałem. Duże miasto, pełne policjantów. Nic więcej.

# 7.

## **Co to jest? Co to ma być?**

Stałem na rozchwianym krześle w pokoju hotelowym, tak że czubkiem głowy ocierałem o sufit. Miałem w miarę przyzwoitą drukarkę przenośną z rządowego przydziału i działała bez problemu, więc kiedy przychodziły akta, zwykle je drukowałem, rozkładałem na narzucie łóżka i oglądałem z góry, jakbym lustrował kwartał miasta z helikoptera.

Pełne akta tej sprawy to był jeden wielki bajzel, co wcale mnie nie cieszyło. Nienawidzę bajzlu. Nienawidzę nieporządku i niepewności, a właśnie takie były te akta: nieporządne i niepewne.

Było już popołudnie. Akta pojawiły się na drugim serwerze o dwunastej, zgodnie z obietnicą, i od tamtej pory wgapiałem się w paskudne wydruki, marszczyłem czoło, popijałem wodę z taniej hotelowej szklanki, głowiłem się nad dziewięcioma stronami gęstego tekstu oraz ilustracji i cały czas myślałem to samo: „Co za bajzel”.

Pierwsze trzy strony dotyczyły księdza Bartona i jego komórki Podziemnych Linii Lotniczych. W tej części mało było szczegółów, a dużo domysłów – kupa bredni wyciągniętych z wyszukiwarki internetowej. Jakiś stażysta w biurze Bridge’a pozlepił to wszystko ze starych nakazów aresztowania i radykalnych abolicjonistycznych chatroomów: data urodzenia Bartona, jego miejsce pochodzenia, znani i przypuszczalni współnicy. Bliskie więzi z Międzynarodową Organizacją Kanaan (MOK) i Les Bénévoles Blackburn, luźne powiązania z Czarnymi Panterami oraz dwiema innymi „krajowymi organizacjami terrorystycznymi”. Jego nazwisko łączono z paskudnym zajściem sprzed dwudziestu dwóch miesięcy: w centrali FedExu w Cincinnati znaleziono w niedostarczonej skrzyni zwłoki, w znacznym stopniu rozłożone.

Ostatecznie je zidentyfikowano, ustalono ich PIN i imię służbowe - był to zbieg z hrabstwa Boone w Karolinie, który dał się zamknąć w skrzyni i wysłać pod adres „Katedra św. Katarzyny, Indiana”. Pracownik FedExu, który umożliwił ten desperacki manewr, sympatyk aboluchów działający jako wolny strzelec, siedział teraz w więzieniu federalnym, ale nie chciał się przyznać, że działał na prośbę Bartona - a przynajmniej tak mówiły te bezużyteczne, niechlujne, gówniane akta.

Pierwsze strony informowały mnie tylko o tym, co już wiedziałem - że choć ksiądz proboszcz udawał niewiniątko, w rzeczywistości był sprawnym przemytnikiem zbiegów, bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialnym za dziesiątki przypadków nielegalnego wyzwolenia na przestrzeni ostatnich kilku lat. Bridge albo jego stażysta miał „wysoki stopień pewności” (cokolwiek to, kurwa, miało znaczyć), że to właśnie Barton i jego grupa wyciągnęli Jackdawa z plantacji i/ lub przemycili go przez Płot. Podobna pewność dotyczyła tego, że ludzie księdza chronią chłopaka, dopóki nie będzie go można przerzucić przez czterdziesty dziewiąty równoleżnik, gdzie trwale uzyska wolność.

Skrzywiłem się. Przystąpiłem z nogi na nogę. Mój wzrok prześlizgnął się po dziurze w mojej siatce kartek, przypominającej pustą działkę w ciągu domów. Powinna się tam znaleźć strona siódma, której nie wydrukowałem. Nie byłem gotowy na nią spojrzeć. Jeszcze nie.

Część poświęcona Garments of the Greater South również nie okazała się zbyt przydatna. Nie było w niej nic ponad to, co każdy gamoń wyciągnąłby z publicznie dostępnych dokumentów. Łączna powierzchnia, powierzchnia przeznaczona na produkcję, łączne roczne zbiory, zbiory bawełny kosmatej, zbiory bawełny Pima. Roczne dochody brutto, roczne zyski, zyski prognozowane. Ilekroć czytałem o tych miejscach, rozrastały się, stawały się nowocześniejsze, działały na coraz większą skalę i w coraz bardziej wyszukany sposób. Ta firma, GGSI, chwaliła się kontrahentami z siedemdziesięciu dwóch państw świata,

doceniającymi jej „trwałe, delikatne włókna” i „najwyższej jakości nasiona i oleje z nasion”. Na terenie GGSI mieścił się Instytut Innowacji Rolniczych, wspierany przez stan Alabama i Amerykańską Radę Bawełny. Prowadzono tam „awangardowe badania nowych technologii produkcji odmian bawełny odpornych na szkodniki i suszę”. Na rozległym terenie GGSI były 4232 Osoby Przeznaczone do Pracy – na polach, w fabrykach i biurach.

Cztery tysiące dwieście trzydzieści jeden, pomyślałem. Od niedzielnej nocy: 4231.

W aktach znajdowało się też zamazane zdjęcie satelitarne, na którym każdy niewyraźny prostokąt ponumerowano i opisano. Trzydzieści dwa oddzielne obiekty. Sunąłem palcem od prostokąta do prostokąta. Wytaczałem linie między budynkami, wiodłem dłonią wzdłuż dróg zaopatrzeniowych i łączących je żwirowych ścieżek, opierając się przyplywowi straszliwej wyobraźni: że to ja mógłbym tam być, biegać w niewolniczym szarym kombinezonie od budynku do budynku, z załadunku i odbioru do konserwacji obiektów, bębniąc bosymi stopami o ścieżki.

Na ośrodek populacyjny składało się pięć budynków, które półkolem otaczały podwórko z napisem REKREACJA – pięć ponurych prostokątów identycznych rozmiarów, ustawionych jak żołnierze. Dalej znajdował się budynek numer 20, oznaczony napisem ODOSOBNIENIE/RESOCJALIZACJA, który w czasach mojej młodości nazywano szopą.

Na sekundę, na pół sekundy, zatrzymałem na budynku numer 20 palec wskazujący, aż odpłynęła z niego krew i zrobił się równie biały jak paznokiec.

Niektórych rzeczy na mapie nie rozumiałem. Zanotowałem je wszystkie i odłożyłem na bok, żeby później omówić z panem Bridge'em. Jeden z budynków, tuż za Instytutem Innowacji Rolniczych, nie był w żaden sposób opisany i został wymazany, zaczerniony, ukryty przed wzrokiem Boga. Na mapie były też kreski, których znaczenia nie potrafiłem wyjaśnić: linia przerywana otaczająca cały teren tuż przy ogrodzeniu po

wewnętrznej stronie. Czy to dodatkowy płot? Coś jak obroza elektryczna obejmująca cały obiekt? Nie podobała mi się ta linia. Byłem pewien, że ma związek z tamtejszą populacją OP. Że to jakaś innowacja w dziedzinie kontrolowania ludzi.

Zastanawiałem się. Zaciskałem zęby. Nauczyłem się mapy na pamięć i przeszedłem dalej.

Ale nie do strony siódmej. Jeszcze nie.

Mój wzrok prześlizgnął się po tej luce na siatce kartek, gdzie powinna leżeć strona siódma, i wylądował na stosunkowo bezpiecznej stronie ósmej, zawierającej listę suchych faktów opisujących obecnie znane szczegóły ucieczki. Zbiega, imię służbowe Jackdaw, PIN rejestracyjny 78312-99, zbudzono w ośrodku populacyjnym w niedzielny poranek, odnotowano jego obecność na zbiorce (potwierdziły to różne źródła). Został zarejestrowany w szwalni numer dwa (budynek 27) o godzinie 7.30 (widzieli go dwaj nadzorcy OP oraz Wolny Biały Robotnik na hali). Jackdaw odbył swoją zmianę, wysiedział dwanaście godzin na stołku, przycinając końcówki nitek z kołnierzyków. W GGSI populacją OP zarządzano w myśl systemu osiem-dwanaście-trzy, zgodnie z ustawą o praktyce pracy: osiem godzin w populacyjnym na każde dwanaście na hali oraz obowiązkowa zmiana zajęcia co najmniej co trzy lata. Zmiany nadzorowali agenci BPP, sprawdzali wszystkich wchodzących i wychodzących, pilnowali przestrzegania zasad: przerwy musiały się odbywać zgodnie z planem, kary musiały być humanitarne i proporcjonalne do przewinienia. Brutalne traktowanie niewolników jest niezgodne z prawem.

W aktach nie było napisane, jak długo już Jackdaw wykonywał to zajęcie, bo w aktach był cholerny bajzel.

Postawiłem się na jego miejscu, wyobraziłem sobie jego dzień. Jackdaw przycupnięty na stołku bez oparcia, Jackdaw przy stalowym stoliku z maleńkimi nożyczkami, Jackdaw mrużący oczy, patrzący przez lupę i przycinający niemożliwie drobne, delikatne nitki, porządkujący czarne, czerwone i niebieskie kołnierzyki, jeden po drugim, nitka po nitce. Zesztywniałe palce Jackdawa

i jego zmęczone oczy. Stos kołnierzyków, który kurczył się powoli, aż do chwili, gdy co pół godziny ryczał brzęczyk, z odbiorów przyjeżdżał wózek widłowy, a OP lub Wolny Biały siedzący za kierownicą wyrzucał nowy ładunek.

Przewróciłem stronę.

*19.30: 78312-99 skończył zmianę, został wyrejestrowany (wiele źródeł), wrócił do ośrodka populacyjnego B*

*19.47: 78312-99 zgłosił „ból brzucha”. Osoba odpowiedzialna na dyżurze podała 750 mg NLP*

*20.17: 78312-99 zgłosił ból brzucha + wymioty + biegunkę. ROCP transportuje TM do punktu opieki nad pracownikami*

Kilka razy pokiwałem głową sam do siebie. Zamknąłem oczy. Sceny pojawiły mi się pod powiekami jako czerwone błyski, wynurzyły się pomiędzy słów w aktach.

Chłopak na pryczy, adrenalina buzuje mu w żyłach. Naciska czerwony guzik wzywający uprzywilejowanego: „Źle się czuję, chłopie, bardzo źle...”. Pół godziny później, o 20.17, znowu go wzywa. Teraz rzyga. Teraz sra na podłogę.

*20.35: 78312-99 został przyjęty do punktu opieki nad pracownikami (budynek 47), gdzie ma się nim zająć personel na dyżurze*

I tak dalej, i tak dalej. 78312-99 został zabrany z łóżka w „grubym ubiorze obezwładniającym” (zgodnie z protokołem), przeniesiony w jednoosobowym siatkowym transportowym module powstrzymującym (TMP) do punktu opieki nad pracownikami w zachodniej części kompleksu. Wwieziono go windą, poważnie chorego, wyjęto z TMP, przypięto (zgodnie z protokołem) plastikowymi zapinkami do stołu zabiegowego i oddano pod opiekę dwóch pielęgniarek na dyżurze: Moniki Smith, lat dwadzieścia cztery, i Angeliny Croth, lat dwadzieścia siedem. Kiedy strażnik wrócił po godzinie (protokoły, protokoły, cały zamknięty wszechświat protokołów), odkrył przerażającą

scenę: krew rozbryzgana na podłodze punktu opieki, krew na ścianach. Dwie pionowe smugi krwi na tylnej ścianie, jakby bezbronnymi pielęgniarkami o nią uderzono i pozwolono im się powoli osunąć. Cztery plastikowe zapinki, którymi pacjent był przymocowany do łóżka za kostki i nadgarstki, były pęknięte, jakby ktoś rozerwał je z wielką siłą. Nie jedna, ale wszystkie szyby w sali badań zostały stłuczone, prawdopodobnie przy użyciu asystora na kółkach, który znaleziono roztrzaskany w krzakach sześć piętér niżej.

Losu samych kobiet, albo ich ciał, nie odnotowano. Nie odnotowano też, jak sprawca tego okrutnego czynu zdołał później zniknąć. Bardzo chory mężczyzna zaatakował dwie pielęgniarki, a potem – puf! Rozpłynął się w powietrzu. Niewidzialny człowiek.

Zszedłem z krzesła i trochę pochodziłem po pokoju. Myślałem, żeby wyjść na balkon i zapalić papierosa, ale postanowiłem tego nie robić. Odsuwałem od siebie stronę numer 7. Prowokowała, żebym na nią spojrzeł, a ja się odwracałem. Wcześniej czy później musiałem na nią popatrzeć. Przebiegłem wzrokiem ostatnią część akt – zwyczajne papierkowe bzdety. Ale nawet tu, nawet w podstawowych dokumentach: nakaz, autoryzacja, strony z podpisami sędziów... nawet w tym wszystkim panował bajzel, pełno było wybojów, nieporządku i znaków zapytania. Zanotowałem te rzeczy, żeby później zwrócić na nie uwagę Bridge'a. Skoro ja miałem wykonać swoją robotę, to na litość boską, on mógł wykonać swoją.

Właśnie w ten sposób się oszukiwałem. Między innymi w ten sposób. „Skoro ja mam wykonać swoją robotę, to on może wykonać swoją!”. Gorzki, oburzony refren udręczonego pracownika, który przewraca oczami, patrząc na niekompetentnego gryziopórka na wyższym szczeblu łańcucha pokarmowego. Rozumiem, dlaczego to robiłem, chociaż trudno to teraz przyznać, trudno się z tym pogodzić, choć wywołuje to wstyd.

Jak gdybyśmy on i ja byli... kim? Kolegami z pracy? Jakbym był po prostu znękanym, ale ostatecznie niezłomnym pracownikiem,

który wzdycha na widok frustrujących wad swojego nierozgarniętego, ale koniec końców uroczego pracodawcy?

A potem wreszcie, kiedy nie było już do przejrzenia żadnych innych stron i gdy zebrałem się w sobie, przez pięć minut siedząc całkiem bez ruchu w niewygodnym fotelu, z dłońmi na kolanach, nie patrząc na nic, wbijając wzrok w białą ścianę pokoju hotelowego – kiedy nie miałem już innych opcji, ponownie podłączyłem laptopa do przenośnej drukarki i wydrukowałem stronę numer 7.

Ułożyłem ją na właściwym miejscu w mojej siatce. Wspiąłem się z powrotem na krzesło i przyglądałem jej się z oddali, z góry. I zachwiałem się na tym krześle. Jakoś wiedziałem od początku. Jakoś wiedziałem, że to będzie takie trudne. Że zdjęcie tego mężczyzny wywoła takie uczucia.

Oczywiście wszystkie zdjęcia OP w ten czy inny sposób są niepokojące. Zwykle u tych ludzi albo widać zimny gniew, nienawiść płonąca w oczach skierowanych prosto w obiektyw, albo są oni wyczerpani, mają martwy wzrok, patrzą przed siebie w nicość. Widziałem już paru uśmiechniętych – wilczym, buńczucznym uśmiechem kogoś, kto nie chce zgiąć karku, albo obłąkańczym, krzywym uśmiechem tego, kto odpłynął do alternatywnego wymiaru, puścił się ręki rzeczywistości. Bądź co bądź, kto odmówiłby im tej łaski? Przysięgam na Boga, jak ktoś wyskakuje z tym wyświechtanym tekstem, że „tak im lepiej”, z tekstem o naturalnym stanie Osób Przeznaczonych, o tym, że niewolnicy tak naprawdę wolą swój los i prostotę życia pod jarzmem, no to niech obejrzy parę takich zdjęć, albo i paręset, tak jak ja.

Ale ten człowiek, Jackdaw, PIN 78312-99 – jego zdjęcie to było coś innego. Jackdaw okazał się przystojnym mężczyzną, niemalże perwersyjnie przystojnym, tak jak bywa czasem, kiedy gwiazdor filmowy gra włóczęgę albo lumpa, ale jego twarz jest nie tylko znajoma, ale i ewidentnie zadbana, przez co kreacja wydaje się nieautentyczna. Był chudy, miał smukłe policzki i smukły nos, a w



delikatności jego rysów twarzy było coś niemal kobiecego. Na zdjęciu patrzył przed siebie, zgodnie z poleceniem, miał jednak na wpół uniesione brwi i ledwo rozchylone usta, jakby sfotografowano go w chwili, gdy właśnie miał coś powiedzieć. W jego oczach był smutek, była wrażliwość i coś jeszcze, co trudno nazwać. Nerwowość? Niedowierzenie? „Musiała zajść jakaś pomyłka” – zdawały się mówić te oczy. „Ktoś coś poplątał. Trafiłem do niewłaściwego pomieszczenia”.

Spróbowałem skorelować tę delikatną, wrażliwą twarz z koszmarem opisanym w aktach. Z rozmazaną krwią, potłuczonym szkłem. Zupełnie jakby ktoś tu odstawiał Hulka, jakby ktoś odstawiał Jekylla i Hyde’a.

Oczywiście Jackdaw miał tatuaż z logo złożonym z liter GGSI: trzy małe litery G, S i I pod bezpiecznym zakrzywionym dachem mocnego, ojcowskiego G. Symbol umieszczono u podstawy szyi Jackdawa, tuż nad wklęsłością obojczyka. Obok znajdowały się dwa jednolicie czarne kwadraty: loga poprzednich właścicieli, teraz zamazane.

Na moim obojczyku był jeden czarny kwadrat w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się symbol z dzwonkiem i krową oznaczający moje miejsce urodzenia, zamazany już bardzo dawno temu. Ten kwadrat świadczyłby jednoznacznie o moim dawnym statusie, gdyby nie to, że w ten sposób oznaczało się wielu ludzi – w niektórych miejscach na Północy robili to prawie wszyscy czarnoskórzy: wolni, wyzwoleni i zbiegowie. To symbol solidarności: jeśli każdy z nas jest byłym niewolnikiem, to nie jest nim nikt.

Jak tchórz odwróciłem kartkę zdjęciem do dołu, ale okazała się zadrukowana po obu stronach. Na rewersie również był Jackdaw, rozłożony na statystyki i dane identyfikacyjne: *PIN 78312-99 („Jackdaw”), rod. ojca nieznanym, rod. matki nieznanym. Lat 23. Wzrost 172 cm, waga 69 kg (BMI = 23,3). Rozmiar buta i koszuli, obwód w pasie i w klatce piersiowej. Oznaczenia i blizny, guzy i znamiona. Człowiek jako mapa cech dermatologicznych. Jego*

pigmentację określono jako „miód późnego lata, ton ciepły, nr 76”.

Tego było już dość. Pozbierałem papiery z narzuty i je schowałem. Złożyłem laptopa.

Pod oknem usłyszałem dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu. Biała dziewczyna i jej czarny syn szli przez parking, ciągnąc za sobą walizki. Chłopak, ubrany w wymięte džinsy i biały podkoszulek bez rękawów, zginał się w pasie, holując olbrzymią fioletową walizę dwa razy większą niż on sam. Na jego twarzy malował się zdeterminowany wyraz myśliwego, który wraca z łowów.

- Kochanie, daj - rzuciła jego matka przez ramię. - Ja wezmę.
- Poradzę sobie, mama.
- Tak, Lionel, ale całą porysujesz.
- Mama, poradzę sobie.

Myślałem przez chwilę o tej kobiecie, zastanawiając się, czy rzeczywiście zamierzała tu nocować, czy przyszła tylko po to, żeby zrobić panu Paulsenowi na złość. Obserwując, jak Lionel ciągnie walizkę, stwierdziłem, że jedno i drugie jest równie prawdopodobne. Zmieniłem moje przypuszczenia w kwestii jego wieku - miał co najmniej siedem lat, może nawet osiem. Nosił wytarte trampki w żółte gwiazdki. Miał duże afro, okazalsze niż u większości dzieci w dzisiejszych czasach, złotą aureolę loków. W pokoju czekał na mnie Jackdaw. Czekał na mnie gdzieś w mieście. Chłopiec zatrzymał się tuż przed wejściem do hotelu, obejrzał się przez ramię i zobaczył mnie, a ja jego. Z jakiegoś powodu - zapewne tego samego, który każe małym dzieciom robić najróżniejsze rzeczy - wypuścił rączkę walizki i stanął w zabawnej pozie osiłka, unosząc i napinając wątle brązowe ramiona. Uśmiechnąłem się, a potem odwróciła się jego matka, więc schowałem się w głębi pokoju. Ostatnie, czego potrzebowałem, gdy w moich myślach wciąż unosiła się łagodna, zdumiona, przestraszona twarz Jackdawa i coś we mnie wzburzała, była niezręczna rozmowa - dziękuję za owoce i tak dalej - z białą matką chłopca.

Strona ze zdjęciem nadal leżała na łóżku. Określenie „miód późnego lata” brzmi jak poezja, ale nią nie jest. „Miód późnego lata, ton ciepły, nr 76” to jeden ze stu siedemdziesięciu dwóch odcieni koloru skóry afroamerykańskiej określonych w przewodniku polowym US Marshals Service, w tabeli pod tytułem *Taksonomia pigmentacji*, która znajduje się w rozdziale dziewiątym (*Elementy identyfikacyjne i opisowe*). Mój odcień to „średni węgiel, nuty mosiądzu, nr 41”.

# 8.

**O kurna!** A to co?

- Ej, ty, czekaj, gościu. Ej, niewolniku. Stój, niewolniku.

Zatrzymałem się. Obróciłem, ale powoli, powoli. Nie całym ciałem, odwróciłem tylko głowę.

- Ej, no, zwolnij, OP.

Chłopak wymówił te litery z podwójną, śpiewną emfazą: o-pe. Najpierw „o”, potem „pe”. Było ich dwóch, wykrzykujących na górnym stopniu drewnianej werandy. Wróciłem w tę samą okolicę, w pobliże Katolickiej Obietnicy, w uniformie, gotów do roboty. Nadchodził zmierzch. Wciąż ta pogoda bez pogody, która panowała od rana - bezchmurna, a może z jedną wielką chmurą pokrywającą całe niebo.

- Ej, stary, niewolnik zapieprza.

- No, kurna, zapieprza. Wracaj na pole, zanim massa zanotuje ci spóźnienie.

Zawyli ze śmiechu. Przybili żółwika. Obok nich z przenośnego odtwarzacza ryczała hiphopowa muzyka.

Zacisnąłem zęby i powstrzymałem napływ bardzo, bardzo złych wspomnień, całe moje życie za Płotem powróciło czerwonym błyskiem: dyndająca skóra i krew ściekająca do odpływu. Odepchnąłem to. Zdusiłem.

- Do mnie mówicie? - odezwałem się do chłopaków, bardzo powoli, bardzo łagodnie, dotykając dłonią piersi.

- Do ciebie, gościu.

- Do ciebie, synek.

Niczym dwuosobowe stado drapieżników zeszli ze schodków, na których siedzieli, i otoczyli mnie. Stałem prosto jak na musztrze. Nie miałem się czego obawiać. Nie przejrzeni mnie, to wykluczone. Nie ci dwaj. To po prostu chłopcy, psotne dzieci dobrych, ciężko pracujących wolnych ludzi, nastolatki z krokiem

do kolan, strzelające pozy, bawiące się w gangsterów. Na werandzie za plecami moich dręczycieli brzęczały dzwony wiatrowe. To była weranda jakiejś matki, która dużo wycierpiała.

Ale jeden z tych chłopaków, chudy, z gołymi rękami i głową przypominającą kształtem orzeszek ziemny, podciągnął koszulkę, żeby pokazać mi rękojeść taniego pistoletu. Stałem między nimi w milczeniu u stóp drewnianych schodków. Rapowa piosenka w odtwarzaczu dobiegła końca i zaczęła się następna, ktoś wykrzykiwał tekst, rozedrgany bas wił się między bitami. Nie znałem tego kawałka, ale ja mało słucham rapu. To z powodu tej siły, która w nim siedzi – tego zagrożenia, które napawa strachem wielu białych i które sprawiło, że w niektórych miejscach całkiem zakazano tej muzyki. Siły, która siedzi na powierzchni. Dla mnie to czasem za dużo. Uderza mnie. Trafia w zębra.

- Chyba mnie z kimś pomyliliście, koledzy – powiedziałem, wciąż łagodnie, wciąż lekko uśmiechnięty. – Ja nigdy w życiu nie byłem za linią.

- Nie? – odezwał się drugi z chłopaków.

Był większy, nabity, z grubymi, umięśnionymi ramionami, wystającymi z koszulki Indianapolis Colts bez rękawów, oraz małymi, świdrującymi oczkami. Jego skóra miała czerwonawy pigment wpadający w odcień mahoniowy. Kolega, ten z głową jak orzeszek, był natomiast jaśniejszy, prawie przypominał białego.

- Ja myślę, że kłamiesz – odezwał się nabity, ale potem odwrócił się niepewnie do swojego ziomka. – Kłamie, nie?

Orzeszek go zignorował, przycisnął płasko dłoń do mojej piersi. Nie drgnąłem. Zachowałem spokój.

- Dobry z ciebie robotnik, co, OP? – zapytał. – Trochę lat jeszcze pochodzisz, nie? Myślisz, że ile jesteś wart?

- No właśnie – dodał ten drugi. – Ile nam dadzą, jak cię zgłosimy?

- Zgłosimy? – Orzeszek z niedowierzaniem odwrócił się do kolegi. – Kurwa, Bernard, nie będziemy dzwonić na gorącą linię. Przekręcimy do Elrona, on przekręci do swojego kuzyna... jak mu

tam, tego łapacza. Trochę konkretnego siana zarobimy na tym zbiegu jebanym.

Rozważałem opcje. Myślałem o Elronie i jego kuzynie. Oczywiście istnieją prawdziwi łapacze – porywacze krążący po zaułkach czarnych dzielnic i Freedman Towns w poszukiwaniu ludzi, których da się zabrać z peryferii życia: warunkowo zwolnionych z więzienia, bezdomnych, żyjących w przyczajeniu sprawców przestępstw seksualnych – każdego, kogo można wrzucić do SUV-a, pozbawić dokumentów i sprzedać jakiemuś pośledniemu handlarzowi, co to szuka okazji i upłynni takiego człowieka bez aukcji. Zdarza się to rzadko, ale się zdarza. Wszystko się zdarza.

- Trzymaj go – powiedział ten mniejszy do swojego kumpla, ale Bernard się wahał. – Weź go, synek, już.

Bernard przyparł mnie do barierki werandy, szerokim ciałem odcinając mi drogę ucieczki, a ja zastanawiałem się nad właściwym ruchem. Gdyby zaszła konieczność, załatwiłbym ich obu, zanim któryś zdążyłby wyciągnąć broń. Proste, szybkie ciosy krawędzią dłoni w gardło, żeby ich powalić, a potem zderzenie obu delikwentów głowami, żeby przestali się ruszać. Szybko ściągnąłbym ich ze schodków i wsadził do bagażnika mojej altimy. Ruszyłem na północ w stronę hotelu, a po drodze zadzwoniłem do Bridge’a. Wiedziałem, że ma na podorędziu faceta, z którego korzysta w takich sytuacjach. Facet miał na imię Ferdinand. Był Kubańczykiem. Nie znałem jego numeru, ale wystarczyło, że zadzwonię do Bridge’a, a Bridge zadzwoni do Ferdinanda. „To było nieuniknione – powiedziałbym. – Nic nie mogłem poradzić”.

- No już, Bernard – powiedział Orzeszek. Jedną rękę trzymał na rękojeści pistoletu, a drugą dzwonił do Elrona. – Łap sukę.

Bernard podniósł ręce, jakby chciał mnie chwycić, ale ciągle nie miał co do tego wszystkiego pewności. Wykorzystałem chwilę. Odezwałem się, powoli, tonem niskim i wyraźnym:

- Nie robiłbym tego.

Bernard opuścił ręce. Usłyszał to, tę zimną, pradawną dziwność w moim głosie, całą tę krowią krew i żar noży, które pulsowały

w moich oczach.

Do Orzeszka jeszcze nie dotarło. Zwiesił dłoń z telefonem, odwrócił się i spiorunował mnie wzrokiem. Wyszarpnął pistolet. Bernard się skrzywił. Zupełnie mu się to nie podobało.

- Schowaj to - powiedziałem do niego. - Schowaj broń.

- Bo co, niewolniku?

- Nie jestem zbiegiem. Nie jestem niewolnikiem.

- Co?

Mówiłem dalej. Powiedziałem im prawdę:

- Ale nie jestem też człowiekiem.

- Co?

- Jestem potworem o ludzkim kształcie. Jestem człowiekiem o skórze węża i nogach wilka.

- Co ty pierdolisz? - rzucił Orzeszek i zaczął mu się udzielać nerwowy wzrok Bernarda. Jego palce tańczyły na pistolecie.

Z kolei Bernard miał już dość.

- Chodź, stary - powiedział, szarpiąc ziomka za rękaw. - No chodź.

- Nie chodzę po tym świecie, ale stąпам po nim jak drapieżnik - ciągnąłem. - W nozdrzach mam woń krwi, na mych bokach kłębią się blizny. - Patrzyłem w głąb ulicy i mówiłem dalej: - Nie jestem niewolnikiem. Ale nie jestem też człowiekiem.

- On nie jest OP - usłyszałem za plecami głos Bernarda. - Gościa po prostu pojebało.

Kłopot z dawnymi, złymi czasami polegał na tym, że kiedy już obudziło się te myśli, trudno je było uciszyć. Teraz były wszędzie wokół mnie, te wszystkie jebane żalosne wspomnienia, ten ryk przerażonego bydła i brzęk pistoletu pneumatycznego. Żar i smród zakładu, moje palce zaciśnięte na pile, krowy powoli obracające się w powietrzu, nabrzmiące i ociekające krwią. Mój brat Castle, jego wielkie oczy w ciemności. Starąłem się ruszyć dalej, wrócić do pracy, a wszystkie te skrawki wizji unosiły się jak drobinki popiołu albo okruchy kurzu, migoczące przebłyski dawnego świata, mojego dawnego świata, pływające wokół mnie

i osiadające na skórze, gdy wychodziłem na Central Avenue, ciężko dysząc.

- Dobra, skarbie - szepnąłem sam do siebie, łagodnie i cicho. - No dobra.

Nastał zmierzch. Zapaliły się latarnie. Ja tylko oddychałem. Łagodnie i spokojnie.

Kiedy już wróciłem na miejsce, czułem się dobrze. Byłem opanowany. Szedłem spokojnym krokiem w kierunku świetlicy w ciężkich czarnych butach roboczych i kombinezonie z napisem USŁUGI OGRODNICZE CIRCLE CITY, który podwędziłem z platformy półciężarówki Rubena. Według naszywki nad kieszenią na piersi miałem na imię Albie i to imię mi się podobało. Dwukrotnie wymamrotałem je pod nosem, dochodząc do wniosku, że może je kiedyś wykorzystam.

Stałem przed świetlicą o zmierzchu z czapką odchyłoną do tyłu, przyglądałem się budynkowi, drapałem się w głowę i dokładnie wiedziałem, jak wyglądam: jak ogrodnik. Kosiarz Albie pod koniec dnia. Może usiłuje wykombinować, gdzie się podłącza wąż, może wrócił wyrwać ten jeden martwy krzew różany, który szef koniecznie kazał wyrwać. Na dłoniach miałem rękawiczki, przylegające, lateksowe, cienkie jak druga skóra. Zdecydowanym krokiem robotnika ruszyłem chodnikiem z obu stron obrośniętym żywopłotem, zajrzałem do okien i sprawdziłem klamki.

Nuciłem, gwizdałem, przykucnąłem i zbadałem duży mosiężny zamek w drzwiach, delikatnie przesunąłem palcami po jego powierzchni, szukając rys i zadrapań, które świadczyłyby o tym, że był tu ktoś przede mną. Moje nucenie właśnie osiągało apogeum, kiedy otworzyłem wąski czarny pojemnik, znalazłem właściwy wytrych i napinacz, włożyłem je do środka, a potem zacząłem nimi poruszać i grzebać w niewidzialnych wnętrznościach zamka. Badając ten zamek kupiony w jakimś sklepie z artykułami metalowymi, zastanawiałem się, którądy ucieknę, jeśli się okaże, że pora uciekać. Wiadukt autostrady był półtora kilometra na zachód. Będę się poruszać najszybciej, jak się da, nie biegnąc. Zestaw wytrychów cisnę w krzaki, ściągnę



uniform Albiego, wepchnę do śmietnika i pieszo odejdę na zachód Trzydziestą Ósmą Ulicą. Półtora kilometra, a potem wbiegnę rampą wjazdową, zatrzymam jakiś samochód i się zwinę.

Odeгнаłem tę myśl. Zawsze ją odganiałem. Nigdzie się nie wybierałem. Byłem uwiązany. Miałem w sobie urządzenie, tam, gdzie kręgosłup styka się z podstawą mózgu. Umieścili je tam rządowi lekarze, przez cały dzień wysyłało moje współrzędne do Bridge'a, do kogoś, kto siedział obok niego. Urządzenie było mniejsze od ziarnka ryżu, mówili. Mniejsze od łebka szpilki.

Powiedzieli, że go nie poczuję, ale czułem, zawsze je czułem, zawsze je słyszałem, choć nie wydawało dźwięku. Gdy zbyt długo byłem zbyt cicho, słyszałem, jak we mnie śpiewa: nuci, drwi, pali. Haczyk. Kotwica. Smycz.

Przekonanie zamka Katolickiej Obietnicy Świętego Anzelma, żeby uległ, trwało nie dłużej niż minutę. Wyprostowałem się, strzeliłem palcami, z uznaniem pokiwałem głową – dobra robota, ogrodniku Albie – i popchnąłem drzwi stopą.

Włączyłem latarkę, skierowałem w jedną stronę, potem w drugą, patrzyłem, jak snop światła wychwytyuje plamy na podłodze, kłęby kurzu, kilka petów wygiętych jak pęknięte kości. Nie wyobrażałem sobie, że to tutaj znajdę OP, samego w ciemności, za stosem pudeł albo pod luźnymi deskami podłogowymi. Sądziłem, że gładkiego księdza Bartona stać na więcej. Choć rzeczywiście kiedyś, co najmniej raz, było dokładnie tak łatwo. W Buffalo – a może w Burlington albo Baltimore, w którymś północnym mieście – pewien biedny skurczybyk, którego szukałem, schował się w dziecięcym domku na drzewie w ogrodzie za domem. Jakiś głupi, dyletancki abolicjonista – programista albo inny zwykły biały człowiek – zgłosił się na ochotnika na stewarda Linii Lotniczych i powiedział sobie, że da radę ukryć królika przez sześć dni, zanim będzie go można wsadzić w samolot do Ontario.

Ale potem wpakował tego nieszczęsnego uciekiniera do cholernego domku na drzewie, z którego korzystało jego dziecko. Pewnie tajny strych był zbyt ryzykowny. Albo może temu

programiście, niby takiemu prawemu, nie uśmiechało się, żeby czarnoskóry nieznajomy przez tydzień mieszkał w jego własnym domu.

Tamten niewolnik, jakkolwiek mu było na imię, nawet nie wiedział, co go spotkało. Zauważyłem paperek po batoniku sfruwający z drzewa jak lśniący srebrny liść, przy użyciu teleobiektywu zrobiłem zdjęcia zbiega w domku i umieściłem je na bezpiecznym serwerze, a pan Bridge zadzwonił, gdzie trzeba. Nawet nie musiałem wysiadać z samochodu.

Tym razem nie mogło być aż tak łatwo. Barton to zbyt sprytny zawodnik, żeby zachomikować zbiegłego niewolnika na kościelnym terenie.

Nie szukałem tu człowieka, ale informacji, pękniętej gałązki w zaroślach, drzewa z odartą korą, które nakierowałyby mnie na niego. I właśnie to znalazłem. Wiedziałem, że znajdę, i znalazłem. Za pokojem spotkań znajdowała się mała kuchnia, w małej kuchni - mała lodówka, a za małą lodówką - małe ukryte drzwi. Nie musiałem wyjmować wytrychów i napinaczy, nie były potrzebne do otwarcia tandetnego zamka, który zabezpieczał te drzwi. Na podłodze znalazłem spinacz, wyprostowałem go, zgiąłem końcówkę, zanuciłem pod nosem, osiem taktów, dwanaście taktów, a potem zamek się otworzył i wszedłem.

Ten OP z domku na drzewie u informatyka nosił imię służbowe Hand. To częste imię niewolników. Uciekł, tak jak Jackdaw, z fabryki tekstyliów - Clearwater Cotton Products, gdzieś na wschodzie Missisipi. A domek, z którego go wyciągnąłem, nie znajdował się w Buffalo, Burlington ani Baltimore, ale w miejscowości Monclova w Ohio, trzydzieści jeden kilometrów od Toledo.

No proszę. Nawet teraz to robię. Oszukuję, tańczę i tańczę. Mamrocę różne opowieści w cieniu i półcieniu, udaję przed samym sobą, że nie pamiętam imion, szczegółów, chociaż to nieprawda. Pamiętałem i pamiętam - wszystkie imiona.

Wyszedłem od Świętego Anzelma i wróciłem do samochodu, nawet się nie rozglądając za moimi nowymi kolegami z werandy. Wszędzie wokół mnie, we mnie, było poczucie niepokoju, poczucie, że coś się zaczyna. Mroczne niebo, które niosło możliwość, ale nie obietnicę deszczu.

## 9.

**Dziękuję**, całe i zdrowe – powiedziałem, wychodząc na zimny, wąski balkon i szukając papierosów po kieszeniach. – A pańska mama?

Pan Bridge zareagował cierpliwym, neutralnym milczeniem, tak jak zawsze. Zadzwoił dokładnie o dziewiątej pięćdziesiąt, jak zawsze, i tak jak zawsze zapytał o postępy.

– Postępy są niezłe – poinformowałem. – Ale najpierw mam parę pytań o te akta.

– Tak?

– No. – Zapaliłem papierosa marki Baba, a potem stwierdziłem przez zaciśnięte zęby: – Cholerny w nich bajzel.

Pan Bridge nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Oddychał równo, czekając, aż wyjaśnię. Po tylu latach robiłem to odruchowo, odmierzałem milczenia Bridge'a, każde ważyłem w dłoni i oceniałem jego fakturę, każde było jak odmiana kamienia. Nie interesowały go moje pytania, a już na pewno moje opinie, ale był gotów je tolerować, żeby potem dojść do konkretów.

– Zaczniemy od pielęgniarek – powiedziałem. – Znaleźli ich ciała?

– Nie wiem.

– Może warto by się dowiedzieć.

– Zgadzam się. I się dowiem.

Westchnąłem, bo mój sarkazm spłynął po Bridge'u jak woda rozstępująca się wokół dziobu pancernika.

– Koniecznie. Ciała nie znikają. Nie rozpływają się w powietrzu. A zbieg musiał mieć współników, tamci zdają sobie z tego sprawę, prawda?

– Przypuszczam, że tak.

– Przypuszcza pan?

– Jeśli chodzi o ciebie, Victorze, potrzebuję, żebyś skoncentrował się na swojej części zadania.

- A, dobra. Świetnie. Popatrzmy na moją część. Ma pan przed sobą otwarte akta? - Wiedziałem, że tak. Mówiąc, słyszałem stukot jego palców na klawiaturze. Przewijał dokument. - No więc strona dziewiąta. Mamy datę i godzinę oświadczenia GGSI, mamy nakaz sędziego, ale nie mamy jego nazwiska. Napisali tylko - cytowałem z pamięci, bo papiery były w pokoju, rozłożone na łóżku - napisali tylko: „Z nakazu sędziego sądu okręgowego Alabamy”.

- No i?

- Co to za sędzia?

- Co za sędzia? - Tolerancyjne milczenie Bridge'a pociemniało od irytacji. - Właściciel zaświadcza o ucieczce i przedstawia dokładny opis uciekiniera. Sędzia rejestruje przebieg zdarzeń, nakazuje przygotowanie odpisu, a potem to on wydaje nakaz.

- On albo ona.

- Niech będzie.

- On, ona albo ono.

- Victorze, dlaczego to takie ważne?

Wydmuchnąłem dym przez zęby i patrzyłem, jak rozchodzi się po parkingu. Pan Bridge miał rację: z naszej perspektywy, z perspektywy tego zbiega, ni chuja nie miało znaczenia, co to za sędzia. Rzecz przeszkadzała mi tylko dlatego, że to było niedbalstwo, a niedbalstwo nigdy nie jest w porządku, zwłaszcza kiedy na szali leży życie człowieka. Mimo to naciskałem. Ciężka niecierpliwość, który zasnuł milczenie Bridge'a, robił się coraz dłuższy i zdawałem sobie sprawę, że istnieje dopuszczalna dla niego granica oporu. Przeskoczyłem do kwestii, która najbardziej mnie dręczyła, która naprawdę miała znaczenie.

- Skąd w ogóle wiemy, że chłopak jest w Indianapolis?

- Bo tak jest napisane.

- No właśnie nie jest.

Wróciłem do pokoju. Drzwi na balkon zostawiłem otwarte, a pomieszczenie było na tyle małe, że rękę z papierosem mogłem dalej trzymać na zewnątrz, kiedy wyciągałem szyję w kierunku papierów na łóżku.

- Napisane jest tak: „Jest wiadomym, że zbieg miał w zamiarze udanie się do Indianapolis w Indianie”.

- Właśnie.

- Co to znaczy: właśnie?

- To znaczy, że... Słucham?

- Proszę posłuchać. - Poirytowany zaciągnąłem się papierosem. Popiół spadł na narzutę, pokrył kartki szarym śniegiem. Cholera. Niedbalstwo. - Tu nie napisali, że on jest w Indy. Napisali, że jest wiadomym, że miał w zamiarze się tu udać. Co to w ogóle znaczy?

Usłyszałem, jak Bridge wciąga powietrze. Już miał odpowiedzieć, ale tego nie zrobił. Zamiast tego uraczył mnie nowym milczeniem, takim, którego jeszcze dotąd nie słyszałem. Było w nim jakieś wahanie. Jakaś niepewność. Wymknąłem się z powrotem na balkon.

- Jest pan tam?

- Napisali, co napisali. Że jest w Indianapolis.

Ponownie przeczytałem mu to zdanie i uderzyła mnie - tak jak za pierwszym razem, a potem za każdym kolejnym - jego niejasność, szpetota tej konstrukcji. Nawet jak na język rządowy była to paskudna i niezgrabna zbieranina słów. „Jest wiadomym, że zbieg miał w zamiarze udanie się do Indianapolis w Indianie”. A potem, na końcu, dziwny znak. Krzyżyk.

- Widzi pan, że tam jest odnośnik? - zapytałem Bridge'a. - U pana też?

- Tak.

- No i?

- Nie wiem.

Wpatrywałem się w to zdanie. I w odnośnik przypisu. Na dole strony żadnego przypisu nie było. Na końcu nie było też poprawek ani dodatków, nie było strony z uwagami, do których ten krzyżyk by odsyłał. Słyszałem stukot palców Bridge'a, więc wiedziałem, że szuka, dlatego zapytałem, a on potwierdził, że w jego egzemplarzu jest tak samo: odnośnik bez przypisu, krzyżyk kierujący donikąd.

- W porządku - powiedział. - Sprawdzę to.

- Dobra. Świetnie.

- Victorze, jak twoje postępy?

To koniec - czas na pytania minął. Odpaliłem drugiego papierosa od pierwszego, a potem dałem panu Bridge'owi to, na co czekał.

- Śladem okruchów zostawionych przez Bartona trafiłem do kościelnego obiektu w kolorowej dzielnicy w zachodniej części miasta - powiedziałem. - Wszystko pozamykane, ale ksiądz dobrodziej tam przychodzi, inni pewnie też. Ktoś na poziomie diecezji kazał zamknąć obiekt parę miesięcy temu, ale w drzwiach jest nowy zamek. Obstawiam, że to nowa tymczasowa kwatery główna trwającej operacji. Wieczne ruchome kasyno.

- Dobrze. I co?

Westchnąłem. U pana Bridge'a nie było poklepywania po plecach. Nie było głaskania po głowie.

- Victorze?

- Otworzyłem ten zamek w minutę.

- I?

- I rozejrzałem się wewnątrz.

- Znalazłeś zbiega.

- Jasne, Bridge. Mam go. Jest tu ze mną w hotelu. Zamówiliśmy smażonego kurczaka i arbuzy.

Ale pana Bridge'a nie dało się sprowokować. Nie dało się sprawić, żeby się wzdrygnął. Więc mówiłem dalej, wpatrując się w samochody na oświetlonym latarniami parkingu. Oderwałem przed Bridge'em płytę ze sklejki zasłaniającą ukryte drzwi w Katolickiej Obietnicy Świętego Anzelma, zaprowadziłem go do kryjówki księdza Bartona i zaprezentowałem mu całą gamę zupełnie nieksiężowskich przedmiotów, które tam znalazłem. Sześć sztuk broni palnej różnej produkcji i różnego kalibru, wszystkie bez numerów seryjnych, trzy kamizelki kuloodporne, pudełko po butach pełne praw jazdy, wydanych przez stany Indiana, Illinois i Pensylwania, z fotografiami wielu różnych czarnych i białych twarzy. Zamknięta skrzynka, która uległa moim wytrychom i okazała się pełna pieniędzy - banknotów

o małych i dużych nominałach, ciasno zwiniętych w rulony, żeby łatwiej było je przekazywać oczekującym dłoniom.

Najciekawsza jednak była pojedyncza fotografia, którą znalazłem przyklejoną taśmą pod blatem małego uczniowskiego biurka przysuniętego do ściany w kącie kryjówki. Była świetnej jakości, wykonana najwyraźniej doskonałym teleobiektywem. Twarze dwóch białych dżentelmenów na zdjęciu były bardzo wyraźne i nie ulegało wątpliwości, jakiej czynności energicznie się oddają.

- Pieprzyli się? - zapytał Bridge.

- Tak, proszę pana. Pieprzyli się.

Zakłopotanie. Zawstydzenie. Rzadka odmiana milczenia, istny skarb. Uśmiechnąłem się.

- Czy sugerujesz - odezwał się w końcu Bridge - że ksiądz Barton jest pornografem?

- Nie - odparłem, przewracając oczami. Pan Bridge nie miał pojęcia o świecie. Gryzipiórek, w stu procentach. - Nie pornografem. Szantażystą.

Łopatologicznie wyłożyłem wszystko biednemu, niepojętnemu Bridge'owi. Jeden z uwiecznionych na zdjęciu dżentelmenów miał na sobie tylko skarpetki, ale drugi nieopatrznie został w zielonej służbowej koszuli i demonstrował do obiektywu logo firmy: fioletowo-zieloną kulę ziemską z kreskami symbolizującymi prędkość. Ten sam symbol widniał za szczęśliwą parą, pod rzędem zegarów na szarej ścianie z płytek. Zanim zadzwonił Bridge, ustaliłem, gdzie zrobiono zdjęcie: w Whole Wide World Logistics, niezależnej firmie transportowej obsługującej krótkie i długie dystanse, przewożącej głównie drobne ładunki. Jej dykcja regionalna i „centrum relacji z klientami” mieściło się w Indianapolis.

- Więc może nasz kochaś jest żonaty - powiedziałem. - Może nie chce, żeby szef się dowiedział, co się dzieje w biurze po godzinach. Tak czy siak ten głupek załatwia im specjalne przesyłki.

- Masz nazwisko? - W głosie Bridge'a znów był typowy spokój.



- Winston Bibb. Zastępca kierownika regionalnego.
- Złożyłeś mu już wizytę?

Powiedziałem, że nie, Bridge zapytał dlaczego, a ja wciągnąłem truciznę do płuc i odparłem, że dlatego, że dość mam udawania ludzkiej egzystencji, naginania nie tylko swoich umiejętności, ale i własnej prawdziwej duszy do woli autorytarnego rządu, i że pewnego dnia zmienię swoje ciało w metal i stanę się mieczem wycelowanym prosto w jego serce.

Bridge się nie zaśmiał. Czekał w milczeniu, aż w końcu tym samym tonem powiedziałem, że nie, jeszcze nie pojechałem do Whole Wide World, bo była noc, więc mieli zamknięte, a włamanie raczej niewiele mi da. Pojadę w ciągu dnia i dowiem się, co za wyjątkowy transport musiał zaaranżować biedny Winston, żeby wsadzić do niego Jackdawa. Potem dowiem się, kto odebrał przesyłkę i gdzie - będę się dowiadywał i dowiadywał, aż w końcu znajdę zbiega, znajdę go i zgłoszę, a wtedy przyjadą białe furgonetki Bridge'a w surowym rządowym splendorze i go zabiorą.

Kiedy zdawałem raport i wspólnie układaliśmy plany, słyszałem stukanie palców Bridge'a w klawiaturę i czułem, jak jego radość buzuje, jak trzeszczy na łączach i w niewidzialnych falach między nami. Jego różowe biurokratyczne serce skakało ze szczęścia. Kolejne akta, które zaraz będzie można zamknąć.

- Dobrze - powiedział. - Doskonale.

Już chciał kończyć rozmowę, kiedy wtrąciłem:

- Mam jeszcze jedno pytanie o akta.

- Tak?

- Skąd on się wziął?

- Jak to?

- Tutaj nie ma nic o protokole pozyskania. Napisali, że był w służbie przez dziewiętnaście i pół miesiąca. A wcześniej? Ma dwadzieścia trzy lata. Jego rodowód ze strony matki i ojca to znaki zapytania. Wszystkie stemple przed tym obecnym są zaczerwienione.

Bridge nie od razu odpowiedział. Gdzieś pode mną w mroku jakiś samochód zakrztusił się i zapalił. Próbowałem się domyślić, co to za auto, na podstawie brzmienia silnika i kształtu reflektorów. Wysoki wizg wskazywał na coś taniego, indyjskiego. Bridge w swoim gabinecie patrzył w ekran, marszcząc czoło, i przewijał swój egzemplarz dokumentu w poszukiwaniu odpowiedniego fragmentu zapisów.

- Może został odziedziczony - powiedział w końcu. - Może ktoś go dostał w prezencie. Albo wygrał w karty.

Dokończyłem papierosa i strzeliłem nim w stronę parkingu.

- To się jeszcze zdarza?

- Wszystko się zdarza.

Skrzywiłem się. Jakieś mroczne uczucie szarpało się we mnie niczym żywa istota, wdrapywało się z żołądka ku górze, wygrzebywało się na zewnątrz.

- A możemy to sprawdzić?

- Zajmę się sprawą.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że zajmę się sprawą.

I oto się stało: po raz pierwszy przez te wszystkie lata, odkąd go znałem - tylko że oczywiście nie znałem go wcale - pan Bridge podniósł głos. Zmiana tonu, niemal niezauważalna, ale jednak. On... naciskał. On podkreślał.

*W ciemności oczy Castle'a robiły się takie duże.*

*Jasne i piękne białe oczy Castle'a, niczym dwie planety. Jego oczy to wszystko, co widziałem, kiedy byliśmy tylko ja i on pod naszym wspólnym kocem, na naszej wspólnej pryczy, w naszej chacie, która stała najbliżej północnego ogrodzenia. W chacie nie było żadnego światła oprócz blasku księżyca, który wpadał przez jedno wysokie okno, ale nawet pod kocem zawsze widziałem oczy Castle'a. Był moim bratem. Budził mnie, kiedy wszyscy inni spali. Stary i cała reszta. W środku nocy, prawie codziennie, potrząsał mną tak długo, aż się obudziłem. Zaczęło się, kiedy miałem... Boże, nie wiem - sześć lat? Siedem? Wydaje się, że byłem wtedy*

*taki mały, ale zanim Castle zaczął to robić, ja już pracowałem na stercie, co oznacza, że opuściłem szkołkę, czyli musiałem mieć co najmniej osiem lat, a Castle od sterty trafił do środka – do ubojni. To znaczy szczebel nade mną. Tak samo, kiedy byliśmy całkiem mali: kiedy ja z łęgu trafiłem do szkołki, on skończył ze szkołką i trafił na sterty.*

*- Karburator.*

*- Co?*

*Moja senna głowa. Pamiętam, jak to było czuć się tak zmęczonym, patrzeć w oczy Castle'a, duże i białe, zupełnie jakby mi się śniły.*

*- No już. Powtórz: karburator.*

*- Karburator.*

*On miał dziesięć lat, a ja osiem. Byliśmy małymi chłopcami. Nie wiem, jak wyćwiczył swój organizm, żeby się budził, ale to zrobił. Potrząsał mną tak długo, aż i ja się budziłem, a potem opowiadał mi różne historie i uczył mnie słów.*

*Martwe oddechy pozostałych, ciemność wypełniona snem. Tłuste, rozedrgane chrapanie starego. Tylko ja i Castle, żywi razem w mroku.*

*- Dobrze, kochany. Tak jest. Karburator to taka mała część samochodu albo traktora. Albo takiego małego pyrkającego wózka, co to jeżdżą na nich Pracujący Biali. To taka mała część silnika, która pomaga go uruchomić.*

*- Aha.*

*Głowa opadała mi z powrotem na poduszkę. Castle pstrykał we mnie palcami i mówił:*

*- Nie, kochany. Nie, skarbie, nie. Otwieraj oczy, już. Mam dla ciebie coś jeszcze.*

*Kuliłem się razem z nim pod drapiącym kocem, senność przyplýwała i odpływała. Mamrotałem nazwy miast i części samochodów.*

*- Montreal.*

*- Montreal.*

*- Chicago.*

- Chicago.

Nieopodal, po przeciwnej stronie farmy, odbywały się smętne nocne pieśni krów muczących w magazynach żywca.

Castle opowiadał mi też różne historie. O człowieku, którego zjadł wieloryb, ale on wypłynął z niego cały i zdrowy. O chłopcu i dziewczynce, którzy zakochali się w sobie, zabili wiedźmę i ją zjedli.

Naturalnie musieliśmy być bardzo cicho, szeptać do siebie tak ostrożnie, jakbyśmy tylko myśleli. Za rozmowy w łóżku groziła kara: za Kradzież Odpoczynku, za Złe Wykorzystanie Czasu. W naszej Rodzinie był pewien facet imieniem Bones, należał do najstarszych z młodszych. Chudy jak tyczka, z ostrymi łokciami. Ktoś zgłosił go jako onanistę - Kradzież Odpoczynku, Złe Wykorzystanie Czasu, Czyn Przeciwko Bogu, Czyn Przeciwko Panu Bellowi. Oskarżyli go od razu, na miejscu, przyjęli zeznania dwóch świadków w obecności franklina, który poświadczył orzeczenie, a potem zaciągnęli go do szopy. Szopa znajdowała się tylko parę metrów od naszej chaty, przy płocie, więc słyszeliśmy, jak Bones tam łkał i w ogóle, aż do rana.

- Teraz to na pewno się nie zabawia tym swoim małym - powiedział Harbor. - Nie z rękami związanymi z tyłu. - Harbor miał uśmiech okrutny jak cięcie nożem, pojawiający się wtedy, gdy inni cierpieli. - Nie, na pewno się nie zabawia.

Nigdy się nie zastanawiałem, kto nagadał na biednego Bonesa.

Ale my byliśmy grzeczni i cisi, Castle i ja, i nic nam się nie stało. Nasz stary w tamtych dawnych czasach mocno sypiał, więc jak już padł, to nie budził się aż do rana. Harbor chyba nigdy nas nie usłyszał, nikt inny też nie. Byliśmy jakby zaczarowani: tylko ja i Castle w naszym własnym świecie, pod kocem, gdzie towarzyszyło nam jedynie słabiutkie światło księżyca, jakbyśmy znajdowali się w morskich głębinach.

Na pewno zdarzyło się wiele takich nocy, kiedy nie miałem ochoty być budzony. Po całym dniu byłem obolały od zajmowania się stertą. Głowa bolała mnie od słońca, plecy od kucania, ramiona od ciągnięcia: wiader łajna, wiader wnętrzości, siana

*i słomy. Od grabienia i grabienia. Ostatnie, czego chciałem, to być gwałtownie budzony, znowu czuć obolałe ciało i słuchać, jak Castle szemrze mi słowa. Czasami jego duże białe oczy, unoszące się nade mną w ciemności, były niepożądane jak szperacze, więc skarżyłem się gorzko, mówiłem gorącym szeptem, żeby dał mi spokój.*

*- Słuchaj, kochany - odpowiadał, kiedy się skarżyłem. Nigdy się nie złościł. Nawet odrobinę. Tylko on jeden z nas wszystkich, których znałem. - Słuchaj, skarbie. Środek nocy to nasz jedyny czas. To nasza okazja.*

*- Nasza okazja. - Mój język był drętwy z wyczerpania.*

*- No właśnie. Wariat by nie skorzystał.*

*- A oni wszyscy? - Zamrugąłem oczami, ze zmęczenia kleiły mi się powieki. Popatrzyłem po pomieszczeniu na pozostałych.*

*- Co z nimi?*

*- Wariaci?*

*- Nie, nie. - Nigdy by tego nie powiedział. Nigdy nie mówiłby z pogardą o żadnym człowieku. - Oni po prostu... Mój kochany, wiesz, oni to nie my.*

*To mnie zawsze ruszało. Miło było być nami. Podpierałem się na obolałym łokciu, mrugałem zawzięcie, dopóki nie rozbudziłem się na dobre, i słuchałem, jak mój dobry, dobry braciszek mówi.*

*Robiłem na stercie sześć miesięcy, może rok, kiedy zajaśniało mi tam blado coś żółtego. Oczywiście w stercie widywało się różne rzeczy. Bardzo często. Krowy jedzą, co popadnie, kozy też, przechodzi to przez nie i o niczym nie mają pojęcia. Kamienie, szkło, przysięgam, że raz znalazłem nawet sprężynę z łóżka. No ale to coś wyzierało i mrugało ze sterty pośród błotnistej brązu i matowej warzywnej czerwieni: malutka plastikowa osłonka, mniejsza niż kciuk i jaskrawożółta niczym ptasi dziób. O mało jej nie przeoczyłem, ale potem zauważyłem, jakby sama mnie przyzwalała, więc ją podniosłem i poczułem, że w środku coś jest.*

*Wysunąłem to coś z wnętrza. Jedną kartkę papieru, złożoną, złożoną i złożoną raz jeszcze, aż stała się maleńkim, twardym*

kamykiem. Przygarbiłem się w cieniu sterty, skuliłem się jak goblin i rozłożyłem kartkę.

Nie było na niej żadnych słów, tylko rysunki. Czarne postacie w kajdanach, z uniesionymi rękami, rozrywające łańcuchy. Czarne postacie wyrywające broń palną białym postaciom, białe postacie z odciętymi głowami, idealnie czarne łyzy krwi bryzgające z ich karków. A potem na końcu duży czerwony wykrzyknik. Na tablicach na farmie Bella wykrzykniki były wszędzie: tam nie wchodzi, tu noś maskę, wstęp tylko dla nadzorców i personelu. Wiedziałem, co te wykrzykniki oznaczają i o co chodzi z krwią. Nie wiedziałem natomiast, co oznacza kartka, ale wpatrywałem się w nią i czułem, że płynie z niej dziwna siła, przepętnia mnie skrzęca się panika, jakby coś się topiło.

Ostrożnie złożyłem kartkę, wepchnąłem ją z powrotem do osłonki, schowałem do mankietu, a potem czym prędzej wróciłem do pracy, urabiałem palce i zginałem krzyż przez resztę dnia. Ktoś nakarmił tym balonikiem jedną z krów. Zrobił to celowo. Byłem oszołomiony taką przemyślnością. Nosilem kartkę w mankiecie cały dzień i zaniósłem ją Castle'owi, a potem stęknąłem z rozpaczą, kiedy w wychodku oświadczył, że ją zniszczył.

- Chyba żeś zwariował, chłopaku - tak mi powiedział i choć wciąż miał życzliwy ton, nigdy dotąd nie słyszałem z jego ust takich słów. Kartkę wetknąłem mu w kolejce na kolację, ukradkiem wyjąłem z mankietu i włożyłem mu do ręki.

- Możesz przeczytać? - zapytałem w wychodku, a on nie powiedział, czy przeczytał, czy nie. Powiedział tylko, że oszalałem. Powiedział, że spuścił tę kartkę w ubikacji i że mam mu nigdy więcej nie przynosić takich wariactw.

Tamtej nocy Castle zapomniał mnie obudzić, ale moje ciało obudziło się samo i zobaczyłem go. Nigdy mu nie mówiłem, że go wtedy widziałem, ale widziałem. Niczym zjawę, ściskającego tę jedną żółtą kartkę, wpatrującego się w nią w ciemności swoimi wielkimi białymi oczami.

Nie wiem, czy od zakończenia rozmowy z Bridge'em minęło dziesięć minut czy pięć godzin, ale kiedy się ocknąłem, stałem na środku pokoju, zasłaniając usta dłonią i ciężko oddychając przez nos.

Castle! Jezu Chryste, co mi przyszło do głowy, żeby myśleć o Castle'u? Nie myślałem o nim ani nawet o jego imieniu, nie zastanawiałem się, dokąd trafił - od lat. Od lat.

Ale oto nagle otoczyły mnie te wspomnienia. Dosłownie obległy, jak, kurwa, komary, zupełnie jakbym znowu tam był, po pas w tej jebanej śmierdzącej stercie. Mimo że zwykle udawało mi się wcale o tym nie myśleć. Gdy nie rozmyślałem o bieżących śledztwach, nie przewracałem stron akt, byłem zajęty cieszeniem się światem, smakowaniem wolności, bufetów śniadaniowych, hotelowej pościeli, ptasich śpiewów i kaset Michaela w mojej altimie. Choć wiedziałem, że one są gdzieś we mnie, wszystkie te sceny i uczucia, że pulsują tuż pod moim pulsem, szumią w żyłach tuż za moją krewią. Jakby wystarczyło, że się skaleczę, a zaczną się wylewać gęstą mazią złych wspomnień.

Tak ciężko pracowałem, żeby to wszystko zatrzymać wewnątrz, a jednak stało się. Oto ja, biedny chłopak w hotelu Crossroads, chodziłem po cienkiej wykładzinie w kwiaty, czułem, jak stara krew kląska mi pod stopami, czułem pęcherze na palcach nóg, piekące wewnątrz butów.

Nie wiem, jak i kiedy zasnąłem. W końcu mi się udało, ale na pewno leżałem w łóżku długą godzinę, wiele długich godzin, wyrzucając to gównem z organizmu.

# 10.

**Panie Dirkson?** Niech pan lepiej wstaje. No już, pobudka.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem go z nogami na chwiejnym hotelowym biurku, z roześmianymi oczami. Policjanta z restauracji. Tego czarnego. Numer radiowozu 101097.

Zauważył, że się obudziłem, więc uniósł brwi, a jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy, jak u krokodyla.

- Chłopie, mamrotałeś przez sen - powiedział. - Coś złego się śniło?

Zanim otworzyłem usta, odnalazłem w sobie głos pana Dirksa: nieśmiałego faceta, zdenerwowanego, który budzi się dezorientowany z niespokojnego snu.

- Ojejku - powiedział. Powiedziałem. Próbowałem namacać okulary, które nosił, które trzymałem złożone na szafce przy łóżku. - Policja? Co... co się stało?

Gliniarz zaśmiał się pod nosem, zdejmując nogi z biurka. Postawił solidne buty patrolowca na dywanie. Poglądził się po brodzie i nachylił w moją stronę. Włożyłem okulary, popchnąłem je do góry, mój wzrok przeskoczył z twarzy policjanta do jego pasa, do służbowego pistoletu przyciśniętego do biodra. Glock. Policja w wielu dużych miastach nosi glocki.

Mężczyzna miał skórę barwy średniego kasztana, słonecznikowe akcenty, numer 145. Kiedy mój wzrok znowu odnalazł jego twarz, gliniarz był uśmiechnięty, ale w jego oczach nie było już nic wesołego.

- Panie Dirkson - rzekł spokojnie. - Musimy sobie porozmawiać, prawda?

Pomyślałem: „A niech to szlag trafi”, ale powiedziałem tylko:

- O mam - mój głosem pana Dirksa, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. - Będę miał jakieś problemy?



- To zabawne pytanie - stwierdził gliniarz. - Zawsze, kiedy ktoś pyta, czy będzie miał problemy, już wie, że je ma. I zwykle dokładnie wie jakie.

Zaśmiał się. Widziałem po jego twarzy, że jest to człowiek, który lubi się śmiać. Przystojny skurczybyk był z tego młodego, uśmiechniętego policjanta. Ładna orzechowobrazowa skóra i ładne białe zęby, ładne duże, wyraziste oczy, ładne schludne afro, krótkie i zadbane. Siedział odchyłony na krześle, z palcami splecionymi za głową, rozbawiony jak wszyscy diabli, i czekał, aż coś powiem. Zastanawiałem się, do czego doszedł. Czy wiedział tylko tyle, że nie nazywam się Jim Dirkson i nie mam żony? A może dotarł aż do pana Bridge'a? Do Gaithersburga w Marylandzie? Czy włamał się do bagażnika mojego nissana, otworzył zamknięte na dwa zamki fałszywe dno i znalazł torbę z fałszywymi dowodami tożsamości i studolarówkami?

Zastanawiałem się także, czy ten glock ma tłumik. Nie jest to typowe wyposażenie policyjnej broni, ale wielu gliniarzy ich używa.

Pan policjant z radiowozu numer 101097 wstał i podrapał się po karku, a potem swobodnym krokiem ruszył przez pokój w moją stronę. Na szafce przy łóżku leżał notes z długopisem, który można by wbić człowiekowi w tchawicę, ale wcześniej gliniarz załatwiłby mnie z glocka. On miał refleks. Widziałem to po jego ruchach, zgrabnych i opanowanych, jak u baseballisty.

- Przepraszam - powiedziałem - ale... no cóż, jestem trochę zdezorientowany. Co mogę dla pana zrobić?

Na wpół podniosłem się z łóżka, a on pokazał gestem, wnętrzem dłoni do dołu, że bym się nie ruszał. Usiadł obok mnie.

- Parę dni temu zjadł pan kolację z księdzem Patrickiem Bartonem, proboszczem kościoła Świętej Katarzyny przy Meridian Street.

Wypowiedział te słowa tonem wielkiego odkrycia, jakbym powinien być w szoku, że wie aż tyle, dlatego zachowałem się odpowiednio i rozdziawiłem usta.

- Spotkaliście się w Fountain Diner. - Mrugnął. - O ile wiem, jadł pan rybę.

- O Boże. Skąd pan...

- Byłem tam, bracie. - Uśmiechnął się, jego twarz wprost promieniała z satysfakcji. - Kocham tę knajpę. - Poklepał się po brzuchu. - Chyba aż za bardzo. W każdym razie słyszałem z grubsza, o czym rozmawialiście, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Nie rozumiem. Czy pan... czy pan obserwuje księdza Bartona?

- Potem zmarszczyłem czoło, nachyliłem się, coś mi zaświtało i poszedłem za przeczuciem. - Pan jest z księdzem Bartonem?

- Brawo. - Uśmiech policjanta stał się jeszcze szerszy. - W zasadzie można powiedzieć, że jestem bardziej z Bartonem niż sam Barton.

Moje dudniące serce nieco zwolniło. Biedny Jim Dirkson nadal był zmieszany i niepewny, oblizywał wargi i poprawiał okulary, ale ja w duchu dokonywałem rekalkibracji. Dochodziłem do wniosku, że rozwój właśnie klarującej się sytuacji w sumie może okazać się pozytywny.

- Więc pan jest... kim? Tak jakby ochroniarzem?

- Ochroniarzem? Żeż kurwa. - Gliniarz się skrzywił. - Powiedzmy, że mam na faceta oko, dobrze? Pilnuję, żeby pasterzowi nie stała się jakaś krzywda podczas służby Panu Bogu.

- Zaraz, zaraz. - Pstryknąłem palcami, podrapałem się w brodę, odegrałem małe przedstawienie pod tytułem „Człowiek coś sobie przypomina”. - Był jeszcze jeden funkcjonariusz...

- Biały? Z szerokim karkiem? To posterunkowy Morris. Czasami jest moim partnerem na służbie. Zwykle chodzimy razem na kolację, więc kiedy niańkuję, to też go zabieram, bo to prosty chłop. Gdybym się wyłgał, mógłby się obrazić. Zacząłby zadawać pytania.

- Więc on nie wie, że pan... że pan...? - Nie dokończyłem, patrząc na niego niepewnie, szeroko otwartymi oczami.

- Że dorabiam na boku w ekipie lotniczej? Że przerzucam opków z Twardej Czwórki? Żeż kurwa. - Tym razem zatańczył z tym słowem wolnego, rozciągnął samogłoskę jak ciągutkę:

kuuuuuuurwa. – Posterunkowy Morris nie kapnąłby się, że się pali, chyba że jakaś ładna babka by mu powiedziała.

– Więc... więc... Przepraszam pana – wzruszyłem ramionami – ale nie rozumiem.

Gliniarz nagle podniósł się z łóżka i spojrzał na mnie z góry. Uśmiech zniknął, usta były teraz cienką kreską, oczy przestały się skrzyć.

– Słyszałem całą twoją nawijkę, człowieku, i wiem, że cię ojczonek pogonił. „Zwrócił się pan do niewłaściwego człowieka, nic nie mogę dla pana zrobić”, cały ten repertuar. On po prostu jest ostrożny, bo u nas tak trzeba. Zwłaszcza że... – Nachylił się i uniósł brwi. – Zwłaszcza że dopiero co jednego mieliśmy.

Moje oczy Dirksona zrobiły się wielkie jak spodki, ale za tymi oczami była moja myśl: „Wiem o tym, bracie”. Wiem, że dopiero co jednego mieliście. Jest takie biedne, cierpiące dziecię boże imieniem Jackdaw, któremu w niedzielę w nocy udało się zniknąć z zakładu bawełnianego w Alabamie, a wyście go zgarnęli, zabrali na Północ niewidzialnym samolotem i ukryli gdzieś w tym dumnym, rozsypującym się północnym mieście. A ja mam Bartona, mam jego pracownię, mam Winstona Bibba i Wide World Logistics, a teraz mam ciebie, roześmiany idioto, i wiem, że go znajdziemy. Bridge i ja. Cholerny Bridge i cholerny ja.

Zadowolony z siebie gliniarz mówił dalej. Chodził teraz po pokoju, nakręcał się.

– Bo wiesz, normalnie ksiądz ma taką zasadę: robimy jednego, a potem czekamy. Luzujemy na trochę. Ostrożności nigdy za wiele. Im więcej spraw kręcimy, tym większe niebezpieczeństwo, że zwęszą nas łapacze. – Krążył po pokoju, zataczał ciasne kółka jak tygrys w klatce. – Ale widzisz, ja o tym myślę inaczej. Ja myślę, że ludziom jest potrzebna pomoc, wiesz, ludziom takim jak ty, a skoro się już ustawiliśmy, to się ustawiliśmy, więc trzeba robić, ile można. Wyciągnąć stamtąd całe trzy miliony, gdyby się dało. Ta twoja kobita, jak ona się nazywa?

Wahałem się przez pół sekundy, zanim przypomniałem sobie imię.

- Gentle.

- Właśnie, Gentle. W Karolinie, zgadza się?

- Tak.

- Karolina. Boksyt. No tak, widzisz, to zupełnie inna sprawa. Inna część kraju. Inny rodzaj roboty. Bo wiesz, szczerze mówiąc, ja chciałbym robić więcej. W naszej organizacji. I tak sobie myślę, że Barton cię słyszał, ale w sumie nie usłyszał, kumasz?

Zerknął na mnie, a ja dałem mu to, czego chciał: energicznie pokiwałem głową. Ciągle leżałem w łóżku. Ciągle chciało mi się sikać i w ogóle.

- Ale wiesz, Barton mnie nie słucha. Ja bym mógł wszystko zaplanować, wszystko bym ogarnął, ale nie ja trzymam kasę. To on ma sponsorów, on ma sejf, on tu rządzi. - Wydał policzki, wypuścił powietrze. - No a poza tym popatrz na mnie, nie? Popatrz na nas. Dla niego od ratowania są biali. Czarni najlepiej niech czekają na ratunek. Ja to nazywam mentalnością *Zabić drozda*.

Mówił o tej powieści, w której zbieg z Alabamy ukrywa się w małym miasteczku w Tennessee, a dzielny biały prawnik ratuje go przed okrutnym szeryfem rasistą. To jedna z ponad setki książek, które przeczytałem w piwnicy biblioteki w Chicago przez pierwsze, pełne strachu miesiące mojej wolności, gdy starałem się nauczyć świata. Pamiętam, jak bardzo mnie poruszyła. Rzecz jednak w tym, że bohaterem książki, jej bohaterem i sercem, jest dobry prawnik: biały ratuje, czarny jest ratowany.

- No więc tak sobie myślę: zabiorę cię z powrotem do ojczulka, wmuszę mu ciebie. Wyciągniemy twoją żonę, a ja awansuję w hierarchii. Pokażę tym na górze, co ziomek potrafi, kumasz, bracie?

- Kumam - odpowiedziałem. - Kumam, bracie.

Z jakiejś przyczyny to go trochę zdziwiło: że nerwowy, skołowany Jim Dirkson powiedział „kumam”. Roześmiał się głośno, aż zobaczyłem małą różową kulkę gumy do żucia, która poruszała się w ciemnej głębi jego ust.

Zaskoczył mnie nagły czerwony błysk wspomnienia wczorajszego snu: unoszące się w mroku oczy Castle'a, smród sterty. Odepchnąłem to wszystko gwałtownie. Pomyślałem zamiast tego o mojej kochanej, biednej, wymyślonej Gentle, ubranej w kombinezon, z czołówką na głowie, przykutej do wagonika, który pchała przez ciemną kopalnię.

- Dobra, to wstawaj, chłopie - rzucił policjant. - Idziemy.

- O mamó - wymamrotałem. - O mamó, dziękuję.

Zszedłem z łóżka i ścisnąłem jego dłonie moimi dłońmi, a on odwrócił wzrok, ciągle śmiejąc się pod nosem, kiedy powtarzałem „dziękuję” i „ojejku”, i „dziękuję”, a myślałem „przepraszam”, potem „przepraszam, Jackdaw, przepraszam”, coś we mnie pękało, pan Dirkson i ja nie potrafiliśmy tego dłużej tłumaczyć, popłynęły łzy, moja twarz dosłownie się posypała.

- Oj, daj już spokój - powiedział gliniarz, kręcąc głową, i podniósł mnie z kolan. - Nie trzeba. Idziemy.

Ale ja wciąż mówiłem „dziękuję”, powtarzałem i powtarzałem, kiedy on czekał przy drzwiach, aż się ogarnę, ubiorę, skorzystam z toalety, umyję zęby. Wciąż opierał dłoń na pasie z pistoletem, rozbawiony szczenięcym przejęciem Jima Dirksona.

- Ale zaraz - odezwałem się, kiedy byłem gotowy. - Zaraz, nawet nie wiem, jak pan się nazywa.

- Cook - odparł, otwierając drzwi. - Jestem Willie Cook. A teraz chodźmy. Nie możemy się spóźnić na spotkanie.

# 11.

**Posterunkowy** Willie Cook wioził nas na południe swoim radiowozem, lekko stukał palcami o kierownicę i żuł gumę. Siedziałem niespokojnie na fotelu pasażera i milczałem, przeskakując wzrokiem między drogą a ekranem komputera na desce rozdzielczej, gdzie przewijały się aktualne przestępstwa, zapisane policyjnym alfanumerycznym szyfrem. Przecinając Broad Ripple Avenue, minęliśmy roześmianą gromadkę czarnych dzieciaków, które szły wąskim chodnikiem. Jeden niski chłopiec prowadzący rower miał bluzę z kapturem mocno naciągniętym na oczy. Cook zwolnił, dał sygnał syreną i pokazał, żeby mały odsłonił twarz. Koledzy chłopaka parsknęli śmiechem, a on sam wykonał polecenie, powoli, mamrocząc przekleństwa, wkurzony jak cholera.

- Głupi gnój - mruknął Cook, westchnął i pokręcił głową. Gdy odjeżdżaliśmy, w bocznym lusterku zobaczyłem, że chłopak, znieruchomiały w bezsilnym gniewie, podniósł do góry środkowy palec. - Teraz wyzywają mnie od wujów Tomów, ale dzieciaki znają zasady. Twarz ma być widoczna i tyle. Lepiej, żeby taki dostał ostrzeżenie ode mnie, niż żeby dorwał go któryś z tych białasów. - Wskazał wyświetlacz komputera, na którym innych funkcjonariuszy wyobrażały białe numery na zielonym ekranie. - Dzisiaj ma tu służbę posterunkowy Peele. Urwałby temu dzieciakowi łeb razem z kapturem, a potem zakuł trupa w kajdanki. Zarzuciłby mu opór przy zatrzymaniu, bez jaj.

Kiwałem głową. Mamrotałem, że się zgadzam. Zwracałem uwagę na różne rzeczy. Na przykład na to, że samochodowy system transmisji danych nazywa się DPSC. Że system bazy nakazów aresztowania w Indianie nazywa się IDACS i jest połączony z krajowym systemem NCIC oraz bazą zbiegów Marshals Service. Przez chwilę obserwowałem przewijające się

komunikaty z agencji marszałów, czekając, aż pojawi się profil Jackdawa. Cook zauważył, że patrzę.

- Mogliby to wyłączyć, zdjąć mi te komunikaty - wyjaśnił - ale powiedziałem, żeby nie zawracali sobie głowy. To głównie czasem nawet się przydaje.

Puścił do mnie oko, a ja byłem pod wrażeniem posterunkowego Cooka: podwójne życie, skomplikowana gra. Nie miał obowiązku otrzymywać nazwisk i pseudonimów zbiegów na ekranie, ponieważ na mocy poprawki Moore'a czarnoskórzy gliniarze są zwolnieni z obowiązku egzekwowania ustawy o zbiegłych osobach. Ale posterunkowy Cook lubił mieć dostęp do informacji, żeby przekazywać je kolegom w Liniach Lotniczych. Nie on jeden - sporo białych policjantów robiło to samo, a wielu komendantów i dyrektorów do spraw bezpieczeństwa publicznego jeśli nawet nie popierało abolicjonizmu, to miało wobec niego neutralny stosunek. To jeden z wielu powodów, dlaczego marszałowie praktycznie przestali polegać na lokalnych organach ochrony porządku. Zamiast tego zaczęli posługiwać się ludźmi takimi jak ja. Skomplikowana gra.

Posterunkowy Cook przesuwiał gumę w ustach i stukał palcami w kierownicę. Na jednym palcu nosił duży, płaski złoty sygnet, który odbijał światło. Sygnet absolwencki. Cook miał za sobą całe życie.

- Czy mogę zapytać... - Pozwoliłem, żeby mój głos, głos Dirksona, zadrżał piskliwie. - Dokąd właściwie jedziemy?

- Na Monument Circle. Przy Starym Abie. Napisałem księdzu Bartonowi esemesa, żeby się z nami spotkał.

- Napisał mu pan o mnie?

Cook zmierzył mnie wzrokiem.

- Już ci mówiłem, człowieku, musimy tutaj sprytnie pogrywać. Napisałem, że mam nowe wiadomości o naszej aktualnej sprawie. Chłopak chwilowo jest dobrze ukryty, ale pracujemy nad tym, żeby znaleźć mu lot. Urządzić go w Côte-Saint-Luc. - Spróbował wymówić to prawidłowo po francusku, ale zabrzmiało niedorzecznie i parsknął. - Zwał jak zwał. W Małej Ameryce.

Czekamy na sygnał od ludzi, z którymi pracujemy, paru śnieżynek, ale nie wiemy, jak chcą się z nami skontaktować. Więc napisałem Bartonowi, że mam na ten temat wieści.

Skinąłem głową. Odnotowałem wszystkie szczegóły. Spodziewaną trasę podróży Jackdawa (Mała Ameryka, przedmieścia Montrealu, nowe życie), rzuconą od niechcenia informację o jego aktualnym statusie (chwilowo dobrze ukryty, czeka na kanadyjskich łączników). Wiedziałem więcej, niż wydawało się Cookowi. Wiedziałem więcej niż on sam. Nieśmiało pokiwałem głową. Wycieraczki spychały z szyby cienkie strugi deszczu.

Ostrożnie formułowałem pytania.

- Więc tak to zwykle działa? Urządzenie kogoś takiego na Północy? Czy w przypadku... w przypadku kobiety też?

Poprawiłem się w fotelu, usiadłem tak, jak usiadłby Dirkson, myśląc o swojej ukochanej Gentle, wyobrażając ją sobie w parce i zimowych rękawiczkach wśród śniegów Małej Ameryki.

- Zwykle tak. - Cook zmarszczył czoło. - Tak mi się wydaje. Nie moja działka.

- Tym zajmuje się Barton?

- Nie. - Cook przewrócił oczami. - Ksiądz Barton głównie nie robi nic. Dużo przemów wygłasza. Dużo, kurwa, zbiorów urzęduje. Ale ratowaniem zajmują się inni, inni przerzucają zbiegów na Północ, inni ich pilnują do czasu, aż będą gotowi jechać dalej. Widzisz? Nikt z nikim nie rozmawia.

Skinąłem głową. Klasyczne podziemie: oddzielne, odseparowane komórki. Osobne operacje. Wszystko czysto, starannie i z ujawnieniem minimum szczegółów. Droga zmieniła się w wiadukt nad błotnistym dopływem rzeki, a potem z powrotem w drogę. Za moim oknem przesuwały się lokale fast food i małe budynki biurowe. Bezdomni na ławkach przystanków autobusowych. Witryny sklepów do wynajęcia. Wszędzie to samo. W każdym północnym mieście.

- A ten biedny młody - odezwałem się cicho i z wahaniem. - Ten, którego dopiero co przygarnęliście. Jak on się przystosowuje do



wolności?

- No... cóż. - Cook zazgrzytał zębami i szybko pokręcił głową. Chwila bólu lub wspomnienie o nim. - On to jest szczególny przypadek. Szczególny chłopak.

- Tak? - zapytałem, ale on chyba nie miał ochoty rozwijać myśli, a ja nie chciałem naciskać.

Zaparkowaliśmy w centrum, naprzeciwko wysokiego pomnika stojącego pośrodku ronda - imponującego białego obelisku zwieńczonego posągiem mężczyzny z wyciągniętymi rękami, ubranego w staromodny długi płaszcz, smukłego i wyprostowanego. Był wysoki, a pociągła twarz oraz cylinder czyniły go jeszcze wyższym. Otaczały go niższe białe kolumny i rzędy białych stopni. Prawie trzymetrowy biały mężczyzna, brodaty, chudy jak szczapa, o stoickiej, kamiennej twarzy, patrzący na centrum miasta z dłońmi uniesionymi wnętrzem do góry, jakby o coś prosił.

O Jezuu, pomyślałem, przyglądając się pomnikowi. O Boże. Zgadza się. Indianapolis. To tu biedaka zabili.

- Ten punkt to dokładny środek stanu - informował właśnie posterunkowy Cook. Mówił przez ramię, kiedy szliśmy przez rondo w kierunku człowieka na wysokim marmurowym postumencie. - Bo widzisz, Indy jest w samym środku Indiany, Monument Circle jest w środku miasta, a Stary Abe... No, sam rozumiesz. Na dodatek cały stan jest oczywiście w samym środku niczego. Czyli proszę bardzo: w tej chwili stoimy w pieprzonym geograficznym środku niczego.

Cook zwawo wszedł po schodach, a ja truchtałem za nim. Żałosny, zdesperowany mały Jim Dirkson, roztrzęsiony i niepewny, ciągnący się z tyłu za roslym, pewnym siebie, zdecydowanym posterunkowym Williem Cookiem. Cook powiedział mi, że Barton „nigdy tego nie zrozumie”, bo jest biały, ale ja wiedziałem, że on sam też nie zrozumie. Człowiek z Północy, czarny, który nigdy nie był niewolnikiem - byliśmy jak stworzenia dwóch odmiennych gatunków. Różniłem się od niego

nie mniej niż od Bartona czy Bridge'a - ze względu na to, co widziałem, ze względu na to, co wciąż żyło pod moją skórą.

Kiedy o tym myślałem, to wszystko znowu się podniosło, podeszło mi do gardła i poczułem, że zasłaniam dłonią usta, żeby to stłumić, żeby wszystko powstrzymać. Dawne głośne dźwięki i smród, który zawsze zatykał mi nozdrza, dźwięki, które słyszałem tylko ja. Pragnąłem wyłącznie ciszy, żeby słuchać tego młodego buńczucznego policjanta i zbierać szczegóły, którymi rzucał, jakby strącał owoce z drzewa. Pragnąłem wyłącznie ciszy. Ciszy, w której mógłbym wykonywać swoją pracę. Tym, czego pragnie niewolnik, ale czego nigdy nie może mieć, jest wolność nie tylko od łańcuchów, ale i od wspomnienia o nich.

Weszliśmy na szczyt schodów, Cook i ja. Staliśmy obok siebie, patrząc ponad pasami runda na witryny okolicznych sklepów: bar z kanapkami, duży, ładny kościół prezbiteriański, wejście do sali koncertowej. Do Starbucksa, chichocząc, weszły pod rękę dwie przyjaciółki, czarna i biała, obie w uniformach pielęgniarek.

Wczesnoporanne słońce wzywało niespokojnie i lękliwie zza grubej ściany chmur. Przebłyski błękitu bez przekonania próbowały ją ominąć. W brzuchu czułem cierpki niepokój. Na twarzy czułem chłodną mgiełkę deszczu.

- Parę minut poczekamy - powiedział Willie Cook.

Wyciągnął następną gumę, oparł się o postument pomnika, tę starą włożył do folii. Były palacz - w jego nowych nawykach pozostały ślady tych dawnych.

Wokół postumentu biegła seria płaskorzeźb, z których pierwsza przedstawiała Lincolna w spodniach do kolan, rąbiącego drwa.

Powoli szedłem dookoła, wiodąc palcami po tych liniach. Pamiętałem to jak przez mgłę, tę całą historię, którą wcisnąłem do głowy podczas moich dzikich lat, czasu spędzonego w Chicago, gdzie uczyłem się być człowiekiem, uczyłem się świata na pamięć. Tutaj to wszystko było, wyryte w kamieniu, cała historia zamachu na Starego Abe'a - męczeństwa, które uratowało Unię, morderstwa, które odnowiło kraj. Oto on, z rękami uniesionymi w skromnym geście pożegnania

zachwyconego tłumu zebranego wokół wagonu prezydenta elekta, który wyjeżdżał ze Springfield do Waszyngtonu. Oto on na hotelowym balkonie, z szeroko otwartymi oczami, upadający do tyłu w ramiona syna Roberta po śmiertelnym postrzale. Oto Lincoln z aureolą, dobry anioł unoszący się nad pośpiesznie zwołanym Kongresem. Nawet ci jego członkowie, którzy zdali mandaty, którzy w poprzednich miesiącach zrzekli się stanowisk i utworzyli Konfederację, wrócili poruszeni śmiercią prezydenta, gotowi zacząć od nowa.

W kieszeni Lincolna znaleziono kartkę, lepką od krwi, z tekstem przemówienia, które zamierzał wygłosić owego feralnego poranka, dwunastego lutego, zanim dosięgła go kula. Sekretarz Seward odczytał ją na głos w Kongresie i wszyscy płakali – nawet konfederaci – kiedy dotarł do słów, po których teraz przesuwam palcem, słów wyrytych w kamieniu na postumencie pomnika. **MAM NADZIEJĘ, ŻE SPOTKAMY SIĘ JESZCZE POD JEDNĄ FLAGĄ UNII.**

Na tamtej napiętej sesji Kongresu wiosną 1861 roku zrodziła się zmieniona wersja skomplikowanego kompromisu senatora Crittendena, jednej z desperackich, nieudanych prób ratowania Unii rok wcześniej. Spojrzano na nią teraz w nowym świetle i podjęto ze świeżą energią, podczas gdy nowy rząd konfederacki najpierw zawieszono, a później rozwiązano.

Sześć poprawek i cztery rezolucje zachowujące niewolnictwo tam, gdzie obowiązywało, i uniemożliwiająca rozszerzenie go na inne stany; balans między północnym sentymentem a południowym interesem, północnymi zasadami a południowym dobrobytem gospodarczym. I wreszcie clou, zapisane tutaj w marmurze tak, jak zapisano je w konstytucji: osiemnasta poprawka, która czyniła całą resztę stałą i niezmienną. Wieczny kompromis. Desperacka legislacyjna zagrywka: „Żadna przyszła poprawka do Konstytucji nie zmieni treści powyższych pięciu artykułów...”.

Przeczytałem ją w cieniu Lincolna tamtego wczesnego poranka i wydała mi się taka jak zawsze: niemożliwa, nielegalna – wręcz

dziecinna, jakby wypowiedziana przez dziecko, które chce sobie zapewnić nieskończoną liczbę życzeń. A jednak jak dotąd działała. Wytrzymała.

Cook ziewnął. Pielęgniarki wyszły ze Starbucksa, gawędząc wesoło, znad pokrywek ich kubków unosiła się para. Wyciągnąłem szyję i spojrzałem w górę na niego, Starego Abe'a, Uczciwego Abe'a, Abrahama Męczennika. Wielkie dłonie odwrócone wnętrzem do góry, długie palce wyciągnięte, pospolita twarz poważna i upiększona, skierowana ku Meridian Street.

- Widzisz, jak go ustawili, że patrzy w głąb ulicy? To tam był ten hotel. - Willie Cook wskazał na południe, a potem uniósł przystojną twarz w stronę Starego Abe'a. - Biedak musi tu stać przez wieczność, obsrywany przez ptaki, i patrzeć na miejsce, gdzie go zabili.

Zmusiłem się do pustego śmiechu, ale posterunkowy Cook nie zwrócił na to uwagi: obserwował zbliżającego się mężczyznę, mocno zbudowanego czarnoskórego, który przechodził przez Market Street z rękami wciśniętymi w kieszenie szarych spodni z materiału.

- Dobra - mruknął Cook. - No to jedziemy.

Wyprostował się, kiedy tamten wchodził ku nam po schodach. Był bardzo wysoki i miał bardzo ciemną skórę - północ, skalkulowałem automatycznie, bez namysłu; północ, ton purpurowy, numer 121 albo 122. Jego oczy były jasne i żółte, ukryte w głębi czaszki, pytająco przeskakiwały z Cooka na mnie i ze mnie na Cooka. Rozpoznałem w tym człowieku opiekuna, fizycznego - kogoś, kogo w slangu Linii Lotniczych nazywa się bagażowym. Zerknąłem w głąb Market Street, żeby sprawdzić, z jakiego samochodu wysiadł, ale musiał zaparkować gdzieś poza zasięgiem wzroku.

Cook wesoło podniósł rękę, ale to przybysz odezwał się pierwszy.

- Kto to jest?

- To Jim. Jim to nasza nowa robota. Jimie, poznaj pana Marisa.

Maris powitał mnie skinieniem głową, nie można powiedzieć, że nieuprzejmie, a potem znowu odwrócił się do Cooka i powtórzył słowa „nowa robota” z lekkim akcentem. Nie umiałem stwierdzić, czy jest zły, niepewny znaczenia tej frazy, czy jak. Mój mózg przetwarzał jego akcent. Afrykański. Zachodnioafrykański? Mężczyzna nosił tanią niebieską koszulę roboczą z podwiniętymi rękawami i miał grube przedramiona zawodowego boksera. Znałem już wcześniej wysokich ludzi, ale we wzroście tego Marisa było coś, co sprawiało, że chciałeś uciekać.

- Musisz rozstawić nogi i podnieść ręce, Jim.

Cook spojrział na mnie z rozbawieniem, na podtatusiałego Jima Dirksa, a potem znowu na Marisa.

- Czy on ci wygląda na kogoś, kto ma broń?

Maris wszedł w cień pomnika i sprawnie przesunął dużymi dłońmi po moim ciele.

- Przepraszam - powiedział. - To konieczne.

Wzruszyłem ramionami.

- Aha. Nie ma sprawy. Rozumiem.

Jednak w tej samej chwili, kiedy to powiedziałem, Maris wyjął mi z tylnej kieszeni nóż motylkowy, który przed wyjściem z hotelu w ostatniej chwili wziąłem z torby z przyborami toaletowymi. Pokazał mi go z poważną miną, a później Cookowi, który spojrział na mnie, unosząc brwi. Zaczerwieniłem się i spuściłem wzrok.

- No... przepraszam. Radzili mi ostrożność.

Cook przez sekundę patrzył na mnie bez ruchu, ale potem parsknął śmiechem. Maris się nie śmiał. Bez słowa wsunął nóż do kieszeni na swojej piersi, po czym przekrzywił głowę, przyglądając mi się.

- A co o Jimie wie nasz faworyt, jeśli w ogóle cokolwiek?

Zadał to pytanie posterunkowemu Cookowi z grobową miną, starannie wymawiając słowa. Lekki zaśpiew w jego głosie przyjemnie kontrastował z formalnym stylem wypowiedzi, niczym fioletowe kwiaty w żyznej ciemnej glebie. Zdecydowanie zachodnioafrykański. Zastanawiałem się, czy jego odciski palców znajdują się gdzieś w aktach, czy jego imię bądź ksywa figurują

na liście obserwowanych osób. W budynku Bridge'a w Gaithersburgu albo w Waszyngtonie, u antyterrorystów. Liberyjczyk, przyjaciel sprawy.

- Oj, wie, wie - odparł Cook. Uśmiechnął się do Marisa, który nie odpowiedział mu tym samym. - Ksiądz Słoneczko zachowuje się po prostu szczególnie. Wiesz, jaki on bywa.

Maris zmrużył oczy i wydał nozdrza. Niechęć do posterunkowego Cooka była od niego niczym para.

- Nie lubi brać nowych projektów przed zakończeniem starych.

- Fakt - przyznał Cook. - Nie lubi. Ale weźmie. Już wcześniej to robił.

- Ja też nie lubię.

- Bez urazy, bracie, ale wali mnie, co lubisz.

Maris spiorunował go wzrokiem. Patrzyłem w milczeniu, myśląc: Nie istnieje żadna armia abolicjonistów. Oto, jakich ten świat ma bohaterów. Zwykłych ludzi, dumnych i kłótliwych. Sprzeczących się jeden z drugim, robiących, co się da, wyzwalających świat. Oraz ludzi takich jak ja, ukrytych za fałszywymi papierami i okularami o zerowej mocy, którzy utrzymują go w okowach.

- Ten człowiek ma ukochaną i nie może się zwrócić do nikogo innego - powiedział Cook. - A z tamtą drugą sprawą jest już w zasadzie pozamiatane, prawda?

- Nie, jeszcze nie... - Moment wahania, gdy Maris, marszcząc czoło, rozszyfrowywał ten idiom. - Nie jest pozamiatane.

- Jak on się trzyma, tak w ogóle? - zapytał Cook. - Ten nasz chłopak. Co mówi doktor V?

Zachowywałem kamienną twarz, wsłuchując się w ich rozmowę z radiologicznym natężeniem. Zwróciłem uwagę na pytanie „jak on się trzyma?”. Zwróciłem uwagę na hasło „doktor V”. Stałem w milczeniu za posterunkowym Cookiem i zwracałem uwagę na różne rzeczy.

Wkrótce skończyli mówić, a potem wszyscy trzej staliśmy i czekaliśmy. Cook opierał się o cokół Lincolna, natomiast Maris skrzyżował ramiona na piersi, napinając pękate mięśnie, i stał wyprostowany. Wysunął język i oblizał wargi; czubek tego języka

był jasnoróżowy, jak kawałek owocu. I wreszcie przyszedł ksiądz Barton w cywilnych ciuchach, bez koloratki, po prostu w czarnym płaszczu i niebieskich dżinsach, nieco przygarbiony, sunął po białych schodach jak cień.

Maris zszedł stopień niżej i wyciągnął rękę do księdza.

Barton zobaczył jego, a potem Cooka.

A potem mnie, zatrzymał się, odwrócił i ruszył z powrotem w dół.

- No kurwa mać - odezwał się posterunkowy Cook.

Maris zbiegł po schodach za księdzem Bartonem i uniósł rękę, powstrzymując gestem mnie i Cooka.

- Kurwa mać! - powtórzył Cook, po czym pogonił za nimi. - Ej... ej, czekajcie! Ej...

Zostałem na najwyższym stopniu, sam z brzydkim Abrahamem Lincolnem, z jego posępnym jastrzębim nosem i ponurą miną, z wiecznym prezydentem elektem patrzącym na swój świat.

## 12.

**Po powrocie** do pokoju hotelowego w kącie za chwiejnym biurkiem, które wstawia się do takich pomieszczeń, żeby było na czym pisać, znalazłem długie pajęczynowate pęknięcie na ścianie. Usiadłem i wpatrywałem się w nie przez chwilę, trzymałem się za serce, próbując się opanować. Miałem masę tropów, sprawa była na najlepszej drodze, miałem Cooka i Marisa, i ich rozmowę nieszczelną jak dziurawa łódka, musiałem jechać do Whole Wide World, a tymczasem dawne sprawy wzbierały we mnie jak woda na bagnach, stary i franklinowie, i Castle, i pan Reedy, i bagna pełne czarnoczerwonej krwi, wszystko to wzbierało, aż w końcu błoto podniosło mi się do gardła, aż się dławiłem – choć miałem robotę do zrobienia. Castle, wielkie oczy Castle’a w ciemności – tyle, kurwa, roboty.

Wolnym, starannym ruchem otworzyłem i włączyłem laptopa. Gdy się uruchamiał, ustawiłem magnetofon i włączyłem jedną ze swoich składanek. Poza paroma piosenkami był na niej głównie Michael. Zaczynała się od *Bena*, przyjemnego i delikatnego. Na chwilę poddałem się magii tego kawałka, dałem mu się uspokoić, a potem wziąłem laptopa, żeby poszukać doktora V.

W Indianapolis lekarzy najwyraźniej nie brakowało. Wręcz przeciwnie, medycyna wyglądała na jeden z niewielu jasnych punktów w ponurym krajobrazie gospodarczym. Jak wiele dużych miast Środkowego Zachodu również i to w drugiej połowie dwudziestego wieku na przemian wpadało w recesję i z niej wychodziło, próbując sobie poradzić w pojebanej, nieskładnej amerykańskiej gospodarce: ta cała dumna, ale bezskuteczna niechęć do robienia interesów z Twardą Czwórką, ta cała krew i całe bogactwo zmarnowane w wojnie teksańskiej, te wszystkie gałęzie przemysłu, od samochodów przez węgiel aż po komputery, które najpierw rozkwitły, a potem zwiędły wobec



międzynarodowych bojkotów i sankcji (podczas gdy stany niewolnicze - żeby było śmieszniej - świetnie prosperowały, zabezpieczone ekonomiczną otuliną wiecznie obniżonych kosztów pracy).

Oczywiście teraz, w dwudziestym pierwszym wieku, wszystko się zmienia dzięki globalnym rynkom wschodzącym, różnym dawnym państwom komunistycznym i zbuntowanym gospodarczo krajom afrykańskim, które nie chcą mieć nic wspólnego z konsensusem europejskim, ale wyglądało na to, że do Indianapolis ta fala jeszcze nie dotarła. Miasto - jak widziałem, patrząc na chwiejne biurko w tanim pokoju hotelowym - dni chwały na wielu polach miało już za sobą: kiedyś kwitła tu branża wydawnicza, kiedyś był tu węzeł kolejowy, kiedyś była to potęga przemysłu węglowego i stalowego. Teraz zostały tylko usługi: branża konferencyjna, branża marketingowa, garść „startupów” technologicznych i... opieka medyczna. Całe mnóstwo opieki medycznej. Firmy farmaceutyczne i producenci sprzętu medycznego, centra okulistyczne, optometryczne i onkologiczne. Naliczyłem pięć szpitali ogólnych - trzy prywatne i dwa publiczne - plus dwa dziecięce i olbrzymią konstelację przychodni.

Siedziałem przy komputerze, słuchałem swojej muzyki i drążyłem coraz głębiej. Wśród licznej populacji tutejszych lekarzy było iluś z nazwiskami zaczynającymi się na „V”; wśród nich - mniejsza grupa z nazwiskami na tyle długimi lub niezwykłymi, żeby skrócić je do „doktor V”.

Stukałem w klawiaturę. Wpisywałem komendy.

Początkowo wykluczyłem odległe okolice - Carmel, Fishers, Zionsville, Plainfield - ale potem włączyłem je z powrotem, rozszerzałem listy, zawężałem listy, bawiłem się listami. Wyeliminowałem psychiatrów i psychologów. Wyeliminowałem ginekologów i pediatrów. Po namyśle nie wyeliminowałem dentystów i ortodontów. Któż to wie? Nie miałem pojęcia, czego szukam. Po prostu szukałem.

W tym samym czasie zerkałem na włączoną aplikację

z mapą, obserwowałem niebieską kropkę, która przemieszczała się po mieście przecznica po przecznicy. To był pan Maris, wciąż z moim nożem motylkowym w kieszeni. W uchwycie noża znajdował się mały, zgrabny moduł śledzący GPS, który przesyłał sygnał o swoim położeniu do jakiegoś satelity, który następnie przesyłał go z powrotem do mnie.

Patrzyłem, jak Maris jedzie na południe po Meridian Street, oddalając się od Abrahama Męczennika, potem skręca w prawo w West South Street, a następnie w lewo w Capitol.

Podrzucenie panu Marisowi pluskwy to była stara sztuczka. Prosta. Kiedy mnie zgarnięto, odbyłem czteromiesięczne szkolenie na pustyni w Arizonie, zanim zostałem wysłany na pierwszą robotę. Nauczyłem się posługiwać wytrychami, identyfikować odciski palców i ślady stóp, bić się i śledzić, włamywać się do baz danych, szyfrować i deszyfrować.

A po tym wszystkim - bezimienny lekarz, zimna sala, dwie godziny bez przytomności. Haczyk, kotwica, smycz.

Zabawne, jeśli się zastanowić. Chociaż tak naprawdę niezbyt zabawne. Ja śledziłem Marisa, Gaithersburg śledził mnie.

Michael śpiewał *Everybody's Somebody's Fool* i uznałem to za dobry znak. Przez chwilę po prostu słuchałem piosenki, nic więcej, *shoo-bop, shoo-bop*, narastający dźwięk smyczków w refrenie. Potem poleciał kawałek Jamesa Browna, co sprawiło, że się uśmiechnąłem - w radiu rzadko go grali. Był liderem jednego z tych potwornych „zespołów rodzinnych”, które objeżdżały Północ w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Składały się z uzdolnionych niewolników, którzy zapełniali sale koncertowe i mieli być żywym dowodem na to, jacy to na Południu wszyscy są szczęśliwi. Ale James uciekł - wymknął się z hotelu w Buffalo i odnalazł się w Quebecu. Od tamtej pory tworzył piękną muzykę i koncertował po całym świecie, tylko nie w Ameryce.

„Patrzcie na mnie!” - wołał z europejskich scen, poprawiając wypomadowaną fryzurę, pyszny w tej swojej gwiazdzistej pelerynie i butach. „Patrzcie, co ich omija na własne życzenie!”.

Takie rzeczy działy się ciągle. Był pewien złoty medalista olimpijski z Alabamy, chłopak nazwiskiem Jesse Owens, który w 1936 roku w Berlinie pobił całą kupę rekordów świata, a potem uciekł do Związku Radzieckiego. Przez kolejne pół wieku był jednym z największych skarbów wrogiego imperium, raz po raz pojawiał się na łamach „Prawdy”, żeby potępić zdegenerowany niewolniczy kapitalizm.

Kiedy poczułem się gotowy, wróciłem do pracy, robiłem notatki na temat trasy Marisa, wszystko spisywałem, skakałem tam i z powrotem między dwoma zadaniami, na zmianę śledziłem jego podróż i powoli osaczałem tajemniczego doktora V.

Zadowolony ze wstępnej listy lekarzy, zamknąłem strony ze szpitalami i klinikami i zacząłem otwierać spisy darczyńców wszystkich organizacji abolicjonistycznych działających w mieście oraz całym stanie. Były tu organizacje takie jak Total Freedom Now! (stuprocentowi abolicjoniści) i Indy FreedomWorks (gradualiści), był centralny oddział Fire Bell Society w Indianie, a także oddział Czarnych Panter w Indianapolis. Listy członków i darczyńców były publicznie dostępne, nie licząc Czarnych Panter, oficjalnie uznawanych za organizację terrorystyczną, ale nazwiska tych ostatnich zdobyłem po zhakowaniu bazy Komendy Miejskiej Policji.

Tymczasem Maris wyjechał na autostradę. Podążał na południowy wschód drogą numer 465, okrążając obrzeża miasta. Wiodąc za nim wzrokiem, ćwiczyłem w myślach jego charakterystyczną afrykańską intonację, powtarzałem to, co powiedział Cookowi o „starej sprawie”. „Nie, jeszcze nie... Nie jest pozamiatane”.

Pod wpływem impulsu wymówiłem te słowa na głos, wstałem i w pełni się wyprostowałem, tak jak Maris, i jak on przybrałem poważny wyraz twarzy.

- Nie, jeszcze nie - powiedziałem do siebie, do komputera, do pęknięć na ścianach. - Nie jest pozamiatane.

Następnie z powrotem osunąłem się na krzesło, rozluźniłem mięśnie, uśmiechnąłem się szeroko, pokazując zęby. Co

powiedział Cook, posterunkowy Cook, skomplikowany Cook? „Jak on się przystosowuje do wolności?” – zapytałem policjanta, a jaka była odpowiedź? Wymówiłem ją jego gładkim tonem:

- On to jest szczególny przypadek. Szczególny chłopak.

A potem znowu byłem sobą. Na ile w ogóle kiedykolwiek byłem. Podniosłem się z krzesła, wyciągnąłem z zamkniętej skrzynki strony pełnych akt sprawy i przeczytałem mój ulubiony fragment, znienawidzony fragment, tę przedziwną zbitkę słów: „Jest wiadomym, że zbieg miał w zamiarze udanie się do Indianapolis”.

W tym wszystkim coś było. Ale co? Coś zakopanego w tych skrawkach i kawałkach, usiłującego się wydostać.

Zrobiłem następny krok. Połączyłem nazwiska z nazwiskami, niektóre zaznaczyłem kółkiem, inne wykreśliłem. Kiedy skończyłem, miałem przed sobą listę czterech skomplikowanych nazwisk, starannie zapisaną ołówkiem w hotelowym notesie: Vasilevsky, Vorshonsky, Venezia-Karbach i Vishaparatham. Dziesięć minut później czytałem profil z opublikowanego dwa lata temu specjalnego numeru czasopisma „Indianapolis Monthly”, który sławił „anonimowych bohaterów Indy”. Tekst dotyczył chwalonej lekarki ogólnej, która zamknęła dobrze prosperującą prywatną praktykę na przedmieściach, żeby otworzyć przyuliczną klinikę w Haughville, historycznej afroamerykańskiej dzielnicy klasy pracującej, położonej na północ od Freedman Town. Owa lekarka przyjmowała wszystkich niezależnie od planu ubezpieczenia zdrowotnego, a jedną trzecią terminów przeznaczała na wizyty osób nieubezpieczonych.

„Opieka zdrowotna – stwierdzała w artykule doktor Elizabeta Venezia-Karbach – jest podstawowym prawem człowieka”.

- Dobra – powiedziałem, przełączając się na drugi ekran. - Dobra, dobra, dobra.

Wyglądało na to, że pan Maris nadal jest w drodze. Niebieska kropka opuściła autostradę po wschodniej stronie. Patrzyłem, jak sunie Czterdziestą Drugą Ulicą, mija tereny targowe, a potem skręca w prawo, by ruszyć Keystone na południe.

Wciąż go obserwowałem, czekając na połączenie, ale gdy odezwała się recepcjonistka doktor Venezii-Karbach, wstałem, odnalazłem głos i powiedziałem:

- Tak, proszę pani, jak się pani ma, złociutka?

Trochę chrypiący, trochę zmęczony, z kaszlem w głębi gardła, głos człowieka, który potrzebuje lekarza. Nazywam się Kenny Morton, powiedziałem - rozsunąłem drzwi balkonowe i znowu popatrzyłem na parking - i tak, chciałbym być nowym pacjentem, zgadza się, proszę pani, nie, proszę pani, chwilowo nie mam ubezpieczenia zdrowotnego i muszę przyznać, że mam skromne środki, ale gdybym mógł jakoś... tak, jutro rano pasuje... sobota, tak, wiem, będzie w sam raz, ojejku, bardzo pani dziękuję, to cudownie, proszę pani, taki jestem wdzięczny, wielkie dzięki... A gdy tak się wiłem w skromnym, fachowym przedstawieniu, wychylałem się na balkon i warczałem w słuchawkę, widziałem wspomnienia, które przychodziły po mnie, pęczniały na horyzoncie, szarżowały przez parking między samochodami jak cholerne konie.

- Oto on. Tajemniczy człowiek. Mój zbawca.

Przebrała się z dzinsowej kurtki w sukienkę z krótkimi rękawkami, ale na nogach zostały martensy. Miała wijące się tatuaże, ciemny tusz na różowej skórze łydek: letnie kwiaty, peonie i róże. Jej synek był ubrany w kąpielówki, a przez ramię przerzucił sobie ręcznik ze Spider-Manem. Biała dziewczyna dogoniła mnie na korytarzu na pierwszym piętrze, a mały ciągnął się z tyłu.

- Tak w ogóle to jestem Martha.

- Miło mi. Jim Dirkson.

- A, Jim Dirkson, okej. Przepraszam, nie wiedziałam, że przedstawiamy się nazwiskami. - Miała pod trzydziestkę albo nieco ponad, ale była drobna i śmiała się jak nastolatka: głośno i bez skrępowania. - Martha Flowers. A to Lionel, jak ta marka pociągów.

- Mama! - Chłopak skrzywił się i wpadł na nią niby przypadkiem.  
- Jak ten lew!

Martha przewróciła oczami.

- Zna pan tę kreskówkę? *Lew Lionel*? Jest koszmar.

- Mama! Nieprawda! - zawołał Lionel. - Jest wyrąbista.

- Ej! Halo! - Martha lekko trąciła syna w ramię, udając zszokowaną. - Nie mów „wyrąbista”.

- Ty tak mówisz!

- Mnie wolno.

Uśmiechnąłem się, słuchając całej tej rozmowy, droczenia i połajanek, czułego przekomarzenia. O miłości

dzieci i rodziców dowiedziałem się w ten sam sposób, co o wielu innych rzeczach: z obserwacji. Czając się, przyglądając, w czasach, które nazwałem potem swoimi ciemnymi latami: już nie w niewoli, ale jeszcze nie w cywilizacji. Kiedy żyłem w podziemiu, zbierając pieniądze na porządne papiery. W kościelnej piwnicy w Naperville, pod mostem kolejowym na West Side w Chicago. Całe dni spędzałem w czytelni dużej biblioteki w centrum jako cień w kącie, czytałem wielkie relacje niewolnicze, Ellisona, Baldwina, Wrighta. Uczyłem się własnej historii. Przeczytałem arcydzieło Zory Neale Hurston, ten słynny tekst przemycany strona po stronie z plantacji trzciny cukrowej na Florydzie dwie dekady przed tym, gdy ta stała się wolnym stanem.

Powoli piłem wodę w kawiarniach, przysiadając na rogach ulic, obserwowałem interakcje ludzi, uczyłem się języka wolnych Amerykanów. Tego, jak ludzie się śmiali, kiedy wolno im było śmiać się głośno. „Ha, ha, ha” - mówiłem sam do siebie, siedząc w środku nocy na piwnicznej podłodze. „Ha, ha, ha”.

Drzwi windy brzęknęły.

- No, chodź, Jimie Dirksonie - powiedziała Martha. - Zjedź z nami na basen i pogadaj chwilę.

Basen był nieszczerólny, jakieś piętnaście metrów kwadratowych, z jednej strony płytszy, z drugiej głębszy, bez trampoliny i tym podobnych atrakcji. Lista zasad wymalowana na

drewnianej tablicy. Zakaz skakania. Zakaz niebezpiecznych zabaw. Brak ratownika. Na drugim końcu pomieszczenia znajdowała się szklana ściana, a za nią „centrum fitness” – kilka bieżni, miska z owocami i zawieszony na ścianie telewizor, ustawiony na CNN.

Lionel rzucił ręcznik i bezceremonialnie skoczył do basenu na bombę, zniknął pod wodą i wynurzył się po sekundzie, parsknął, uśmiechnięty od ucha do ucha, krople wody perliły mu się na czole.

- Ooo Boże! - zawołał. - Ale zimno! Mama, musisz wejść! Ale jest zimno!

- Nie ma mowy.

- No chodź!

- Nawet nie włożyłam kostiumu.

Lionel pokazał jej język, a potem znowu zanurkował i śmignął pod chlorowobłękitną taflą. Po sekundzie spod powierzchni wyłoniły się nogi i zaczęły wierzgać na wszystkie strony.

- Chłopak jest niesamowity - powiedziała cicho Martha, po czym nagle dodała: - Na marginesie, dziękuję za wczorajsze jedzenie. To bardzo przyzwoite z twojej strony. Niezwykle ludzkie.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak było na giełdzie pracy?

- Świetnie. - Trąciła włosy. - Naprawdę świetnie. Naprawdę, naprawdę, naprawdę świetnie. - Uśmiechnęła się ironicznie, ale w jej oczach były niepokój i strach, jakby patrzyła w niedobrą przyszłość. - To takie coś, że pierwszego dnia nic, tylko składasz podania, spotykasz się z ludźmi, a drugiego ci, którzy chcą cię zaprosić na rozmowę, oddzwaniają. - Pamiętałem stos papierów na kolanach Marthy, pozaginane kserówki, wszystko pomazane śladami długopisu. - No więc wiesz. Teraz jestem na basenie.

Cóż. Miałem własne sprawy. Miałem własne problemy.

Weszła garstka nowych dzieci, białych dzieci, rozwrzeszczanych. Dziewczynka, może trzynastoletnia, i jej dwaj bracia bliźniacy, mniej więcej w wieku syna Marthy. Ona miała piegi, a oni płasko przycięte fryzury na jeża typowe dla Środkowego Zachodu.

Wszyscy pluskali się w basenie, a chłopcy, jak to dzieci w tym wieku, natychmiast wdali się w jakieś przepychanki z Lionelem, zmieniali się w zwierzęta, opływali jeden drugiego, wynurzali się jeden drugiemu na ramionach.

- A jak to jest u ciebie? - zapytała Martha, a ja milczałem chwilę, uprzejmie, bo Dirkson był uprzejmy. - Interesy czy przyjemność? Zgaduję, że interesy.

- Skąd ta myśl?

- No wiesz. Samotnie podróżujący mężczyzna? W Indianapolis? Miłe miasto, ale to nie jest, nie wiem... - roześmiała się - Cancun, prawda?

- Prawda - przyznałem z uśmiechem. - Rzeczywiście, sporo podróżuję w interesach.

Od razu pożałowałem, że nie ugryzłem się w język. To było niemądre z mojej strony. Niepotrzebne. Martha też się zainteresowała.

- Fajnie - stwierdziła. - Boże, chciałabym dużo podróżować. Czym się zajmujesz? Co cię tu sprowadza?

- Pracuję w firmie Sulawesi Digital jako analityk lokalizacji. - Martha zamrugła oczami. Uśmiechnąłem się. - To operator usług komórkowych. Z centralą w Indonezji.

- Jak leci ta nazwa? Sula... co?

- No właśnie. - Rzuciłem jej przepaszający uśmiech analityka lokalizacji. - Widzisz, to właśnie chcemy zmienić. Firma chce uruchomić kilka biur w Ameryce. Zwiększyć świadomość marki. Dlatego jeżdżę po różnych miastach, sprawdzam dostępne powierzchnie w lokalach usługowych i centrach handlowych, a potem wyślę do Dżakarty analizę relatywnej atrakcyjności każdego potencjalnego punktu.

Wygłaszałem tę samą przemowę, z identyczną nudną Dirksonowską powagą, już po raz dziesiąty, a może nawet dwunasty. Większości ludzi wzrok się szkl, gdy tylko padają słowa typu „analityk” czy „relatywna atrakcyjność”. Ale ta dziewczyna, ta Martha - ona słuchała z szeroko otwartymi



oczami. Zafascynowana kiwała głową, zupełnie jakbym oznajmił, że jestem płatnym mordercą.

Zadała nawet dodatkowe pytanie: co sprawia, że dana lokalizacja jest odpowiednia lub nieodpowiednia? Opisałem cały zbiór czynników – ruch pieszy, charakterystyka demograficzna okolicy, konkurencja – a tymczasem Lionel piszczał i chichotał z nowymi kolegami. Gdyby Martha tylko chciała, mógłbym tak mówić cały dzień. Swoją tożsamość miałem wybadaną: szczelną, umocowaną i zabezpieczoną.

Dziewczyna westchnęła.

– Ja byłam... w Vincennes na południu Indiany. I to całe moje podróże po świecie. – Jej spojrzenie błędziło gdzieś daleko. – Jakie jest najlepsze miejsce, w którym byłeś?

– Najlepsze?

– Aha, najlepsze. No wiesz. Najciekawsze.

Farma Bella. Farma Bella była ciekawa.

– Chicago – powiedziałem.

– O! Chicago! Bardzo bym chciała pojechać do Chicago. Często tam bywasz?

– Właściwie... – Zasychało mi w gardle. W całym pomieszczeniu w powietrzu wisiał chlor. Kiedy ostatnio rozmawiałem z kimś w ten sposób? – Przez jakiś czas tam mieszkałem.

Widok Lake Shore Drive za pierwszym razem, dostojne szklane wieżowce górujące majestatycznie nad jeziorem Michigan, odbijające się zachwycająco jeden w drugim. Moi oszałamiający, straszliwi strażnicy wolności.

– Nigdy tam nie byłam – powiedziała Martha. Buty już zdjęła, moczyła w basenie palce nóg. Wśród jej tatuaży były dwa bliźniacze motyle, po jednym na każdej kostce, idealnie symetryczne. Zwróciłem na to uwagę. Zwracam uwagę na wszystko. – Uwierzysz? Żyję w Indianie całe życie. Przez pół roku mieszkałam nawet w Gary. A do Chicago nie pojechałam ani razu.

– Szkoda.

– Mnie tego nie musisz mówić!

Zamknęła oczy, jakby to sobie wyobrażała: siebie w Chicago. Ja też wyobraziłem sobie tam siebie, jak jem hot doga. Wyobraziłem sobie Castle'a. Ponownie otworzyłem oczy.

- Sama nie wiem - mówiła Martha. - Chyba nigdy nie nadarzył się właściwy weekend. A potem przytrafiło się dziecko i... No cóż. Ty nie masz dzieci, co?

- Nie, proszę pani.

- Świetne są. - Nachyliła się do mnie, po czym szepnęła teatralnie: - Ale wszystko mogą spierdolić.

Roześmiała się i wzrokiem odnalazła synka, który wyglądał się w basenie z białymi dzieciakami, bawił się z nimi we wpychanie pod wodę, jego smukłe ciało lśniło od kropli. Tymczasem przyszła inna kobieta, biała, w średnim wieku, ubrana w czarny kostium kąpielowy. Miała obsypany piegami dekolt, piaskowe włosy i tęgie ramiona mieszkanki Środkowego Zachodu, a w pasie przewiązała się ręcznikiem. Zerknęła na nas, na mnie i Marthę zajętych rozmową. Potem spojrzała na basen.

- Patrz teraz - odezwała się Martha. - Po prostu patrz.

- Na co?

- Po prostu patrz.

Ale wiedziałem. Wiedziałem to samo, co Martha. Kobieta wzięła się pod boki. Rozumieliśmy, co się teraz stanie. Rozumiał to nawet Jim Dirkson.

- Marcus! Dylan! Jamie! - Pomachała na swoje dzieci jak ratownik, kiedy w wodzie jest rekin. - Pora na lunch.

- Co?! - pisnął któryś z białych chłopców.

- Dopiero przyszliśmy! - zaprotestował drugi.

Utrzymywali się pionowo w wodzie. Obrócili piegowate twarze w stronę źródła niesprawiedliwości. Lionel unosił się na powierzchni obok nich. Nastolatka, która siedziała na schodkach basenu, zmarszczyła nos.

- Myślałam, że najpierw popływamy.

- Nie - odparła matka. - Potem. Chodźcie. Już.

Cała rodzina wyszła z basenu. Kobieta wytarła dzieci ręcznikiem, a potem pogoniła je do wyjścia. Lionel został sam, pływał

w miejscu jak samotna boja. Martha uniosła oba środkowe palce i skierowała je w stronę odchodzącej jak pistolety. Słyszeliśmy cichnące skargi dzieci, które zniknęły w głębi korytarza.

Lionel zanurkował, a potem wyłonił się z wody, rozciął błękitną powierzchnię, zgarniając kędziorami połyskujące kropelki. Rozczarowany patrzył za odchodzącymi dziećmi, ściskając usta w cienką kreskę.

- My też musimy iść? - zapytał smutno.

- Nie, słońce. Wszystko dobrze. Nie przejmuj się. Ja tylko sobie rozmawiam z panem... Boże, zapomniałam.

- Dirksonem - powiedziałem cicho.

- Właśnie, właśnie. Ładne nazwisko.

- Dziękuję.

Wymamrotałem je. Wymruczałem. Nie wiedziałem, skąd to nazwisko się wzięło. Od Bridge'a albo jego ludzi. Pewnie z książki telefonicznej w Gaithersburgu. Martha dalej coś mówiła, próbowała prowadzić rozmowę towarzyską na temat przesłuchań Batlisch.

- A tak w ogóle to śledzisz temat Donatelli? Jak tam walczy? To moja bohaterka.

- No dobra - odezwałem się nagle, wstając. - No dobra.

Szedłem szybko. Słyszałem, że za mną Martha mówi: „Jim...”, a jej synek także woła mnie z wody, rzuca słowo, którego go nauczyłem: „Kontrowersja!” - ale mnie już tam nie było.

# 13.

**To był trzeci dzień** śledztwa, a możliwości rozkładały się przede mną jak karty do gry. W którymś momencie musiał się ze mną ponownie skontaktować Cook, albo ja z nim. Bądź co bądź miałem jego numer wozu i numer odznaki. Wyryła mi się w umyśle jego twarz, rząd białych zębów, uśmiezek i mrugnięcie okiem. Na rano, czyli na pierwszy możliwy termin, byłem umówiony u słynnej doktor V. Ponadto pozostawał jeszcze pan Maris, bojownik o wolność, żołnierz, kropka na moim ekranie, człowiek w ruchu. Jeździłem z laptopem otwartym na fotelu pasażera, tak żebym krążąc po mieście, mógł obserwować, jak on też po nim krąży. W którymś momencie Maris zatrzyma auto i to może wystarczy. Może rzeczywiście był opiekunem, bagażowym, może dotrę do niego i znajdę chłopaka.

Załatwię sprawę. Wyjadę stąd. Do jakiegoś innego miasta na Północy.

Whole Wide World Logistics mieściło się w kompleksie biurowym przy Binford Boulevard, w przemysłowej okolicy w północno-wschodniej części miasta. Zajmowało jeden z identycznych szarych, nijakich lokali użytkowych ustawionych rzędem niczym więźniowie. Miały ubrudzone witryny z walcowanego szkła i zacieki na drzwiach. Po drugiej stronie parkingu stał masywny przerobiony magazyn, rzucający cień na tę obskurną okolicę. Wymalowano na nim kolorowe murale, które przedstawiały dżunglę, i wesoły komiksowy napis: przyjdźcie się bawić w NAJWIĘKSZYM halowym parku trampolin w indy.

Kiedy wysiadłem z altimy, już pracowałem: parkingiem szedłem pośpiesznie, spięty i z niepokojem na twarzy. Z tyłu dobiegła mnie fala hałasu: śmiech, pisk radości oraz brzęknięcie sygnalizujące sukces w jakiejś grze na automatach. Ktoś otworzył drzwi parku

trampolin, pozwalając, żeby dźwięki popłynęły stamtąd przez parking, jakby z innego wszechświata.

Wszedłem do Whole Wide World i od razu wziąłem się do roboty, myśląc: „No to ruszamy”, ciężko oddychając i mówiąc: „Hej, przepraszam, hej”, kiedy drzwi zrobiły dzyń-dzyń i zamknęły się za mną.

Kobieta za długą ladą patrzyła na mnie i już na starcie była sceptyczna. Przyjrzała mi się, a ja przyjrzałem się pomieszczeniu, chwiejącym się stosom papierów i segregatorów na ladzie, oknu, które wpuszczało do środka nierówne, szarawe światło, płytkom na podłodze, które dawno nie widziały szczotki ani mopa. Wysoko na ścianie wisiał rząd zegarów – Manila i Mumbaj, San Francisco i Paryż. Odległe miasta, obce kraje. Poniżej zegarów znajdowało się logo, które widziałem na tamtym zdjęciu, fioletowo-zielone z kreskami oznaczającymi prędkość. Najbliżej drzwi stała olbrzymia suchościeralna tablica pokryta pismem w różnych kolorach, siatką liczb, dat, numerów kont i zamówień – a w lewym dolnym rogu widniało małe fioletowe serduszko i napis: DROGA DZIENNA ZMIANO: MIŁEGO DNIA! CAŁUJĘ, NOCNA ZMIANA.

– Tak? – Na dziennej zmianie pracowała ciemnoskóra kobieta w średnim wieku. Miała okrągłe policzki, a przed nią na ladzie leżało otwarte kolorowe czasopismo.

– Hej, dzień dobry – rzuciłem. Mówiłem szybko, nieco zdyszany.

– Jest Winston?

– Nie. Chory.

– Chory?!

– Aha. Zadzwoił i wziął zwolnienie.

Chory. Może to tylko zbieg okoliczności, zwykły pech? A może mój Winston zwęszył, że coś się kroi?

Tymczasem kobieta patrzyła na mnie, gładząc dłonią strony czasopisma i czekając, aż się stąd zwinę. Mogłem to zrozumieć. Znowu miałem na sobie wymięty kombinezon ogrodniczy Albiego z plamami trawy na kolanach, śladami ziemi na mankietach. Odstawiałem przed nią pełne przedstawienie, sapałem i stękałem, ocierałem pot z czoła, bębniłem palcami o ladę.

- A to niefart, kurczę. Chory! Kurczę.

- Tak. - Wzruszyła ramionami. Było jasne, że powinna powiedzieć: „Czy mogę panu w czymś pomóc?”, ale nie ulegało również wątpliwości, że pomoc mi nie zamierza. - Chce pan zostawić wiadomość?

- E tam - odpowiedziałem. - Dziękuję.

Wciąż nie wychodziłem. Ona tęsknie patrzyła na czasopismo. Na chude białe celebrytki w kostiumach kąpielowych, leżące na spieczonej słońcem plaży niczym ofiary klęski głodu. Koleżanka Winstona Bibba była pulchnawa, miała ciemne oczy, starannie uczesane włosy, a jej wysokie czoło lśniło w blasku świetlówek. Jej skóra miała jasny, kawowy odcień, gdzieś w okolicach numeru 120. Dokonałem tej oceny odruchowo, po czym uświadomiłem sobie, że od tej szybkiej kalkulacji z jakiegoś powodu robi mi się niedobrze. Przewracało mi się w żołądku. Przecież to była wolna kobieta, mieszkanka Północy, pełnoprawna obywatelka. Jakim prawem tak na nią patrzyłem, szacowałem, klasyfikowałem do akt w Gaithersburgu?

- No... - Biedna dziewczyna, nie dałem jej wyboru. - Może jestem w stanie panu pomóc.

- Oj, nie wiem. Oby. Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Nareszcie zamknęła czasopismo i spojrzała mi prosto w twarz. Jej mina złagodniała. Dostrzegłem to i poszedłem za ciosem. Przechyliłem głowę w taki mój szczególny sposób, uśmiechnąłem się takim moim łagodnym uśmiechem, zmrużyłem oczy, tak żeby błysnęło w nich światło i pojawiły się zmarszczki w kącikach.

- Mam na imię Angie, tak w ogóle. - Wsunęła czasopismo pod ładę. - Powiedz, czego ci trzeba.

- No dobra - odparłem. - To trochę skomplikowane.

Sprzedalem Angie bardzo długą historię, taką z wieloma zwrotami akcji. No bo tak: mój kumpel Sully skołował mi fuchę nie dalej jak, kurczę, dwa tygodnie temu, jazda półciężarówką, tak tylko po mieście, nic na długo, nic trudnego! Bo wiesz, ja ledwo w zeszłym roku zrobiłem zawodowe prawo jazdy, nie? No i Sully załatwił mi fajną robotę w takiej firmie ogrodniczej,

ładowałem do pickupa różne artykuły, wiesz, ściółkę, ziemię, kamienie ogrodowe – wyliczałem na palcach – różne takie gówna. Przepraszam, Angie, różne takie rzeczy – uśmiechnęła się, machnęła ręką, żebym mówił dalej. W tej robocie musiałem się między innymi spotykać z długodystansowymi spoza miasta i pomagać im wyładowywać towar w firmowym magazynie przy Troy Avenue.

Angie pokiwała głową. Jak się okazało, niedaleko mieszkał jej kuzyn Addy. Niedaleko Troy Avenue.

- Serio? – zapytałem. – Co ty powiesz!

Adres magazynu wziąłem z programu mapującego. Całą resztę zmyślałem na poczekaniu, śpiewałem piosenkę, melodię znajdując po drodze. Mówiłem, jak najszybciej się dało, dużo gestykułowałem, nadawałem głosowi poirytowany ton. Angie przytakiwała, zapomniawszy już o czasopiśmie. Na zegarze nad jej głową wybiła północ w Abu Zabi.

- W każdym razie – ciągnąłem – łatwa fucha. Załadować, wyładować, nic więcej, no nie?

Mówiąc te słowa, rzuciłem Angie porozumiewawcze spojrzenie w stylu „Akurat, zawsze jest coś więcej”, czymkolwiek to „coś” jest, a ona, kręcąc głową, odpowiedziała mi podobnym: „No właśnie”. Angie i ja nie byliśmy w ciemną bici. Wiedzieliśmy, co i jak.

- O kurczę, no proszę! – zawołałem nagle. – Świetne paznokcie!

Rozpromieniła się i uniosła dłonie. Ten rzucony na marginesie komplement był tylko lukrem, tylko ozdobnikiem rozmowy, ale mówiłem szczerze. Każdy paznokieć miała pomalowany na inny kolor, a razem tworzyły skrzącą się tęczę z dziesięciu palców na wyblakłym żółtym blacie. Angie rozczapierzyła palce, żebym mógł się lepiej przyjrzeć, co uczyniłem, pogwizdując z uznaniem, zanim przeszedłem do sedna sprawy.

- No ale w poniedziałek rano Sully mi mówi o takiej jednej robocie. Ciężarówka wyjechała od dostawcy jakoś w niedzielę w nocy i teraz mam jechać odebrać towar na pustej działce przy Dwunastej Ulicy, ze trzy kilometry za torem wyścigowym, prawie

że w Hendricks. Sully powiada, że papiery jeszcze nie przyszły, ale już mam się ruszać. Dwie beczki naturalnego żwiru, każda po półtora tysiąca litrów, to jest w sumie parę ton tego gówna... Przepraszam, Angie, znowu się zapomniałem.

Kiedy Angie myślała, że nie widzę, szukała obrączki na moim palcu.

- No i w poniedziałek rano zajeżdżam pickupem na tamtą działkę... i wiesz co?

- Nie było żwiru - domyśliła się Angie.

Klepnąłem dłonią w blat.

- Nie było żwiru! Dasz wiare?

Pokręciła głową. Zacmokała z dezaprobatą.

- Twój kumpel namieszał.

- Właśnie.

Wyciągnąłem chusteczkę i otarłem czoło. Teraz szedłem już na całego, ale czasami nie można inaczej. Potrzeba musi malować się na twarzy, należy ją wysyłać jak sygnały dymne. Musi się kłębić i wypełniać całe pomieszczenie.

- A teraz szef Sully'ego, pan Coleman - powiedziałem - który teraz jest też moim szefem, opowiada, że to moja wina. Że mam ustalić, co się stało z transportem, bo inaczej potrąci mi z wypłaty.

Angie parsknęła z niedowierzaniem.

- Której jeszcze nawet nie dostałeś.

- Właśnie! - Znowu uderzyłem w ladę, tym razem obiema dłońmi. - Właśnie!

Angie się uśmiechnęła. Ja się uśmiechnąłem. Uśmiechnęliśmy się do siebie nawzajem.

- No więc zaczynam wariować, bo to już czwarty dzień - ciągnąłem. - Sully zna tylko nazwę dostawcy. Zadzwoiłem tam, ale nie wyciągnąłem z nich konkretnej odpowiedzi. Sully nie wie, jak nazywa się firma przewozowa. Tak między nami, ten mój Sully to nie jest jakiś Einstein, rozumiesz?

- Właśnie słyszę.



- Więc wiesz, krążę po różnych firmach transportowych, bo muszę rozwiązać sprawę albo nie dostanę nawet pierwszej wypłaty. Teraz nagle mam być jakimś Sherlockiem Holmesem. Diabelnym policjantem od zwiru!

Angie się zaśmiała. Ja się zaśmiałem. Zaśmialiśmy się razem.

- Masz numer przesyłki? - zapytała, gdy się opanowała.

- Nie.

- Numer klienta?

- Nie. Jak mówiłem.

- Nic nie masz.

- Zero.

Nachyliłem się nad ladą, pozwoliłem, żeby moje złote oczy wypełniła desperacja. Zsunąłem czapkę na czubek głowy, tak żeby Angie widziała całą moją smutną, przystojną twarz. Byłem zmęczoną, nieszczęsną istotą, ale przyjemnie się na mnie patrzyło. Dokładnie wiedziałem, jak wyglądam.

- Pomyślmy - powiedziała Angie, wspaniała wolna dusza, a potem odwróciła się do komputera. - Czyli niedziela... - Zaczęła pisać na klawiaturze. - Jak się nazywa to miejsce?

- No więc właśnie tu jest mały problem.

Angie podniosła głowę i zacmokała. Rzuciła mi spojrzenie, które znaczyło: „Poważnie mówisz?”. Uśmiechnąłem się z zażenowaniem.

- Garden coś tam - ciągnąłem. - Tyle wiem. Garden Store? Gardens of... nie mam pojęcia. Coś z ogrodem.

- A wiesz, skąd szła przesyłka? Oczywiście, że nie wiesz.

- Może z Alabamy?

Angie rzuciła mi inne spojrzenie, ostre i poważne. Wręcz gniewne.

- Nie z Alabamy. Nie w naszej firmie. Obsługujemy przesyłki Południe-Południe i Północ-Północ. I trochę z Północy na Południe, z tym że takie zwykle podzlecamy. Ale żadnych z Południa na Północ. Jak ktoś potrzebuje przewozu z Południa na Północ, musi szukać wyspecjalizowanej firmy transportowej, która spełnia wszystkie przepisy i tak dalej. Większość firm, które

obsługują Południe-Północ, robi tylko to, bo inni klienci nie chcą mieć z tym głównym nic wspólnego. - Angie nie przeprosiła za użycie tego słowa. - No i ja w życiu bym tutaj nie siedziała, gdybyśmy prowadzili transporty z Południa na Północ.

- No tak. Rzeczywiście.

- W życiu!

Zacmokała. Co za pomysł! Ja tymczasem przetwarzałem informacje. Dotąd, tak samo jak Bridge, zakładałem, że Barton dlatego wybrał Winstona Bibba na obiekt szantażu, ponieważ Whole Wide World mogło obsłużyć całą trasę, przewieźć Jackdawa z GGSi do Indy. Firma nie realizowała jednak transportów z Twardej Czwórki na Północ - Angie nie pozostawiła co do tego wątpliwości. Wróciła do komputera, nadal kręcąc głową, i szybko pisała na klawiaturze, nie łamiąc przy tym swoich mistrzowskich paznokci.

- No to posłuchaj - powiedziała. - Mogę poszukać wszystkich transportów z firm zaczynających się od słowa „Garden”, to wszystko. Każda przesyłka z każdego miejsca, wykonana w niedzielę po południu, która zaczyna się od „Garden”. Tyle mogę zrobić.

- Możesz?

- Mój drogi, ja mogę dużo rzeczy.

Powiedziała to z kamienną twarzą, z zaledwie minimalnym cieniem uśmiechu, nawet nie odrywając wzroku od ekranu.

- Nie igraj ze mną teraz, Angie - mruknąłem. - Nie igraj ze mną.

Pisała przez chwilę, po czym kazała dać sobie jeszcze moment, więc dałem. Bębniłem palcami w ladę i rzucałem jej urocze uśmiechy, pulsujące niepokojem i flirciarską energią, ale w duchu z jakąś nieokreśloną tęsknotą myślałem o dzieciach w halowym parku trampolin po drugiej stronie parkingu, białych i czarnych, odbijających się w górę i w dół, w górę i w dół. Wyobrażałem je sobie w zwolnionym tempie, uśmiechnięte od ucha do ucha, piszczące z radości.

- Proszę - oznajmiła Angie. - Gotowe.

Obróciła monitor, żebym mógł spojrzeć, a ja po raz ostatni klepnąłem w ladę, tak mocno i głośno, że suchościeralna tablica na ścianie zadrżała, a dzwonek nad drzwiami brzęknął.

- Och, Angie! - zawołałem. - Och, Angie!

Odchyliła się na krzesło.

- Przekaż ode mnie temu swojemu Sully'emu, że ma ci więcej nie robić takich numerów - powiedziała.

- Na pewno przekażę, Angie, na pewno przekażę.

Rozpromieniła się. Taka miła dziewczyna jak ona na pewno miała w życiu na pieńku z niejednym Sullym.

- Ej, słuchaj - rzuciłem w końcu. - Myślisz, że mogłabyś mi to wydrukować?

# 14.

**Tylko bardzo rzadko** w grę wchodzi prawdziwy samolot. Raz po raz słyszy się o takiej cholernej głupocie: jakiś miliarder myśli, że jest Bogiem, zatrudnia brawurowego pilota, żeby wdarł się w przestrzeń powietrzną Czwórki, wylądował nocą na polanie w Alabamie i spróbował wrócić z ładownią pełną uchodźców. To się nigdy dobrze nie kończy. Samolot jest duży i trudno go ukryć, a obrona suwerennej przestrzeni powietrznej kilku stanów to formalny obowiązek Powietrznej Gwardii Narodowej. Bogacz trafia przed sąd, a pilot do aresztu. Opki wracają tam, skąd ich zabrano, jeśli mają szczęście.

O nie, Podziemne Linie Lotnicze to figura retoryczna: sedno wielkiej, rozbudowanej metafory „pilotów”, „stewardów”, „bagażowych” i „pracowników odprawy”. Połączeń lotniczych i kontroli lotniskowej. Linie Lotnicze przemieszczają się po ziemi, w wozach transportowych, nieoznaczonych furgonetkach i skradzionych naczepach ciężarowych. Loty to nielegalne zmiany numerów przesyłek, kaptowanie strażników na plantacjach, przekupywanie pograniczników, drobna sztuka perswazji: za pomocą gróźb, czeków bankierskich lub robienia loda. Linie Lotnicze to składane przez nieistniejące korporacje zamówienia na niepotrzebne produkty, które trzeba dostarczyć w takie a takie miejsce o takiej a takiej porze.

Kiedyś przez miesiąc, może trochę dłużej, byłem Jean-Claude'em Cisse'em, pseudonim Café au Lait, Mulatem urodzonym w Montrealu, członkiem francuskojęzycznego gangu kanadyjskich motocyklistów o nazwie Les Bénévoles Blackburn, specjalizującego się w transportowaniu zbiegów z tymczasowych, niebezpiecznych kwater w północnych miastach do *vraie liberté* w Côte-Saint-Luc. Do tamtej ekipy należała również kobieta imieniem Cherie, która sama uciekła z Luizjany i poświęciła całe

dorośle życie Sprawie. Lubiła mówić, że większość swojej pracy wykonuje za biurkiem. Zapomnijcie o glorii rajdów przed świtem. Walenie systemu w mordę i wyrywanie zniewolonych na wolność to przede wszystkim robota papierkowa. Otwieranie kont bankowych, podrabianie dokumentów. Tworzenie tras, tras zastępczych i zastępczych dla zastępczych. „*La liberté* – mawiała Cherie z tym swoim czarującym montrealским akcentem – *est une question de logistique*”. Wolność to kwestia logistyki.

Drugą rzeczą, o której należy pamiętać, jest oczywiście to, że większość ludzi nie otrzymuje żadnej pomocy. Ja bynajmniej nie otrzymałem, o nie – byliśmy tylko ja i Castle, desperacko gnający przez wiejski mrok, i właśnie tak to wygląda w przypadku większości niewolników, którzy odważą się uciec – żadnej pomocy ze strony Linii Lotniczych, żadnej pomocy od nikogo. Oni po prostu ruszają, po latach snucia planów nagle, pod wpływem chwili, po prostu ruszają, przerzucają chude ciała przez ogrodzenie lub skaczą do fosy, wyrywają się z szeregu albo z rąk strażnika i biegną, bracie, biegną, sestro, biegną bocznymi drogami i przez lasy. I nie ma żadnych samolotów, samochodów ani ciężarówek. Tylko śmiałkowie pędzący przez otwarte pola, brnący przez rzeki, potykający się na jelenich ścieżkach, które wiodą przez ciemne knieje. Znajdź gwiazdę i idź za nią, tak jak wszyscy zbiegowie od czasów Dawnego Niewolnictwa.

Obracałem to wszystko w myślach. Obracałem w myślach cały świat. Siedziałem w restauracji Hamburger Stand, sieciówce z mnóstwem punktów w całym Indianapolis, i czekałem, aż kelnerka przyniesie mi kawę. Szklanymi oczami patrzyłem przez okno, na restauracyjny parking, gdzie jakiś stary biały brudas w wełnianej czapce siedział oparty o krawężnik, ubrany w czarne worki na śmiecie i przykryty jeszcze jednym takim workiem jak kocem. Nic, czego nie widziałbym wcześniej tysiąc razy – w każdym biednym mieście, każdym północnym mieście – ale tym razem uderzyło mnie jako coś przedziwnego, że ludzkie ciało leży w ten sposób na ulicy, a ludzie mijają je w drodze do Keystone Avenue, jakby ten człowiek był trupem.

Kelnerka przyniosła mi kawę, a ja zamówiłem hamburgera, po czym skierowałem wzrok na dokument, który wyszedł z drukarki Angie. Wiersz numer 6 w tabelce pokazywał przesyłkę, która wyjechała z Gardens of Paradise w Clayton w Ohio. Angie zaznaczyła go różowym mazakiem, bo to był właśnie ten transport, którego szukał biedny, zdenerwowany Albie. Natomiast jeśli chodzi o mnie, ukrytego pod skórą Albiego - mnie interesował wiersz numer 7, następny w porządku alfabetycznym: transport, który w niedzielę o 20.49 opuścił Garments of the Greater South Incorporated w Pine Woods w Alabamie.

Zgodnie z pełnymi aktami sprawy Jackdaw wylądował w punkcie opieki nad pracownikami o godzinie 20.35. A tu proszę bardzo, ciężarówka wprawiona w ruch przez Winstona Bibba wyjechała z centrum załadunku i odbioru o 20.49.

Obejrzałem cały wiersz od lewej do prawej. Powoli wodziłem palcem jak człowiek czytający werset Biblii, zapamiętywałem liczby oraz fakty, których te liczby były reprezentacją, a potem cofnąłem palec i zacząłem od nowa. Transport nosił wewnętrzny numer identyfikacyjny 49-09-5442. Jechał czternastometrową naczepą z ciągnikiem siodłowym typu *midroof* o numerze pojazdu 6ZRFL1622CJ287765. Prowadził go kierowca numer HR59.

Ciężarówka jechała na lotnisko międzynarodowe Hartsfield-Jackson w Atlancie. Wiozła „4200 surowych zwojów na eksport”, a także „sześć ton różnych zasobów/odpadów” i dwadzieścia sześć palet bawełnianych T-shirtów: czterdzieści pudełek w palecie, siedemdziesiąt pięć koszulek w pudełku.

Łącznie dawało to siedemdziesiąt osiem tysięcy T-shirtów plus - tego już byłem pewien, cholernie pewien - jednego dzielnego, wystraszonego, chorego, zdesperowanego mężczyznę. Jednego człowieka schowanego między tymi wszystkimi liczbami. *La liberté est une question de logistique.*

Znowu spojrzałem na chodnik, na poruszającego się starca, mijających go ludzi, wchodzących na parking i go opuszczających. Gdziekolwiek spojrzałem w tym mieście, widziałem parkingi. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Zbielałe chodniki

i ponury horyzont bez słońca. W tej pracy było coś takiego, co wypierało świat z barw. Wysysało z nieba pogodę.

Jackdaw opuścił GGSII o 20.49 w ciężarówce jadącej na lotnisko Hartsfielda. Z Pine Woods do Atlanty. Południe-Południe.

Georgia zniosła niewolnictwo ustawą w 1944 roku, podobnie jak Kentucky. To było wielkie zwycięstwo prezydenta Trumana, który skusił te stany kontraktami wojennymi - wielką ekonomiczną zachętą do zmiany w wolny stan. Jednak legislatura Georgii w swej mądrości, a także pod presją Alabamy i świeżo zjednoczonego stanu Karolina, utrzymała quasi-południowy status swojego lotniska - na wpół niewolniczy, na wpół wolny. Tak samo było z Czerwoną Autostradą - czyli autostradą numer 20 - która była jak otwarta rana przecinająca stan ze wschodu na zachód. Zapewniała sąsiadom łączność z lotniskiem i międzynarodowym rynkiem zbytu bawełny, bydła i kukurydzy.

Według ostatniej kolumny tabeli wszystkie bawełniane T-shirty docelowo zmierzały do międzynarodowego portu lotniczego Szanghaj-Pudong.

Ale przecież Jackdaw nie poleciał do Chin, czyż nie? On był tutaj. „Jest wiadomym, że zbieg miał w zamiarze udanie się do Indianapolis”. Prawda?

Gdy dziewczyna przyniosła mi hamburgera, mruknąłem „dziękuję” i zacząłem jeść powoli, z uwagą, ciesząc się każdym kęsem, tak jak nauczyłem się cieszyć takimi rzeczami. Żułem, przelykałem, ocierałem brodę serwetką, nie myśląc o zapachach ani widokach swojej młodości, wyobrażając sobie Jackdawa jako niebieską kropkę zmierzającą na wschód, a nie jako człowieka zgiętego wewnątrz czternastometrowej naczepy, któremu upiornie chce się sikać, jego delikatna, złana potem twarz wiotczeje, a wielkie oczy połyskują w mroku jakiejś skrzyni czy palety, w której go zamknięto. O czym myślał? Czy wiedział, w jaki sposób stamtąd dotrze tutaj? Czy przedstawiciele Bartona streścili mu plan, czy zwyczajnie powierzyli jego los obcym ludziom? Czy po prostu czekał, aż pozna swój los, tak jak ja teraz czekałem?

Zjadłem burgera i odsunąłem talerz. Wciąż wpatrywałem się w wydruk z Whole Wide World, ale jedyna niewiadoma znajdowała się na odwrocie, tam gdzie Angie różowym mazakiem narysowała uśmiechniętą buźkę i napisała swój numer telefonu.

W samochodzie włączyłem laptopa i od razu zobaczyłem, że pan Maris przestał jeździć. Kropka, która krążyła po mapie miasta jak Pac-Man, teraz zatrzymała się na Trzydziestej Ulicy, dwa i pół kilometra za Keystone. Może Maris zorientował się, że wciąż nosi przy sobie nóż motylkowy starego Jima, i wyrzucił go przez okno – a może w tej chwili przebywał z niewolnikiem Jackdawem, więc wszystkie moje poszukiwania i badania miały się okazać niepotrzebne, bo wystarczyło tam pojechać i go zgarnąć.



# 15.

**Kiedy jednak** dotarłem na miejsce, po panu Marisie nie było ani śladu.

Wysiadłem z altimy pod adresem z mapy, na kolejnym szarym parkingu przy Wschodniej Trzydziestej Ulicy. Ten w gruncie rzeczy był tylko poszerzonym poboczem – owalem nierównego żwiru, na którym chaotycznie namalowano miejsca parkingowe.

Firmy położone wokół parkingu, wszystkie będące najwyraźniej częścią jednego lenna, mieściły się w rozklekotanych budynkach kojarzących się z krajami Trzeciego Świata. Był tam „Market Slima” – szeroki i niski jak chata z bali, z drzwiami podpartymi książką telefoniczną. Przed wejściem, na niestabilnych drewnianych platformach, ktoś byle jak ułożył kilka rzędów owoców i skrzynek z warzywami. Naprzeciwko targu był „Warsztat Slima” – zakład blacharski, którego wejście niemal całkowicie przesłaniało sześć kołyszących się kolumn ułożonych z opon. Był też chybotliwy, nieoszlifowany stół piknikowy, a za nim lichy miedziany łuk, wbity w ziemię niczym bramka do krokieta u szczytu nierównej, wijącej się ścieżki znikającej w lesie. Zgodnie z treścią drogowskazu ścieżką docierało się do „Kempingu Slima”.

Nie było Marisa. Ani śladu Marisa. Ani śladu żywej duszy. Jedyne samochód na parkingu należał do mnie. Otworzyłem drzwi po stronie pasażera i ponownie zajrzałem do laptopa. Proszę bardzo, kropka zniknęła, a nowa lokalizacja się nie wyświetlała. Pan Maris się zdematerializował.

– Szlag by to – odezwałem się na głos. Rozejrzałem się. – Kurwa. Na miedzianym łuku przysiadł pojedynczy ptak, mały, o ciemnych skrzydłach, a potem znowu odleciał.

Przeszedłem kilka kroków po dróżce w kierunku kempingu, aż zobaczyłem ciemne sylwetki kamperów pod gołymi drzewami.

Stało ich tam kilkanaście - pierścieniem wokół ujęć wody. Większość opierała się na betonowych blokach, od dawna nie miała kół, były to raczej stałe domostwa niż przyczepy kempingowe. Cała scena miała w sobie jakieś ciche, brudne piękno: wyboista żwirowa ścieżka między blaszanymi domami, tanie ubrania suszące się na sznurach na chłodnym powietrzu. Za skupiskiem przyczep wiła się brązowa, błotnista woda, która ospale ciekła z rury wyłaniającej się z niskiego pagórka. Część kamperów przyozdobiono czerwonymi proporcami. Wszystkie furkoczące chorągiewki były identyczne, znajdowały się na nich jakieś cyfry. Przyjrzałem im się dokładniej w wieczornym mroku - cztery czerwone cyfry na białym tle: 1819.

W jednej z przyczep zaszczekał pies - zaszczekał, a później zawarczał. Potem wyszła stamtąd przysadzista biała kobieta w dresie, we włosach miała papiloty i rozmawiała przez telefon. Zobaczyła mnie, zdezorientowana na moment zmrużyła oczy, a potem wróciła do środka. Siatkowe drzwi zatrzasnęły się za nią.

Spróbowałem sobie wyobrazić pana Marisa w jednej z tych blaszanych puszek, jak siedzi bez ruchu w ciemności, obserwując mnie przez żaluzje swoimi jasnymi, złotymi oczami. Wyobrażałem sobie Jackdawa pod łóżkiem; widziałem go w ciasnej szparze między lodówką a ścianą. Czekają mnie krążenie od domu do domu, od przyczepy do przyczepy, stukanie do drzwi albo wchodzenie przez okna.

Nadchodził zmierzch, a ja, mrużąc oczy w narastającym mroku, patrzyłem na zaparkowane pojazdy. Chmury na niebie były gęste, niskie, ciężkie od deszczu, który nie był jeszcze gotów spaść.

Nie w porządku. Coś było nie w porządku. Zawróciłem i ruszyłem z powrotem dróżką.

- Czegoś ci trzeba?

- Niech zgadnę - odezwałem się, unosząc rękę do człowieka, który stał teraz w drzwiach marketu. - Pan jest Slim.

Nie odpowiedział. Obserwował mnie, kiedy się zbliżałem. Miał długie, obwisłe, brązowe wąsy, a jego oczy też były jakby obwisłe, opadały w kącikach, jak gdyby obudził się śpiący i nigdy się do

końca nie rozbudził. Lekko przechylił głowę i splunął. Moje obcasy chrzęściły na żwirze.

- Pytałem, czy czegoś ci trzeba, chłopcze.

Wzdrygnąłem się, ale to ukryłem. Czułem, że usta wyginają mi się w grymas, i poleciłem im, by tego nie robiły. To krótkie wyzwisko, „chłopcze”, wypowiedziane przez białego do czarnego, zadziało jak zawsze - było niczym kawałek żwiru, ostro zakończony kamień obrzydzenia i pogardy.

Uśmiechnąłem się. Niech mi Bóg wybaczy, uśmiechnąłem się. To słowo uderzyło mnie w twarz, a ja się uśmiechnąłem. Byłem w pracy.

- Nie chcę przeszkadzać, proszę pana - powiedziałem. - Szukam tylko znajomego.

- Ja go nie widziałem - odparł natychmiast Slim.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, z zakładu blacharskiego za moimi plecami dobiegł krótki, ogłuszający zgrzyt, jakby dwóch ocierających się o siebie kawałków blachy. Slim się nie obejrzał, więc ja też nie.

- Z całym szacunkiem, proszę pana - odrzekłem miło i spokojnie - ale skąd pan wie, że go nie widział? Wie pan, jak on wygląda?

- Z całym szacunkiem, czy wygląda jak ty?

Potrzebowałem, żeby teraz mój uśmiech się rozszerzył. Żeby się rozrósł i stwardniał, i oszklął, żeby stał się uśmiechem, który jest jak tarcza. Oczywiście odpowiedź brzmiała: nie. Pan Maris w niczym mnie nie przypominał. Maris był zbudowany jak bokser, miał metaliczną skórę i wyraźnie afrykańskie rysy twarzy, długi nos i szerokie nozdrza, jasne, złote oczy. Za cholerę nie wyglądał jak ja.

- Jeśli pan pyta, czy jest czarny, to tak. Jest czarny.

- Jak powiedziałem, nie widziałem go.

- Mogę na moment wejść do sklepu, rozejrzeć się trochę?

- Zamknięte.

Mój uśmiech szwankował. Czułem, że przygasa.

- To zajmie tylko chwileczkę - powiedziałem. - Chciałbym zajrzeć tylko na moment. Bo widzi pan, szukam tego znajomego.

Mówił, że się tu wybiera.

- Nie słyszysz, co się do ciebie mówi? - Obróciłem się i zobaczyłem, że mówi do mnie chodząca wywrotka w kombinezonie mechanika. - Wynocha.

Mężczyzna, który wyszedł do nas z warsztatu, był krzepki i brodaty, na torsie i grubym brzuchu miał zacieki i plamy oleju. Slim pociągnął nosem i znowu splunął, a tamten duży prychnął. We dwóch mogliby robić za duet w wodewilu, tylko że duży zamiast mikrofonu trzymał długą strzelbę. Przyciskał ją do piersi jak ochotnik z wojny o niepodległość. Mój uśmiech dał za wygraną. Zniknął. Jebać to.

- Nie wiem, co zrobiłem, żeby miłych panów zdenerwować - powiedziałem. - Ale nie chcę żadnych kłopotów.

- On nie chce żadnych kłopotów - rzucił mechanik do Slima, który chrząknął i pogładził wąsy.

Odwróciłem się, słysząc chrzęst żwiru. Gruby właśnie zrobił krok naprzód i uniósł broń.

Zacisnąłem szczękę. Teraz Jim Dirkson by nie wystarczył, więc znalazłem w sobie twardego człowieka, zimnego jak stal antybohatera jednego z tych filmów o czarnych mścicielach, *Niewolniczej zemsty Jima Blackmona* albo któregoś z licznych sequeli.

- Rzuć broń, zasrańcu - powiedziałem. Głos miałem teraz niższy o pół oktawy. Byłem zimny, bystrooki i twardy w swojej skorupie.

- Bo co?

- Bo ci ją owinę wokół tego twojego tłustego białego karku.

Ta kwestia brzmiała jak filmowy dialog, ale do cholery, mówiłem to z serca. Ten brodaty worek łajna przyjął pozę rodem ze strzelnicy, ale ja byłem o krok za blisko, on nie wiedział, kim jestem, miałem żwir w ręku, cisnąłem nim w jego świńskie oczka, skoczyłem na niego jak pantera, jednym długim susem. Złapałem go za włosy, wytrąciłem mu broń, strzeliłem otwartą dłonią w twarz - raz, dwa, a potem trzy razy, z prawa na lewo, jak okrutny ojciec, który bije syna, bo nienawidzi sam siebie.

Mechanik leżał na ziemi, słabowicie broniąc się rękami przed moją przeważającą siłą, strzelba leżała na żwirze u jego stóp. Usłyszałem ruch na ganku i nie odwracając się, wciąż trzymając grubasa, powiedziałem:

- Nigdzie się nie ruszaj, Slim.

- Ej! - odezwał się mechanik, a potem kopnąłem go w twarz, jego usta eksplodowały krwią, obrócił się i zaczął odczołgiwać. Chwyciłem broń, okręciłem się na pięcie i z zadowoleniem stwierdziłem, że Slim zgodnie z poleceniem stoi jak wryty. Z kącika ust ciekła mu strużka śliny zmieszanej z tytoniem. Ruszyłem na niego ze strzelbą, jeden krok, drugi.

- Widziałeś mojego znajomego?

- Żadnych czarnych nie widziałem.

Strzeliłem. Szyba za plecami Slima roztrzaskała się, a całe drzwi aż podskoczyły w ościeżnicy. Kojocia twarz Slima wykrzywiła się ze strachu. To było dobre uczucie; to wszystko było dobre uczucie. Zrobiłem jeszcze krok naprzód i uniosłem lufę na wysokość jego oczu.

- Widziałeś go?

- Nie.

Trzymał ręce na widoku, podniósł je powoli i splótł palce za głową, jakby go w tym wyszkolono. Przesłuchanie dobiegło końca. Wierzyłem mu. Nie widział Marisa ani nikogo innego. Ale ja... sam nie wiem. Jeszcze nie skończyłem.

- Byłeś w wojsku, Slim?

- Co?

- Czy byłeś w wojsku.

- Tak.

- Walczyłeś?

- Tak. W zatoce. W Teksasie.

- Tak? Po której stronie?

Zamilkł. Patrzył na mnie.

- Po amerykańskiej. Po naszej.

- To o co walczyłeś? - Jego wzrok padł na broń, a potem znowu na moją twarz. Była zawzięta i okrutna. Wiedział, do czego

zmierzam. Ja też. Nie mogłem przestać. – Pytałem, o co walczyłeś, Slim.

– O... o Amerykę. O Unię.

– Tak, tylko że Teksas nie chciał być w Unii, co nie? Chciał się od niej uwolnić. Od nas. Od niewolnictwa. Oni chcieli mieć od tego wszystkiego spokój. Pamiętasz? – Slim próbował ruszyć głową, ale miał lufę przyciśniętą między oczami, naprawdę bardzo mocno. – A ty poszedłeś walczyć o jedność Unii.

– Powołali mnie.

– Mogłeś uciec. Wielu uciekło. Do dzisiaj siedzą tam na Północy.

– Walczyłem za mój kraj.

– Gówno prawda.

– No dobrze.

Zamknął oczy. Myślał, że teraz go zabiję. Bardzo dobrze. Dusiło mnie z wściekłości. Klatka piersiowa zaciskała się na moim sercu niczym pięść. Słońce już zaszło. Na parkingu nie było żadnych świateł. Wschodził księżyc, blade i obojętne.

– O co walczyłeś, Slim?

Spuścił wzrok. Obwisły mu wąsy.

– O niewolnictwo – szepnął.

Strzeliłem mu w kolano. Kiedy wył, kiedy tamten grubas jęczał, rękawem koszuli starłem odciski palców ze strzelby, cisnąłem ją na ziemię i odjechałem.

# 16.

**Odjechałem, dygocząc.**

Co ja wyczyniałem, do cholery?

Co mnie to obchodziło?

Historia Teksasu to cud, wielki sukces aktywizmu abolicjonistycznego z początku dwudziestego wieku. Do stanu w ramach skoordynowanej kampanii ściągnęli z całego kraju wędrowni zwolennicy wyzwolenia niewolników wraz z dziesiątkami tysięcy katolickich abolicjonistów z Meksyku, skuszonych otwartą polityką imigracyjną nieopatrznie wprowadzoną przez władze szukające rąk do pracy na polach naftowych. I stąd ten cud, *el milagro*: największy stan w całej Unii ustawą zniósł niewolnictwo w 1939 roku. Dopiero dwadzieścia pięć lat później, za kadencji pierwszego gubernatora pochodzenia meksykańskiego w tym czy jakimkolwiek innym stanie, Teksas poszedł dalej, ogłaszając zamiar dokonania secesji, na co Waszyngton odpowiedział: takiego chuja. W Białym Domu mieszkał wtedy Teksańczyk, były nauczyciel, który miewał w swoich klasach trochę tych meksykańskich skubańców. Podszedł do tego osobiście. Niech poczytają sobie podręczniki do historii, powiedział prezydent Johnson. Konstytucja zabrania secesji – a tak w ogóle to pod tym całym piaskiem Teksasu jest amerykańska ropa.

Jedenaście lat walk. Okręty w Zatoce Meksykańskiej, ścigacze na Rio Grande. Meksykańscy partyzanci walczący z wieśniakami takimi jak Slim na plażach Corpus Christi.

Nie moja wojna. Niepotrzebna, paskudna wojna, która nie miała ze mną nic wspólnego.

Jedenaście lat wyczerpującej, zaciętej walki, z której nic nie wynikło. Niepewne odprężenie. Kwestionowany status. Oni nazywają się Republiką Teksasu, ale my na naszej fladze nadal

mamy ich gwiazdę. Stworzyliśmy w Zatoce Meksykańskiej Specjalną Strefę Ekonomiczną, żeby chronić swoje interesy związane z ropą, a oni utworzyli Siły Nieregularne Zatoki, żeby chronić swoje. Przedwojenne status quo.

Drżałem. Drżały mi ręce. Powoli jechałem do hotelu, trzymałem ręce na kierownicy w pozycji za dziesięć drugą, nawet nie włączyłem kasety. Wzrok na drogę, głęboki oddech, modlitwa, żeby nie było kontroli. Nie wiedziałem, co bym wtedy zrobił.

Wpakowałem człowiekowi kulkę w kolano. Zostawiłem za sobą jatkę. Na hotelowym parkingu siedziałem w samochodzie przez minutę, może dłużej, z rękami na kolanach, usiłując poukładać sobie wszystko w głowie. Zajmij się sprawą, mówiłem sobie. Rozwiąż tę cholerną sprawę.

Na podkowiastym podejździe Capital City Crossroads ktoś rozmawiał przez telefon. Na prawo od drzwi, poza zasięgiem latarni, rósł wysoki żywopłot. Ktoś chował się za nim i głośno, emocjonalnie rozmawiał przez telefon.

Słyszałem tę prywatną rozmowę, idąc przez parking. Instynkt kazał mi skrócić w prawo, nie podnosić głowy, dojść do pokoju najszybciej, jak się da. Była 21.20. Miałem pół godziny do telefonu Bridge'a i chciałem ten czas wykorzystać. Potrzebowałem go. Potrzebowałem siedzieć w pokoju z rękami na biurku, dopóki moje ciało nie przestanie się trząść. Napięcie podczas konfrontacji ze Slimem - szarpnięcie broni palnej. Potrzebowałem czasu, żeby to wszystko ze mnie wypłynęło i pozostawiło mnie pustym.

- Nie, ale to po prostu nie jest... - mówił głos. To była Martha. Moja biała przyjaciółka ze śniadania, z basenu. - To mi bardzo utrudnia... Nie... czekaj, co? Nie. Czekaj...

Minąłem ją. Nie zauważyła mnie. Zatrzymałem się na progu budynku, automatyczne drzwi wyczuły, że się zbliżam i rozsunęły się przede mną ze świstem.

- Kurwa! - krzyknęła Martha. Nie zauważyła mnie. - Do kurwy nędzy!



Zrobiłem krok do tyłu, pozwoliłem, żeby drzwi ponownie zamknęły się ze świstem. Nie. Jebać to. Idziemy. Ruszyłem do przodu, drzwi się rozsunęły, a potem znowu się cofnąłem. Świst.

- Wszystko w porządku? - zapytałem, a ona się uśmiechnęła, wychodząc zza żywoplotu.

- Cóż, to... dobre pytanie. - Wepchnęła telefon do kieszeni. Miała na sobie tę samą kurtkę, te same džinsy. Wyglądała, jakby w ogóle nie spała. Wykrzywiła drobne usta w gorzkim grymasie. - Wszystko w porządku? Pytanie za milion dolarów, co nie? Matka zawsze mówiła, że mam uważać. To znaczy na to pytanie. Bo wiesz, w porządku czy nie? Zwykle to nie tak, że albo jedno, albo drugie, prawda?

- Ach. Jasne. To ma sens.

- Ale nie. Właściwie to nie.

Znowu wyciągnęła telefon, spojrzała na niego, a ja przyglądałem się jej twarzy z profilu. Do tej pory myślałem o niej jako o dziewczynie. O pyskатыm dziecku, które zdecydowanie za wcześnie zostało matką. Teraz - kiedy wzdychała sfrustrowana, nerwowa, w blasku księżyca przed hotelem - wyglądała jak osoba, którą chyba rzeczywiście była: kobietą nieco po trzydziestce, z pierwszymi zmarszczkami w kącikach ust, z bólem życia, który zaczynał się malować w jej spojrzeniu.

- Twój mały dobrze się czuje?

- Lionel, pamiętasz? Jak te pociągi.

Pamiętałem. Ja wszystko pamiętam.

- A, tak, oczywiście, Lionel.

Wstrząsnął mną przeciągły, silny dreszcz i musiałem się trzymać, aż minął. Wpakowałem w człowieka kulkę bez namysłu. Bez wahania czy żalu. „O co walczyłeś?” Co ja wyrabiałem?

- Z małym wszystko dobrze. - Martha wskazała gestem wewnątrz hotelu. - Śpi jak przysłowiowy... nie wiem co. Masz dzieci, Jim?

- Nie - odpowiedziałem. - Nie. Jakoś nigdy nie poszedłem tą drogą. Jakoś nigdy.

- Fakt. Już pytałem. Podróżujesz.

- Właśnie. W tym rzecz.

Drzwi otworzyły się ze świstem, z hotelu wyłoniła się para, mężczyzna i kobieta. Szli pod rękę i szeptali. Mężczyzna podniósł kluczyki i gdzieś w ciemności parkingu zaczął otwierany samochód.

Kiedy znów odwróciłem się do Marthy, odchyłała głowę i wpatrywała się w gwiazdy.

- Tak się staram. Wiesz? Tak się staram.

- Na pewno.

- Tak bardzo się staram.

Znów zobaczyłem siebie u Slima przed godziną, ze strzelbą w ręku niczym z błyskawicą. Tamto wszystko zrobił inny człowiek. Ten tutaj, teraz - to był Jim Dirkson, który rozmawiał cicho z roztrzęsioną nieznajomą na hotelowym parkingu. Jim, życzliwy i spokojny, niosący pocieszenie, a pod spodem ja, szukający, polujący, naciskający. Robiący swoje.

- Chyba mówiłaś... - zacząłem, a kiedy się wzdrygnęła, powiedziałem: - Przepraszam, przepraszam. Ale chyba mówiłaś, że stąd pochodzisz. To znaczy, że tu się wychowałaś?

- Jestem z Indiany. Ale nie z Indy. Za to moja siostra tu mieszka. Czasami przyjeżdżamy z wizytą.

- Ale nie tym razem.

- Nie. Tym razem... - Uniosła telefon. - W interesach.

- No dobrze. Mam do ciebie pytanie. O pewną liczbę: tysiąc osiemset dziewiętnaście. Domyślam się, że to data. Czy rok tysiąc osiemset dziewiętnasty ma w tych okolicach szczególne znaczenie?

Mina Marthy uległa zmianie, gwałtownej, całkowitej. Kobieta spuściła wzrok na żwirowe podłoże, a potem podniosła go bez uśmiechu i odezwała się cichym, smutnym głosem:

- Gdzie to widziałeś?

- No... - odparłem. - Wiesz...

To nie było w porządku, że wyciągałem własne sprawy przed tą niewinną, postronną osobą, która wyraźnie miała własne problemy. Zresztą i tak byłem prawie pewien, że sam znam odpowiedź na to cholerne pytanie.

- Zauważyłem, że wisiało przed czyimś domem.  
- Jak wisiało?  
- Na fladze. Nawet kilku. Takich proporcach. Ale wiesz co? Nieważne. Nie ma sprawy.  
- Owszem, jest. - Marthę jakby dławił gniew. - Bo to się wszędzie wciska.  
- Co?  
- To. Całe to gównno.  
- Jakie gównno?  
Martha pokręciła głową.  
- Gdzie widziałeś te flagi? W centrum? Na południu?  
- Na wschodzie. - Te wszystkie pytania sprawiały, że czułem się trochę nieswojo. Czułem potrzebę, żeby umocnić swoją tożsamość, na moment schować się pod przykrywką. - Pojechałem obejrzeć potencjalną nieruchomość i trochę pomyszkowałem w okolicy.  
- A, tak. Rozumiem.  
- Wiesz co? - powiedziałem, żałując całego tematu. Była 21.30. Bridge miał zadzwonić za dwadzieścia minut. - Nie przejmuj się. Tą liczbą. Przepraszam, że zawracałem ci głowę.  
- Nie. W porządku. - Martha lekko pokręciła głową, odetchnęła głęboko, przygotowując się na coś nieprzyjemnego. - To był rok, zanim... Jak on się nazywał? - Zacisnęła powieki, usilnie próbowała sobie coś przypomnieć, a potem gwałtownie je otworzyła. - Lasselle. Sąd Najwyższy Indiany, tysiąc osiemset dwudziesty rok. - Znowu zamknęła oczy. Wtedy wyglądała starzej. - „Intencją twórców naszej Konstytucji był pełny i całkowity zakaz niewolnictwa w tym Stanie”. Czyli tysiąc osiemset dwudziesty to rok, w którym Indiana oficjalnie stała się wolna.  
Uśmiechnąłem się smutno.  
- Łapię.  
- Więc tysiąc osiemset dziewiętnasty to dla tych fiutów stare dobre czasy, rozumiesz?  
- Rozumiem.

Popatrzyła na mnie wprost, w oczach miała łzy. Wywieszający te flagi to reakcjoniści – ludzie, którzy ze względów politycznych albo z uwagi na osobiste preferencje żałują, że ich stan uchwalił konstytucję, tym samym znosząc niewolnictwo. Oznaczało to, że Kemping Slima, Market Slima i Warsztat Slima to ostatnie miejsca, gdzie mógłby trafić pan Maris i gdzie można by ukryć zbiega Jackdawa.

- Przykro mi, że musiał pan to oglądać.

- Mów mi Jim. Nie ma się czym przejmować.

- Jest. Mój stan jest naprawdę miły, w większości. Naprawdę, naprawdę jest miły.

- O, rozumiem. Właśnie takie odnoszę wrażenie.

Pan Bridge miał zadzwonić za piętnaście minut. Ale oto młoda, miła Martha w taniej dżinsowej kurtce i z długimi brązowymi włosami spiętymi w kucyk różową gumką stała tu na parkingu i cierpiała. Podniosła rękę, żeby przygładzić spięte włosy, a wtedy kołnierzyk jej białej bluzki nieco się rozchylił i u nasady szyi zobaczyłem prostokąt zamalowany na czarno. Niewielu białych je sobie tatuowało, ale niektórzy owszem. Na znak solidarności, empatii albo poczucia winy.

Martha zobaczyła, że patrzę, zaczerwieniła się i poprawiła kołnierzyk.

- Boże – powiedziała. – Ludzie myślą, że to jest gdzieś daleko, ale to nieprawda. Jest tutaj. Jest wszędzie. Na wszystko rzuca się cieniem. Nad wszystkim wisi. Nie czujesz tego czasami?

- Tak – odparłem. – Chyba tak.

Uśmiechnęła się siłą woli, a w jej oczach pojawiła się nadzieja.

- Ale wiesz co? Może ta sprawa z Batlisch, to, że prezydent ją poparł i w ogóle... Może to początek jakiejś realnej zmiany.

Uśmiechnąłem się. Skinąłem głową. Czytałem ten sam artykuł. Był w mojej gazecie.

- Jasne – przyznałem, myśląc: Gówno się zmieni. Myśląc: To się nigdy nie zmienia. – Nigdy nie wiadomo.

- Słuchaj, Jim – zaczęła. – Czy ty byś...

Zamilkła. Spojrzała na swój telefon, nad czymś się zastanawiała, pośpiesznie zbierała się na odwagę. Moje serce było ściśnięte niczym węzeł, jakieś uczucie, którego nigdy wcześniej nie doznałem, odzywało się, kiedy stałem w niewidzialnym świetle tych słów, które wisiały i obracały się między nami: „Czy ty byś...”.

Zadzwonił jej telefon. Otworzyła klapkę, aparat zadzwonił raz jeszcze, a potem jednocześnie się zorientowaliśmy, że to nie jej, tylko mój.

Spojrzałem na numer przychodzący i na godzinę. Była 21.36.

- Proszę pana?

Mój telefon zadzwonił ponownie. To był Bridge, czternaście minut przed czasem.

- Powinienem odebrać.

- Oczywiście.

- Muszę odebrać.

Cały świat wypełniał niejasny zgiełk. W rękę dzwonił mi Bridge, w mózgu powiewały flagi z rokiem 1819, w skrzyni dygotał Jackdaw, karabin uderzał mnie w ramię, a Martha - „Czy ty byś...” Czy ja bym co?

- To... - Lekko potrząsnęła głową. - To nic takiego. Naprawdę. Odbierz telefon.

Odebrałem, odwracając się od niej, drzwi otworzyły się ze świstem, Bridge powiedział „Victorze”, krótko i ostro, głosem naładowanym jakąś energią, której w pierwszej chwili nie poznałem.

- A, tak, dzień dobry - odparłem wciąż głosem Dirksona, szedłem szybko, nie chciałem rozmawiać z nim na jasno oświetlonej ziemi niczyjej hotelowego holu. Czułem się tak, jakbym wywołał demona, który na oczach wszystkich powstał z wzorzystego dywanu. - Może pan chwilkę poczekać?

Telefon trzymałem przyciśnięty do piersi aż do chwili, gdy dotarłem do swojego pokoju i wyszedłem na balkon z papierosem w zaciśniętych zębach.

„Czy ty byś...” - co? Czy ja bym...

- Victorze.

- Akurat byłem zajęty.

- I to dla ciebie problem z jakiegoś powodu? - W jego głosie było napięcie, niczym prąd błędzący. - Dzwonię, kiedy dzwonię, Victorze. Rozumiesz? Dzwonię, kiedy chcę.

Odsunąłem telefon od ucha i spojrzałem na wyświetlacz. Może przez pomyłkę połączyło mnie z niewłaściwym człowiekiem. Może on dzwonił do jakiegoś innego Victora.

- Jak postępy?

Odpuściłem sobie żarty. Zdałem mu pośpieszną relację z dzisiejszych przygód. Opowiedziałem o posterunkowym Cooku i Marisie na schodach, opowiedziałem o pluskwie podrzuconej Marisowi, podałem nazwisko lekarki, opowiedziałem o wydruku z Whole Wide World z trasą ucieczki. Powiedziałem o Slimie, ale nie o tym, że go postrzeliłem.

Przez cały czas, kiedy zdawałem raport, odmierzałem krótkie milczenia Bridge'a, które dyszały między moimi zdaniem. Coś było nie tak - coś było bardzo nie tak. Jakaś nowa pogoda, nowa ciężka atmosfera rzucała cień na naszą rozmowę, niczym front burzowy, od którego niebo ciemnieje.

Jak każdy dobry pracownik zakończyłem raport prezentacją planowanych kroków. Następnego dnia rano zamierzałem wybadać lekarzkę, spróbować odszukać trop Marisa, skontaktować się z policjantem Cookiem, jeśli to będzie konieczne, i nakłonić go, żeby ponownie zwrócił się do krnąbrnego księdza.

Kolejne pół kroku groźnego milczenia ze strony pana Bridge'a. A potem powiedział coś, co wyrwało dziurę w moim rozumieniu świata, niczym kula armatnia, która przebija drewniany kadłub statku.

- Czy ty mi czegoś nie mówisz, chłopcze?

- Czy ja... co?

Ale nawet nie w tym rzecz. To słowo - znowu to słowo - to słowo. Wessałem truciznę z papierosa i poczułem, że drżą mi policzki. Że kark robi się gorący.

- Jeśli się ociągasz, zorientuję się.

- Nie ociągamy się.
- Usłyszałem od ciebie, Victorze, listę niedokończonych zadań. Gównianych poszlak. To już trzeci dzień sprawy.
- Trzy dni to nic. Pamięta pan Milwaukee? Kurwa, człowieku, pamięta pan Carlisle?
- Jeśli tego wreszcie nie załatwisz...
- Jeśli... co?
- Jeśli nie znajdziesz tego człowieka...

Znowu patrzyłem na telefon, trzymając go na wyciągnięcie ręki, i kręciłem głową. Wszystko było na opak. Wylądowaliśmy w świecie cieni. Agresja Bridge'a zupełnie, ale to zupełnie do niego nie pasowała. Był moim prowadzącym i źle mnie prowadził. Zwróciłem uwagę na jego dziwne trudności z wysłowieniem się, na to, że kluczy, że do „jeśli nie znajdziesz tego człowieka” doszedł dopiero po „jeśli tego wreszcie nie załatwisz”, co było w stylu kogoś zupełnie innego.

- Jeśli będziesz spowalniał sprawę, Victorze, zorientuję się. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedziałem. - Rozumiem.
- Rozumiesz, co to oznacza.

Stałem w milczeniu, wrzało we mnie od sugestii zawartej w tych słowach. Od ukrytej w nich zimnej przemocy.

Z perspektywy czasu nie wiem, dlaczego mnie to zaskoczyło. Po prostu niespodziewanie wyszła na jaw prawda o Bridge'u, o nim i o mnie, w taki sposób, że mogłem przyjrzeć jej się z bliska. Tu zawsze była przemoc. Przez sześć lat - przemoc: zawsze kryła się pod naszą profesjonalną wymianą zdań i żartami. Przez sześć lat rozmawiałem z nim na bezpiecznych łączach, z wygodnych pokoi hotelowych, paląc papierosy, oddychając wieczornym powietrzem, bawiąc się w wolnego człowieka. Ale kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, byłem skuty kajdanami w chicagowskiej piwnicy, nogi miałem przywiązane do stołu, stopy do krzesła, a Bridge był dla mnie nieznanym głosem, który sączył się z telefonu włączonego na tryb głośnomówiący,

głosem mojej zguby, dopóki nie zaproponował mi wyboru, który nie był żadnym wyborem.

Po latach krycia się w cieniu udało mi się ogarnąć, miałem papiery, miałem pracę przy załadunku i wyładunku ciężarówek w Townes Stores, tuż za północną granicą Chicago. Dwa lata, dwa normalne, szczęśliwe ludzkie lata, a potem pewnego dnia skończyłem zmianę o świcie i nagle pojawił się za mną srebrny samochód bez tablic rejestracyjnych, stał na wolnym biegu na Monroe Avenue, a ja się, kurwa, nawet nie zastanawiałem. Rzuciłem hot doga i puściłem się biegiem, dzikim wzrokiem odruchowo szukałem Gwiazdy Polarnej, ale znalazłem tylko jajecznie żółty blask latarni.

Pokonałem może dziesięć metrów, zanim mnie dopadli i powalili na ziemię. Kiedy ciągnęli mnie do samochodu, szarpiącego się i wyjącego, myślałem jak obłąkaniec, że trzeba było skręcić w prawo zamiast w lewo, ruszyć zaułkiem, a nie chodnikiem. Zupełnie jakby to miało znaczenie, jakby w ogóle istniał kierunek, w którym mogłem uciec przed pamiętliwym światem.

Zanim się obejrzałem, byłem w piwnicy. W budynku federalnym w centrum Chicago. Wciąż miałem na sobie moją roboczą koszulę, moje ładne, czyste adidas, moje niebieskie dżinsy. Cały ten spokój i bezpieczeństwo odpływały, całe moje nowe życie wyciekało na betonową podłogę. Czuję już stalowy chłód łańcuchów przeciągniętych między łopatkami, owiniętych zwojami wokół kostek.

Ktoś wszedł i postawił na stole telefon. Zdezorientowany patrzyłem na aparat, aż piknął dwukrotnie i odezwał się głos.

- Nazywam się Bridge - oznajmił. - Jestem zastępcą marszala w United States Marshals Service. Wierzę, że rozumiesz powagę swojej sytuacji. Mam dla ciebie następujące polecenie: wysłuchać mojej propozycji, a potem odpowiedzieć, kiedy skończę. Ma to być odpowiedź „tak” lub „nie”.

Słuchając jego zimnego głosu, myślałem o krowich łbach, krowich szyjach, okrwawionych bokach. Myślałem o godzinach i dniach. Bridge powtórzył: „tak” lub „nie”, a ja zrobiłbym



wszystko, tak, wszystko, powiedziałbym wszystko, wszystko, na zawsze, wszystko.

Kiedy skończył, powiedziałem „tak”. Natychmiast powiedziałem „tak”, oczywiście, że powiedziałem „tak”.

A teraz Bridge, z głosem niezmiennym po tylu latach: „Rozumiesz, co to oznacza”. Oznaczało, że znajdowałem się teraz w Indianapolis, w hotelu na Północy, ale mogła się pode mną otworzyć zapadnia w podłodze, mogłem wylądować w piwnicy tamtego budynku federalnego. Mogły runąć ściany, ujawniając, że przez cały ten czas byłem u Bella, w smrodzie, krwawej mgle i znoju jego farmy.

„Rozumiesz, co to oznacza” – powiedział, a ja rozumiałem. Za naszymi rozmowami zawsze kryła się przemoc. To samo, co kryje się za wszystkim i pod wszystkim. Przemoc.

– Proszę pana – powiedziałem bardzo powoli, bardzo spokojnie. – Badam sprawę najlepiej, jak potrafię.

Bridge nie odpowiedział. Nie było już milczenia, groźnego, gniewnego czy innego. Po prostu się rozłączył.

Może działo się z nim coś, o czym nie wiedziałem. Może chodziło o jakąś inną sprawę. Może o Batlish, przesłuchania, wzrost napięcia na rządowych korytarzach. Ale nie sądziłem, żeby to było to. Musiało chodzić o Bridge’a i o mnie. O naszą sprawę.

Zamierzałem pójść spać, ale na razie nawet nie spróbowałem. Długo stałem na balkonie, może wręcz godzinami.

Wszystko się we mnie kotłowało, wytrącało mnie z równowagi. Cook w samochodzie, „szczególny chłopak...”, Bridge przez telefon, „jeśli tego wreszcie nie załatwisz...”, i Martha Flowers, „czy ty byś...”. Wszystko. Całe to życie.

Coś mnie przeszywało, jakiś żar palił tę surową powłokę pod skórą. Coś, czego wtedy nie umiałem wyjaśnić, i co nawet teraz trudno mi przekuć z myśli w słowa. Ale coś się działo. Obracała się jakaś tarcza.

Można sobie wyobrazić ożywającą igłę kompasu – najśłabszy impuls – najłżejszy ruch – brnącą ku północy.

*Dwa razy w roku jakaś grupa kończyła pracę na stercie, żeby przenieść się do środka, i wkrótce przyszła moja kolej. To było swego rodzaju święto: wstrzymywano pracę na zewnątrz i w środku, wszyscy gromadzili się wokół masztów flagowych. Jedyną podobną okazją była msza albo to, kiedy ktoś z nas umierał albo zostawał sprzedany.*

*Pan Bell wychodził i ruszał wzdłuż naszego szeregu. Razem ze mną ze sterty odeszło chyba dziewięciu innych chłopców i trzy dziewczynki. Staliśmy z wypiętymi piersiami. Mieliśmy na sobie żółte kombinezony, które właśnie nam przydzielono, oraz maski przeciwgazowe, te wymyślne, magiczne urządzenia, które należało nosić przy większości prac wewnątrz.*

*Po tym wszystkim ceremonia trwała tylko dziesięć minut - zostaliśmy ustawieni w rzędzie, pan Bell ucałował każde z nas w czubek głowy i czule zacisnął paski naszych masek. Potem rozległ się sygnał oznajmiający początek naszej pierwszej zmiany w ubojni, a on powiedział: „No dobra, do roboty”, po czym ruszyliśmy do środka.*

*Kiedy tamten pierwszy dzień dobiegł końca, mój żółty kombinezon nie był już czysty.*

*- No i? - zapytał Castle, kiedy znalazł mnie w wychodku. - W porządku?*

*- Oczywiście.*

*Nie chciałem, żeby wiedział, jak naprawdę się czułem po pierwszym długim dniu w rzeźni. Przez cały czas byłem bliski wymiotów. Chyba nie od samej pracy - pierwszego dnia tylko przerzucałem dźwignię skórowaczki, raz za razem: ustawić mechaniczne szczęki, nacisnąć guzik, patrzeć, jak ściągają skórę z bydła. Jeden szybki ruch i cała skóra schodziła jak zdejmowana koszula. To chyba przez ten widok, powtarzający się w kółko. Przez lśniąca czerń i czerwien wewnątrzności. Nie wiem. Ale tak było - przez cały dzień byłem bliski wymiotów, nawet potem, w wychodku, ale nie chciałem, żeby Castle o tym wiedział. Nie chciałem, żeby przestał być ze mnie dumny.*

- Wszystko w porządku - powiedziałem ze słabym, wodnistym uśmiechem. Kiedy patrzyłem na brata, czułem się tak, jakbym widział jego wnętrzości, jakby ściągnięto mu skórę.

- Poradzisz sobie - stwierdził, jakby nie usłyszał moich ostatnich słów. Położył mi rękę na ramieniu, aż się wzdrygnąłem. Stary nie powinien tego zobaczyć, nie powinien widzieć naszych poufnych rozmów. - Liczy się to, co będzie teraz.

No i oczywiście zobaczył nas Harbor, spojrzął na dłoń Castle'a na moim ramieniu, na to, jak do siebie szepczemy.

- Jak to: co będzie teraz? - zapytał z tym swoim okrutnym uśmiechem niczym cięcie nożem.

- Pilnuj swoich spraw, co, synek? - rzucił Castle.

- Jakich moich spraw? Wszystko jest wspólne. - Harbor się uśmiechnął. - No nie?

To było jedno z mott, których nas nauczono. Wszystko jest wspólne. Zawsze do celu. Dla ciebie, dla mnie, dla farmy pana Bella!

Harbor zignorował Castle'a i zwrócił się wprost do mnie. Był starszy ode mnie, a młodszy od Castle'a, ale mówił jak dorosły. Właściwie to mówił prawie jak stary, jakby czymś rządził.

- Twój brachol opowiada, co teraz będzie. Więc ja ci powiem co. Dzisiaj włożyli ci tę maskę. Jutro będziesz robił w kralalni. Potem w ubojni. Aż w końcu wylądujesz albo na aukcji, albo w piachu. Oto, co teraz będzie.

Castle obudził mnie tamtej nocy. Nie po to, żeby uczyć mnie słów albo opowiadać historie. Jego oczy były jeszcze większe niż zwykle, ale poważne. Skupione.

- Pamiętasz, co ci mówiłem?

Zamrugąłem. Mówił mi tyle różnych rzeczy.

- Oni to nie my - powiedział, tak cicho, że ledwo go słyszałem. - Ani Harbor, ani nikt. Coś nam się nadarzy.

- Co? - zapytałem. - Co się nadarzy?

Teraz już w ogóle nie wydał dźwięku. Wypowiedział to słowo, bezgłośnie poruszając ustami:

- Okazja.

*Bardzo szybko uznałem, że w środku jest gorzej niż na stercie.*

*To oczywiście groziło karą: myślenie o jakiegokolwiek pracy jako o gorszej, najgorszej albo złej. Myśli Przeciwno Dobrej Pracy. Zachowałem je dla siebie. Na stercie była w powietrzu jakaś muzyka: odległy szum autostrady i klaksony samochodów, krakanie wron, a czasem nawet wesoły szczebiot ptaka. W środku jedynymi dźwiękami były dźwięki pracy: brzęk pistoletu pneumatycznego, turkot rampy, niski ryk nieświadomego bydła, bzyczenie i warkot rozgrzanych maszyn. Oraz nerwowy stukot obcasów wszędzie dokoła: starych i strażników z dłońmi na kaburach, franklinów z tabliczkami na papiery, ludzi z departamentu rolnictwa w kitlach i z urządzeniami.*

*Wytrzymywałem to, powtarzając sobie historie Castle'a, wszystkie, które opowiedział mi przez lata: o człowieku, który wpadł do wody, zjadł go wieloryb, a potem go wypluł, o wilku, którego ciągnie do lasu, i tę (moją ulubioną) o człowieku, który złożył innego ze znalezionych części i ożywił go magią błyskawicy.*

*Kiedy indziej powtarzałem sobie słowa. Wykonując zadania, w kółko, w kółko i w kółko: rozłupując czaszki, wyciągając trzewia, wycinając języki przy grubych korzeniach. Powtarzałem dawne słowa Castle'a spod koca:*

*Karburator.*

*Chicago.*

*Okazja.*

*Sześć czy osiem miesięcy po tym, jak przenieśli mnie do kralalni, Castle obudził mnie pewnej nocy, a ja byłem wściekły jak nigdy.*

*- Robię się na to za duży - burknąłem.*

*- Nie, kochany. Nie mów tak.*

*Tak bardzo bolały mnie ręce. Przesunęli mnie ze skórowaczki na stanowisko krojenia i nawet we śnie dłonie ciągle miałem zeszywniałe w tym samym układzie, w jakim trzymałem nóż.*

*- Za duży.*

*- Wiem, skarbie. Wiem. Ale słuchaj. Muszę ci coś dać.*

Castle jak zawsze wiedział coś, czego ja nie wiedziałem, bo już widział, jak spotyka to starszych. Niedługo przyjdą, wyczytają jego numer i przeniosą go do innej chaty. Był najstarszym z młodszych, więc wkrótce potrzebne będzie miejsce dla najmłodszych z nowego łęgu. Castle trafi do chaty numer dziewięć, a rok później – na rozplód.

Tamtej nocy, kiedy czekał, aż się rozbudzę i zacznę słuchać, jego wielkie oczy były pełne łez. Tak mi się wydaje. Chciałbym to pamiętać.

- Chcę ci przekazać tajemnicę. Musisz słuchać. To ważne.

- Hm?

- Słuchasz?

Wzruszeniem ramion pokazałem, że tak.

- Jesteśmy z przyszłości.

- Że jak? – Tym zupełnie mnie rozbudził. – Z przyszłości?

Castle, no co ty?

- Jesteśmy z przyszłości, mój słodki braciszku. Jesteśmy chłopcami z przyszłości. Rozumiesz? – Mówił za głośno. Nakręcał się. Przyłożyłem mu palec do ust. Odtrącił go. – Wyglądamy, jakbyśmy tu byli, w tym wszystkim, ale tak naprawdę jesteśmy w innym miejscu. W przyszłości mamy jakieś inne miejsce. Jakiś inny czas.

- Jakie miejsce?

- Nie wiem, kochany. Jakieś. Może Chicago. Miejsce przyszłości.

- Nieraz opowiadał mi historie o tym mieście, które gdzieś usłyszał. To było miasto na drugim końcu Ameryki. Ze smukłymi, dumnymi budynkami. – Jestem w Chicago i jem hot doga.

Musiałem zasłonić usta zeszywniałą ręką, żeby nie parsknąć śmiechem.

Castle nigdy nie jadł hot dogów, ja też nie, ale dobrze wiedzieliśmy, co to takiego. Tańczący hot dog był namalowany na ciężarówkach, które z terkotem nieustannie podjeżdżały i odjeżdżały ze strefy załadunku po północnej stronie ubojni. Ale naszym pożywieniem były głównie chleby, zbite i sycące.

*Smakołykami - chleby marchewkowe, chleby sorgowe, chleby waniliowe.*

*- Ty i ja żyjemy w dwóch miejscach na raz. - Oczy Castle'a świeciły z radości, z prawdziwej, elektrycznej radości, która iskrzyła między nami niczym światło gwiazd. - Żyjesz tutaj, żyjesz tam. Żyjesz teraz, żyjesz później. Żyjesz w tym miejscu, żyjesz w innym. Jest ciebie dwóch. Rozumiesz?*

*Kiwnąłem głową. Nie byłem pewien, czy rozumiem, ale chciałem, żeby Castle wiedział, że tak. Uniósł w ciemności dwa palce i od tej pory to był nasz znak. Dwa palce, uniesione i rozchylone. Oznaczały: ty i ja - nas dwóch. Oznaczał jego i mnie, ale także mnie i mnie, a także jego i jego. Mnie teraz, mnie później. Castle'a teraz, Castle'a później.*

*To miejsce i inne miejsce, tu i tam, teraz i w przyszłości.*

# 17.

**Rano**, w ciszy poczekalni, w jasnym świetle gabinetu doktor Venezii-Karbach, odczuwałem niezręczne i nieprzyjemne wrażenie, że jestem zupełnie samotny wobec siebie. Tyle życia spędziłem w jakiejś pozie i w kostiumie, kręcąc się i kręcąc, jakbym zmieniał kanały w telewizji, że czasem, gdy tak jak teraz w cichej chwili łapałem się na tym, że po prostu czekam, kiedy nie miałem co robić, tylko siedziałem i myślałem w białym, dusznym pomieszczeniu, czułem się jak pusty ekran. Jak wyłączony telewizor. Byłem sobą. Byłem niczym. Siedziałem w cienkim papierowym kitlu. Tyłek marzył mi na metalowym stole.

Jedynym obrazem w gabinecie doktor Venezii-Karbach była oprawiona w ramkę reprodukcja *Tremy pierwszego dnia w szkole* Normana Rockwella: mała czarna dziewczynka w prostej białej sukience wręcza jabłko swojej ładnej czarnej nauczycielce, obie są zawstydzone i ojejku, jakie zdenerwowane. To słynny obraz przedstawiający pierwszy dzień nauki w Szkole dla Dzieci Murzyńskich w Little Rock w 1954 roku, siedem lat po tym, jak Arkansas stało się stanem wolnym, i dziewięć miesięcy po tym, jak Sąd Najwyższy orzekł, że sama wolność to za mało - muszą być szkoły. Muszą być szanse.

Wpatrywałem się teraz w tę nauczycielkę, w jej oczy szeroko otwarte z podniecenia, patrzyłem na jej niepokój, na białe kokardy w jej włosach. Niedawno czytałem o niej artykuł, o prawdziwej osobie i o tym, jak potoczyła się reszta jej życia. Próbowałem sobie przypomnieć, w którym to było czasopiśmie. Próbowałem sobie przypomnieć, jak się teraz miała.

- Pan Morton? Dzień dobry. Rozumiem, że przyszedł pan na badanie?

- Tak, doktorko, dokładnie - odparłem, natychmiast się otrząsając. - Zgadza się.

- Zobaczymy.

Doktor Venezia-Karbach była białą kobietą koło sześćdziesiątki, ani antypatyczną, ani miłą. Fryzurę miała krótką, postawioną do góry, kanciastą i bezpłciową. Na jej komendę zdjąłem kitel i usiadłem w samej bieliźnie, z rękami splecionymi na kolanach, a ona prowadziła badanie szybko i sprawnie. Jej palce zatrzymywały się na różnych częściach mojego ciała - na torsie i kończynach, oczach i uszach, węzłach chłonnych i punktach sprawdzania tętna. Oddychałem głęboko, kiedy dociskała do mojej piersi zimną, płaską główkę stetoskopu. Otworzyłem usta, powiedziałem „aaa” i trochę się wzdrygnąłem, kiedy badała mi gardło lejkowatą lampką laryngoskopu.

Wpatrywała się w kartę i zadawała mi pytania. Wyszło na to, że pan Kenny Morton był takim staromodnym typem, co to do lekarek mówi „doktorko”, do policjantów - zapewne „panie władzo”, a do grubych nieznanym - „wielkoludzie”. Gościem, który drapie się w głowę z teatralną niepewnością, kiedy go zapytać, gdzie przyjmuje lekarz, u którego był ostatnio, i kiedy to było. Doktor Venezia-Karbach nie okazała zdziwienia na wieść, że pan Morton nie jest ubezpieczony i nie ma zatrudnienia.

Przez jedną gwałtowną sekundę wyobraziłem sobie schludny biały gabinet doktor V jako schludny biały gabinet w punkcie opieki nad pracownikami w zachodniej części terenu GGSI: wyobraziłem sobie, że jest ochlapany krwią, zalany posoką. Dwie martwe pielęgniarki. Jackdaw na wolności.

Doktor V zapisała wszystko w karcie i powiedziała, że jak na człowieka w moim wieku, mojego wzrostu i wagi jestem w dobrej kondycji. Kiedy spytała, co właściwie dziś mnie do niej sprowadza, uznałem, że dość już tego.

- No... - powiedziałem, zaczęły we mnie wzbierać emocje, zaczęły mnie dławić. - No... - Zsunąłem się ze stołu do badań i dałem upust rozpaczy. - Ten chłopak!

- Słucham?

Doktor Venezia-Karbach cofnęła się zaskoczona, a ja zdławiłem szloch. Ruszyłem przez mały gabinet i chwyciłem ją za ramiona.



- Ten chłopak, co go macie!

Mogłem to zrobić dużo zgrabniej. Dużo rozważniej i ostrożniej. Ale tego ranka nie najpewniej czułem się w siodle. Czułem się jak taran, chciałem tylko przeć i przebić się przez to wszystko. Jak powiedział Bridge, uciekając się do nietypowego dlań kolokwializmu - chciałem to wreszcie załatwić.

- Co pan wygaduje? - zapytała doktor V, marszcząc czoło, udając zdezorientowaną, odstawiając przede mną własny spektakl. - Jaki chłopak?

- No już - rzuciłem. - No proszę. Przyprawdzili do pani chłopaka. Linie Lotnicze, chłopaka, w niedzielę wieczorem. W poniedziałek rano?

- Proszę pana! - Doktor V, nie odwracając się, wychyliła nogę do tyłu i kopniakiem zatrzasnęła drzwi.

- Chłopaka!

- Bardzo pana proszę!

Czekałem, aż wyjąka jakąś wymówkę: o czym pan mówi, nie rozumiem. Ale było już za późno i ona o tym wiedziała; zdradziło ją spojrzenie, jej schludna lekarska maska zsunęła się, ukazując może nie tyle strach - a przynajmniej nie tylko - co osłupienie, że ktoś ją rozpracował. Płynnym ruchem okręciła się, zamknęła drzwi na klucz, a potem odwróciła się z powrotem. Przygładziła oburącz swój biały kitel, poprawiła przekrzywiony stetoskop, szczupłymi palcami przeczesła włosy.

- W porządku - powiedziała. - Co z nim?

- No... - A co mi tam, stwierdziłem. - Gdzie on jest?

- Nie wiem, a nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym panu powiedzieć. - Kiwnęła głową, szybkim, ptasim gestem. - A teraz, jak wspomniałam, badanie pokazuje, że nie ma pan powodów do obaw. Miłego dnia.

Ponownie przekręciła klucz i otworzyła drzwi, a ja ruszyłem przez gabinet, minąłem ją i z powrotem je zamknąłem. Ramiona doktor V napięły się, kiedy na mnie spojrzała. Dzielili nas tylko centymetry. Balansowałem na cienkiej linie. Jestem spory, nawet

jak na mężczyznę, a ona - drobna, nawet jak na kobietę, pomieszczenie było zaś małe i ciasne.

- To mój brat - powiedziałem szybko, właściwie już szepcząc. - Dobrze?

Wzięłem dwa głębokie oddechy. Powietrze między nami wzburzał ciepły powiew z systemu ogrzewania, poruszał krótkimi, nastroszonymi włosami doktor V i sprawiał, że przypominały białą trawę.

- Nie, że biologiczny, ale to mój brat. - To był południowy głos, głos OP. Krwawe ślady mojego prawdziwego głosu miały w moich ustach smak ziemi. - Wie pani, co to tam znaczy? Wychowani razem, jeden pilnował drugiego. Rodzina.

Uważałem, żeby nie powiedzieć, co to było za miejsce, ta plantacja, kopalnia czy platforma, na której pan Morton i Jackdaw spędzili dzieciństwo w niewoli. Pełne akta milczały na temat historii Jackdawa. Domyślałem się, że Barton i spółka nie wiedzą nic więcej, a zresztą nie podzieliliby się tym z lekarką zatrudnioną jako wolny strzelec do zajęcia się zbiegiem. Było to jednak niebezpieczne terytorium, więc pokonałem je szybko.

- Wychowywaliśmy się razem dziesięć lat, ja i on, ale potem go sprzedali. Bez ostrzeżenia, bez pożegnania. Tak to jest, wie pani?

Doktor V przyglądała mi się z rezerwą, krzyżując ramiona na piersiach, jej wzrok skakał tam i z powrotem po małym gabinecie. Parłem dalej.

- Mieszkam w Wisconsin. Mam tam swoich ludzi. I przez te wszystkie lata próbowałem go znaleźć, pisałem listy do wyzwoleńców z naszego dawnego miejsca, a teraz, odkąd jest internet, to wie pani, jest i łatwiej, i trudniej. Szukałem na forach, wpisywałem jego imię do wyszukiwarek. Rozglądałem się za kimkolwiek, kto odpowiadałby mu wiekiem, rysopisem, rozumie pani? Odkładałem pieniądze i w ogóle, zupełnie jakbym mógł zebrać tyle, żeby go wykupić. - Spuściłem wzrok, pokręciłem głową, drwiąc z samego siebie. Jakby biedny wyzwoleniec taki jak Kenny Morton mógł się dorobić pieniędzy na wykupienie człowieka z niewoli. Jakby prawo tego nie zabraniało. - A potem

nagle strzał w dziesiątkę, wie pani? Przez dziesięć lat nic, a potem pewnego dnia pojawia się jego imię. Chłopak imieniem Jackdaw, zbiegły duch z jakiejś szwalni w Alabamie. No więc najpierw pomyślałem, że jest tutaj. Zawsze gadał o Indianapolis. Nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy. Nawet nie wiem, gdzie usłyszał o tym mieście. Ale tak to wyglądało: „Jak się kiedyś stąd wyrwę...”. Wie pani, tylko gadanie. Nocne gadanie.

Castle i ja rozmawiający pod kocem, opowiadający sobie historie. Wyobrażający sobie wymyśloną przyszłość. Szepczący jeden do drugiego: „Chicago”. I udało się, prawda? Wydostaliśmy się, czyż nie? Nadarzyła się okazja – raz, dwa, trzy, jak podkowy wpadające z brzękiem na słupek – i ulecieliśmy.

– No więc tu przyjechałem i we Freedman Town ktoś mi powiedział, że pani jest tą doktorką, co przyjmuje zbiegów, przynajmniej czasami.

Oczy doktor Venezii-Karbach błysnęły. Rozkrzyżowała ramiona, żeby oprzeć pięści na biodrach. Nie podobało jej się, że o niej mówią. Wytrąciłem ją z równowagi. Wpatrywałem się w nią błagalnie, a ona odpowiedziała spojrzeniem. Za jej plecami nauczycielka z 1954 roku czekała na przyjście swoich uczniów, niespodziewana bohaterka w butach od Armii Zbawienia, otoczona niepewną przyszłością.

– Dobrze. Rozumiem. – Surowe spojrzenie doktor V złagodniało, a kąciki ust drgnęły. Zachowywała stanowczość w głosie, ale przychodziło jej to z trudnością. Coś jeszcze próbowało się wydostać, współczucie, empatia lub życzliwość. – Czego pan chce?

– Chcę go tylko zobaczyć – powiedziałem. – Nic więcej. Po prostu... zanim go wywieziecie. Na północ. Muszę go raz zobaczyć. Musi wiedzieć, że nigdy o nim nie zapomniałem.

Teraz oczywiście w oczach miałem łzy. Chyba jedyną sztuczką, która zawsze mi się udawała, było przywołanie łez. Nadal byłem prawie nagi, w samej bieliźnie, i to tylko potęgowało nerwową niezręczność tej rozmowy – to, że znaleźliśmy się w tej relacji: lekarz i pacjent, kobieta i mężczyzna.

- Ja tylko chcę, żeby wiedział, że nigdy nie pozbyłem się go z serca. Nigdy. Chcę go zobaczyć i mu to powiedzieć. Nic więcej.

Powinna była odpowiedzieć po prostu „przykro mi”. Powinna była odpowiedzieć, że nic nie może zrobić. Wyobrażałem sobie rygorystyczne instrukcje, które otrzymała od księdza Bartona, i surowość, z jaką nakazywał jej milczenie. Ale coś w niej drgało - drgało w niej jakieś uczucie. Ona chciała mi pomóc. Potrzebowała tego. To był rewers odruchowej nienawiści Slima i jego tłustego koleżki - osoba taka jak doktor V, biała liberałka, dziecko swojej epoki, chciała i potrzebowała pokazać biednemu czarnemu człowiekowi, który przyszedł do jej gabinetu, ubogiemu i żyjącemu prostą nadzieją, że nie jest taka jak szydlerczo uśmiechnięci rządcy i fundamentaliści tego świata, że ma sumienie. Że jest inna.

Barton na pewno zażądał, żeby milczała, żeby zachowywała się tak jak wtedy on w restauracji i wypierała się, że cokolwiek wie. Ale Bartona tu nie było - stanowił abstrakcyjny byt, ja natomiast siedziałem w jej gabinecie. Pan Morton był prawdziwy, czekał ze splecionymi dłońmi, patrzył na nią desperacko szeroko otwartymi oczami.

- Kłopot w tym - powiedziała lekarka powoli - że naprawdę nie wiem, gdzie on jest.

- Proszę posłuchać, nie chcę zrobić mu krzywdy - odparłem. - Zabrać go ani nic z tych rzeczy. Chcę tylko zobaczyć jego twarz. Chcę go jeszcze raz objąć.

- Pan nie słucha, co mówię. Nie wiem, gdzie on jest.

- Ale... ale pani u niego była. Pomyślałem sobie... Nie pomogła mu pani?

Przytaknęła nieznacznie, jak ptak, który najpierw opuszcza, a potem podnosi głowę.

- Pomogłam. Ale nie wiem, gdzie to było.

Cholera. Pieprzony klecha. Cwany, przebiegły, skryty mały hipokryta.

- Jak to?

- Dobrze, proszę posłuchać. - Znów przeczesła ręką włosy. - W tych... tych sytuacjach nigdy nie wiem zbyt dużo. Ktoś do mnie dzwoni. Nie wiem kto. Za każdym razem z innego numeru. Rozumie pan? Tak to się odbywa. Mam telefon, który mi dali, dzwoni, ja odbieram, a oni mi mówią, dokąd mam jechać.

- Dokąd?

- Do śródmieścia.

- Dokąd?

- Do centrum handlowego. Circle Centre Mall.

Kiwnąłem głową. Znałem to miejsce. W samym środku miasta. Parking tego centrum widać spod pomnika Abe'a Męczennika.

- Ale nie tam spotkałam się z chłopakiem. Tam po prostu czekał samochód. Taksówka, ale... specjalna. Podstawili ją tylko dla mnie.

Barton w działaniu: osobne operacje, telefony na kartę, kręgi wewnątrz kręgów.

- No więc dokąd zabrał panią ten samochód? Do niego?

- Tak, ale... miałam zasłonięte oczy.

Wsadzili ją do samochodu, wozili przez co najmniej godzinę, w kółko, najpierw na północ, a potem na południe, aż w końcu nie miała pojęcia, gdzie jest, i wreszcie wyprowadzili ją z auta i powiedli jakąś ścieżką. Nierówną pod stopami. Lekarka trochę się ślizgała. Ciągle miała zawiązane oczy. Kiedy zdjęli jej przepaskę, było ciemno, zupełnie ciemno, a potem ktoś włączył latarkę i on tam był.

- On tam był - powtórzyłem cicho, wspominając delikatną, inteligentną twarz, którą widziałem na zdjęciu. Doktor V również ją wspominała, stała przede mną cicha i zamyślona, ponownie przeżywała moment, gdy go zobaczyła. Znalazła w sobie trochę siły, zrobiła krok naprzód i położyła drobną dłoń na mojej dłoni.

- Powinien pan być szczęśliwy. Nigdy nie widziałam kogoś takiego jak ten młody człowiek. Nigdy. A teraz będzie wolny. Będzie cały i zdrowy.

Nie, nie będzie, pomyślałem. Bo nie jestem cholernym panem Mortonem i zbliżam się do celu. Jestem wilkiem i znajdę go,

dzisiaj, ponieważ Bridge powiedział: „Jeśli nie znajdziesz tego człowieka...”. Rzuciłem doktor Venezii-Karbach słaby, wodnisty uśmiech.

- Ale faktycznie nic mu nie jest? Co to za miejsce, gdzie go trzymają?

- Nie wiem, naprawdę. - Smutno pokręciła głową. - To było jakieś pomieszczenie. Nie wiem. Mieli generator, ale ciągle szwankował, więc bez przerwy migają światła.

- Czyli... coś jakby pusty budynek?

Mój mózg pracował. Pędził w różnych kierunkach - dzielnica magazynów, opuszczone domy, niedokończone projekty budowlane.

- A te wszystkie pani rzeczy? - Wskazałem gestem gabinet: stetoskop, laryngoskop, szpatułki, gazę. - Te wszystkie lekarskie rzeczy?

- O nie - odparła. - Wszystkie przybory wzięłam ze sobą. Tam nie było... nie, nic tego typu.

W myślach teraz tam była. W tamtym miejscu. Norze. Kryjówce. Widziałem, że ją widzi. Czuje ją. Nachyliłem się.

- O co chodzi? - zapytałem. Prosto i cicho. - Co jest?

- Tam był... - Pokiwała głową. Zmrużyła małe ptasie oczy, przypominając sobie. - Jakiś dźwięk, dziwny. Szum. Jakby rur. Jakby wody płynącej w rurach.

- W rurach? Czyli... w podziemiu? Jakaś piwnica albo...

- Możliwe. Może. Nie wiem. To... to chyba już wszystko, co wiem. Dobrze? Chyba tylko tyle mogę panu powiedzieć.

Z jej strony to był koniec. Coraz częściej nerwowo oglądała się przez ramię na drzwi, jakby w każdej chwili mogła w nich zobaczyć kolejnego pacjenta albo pielęgniarkę, albo samego księdza Bartona, piorunującego ją tymi bladymi oczami, lewitującego pół metra nad ziemią, celującego w nią palcem, piętnującego ją jako zdrajczynię Sprawy.

- Pani doktor - powiedziałem. - Bardzo pani dziękuję. Naprawdę. Jeśli tylko zobaczę jego twarz...

Szybko pokiwała głową.

- Tak, tak - powiedziała, a coś w tym jej szybkim geście oraz ruchu warg kazało mi się zastanawiać, czy może nie jest to tylko poczucie winy, ale także strach. Kim w ogóle był ten Barton? Co to za mściwy starotestamentowy ojciec?

Podziękowałem doktor Venezii-Karbach chyba z milion razy. Uniżenie. Pokornie zapewniłem, że nie zdradzę jej zaufania. Uśmiechnęła się smutno, przyglądała kitel i znów nałożyła profesjonalną maskę.

- Ale tak w ogóle... - odezwałem się, kiedy już prawie przestąpiłem próg, kiedy już prawie mi uciekła. - Mam jeszcze jedno szybkie pytanie, jeśli można.

- Nie, proszę pana, przykro mi. Ja nie...

- Proszę.

- Dosyć pytań.

- Pani doktor, tylko... Dlaczego on potrzebował lekarza?

Jeden raz wypróbowałem smycz. Wypróbowałem ją na samym początku. Wiele lat temu. Chyba przekonałem sam siebie - wpatrując się w stuporze w hotelowy sufit, leżąc bezsennie, tak jak przez wiele nocy na samym początku, prawie każdej nocy przez pierwszy rok - że cała ta sprawa to kit, to oszustwo. Odurzili mnie, na dwie godziny zamroczyli opiatami, a kiedy się ocknąłem, powiedzieli o malutkim chipie, który wszczepili mi do układu nerwowego, tam, gdzie kręgosłup styka się z mózgiem, i który od tej pory będzie im wyśpiewywał moje położenie.

Gówno prawda, pomyślałem sobie. Takie rzeczy są niemożliwe, a ja jestem głupi, że w to uwierzyłem. Więc przestałem wierzyć.

Pamiętam, że to był pierwszy raz, kiedy Bridge zlecił mi kobietę. Nosła imię służbowe Darling. Namierzyłem biedną Darling w Idaho City i miałem obserwować dom jakiejś jej krewnej, chyba kuzynki, ale zamiast tego ukradłem z domu towarowego ubrania na zmianę i wsiadłem do autobusu do Oregonu. Miałem niejasny plan, że stamtąd pojedę stopem na północ do Port Angeles, gdzie ukryję się na promie do Victorii. Ale kiedy wysiadłem z autobusu w centrum Portland, moim oczom ukazało się trzech mężczyzn

w ciemnych garniturach, którzy pili kawę. Wszyscy wstali jednocześnie, a ja zawróciłem, wsiadłem z powrotem do autobusu, wróciłem do Idaho i dokończyłem zadanie, a potem kolejne. Pan Bridge nigdy nie wspomniał o tej sprawie. Nigdy nie spytał: „Jak się udała podróż?”. To nie w jego stylu.

Chip nie był żartem. Nie był ściemą. Wszystko jest możliwe. Wszystko jest realne.

Ta kobieta w Idaho, Darling, wcale nie była kobietą. Była tylko dziewczynką. Ledwie dwunastoletnią.

Pamiętam ich wszystkich.



# 18.

**Nad moim samochodem** unosiła się kręta strużka dymu. Widziałem ją przez dwa pasy Dwunastej Ulicy, między rozłożonymi bezlistnymi ramionami wiązu a wygiętym pniem latarni. Pasemko dymu, wznoszące się gdzieś znad maski, wznoszące się, rozchodzące i rozwiewające w bladym świetle dnia niczym egzorcyzmowany duch. Prędko ruszyłem przez jezdnię i przez jedną szaloną sekundę myślałem, że coś nie tak z silnikiem mojej małej, kochanej altimy - że nawalił, stanął w płomieniach, a teraz stał i się tlił.

Ale nie, oczywiście, że nie. W połowie nierównej ulicy zwolniłem. Dym z papierosa. To wszystko. Ktoś opierał się o samochód po drugiej stronie i palił szluga, czekając na mnie.

To musiał być Maris. Trochę pogrzebał - albo zrobił to Barton. Rozszyfrowali mnie i odkryli, że w Karolinie nie ma żadnej Gentle, że żaden Dirkson nie istnieje. Rozejrzałem się po ulicy - czy już za późno na ucieczkę? Wypatrywałem świadków i kryjówek. Znajdowałem się na środku jezdni. Zmusiłem się do odwagi, wyobraziłem sobie, że mam broń, ciężkiego colta w przedniej kieszeni płaszcza, że obija mi się o biodro jak talia kart.

To była ta dziewczyna, ta biała dziewczyna. Martha. Włosy miała spięte chińską pałeczką. Na jej twarzy malowało się wahanie, nieśmiała nadzieja.

Poczułem taką ulgę, że niemal się roześmiałem. Prawie ucieszyłem się na jej widok - i jeszcze jej synka, Lionela, ubranego w dres za duży o numer lub dwa i ze sportowymi paskami na górze i dole, zasłuchanego w swoją muzykę, bujającego głową do przodu i do tyłu jak wąż, podskakującego na piętach obok samochodu. Nie zauważył mnie, ale Martha owszem, zabawnie mi pomachała, jakby porozumiewawczo, i uśmiechnęła się trochę z zażenowaniem. Paliła takiego

brzydkiego, ręcznie skręcanego hipsterskiego papierosa, z „etycznie pozyskiwanym” tytoniem z wolnych upraw i w ogóle.

- Ojejku - powiedziałem. - Jak się masz?

- To wariactwo - odparła. - Wiem. Wiem, że to wariactwo.

- Co?

- No dobra. Więc... muszę cię prosić o przysługę.

Co mogłem powiedzieć? Co powiedziała Dirkson? Co chciałem powiedzieć? Powiedziałem: „jasne”. Wyciągnęła fotelik z tylnego siedzenia swojego kanciastego południowoafrykańskiego hatchbacka, który zostawiliśmy zaparkowany przy Meridian Street. Pojechaliśmy - Lionel z tyłu, a Martha z przodu obok mnie, z dłońmi splecionymi przed sobą na brzuchu.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem.

- No... chyba tędy - odpowiedziała cicho, więc ruszyłem tam, gdzie pokazała, Meridian Street prosto na południe.

- No więc... - zacząłem, a ona się uśmiechnęła, promiennie, ale krótko.

- No więc... - odparła, jakby to wszystko było zupełnie normalne, jakbyśmy robili to codziennie. - Byłeś u lekarza?

- Tak. Byłem.

- Wszystko w porządku?

- O, tak, dziękuję. Wszystko dobrze. - Byłem Dirksonem. Miałem okulary na nosie. Trzymałem ręce na kierownicy w pozycji za dziesięć drugą. - To drobiazg. Poślizgnąłem się i tyle. Wczoraj wieczorem pracowałem, poślizgnąłem się na chodniku i skręciłem kostkę. Nic wielkiego, ale ci w Dżakarcie... no wiesz, każdy drobiazg... ubezpieczenie i tak dalej...

Za dużo mówiłem, polerowałem to moje głupie kłamstwo, aż świeciło. Ona i tak przestała słuchać. Patrzyła przez okno. Miała na nosie tanie okulary przeciwsłoneczne typu „kocie oczy”, które jakimś cudem idealnie pasowały do plastikowej pałeczki w jej włosach. Oraz vintage’ową sukienkę w tureckie wzory na ciemnogrnatowym tle. Miała też pierścionek, takie tanie kółko ze sztucznego złota kupione w centrum handlowym, a gdy jechałem, bez przerwy wsuwała go i zdejmowała, wsuwała

i zdejmowała, niespokojnie przekładała z palca na palec, jakby grała z samą sobą w trzy kubki. Tym, co przywykłem widywać u młodych ludzi, była pewność siebie, beztroskie poczucie, że świat do nich należy. Ta Martha też to miała – nawet teraz szperała mi w schowku, przeglądała kasety, jak gdyby nigdy nic – ale była to tylko cienka powłoka, tylko na wierzchu. Pod spodem kryły się niepokój i strach.

- Mogę? – zapytała Martha, do połowy wsunąwszy kasetę do magnetofonu.

- Oczywiście.

The Jackson 5 zaśpiewali *Who's Lovin' You*. Z przodu Michael, w tle zwarte, wysokie harmonie w wykonaniu jego starszych braci.

Zerknąłem na Marthę, która wyglądała przez boczne okno po stronie pasażera, i znowu to zobaczyłem, czarny prostokąt wytatuowany na szyi, a pod nim skrawek kremowobiałej skóry i blad różowego stanika. Zacerwieniłem się, skołowany i dziwnie zły. Na tylnym siedzeniu Lionel kołysał głową jak robot. Za szybą przemykały witryny sklepów. Zaopatrzenie medyczne, dywany orientalne, budynki na wynajem.

- Dobrze – powiedziałem. – Chyba wcześniej czy później będę się musiał dowiedzieć, dokąd jedziemy.

- Oczywiście – odparła. – Tak. – Szybko obejrzała się na Lionela: wyłączonego z rzeczywistości, bujającego się razem z Michaelem, pogrążonego we własnym świecie, a potem zaczęła. – No więc dobrze, potrzebuję tak jakby... eskorty, chyba. To znaczy... zwyczajnie przyjaciela. Muszę załatwić sprawę, spotkać się z taką jedną panią. To... po prostu coś do załatwienia. Myślałam, że przyjedzie do hotelu, ale powiedziała, że to ja muszę przyjechać do niej.

Pryncypialny pan Dirkson trochę zmarszczył czoło.

- Czy to ma związek z posadą w służbie zdrowia? – zapytał, a Martha odpowiedziała:

- Niezupełnie.

Mnie tymczasem w głowie przewijały się różne możliwości. Narkotyki? Broń? Łatwo sobie wyobrazić, że Martha, samotna matka w ciuchach z second-handu, męczy się z wielkim długiem, który próbuje spłacić.

Nadal nie mówiła, dokąd jedziemy - po prostu jechaliśmy. Skręciłem w prawo w Szesnąstą Ulicę. Zatrzymałem się na światłach na skrzyżowaniu z North Capitol Avenue.

- I poradzono mi... Boże święty, jak to sztywniacko brzmi. - Martha ironicznie przybrała dystyngowany ton drogiego prawnika. - Poradzono mi, żebym nie szła tam sama. Wiesz, jako... - Spojrzała na mnie. Światło zmieniło się na zielone. - Jako dziewczyna.

Nie powiedziała „jako biała dziewczyna”, ale ten przymiotnik i tak był teraz z nami w kabinie samochodu. Skinąłem głową.

- Ale... No bo ty... ty pomagasz. To oczywiste, że jesteś dobrym człowiekiem. Więc pomyślałam...

Nic nie mówiłem, świadom, że Martha przypisze moje milczenie nieśmiałości czy skromności, a tak naprawdę byłem przerażony tą koszmarną myślą, tą mroczną, bolesną ironią losu, że ktoś mógł mnie wziąć za dobrego człowieka - że to mogło być „oczywiste”. Zamrugalem, żeby się ocknąć, i skręciłem w lewo w Dr. Martin Luther King Jr. Street. Już się domyślałem, dokąd jedziemy. Już to czułem. Michael wszedł w ostatni refren, wzbił się w te dźwięki jak aniołek.

- Nie mogę ci nawet zaproponować pieniędzy. Mam totalne zero kasy. Ale będę ci dłużna. Zapłacę ci, może nawet dzisiaj. Może nawet po tym spotkaniu. - Odetchnęła. Patrzyła na mnie śmiałym, choć nerwowym wzrokiem znad kocich okularów. - To co myślisz?

Jedyna logiczna odpowiedź brzmiała: „nie”. Byłem na tropie. Już widziałem linię mety. Bridge siedział mi na karku, w głowie wyły mi duchy przeszłości.

- No to dokąd? - zapytałem.

Miała to na kartce. Wygrzebała ją z kieszeni dzinsów. Adres był zapisany na sreberku od gumy do żucia.

- Jest. Róg Dziesiątej i Belmont.

Kiwnąłem głową. Jasne. Już byłem w drodze.

- Freedman Town.

Wiedziałem, jak to jest nakłonić kogoś, żeby coś zrobił, chociaż sam nie wie dlaczego. Przymusić. Do udzielenia informacji, podania adresu. Robiłem to codziennie. Nie orientowałem się, w co się pakuję - czy to jakiś szemrany dil, czy może wieziemy forszę paru karkom, żeby dali nauczkę byłemu chłopakowi Marthy. Na ile potrafiłem ją rozszyfrować, nie wydawało mi się to prawdopodobne, ale ludzie mają warstwy. Ludzie sięgają głęboko. Sięgają samego dna.

Dotarliśmy do nędznego dwupasmowego mostu przy wjeździe do Freedman Town, przerzuconego nad powoli płynącym brunatnym nurtem White River. Cieszyłem się, że uczestniczę w tajemniczej wyprawie Marthy Flowers. Całymi dniami w ten czy inny sposób zmagamy się z własnymi problemami, z własnym gównem. To miłe uczucie - przez krótką chwilę zająć się cudzym gównem.

- Wow - powiedziała Martha. - Boże.

Jechałem ulicami bardzo ostrożnie - tutaj to było konieczne. W nawierzchni dziury wielkości kraterów, na jezdni kamienie i butelki. Zdewastowana, apokaliptyczna przestrzeń Freedman Town.

Lionel wyciągał szyję w swoim foteliku i zaciekawiony patrzył przez okna.

Już tutaj byłem. Nie w tym Freedman Town, ale w wielu innych. Zjeździłem całą Północ, a każde północne miasto ma taką dzielnicę. Nowy Jork nawet kilka, Chicago jeszcze więcej. Baltimore, Waszyngton. Wyzwoleńcy muszą gdzieś się podziąć, a świat nie daje im wielu możliwości. Dzielnice różnią się szczegółami. Niektóre zbudowano jako osiedla wysokościowców - powyginanych wież stłoczonych wokół podwórek, wypełnionych po brzegi najbiedniejszymi z biednych, żyjącymi w niedoli, zapomnianymi dziećmi zapomnianych dzieci. Inne są takie jak tutaj: niekończące się kwartały małych, rozklekotanych budynków

z podwórkami zachwaszczonymi niczym opuszczone działki, przecięte wąskimi ulicami bez chodników, pokrytymi zniszczonym, kruszącym się betonem. Domy porastały zachodzące na siebie pnącza bluszczu, który pochłaniał dolne piętra i zapuszczał groźne macki do okien na górnych. Rynny były popękane lub dyndały w powietrzu, werandy się rozsypywały.

Domyśliłem się, że Martha nigdy tu nie była. Martha nigdy nie widziała czegoś podobnego.

- Tutaj - powiedziała. - Czy możesz... Zatrzymajmy się tutaj, dobrze?

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Przygryzała mały palec. Znajdowaliśmy się jeszcze o przecnicę od adresu, który mi podała. - Daj mi sekundkę.

Jej niepokój był żywą istotą, pulsował w powietrzu między nami, krążył w klimatyzowanej kabinie altimy. Martha bawiła się zausznikiem okularów, przesuwając go sobie po skroni. Obok samochodu powoli przejechał dzieciak na deskorolce, balansując z wiadrem na głowie. Drugi drwił z niego, żeby nie upuścił - „Uważaj, młody... no uważaj... powoli i ostrożnie” - a potem zarżał ze śmiechu. Jakaś kobieta pchała wózek dziecięcy, który cudem jechał naprzód, mimo że rozmawiała przez telefon i paliła papierosa. Dziecko w wózku, dwu- albo trzyletnie, radośnie bawiło się zamkniętą butelką napoju. Na schodkach jednego z domów siedziała garstka młodych twardzieli, jarali fajki i patrzyli hardo na ulicę - to był ten autentyk, właśnie do czegoś takiego aspirowali moi znajomi z Mapleton-Fall Creek. Na naszych oczach, powłócząc nogami, podszedł do nich jakiś człowiek, otworzył pudełko po butach, proponując im zakup czegoś, co miał w środku, a oni pogonili go jak królowie.

Ulicą włączył się zygzakiem duży, paskudny pies, wielki jak wilk, ciągnąc za sobą smycz.

- Nie do wiary - powiedziała posepnie Martha. - To jest, kurwa, nie do wiary.

- Wyrażaj się, mama!

- Przepraszam, misiu. - Sięgnęła do tyłu i poklepała chłopca po kolanie, ale Lionel był gdzieś indziej, patrzył przez okno i stukał się palcem w nos jak dziecko skupione na jakimś problemie matematycznym.

Ja już tego nie czułem. Dawno przestałem, zatraciłem to uczucie, które towarzyszy człowiekowi, gdy po raz pierwszy trafia do Freedman Town, to surrealistyczne oszołomienie, że takie miejsce w ogóle istnieje. Że w dwudziestym pierwszym wieku wcale nie mała połączyć dużego miasta w bogatym, uprzemysłowionym kraju jest w tak opłakanym stanie. Niewidzialne miasto, unoszące się niczym martwa wyspa na szerokich wodach cywilizacji.

Policyjny radiowóz powoli toczył się ulicą z podniesionymi barwionymi szybami. Syrenę miał wyłączoną, ale koguty migały wolno na czerwono i niebiesko, czerwono i niebiesko. Radiowóz nie zmierzał do żadnego pilnego wezwania, po prostu tak jechał. Na masce ktoś napisał sprejem: POLICJA TO PATROL.

- Wiesz co? - powiedziała Martha. - Nieważne.

- Co nieważne?

- Tak w ogóle. Nie chcę... - Obejrzała się na Lionela, który na nią patrzył. Miał tę swoją niespokojną dziecięcą minę, usiłował odczytać z twarzy matki, jak poważna jest sytuacja.

Radiowóz przepłynął obok nas jak rekin, skręcił w prawo i zniknął.

- Dobrze - odparłem w zamyśleniu, uruchamiając silnik. - Jasne.

Puknięcie w boczną szybę, trzy puknięcia, łup, łup, łup. Za oknem czyjeś potężne cielsko przesłoniło słońce. Okno po stronie Marthy wypełniał inny mężczyzna, równie wielki jak ten u mnie, który właśnie pokazywał gestem, że bym opuścił szybę.

Nie miałem broni. Nie mogłem jej wziąć na wizytę u lekarki. Widziałem ją, wyobrażałem sobie jej wielkość w sejfie pokoju hotelowego w Capital City Crossroads. Otworzyłem okno i wyjrzałem, mrużąc oczy. Zobaczyłem olbrzymiego czarnoskórego faceta w daszku golfowym i skórzanej kurtce nałożonej na obcisły T-shirt. Twarz miał dziobatą po trądziku

i wielką jak księżyc. Nachylił się do kabiny, a potem odezwał się nade mną do Marthy:

- Ty jesteś Wanda?
- Tak. - Fałszywe imię. Rzuciła mi spojrzenie, a potem zapytała:
- Pracujesz z panią Walker?
- A jak - zadudnił kolos. - To moja mama.
- Aha. Okej. Słuchaj, możesz jej powiedzieć, że przepraszam, ale to już nieważne? Zmieniłam zdanie. Dobra?
- Koleś z daszkiem wyglądał na rozbawionego.
- Jasne. Dobra.
- Więc jej powiesz?
- Sama jej powiesz. - Szarpnął moje drzwi, a drugi wielkolud, tych samych rozmiarów i ubrany identycznie jak pierwszy, otworzył drzwi Marthy.
- Chodź - odezwał się tamten. Bez niespodzianki: jego basowy głos również przypominał grzmienie odległego pioruna. Drugi z braci miał na przodzie dwa nadłamane zęby. Tylko tym się różnili.

Martha szybko pokiwała głową, jasne, nie ma sprawy, i oblizwała usta.

- Słuchaj, Jim - rzuciła, kładąc mi rękę na kolanie. - Mógłbyś tu zostać i popilnować...
- Akurat - mruknął wielkolud numer jeden. - Wszyscy idą. Wszyscy wysiadać. - Pociągnął tylne drzwi i wskazał na Lionela. - Ty też, młody.

Moim kierownikiem w Chicago, w tamtym sklepie Townes, gdzie pracowałem, był dobroduszny czarnoskóry mężczyzna o imieniu Derrick, który czasami podwoził mnie do domu. Zawsze wtedy jechaliśmy na południe po Lake Shore Drive i naszym oczom ukazywała się kupa szpetnych wieżowców Freedman Town. Derrick kręcił wtedy głową i mówił:

- Chciałbym to zrozumieć. Chciałbym zrozumieć, dlaczego nie można tego zburzyć. Przecież musimy być w stanie zapewnić tym ludziom coś lepszego. Nie sądzisz?



- Oczywiście - odpowiadałem i mówiłem to szczerze.

Teraz widzę sprawy inaczej. Zajęło mi to trochę czasu, ale poznałem tajemnicę. Freedman Town odgrywa potrzebną rolę - oczywiście nie dla ludzi, którzy tam mieszkają, Boże broń, nie dla ludzi, którzy utknęli tam z powodu biedy, uprzedzeń, praw, które uniemożliwiają im pracę albo przeprowadzkę. Istnienie Freedman Town jest ważne dla reszty świata. Świata, który - jak Martha - patrzy z oddali, w ciemnych okularach, wystraszony, ale bezpieczny. Wystarczy stworzyć taką zagrodę, zmusić ludzi, żeby żyli w niej jak zwierzęta, a wtedy inni mogą wytykać ich palcami i mówić: „Patrzcie na te zwierzęta. Właśnie tacy są ci ludzie”. Ta myśl bije z Freedman Town niczym dym z komina, „czarny” zaczyna znaczyć „biedny”, a „biedny” zaczyna znaczyć „niebezpieczny”, wszystkie te słowa mieszają się i stają jedną ciemną ideą, chmurą dymu, która niczym brudny opar zasnuwa resztę kraju.

Maszerowaliśmy powoli, jeden z dryblasów pani Walker z przodu pochodu, drugi z tyłu, eskortowali tę dziwną rodzinę, prowadzili nas szeroką, wyjeżdżoną ulicą obok drzwi pomalowanych graffiti, obok zepsutych samochodów i chałup ze sklejki, obok wykopanych w ziemi palenisk, znad których wzbijały się strużki dymu, i obok postrzępionych hamaków rozciągniętych między drzewami.

Z pozoru Lionel nie zdradzał żadnych oznak strachu - podskakiwał na piętach, rozglądał się na wszystkie strony. Ale mniej więcej w połowie drogi między przecznicami chwycił mnie za rękę, a ja ścisnąłem jego dłoń, z początku niezgrabnie, czułem, jak paluszki chłopca poruszają się w mojej zamkniętej pięści niczym ciekawskie zwierzątka.

# 19.

**Powiedz mi** jeszcze raz, skarbie, skąd ja cię znam?

- Nie zna mnie pani - odparła Martha. - Moja przyjaciółka Anika zna pani wnuka Wayne'a.

- Wayne'a z Gary?

- Nie, proszę pani. Wayne'a z New Albany.

Kobieta siedząca po królewsku na końcu długiego stołu jadalnianego parsknęła i pogroziła palcem.

- Wnuk? Błagam, skarbie. Tamten Wayne to nie jest moja krew. Chrześniak. To mój chrześniak. - Powoli zaciągnęła się cienkim papierosem i strząsnęła popiół do kubka po soku. - On ciągle tam siedzi?

- Teraz jest chyba w Louisville.

- Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Głupi jest. Głupi i ograniczony. To dwie różne rzeczy, ale u niego są obie. Trzymaj się z daleka.

- Dobrze, proszę pani. Zapamiętam.

- Przestań do mnie mówić „proszę pani”, skarbie. Wszyscy mi mówią „Mama”.

- Dobrze.

Martha uśmiechnęła się, nieznacznie, jej twarz i ciało były sztywne. Nie powiedziała do kobiety „Mamo”. Nie czuła się z tym wszystkim komfortowo. Okulary przeciwsłoneczne leżały równo złożone na stole obok niej, jakby grała w karty, a one były stawką, którą jest gotowa postawić, gdyby musiała. Nieduże pomieszczenie wypełniała zieleń: rośliny w doniczkach i wazy z kwiatami, które jakimś cudem miały się świetnie w nisko wiszącym dymie szmuglowanych cameli Mamy oraz trawki preferowanej przez jej synów, którzy nas tu doprowadzili.

Mama Walker była w średnim wieku, ale nie dało się stwierdzić, jak średnim: gdzieś tak od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu.

Kiedyś była piękna i teraz w pewnym sensie też, szorstkim pięknem starszej kobiety. Miała ciemną skórę i zmarszczki na twarzy, zwłaszcza w kącikach ust. Jej oczy były żywe i uważne, lśniła w nich czujność, wzrok biegał na wszystkie strony jednocześnie. Na wszystko zwracał uwagę.

- Ci dwaj to moje maleństwa - powiedziała nagle Mama Walker, odwracając się do mnie i wskazując obu mężczyzn dłonią z papierosem. - Bliźniaki. Uwierzylibyście?

Spojrzałem na nich, a wtedy maleństwa Mamy jednocześnie skinęły głowami. Bracia siedzieli na dwuosobowej kanapie, dwa olbrzymy jeden obok drugiego, dwaj futboliści z formacji obronnej, którzy nie grali od pięciu lat, więc dawna muskulatura schowała się głęboko pod warstwami tłuszczu. W pokoju na tyłach mieszkania była też gromadka dużo młodszych dzieci, siedziały na ciężkiej sofie oraz wokół niej. Lionel, zachęcony przez Mamę Walker, dołączył do nich i natychmiast pochłonięła go jakaś tandetna kreskówka, która leciała na telewizorze plazmowym naprzeciwko sofy.

Mama Walker zgasiła camela i wyciągnęła następnego.

- Wiem, fajki niedoli. Ale nie daję rady palić tych indyjskich. Mam wyrzuty sumienia i w ogóle, ale tamte smakują jak krowie gówno. To ile masz lat, skarbie? - Wzmianka o papierosach z niewolniczych plantacji skierowana była do mnie, a pytanie do Marthy.

- Trzydzieści dwa.

- Trzydzieści dwa. Trzydzieści dwa. - Mama przyjrzała się Marcie uważnie, krytycznie, jakby oglądała drogą biżuterię. - Ciężki wiek dla nas, kobiet, co?

- Tak. Jasne.

- Choć z białymi dziewczynami chyba jest inaczej.

Martha skrepowana wzruszyła ramionami.

- Chyba.

- Dla białych dziewczyn wszystko jest inaczej.

Znowu zadawałem sobie pytanie, co tu się, u diabła, dzieje. A także - jak ja się w to wplątałem.

- No i jeszcze, żebym miała jasność. - Mama skinęła podłużną głową w stronę pokoju na tyłach, w stronę Lionela. - Mały jest twój, tak?

- Mój - odpowiedziała Martha, patrząc czule na chłopca. - To prawda.

Mama powoli pokiwała głową. Patrzyła na chłopca, oceniała jego karnację, szacowała jego kolor skóry równie bacznie, jak ja w przypadku Jackdawa - w przypadku każdego zbiega, którego w życiu ścigałem. Mama Walker, stwierdziłem, wcale o tym nie myśląc, wcale nie chcąc o tym myśleć, to średnia sosna, ton czerwony, numer 211 lub 212.

- Czyli co? - Kobieta skierowała wzrok na mnie. - Ty jesteś tatuś?

- Nie, proszę pani - odparłem, a Martha prędko dodała:

- To tylko przyjaciel.

- Tylko przyjaciel - powtórzyła Mama Walker cichym, spokojnym głosem, prawie szeptem. - Tylko przyjaciel. - Nachyliła się, wydmuchnęła dym kącikiem ust i poklepała mnie w kolano. - Miło cię poznać, Tylko Przyjacielu.

Przy drzwiach Bracia Walker na zmianę pociągali buchły z fiki.

- No to gdzie tatuś?

- No... - Martha nieznacznie pokręciła głową. - Nie chcę o tym rozmawiać.

- Nie chcesz? - Uśmiech Mamy zniknął. - A dlaczego?

- Naprawdę chcę tylko... no, wie pani, załatwić interesy.

- A, tak. Oczywiście.

Przy drzwiach rozległo się pstryknięcie zapalniczki, więc zerknąłem na synów: syn numer dwa ponownie zapalał cienką fikę, a syn numer jeden patrzył w przestrzeń. Z telewizora huknął jakiś żart, jeden animowany węgorz elektryczny przygadał drugiemu i wszystkie dzieci ryknęły śmiechem. Lionel śmiał się razem z nimi, zupełnie odprężony.

- Ale wiesz co? Ja chcę o tym porozmawiać, chociaż przez chwilę. Chyba nie masz nic przeciwko temu? - Mama Walker

wbiła wzrok w Marthę. – Co ty na to, żebyś zgadła, co się z nim stało?

– No... – Martha wykręcała palce. Na jej twarzy malowało się cierpienie. – Może być...

– Zgaduję, że zabili go biali. – Mama Walker powiedziała to bez trudu, niemal wesoło. – Przez ciebie. Zgadza się? Blisko jestem? – Martha się nie odezwała, ale Mama stwierdziła: – Tak myślałam. – Zupełnie jakby otrzymała odpowiedź. – Oni tacy są, wiesz. Trzeba uważać. Północ czy nie, z niektórymi sprawami trzeba ostrożnie. Białe się nie cacka, prawda Tylko Przyjacielu?

– Prawda – powiedziałem.

– Dam wam mały przykład, nie? Widzicie cały ten burdel? – Wskazała za okno na zaśmieconą ulicę. – Tu kiedyś wszędzie było zielono. Rostała bujna flora. Tak się mówi, Marv?

– Tak, Mamo – potwierdził grubym głosem jeden z jej synów.

Nagle Martha wstała.

– Przepraszam, że zawracaliśmy pani głowę – powiedziała blisko płaczu. – Lionel, kochanie!

Lionel spojrział na nią z kanapy, ale tymczasem jeden z braci Walker również się podniósł – nie Marv, ten drugi.

– Siadaj, dziewczynko – rzucił. – Mama mówi.

Martha usiadła. Lionel znowu skupił się na telewizorze. Mama zachowywała się tak, jakby nikt jej nie przerywał.

– Kiedyś rosła tu bujna flora. Tak mówią. Zanim ja przyszedłam na świat, rozumiecie. Zanim urodziła się moja mama i jej mama. Płynął tutaj strumień. Taki mały. Mam tu gdzieś mapę, ale można go znaleźć samemu, jak się człowiek przebiję przez psie gówna i potłuczone szkło, można znaleźć, wiecie, jego ślady, tam, gdzie kiedyś płynął, bardzo dawno temu. No ale białym, którzy planowali to miasto, się nie podobało. Że ta rzeczka jest, gdzie jest. Więc po prostu – szybkim ruchem machnęła dłońmi – zepchnęli ją pod ziemię. Zaczęli budować nad nią. Widzicie? Rozumiecie?

Czekała. Chciała usłyszeć odpowiedź.

– Tak – szepnęła Martha.

Ja zdjąłem okulary i przetarłem je koszulą. Od strony drzwi niósł się dym palonego zielska.

- Zepchnęli tą rzeczku pod ziemię i zbudowali nad nią to swoje kurewsko brzydkie miasto. Tacy właśnie są. Co im się nie podoba, czego nie lubią, to albo wykorzystają, albo zabiją, albo zakopią i więcej o tym nie pomyślą. Rozumiesz?

Martha miała teraz zamknięte oczy.

- Rozumiem.

- Więc to właśnie zrobili... Otwórz oczy, skarbie. Otwórz. - Martha posłuchała. - To właśnie zrobili z ojcem twojego chłopaka. Oni. Biali.

- Przepraszam. - Martha znowu zamknęła oczy. Przepraszała, że tu przyszła. Przepraszała, że jest biała. Ale żadnej z tych rzeczy nie dało się cofnąć. - Ja tylko potrzebuję pomocy.

- Co ty powiesz, mała. Każdy, jak tu przychodzi, potrzebuje pomocy. Każdy na świecie jakiejś potrzebuje, no nie? Prawda, Tylko Przyjacielu?

Choć raz Jim Dirkson i ja byliśmy w pełnej synchronizacji, równie zmieszani. Uśmiechnąłem się ostrożnie za nas obu.

- Prawda.

- I tylko pytanie do ciebie, jaka to ma być pomoc. Przyglądam ci się, ładna biała panno. Ładne białe panny nie wpadają tutaj po coś do nosa. - Martha przytaknęła, drżąc lekko, bawiąc się włosami u nasady karku. - Ładne białe panny nie wpadają tutaj po coś w żyłę. A już za chuja nie potrzebują papierów. Nie szukają cipki. A może... - Mama Walker uniosła brwi, a Martha szybko pokręciła głową. - Nie. Czyli ładna biała panna nie przyszła tu po ruchanie, po ćpanie ani po wolność. Więc czego jej trzeba?

Żałowałem, że nie znam Marthy na tyle dobrze, żeby wziąć ją za rękę, żeby pod stołem uspokajająco poklepać ją po kolanie. Nie mogłem tego zrobić - w tym właśnie rzecz, że w ogóle jej nie znałem. Byłem tylko pasażerem.

- Na pewno kasy dla maleństwa. Nie, chłopcy? - Na ten sygnał bracia Walker jednocześnie pokiwali głowami. To było

przedstawienie, to była część stałego przedstawienia. - Czyli pytanie: ile kasy małeństwo potrzebuje?

Martha oparła dłonie płasko na stole, żeby się uspokoić. Za nią dostrzegłem przez okno jakiś ruch - znowu przejeżdżał radiowóz z wolno migającymi kogutami.

- Dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset.

Cienkie brwi Mamy poszły w górę.

- Dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset dolarów?

Martha kiwnęła głową - to był ruch głową małej myszki. Mama podniosła głos, zwracając się do swoich chłopców, jakby byli publicznością w studiu:

- Dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset. Uwierzycie?

Nie wierzyli. Pokręcili głowami, obaj jednakowo zaskoczeni, bardzo powoli, w prawo i w lewo. Ja też nie mogłem w to uwierzyć. Przekrzywiłem głowę, patrząc na tę dziewczynę w nowym świetle - na tę Marthę, Wandę czy jak ona się naprawdę nazywała. Mama odchyliła się na krześle i wyciągnęła następnego długiego camela.

- Dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset - powtórzyła, zapalając papierosa. - Ta liczba jest bardzo... Elton, jakiego słowa szukam?

- Konkretna - powiedział Elton z ustami pełnymi dymu. To był ten z wybitymi zębami.

- To sporo dolarów. - Mama popatrzyła na mnie. - Prawda, że to jest sporo dolarów, Tylko Przyjacielu?

- Tak - odparłem. - Chyba rzeczywiście.

- Więc się pojawia pytanie, malutka. Jesteś biała. To może byś sobie robotę znalazła?

- No więc... - Martha spuściła wzrok, a potem odwróciła głowę ze zbolaną miną. - Właśnie szukam. Byłam na takiej giełdzie pracy w centrum konferencyjnym, cały tydzień byłam tym zajęta... - Spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia, więc kiwnąłem głową, choć oczywiście nie miałem pojęcia, co robiła przez cały tydzień. Oczywiście nic o niej nie wiedziałem. - Mam przygotowanie asystentki medycznej.

- Asystentki medycznej. - Mama pokręciła głową, wydmuchnęła dym, zacmokała.

- Tak. I nie tylko. Pracuję, naprawdę. Mam pieniądze. Tylko że... za mało. Wie pani, ja mam syna. Mam rachunki. Prawie nic nie daję rady odłożyć.

- Ciężkie mamy czasy - stwierdziła Mama Walker, nieznacznym ruchem pokazując opuszczony dom widoczny za oknem kuchennym. - Naprawdę ciężkie. No i wciąż nie usłyszeliśmy, na co ci potrzebne te bardzo konkretne dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset dolarów.

Martha zareagowała natychmiast:

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie możesz powiedzieć? - Oczy Mamy Walker załśniły. - Ona nie może powiedzieć! Marvin, słyszałeś, kochanie? Tajemnica!

- No proszę pani... To znaczy, bardzo panią proszę. - Martha zebrała się w sobie i popatrzyła starszej kobiecie prosto w oczy. - Będę mogła pożyczyć pieniądze czy nie? To nie musi być całe dwadzieścia dziewięć i pół tysiąca, dobrze? Wezmę, ile się da. I spłacę. Z odsetkami.

- A pewnie, że tak! - Mama Walker wstała. Z jej papierosa spadła na stół długa smużka popiołu. - Wiadomo, kurwa, że z odsetkami. Ja tu nie odpierdalam pomocy charytatywnej dla białych panien w potrzebie.

- Przepraszam - powiedziała Martha. - Przepraszam. - Znowu to samo. Znałem tę dziewczynę od trzech dni i cały czas tylko patrzyłem, jak przeprosza. Kajała się tak samo przed czepialskimi białymi mężczyznami i surowymi czarnymi kobietami.

- Dobra, słuchaj no, mała - rzuciła Mama Walker, więc Martha uśmiechnęła się z nadzieją, ale to był już koniec. Mama nie usiadła z powrotem. Jej chłopcy zmienili pozycję. Zmieniła się temperatura w pokoju, a ja wiedziałem dlaczego. Siedziałem już w takich pokojach, bywałem świadkiem negocjacji. Przemysłowcy broni, sprzedajni gliniarze, łapówkarze na granicach, handlarze niewolników, łapacze. Umiałem poznać, kiedy ktoś odmawia. -



Posłuchaj mnie bardzo uważnie: kiedy daję komuś pieniądze, to daję, żeby zarobić. Daję na określonych warunkach.

- Wiem. Przecież mówiłam...

- Tak, że zwrócisz z odsetkami. Tylko jaką ja mam gwarancję, mała? Nie chcesz mi powiedzieć, na co ci hajs, a ja właściwie nie wiem, skąd się niby znamy. Przychodzisz tutaj ze swoim czarnym facetem i czarnym synem, jakby to mnie miało ruszyć, jakbym przez to miała pomyśleć, że jesteś kimś, kim nie jesteś. I żebym ci zaufała.

- Ale ja... ja obiecuję! Dam pani słowo!

Mama Walker nawet tego nie skomentowała. Zgasiła papierosa zdecydowanym gestem, a jej chłopcy otworzyli drzwi. Wreszcie Martha zrozumiała, że nic z tego nie będzie, i natychmiast weszła w inny tryb. Natychmiast była gotowa stąd wyjść, wydostać się z Freedman Town, najszybciej, jak ją nogi poniosą.

- Lionel - odezwała się, ale kiedy chłopiec nie przyszedł od razu, zaabsorbowany kreskówką, która właśnie osiągała kulminację wśród błysków i hałasów, zawołała jeszcze raz, ostro: - Lionel! - Wtedy przybiegł.

- Miło było was poznać - rzekła Mama Walker. - Miło było poznać was wszystkich. - Jej dwaj wielcy synowie rozstąpili się, a wtedy kobieta dodała tak cicho, że prawie jej nie usłyszałem: - Dam ci hajs, jak ty mi dasz małego.

- Co? - zapytała Martha. Pociągnąłem ją za ramię. - Co pani powiedziała?

Pociągnąłem ją po schodach.

- Co ona powiedziała?

Pogoniłem ją ulicą razem z jej dzieckiem, miała oszalały wzrok. Wsadziłem ją w samochód. Wywiozłem ją.

## 20.

**W Fountain Diner** grał telewizor. Wisiał nad ladą na metalowym ramieniu z przegubami, miał wyłączony dźwięk. Wszyscy w lokalu, przynajmniej kątem oka, oglądali przesłuchania – sobotnie specjalne posiedzenie senackiej komisji finansów. Klienci, zapomniawszy o naleśnikach, siedzieli ze wzrokiem wbitym w telewizor, pomocnicy kelnera w kółko szorowali to samo brudne miejsce na stołach. Nasze kelnerki postawiły talerze w niewłaściwych miejscach, cały czas zerkając w górę na telewizor. Batlish, niewzruszona, odpowiadała spojrzeniem swoim prześladowcom. Kciuk trzymała między palcem wskazującym a środkowym, oczy miała przymrużone i surowe, na dole ekranu wyświetlała się transkrypcja: „Jeśli pyta pan, panie senatorze, czy uważam, że moje opinie... albo moja, moja ideologia, jak pan ją nazywa, chociaż niekoniecznie uważam, że to... nie, przepraszam. Mogę dokończyć? Jeśli pyta pan, czy te przekonania umieszczają mnie poza głównym nurtem amerykańskiej opinii publicznej, to uważam, że odpowiedź brzmi: nie. Uważam, że odpowiedzią jest donośne: nie”.

Pomocnikowi kelnera przy sąsiednim stole, młodemu chłopakowi z ogoloną czaszką, spodobała się ta odpowiedź. Z zadowoleniem pokiwał głową i uśmiechnięty wrócił do kuchni.

Nawet Lionel, siedzący naprzeciwko mnie w boksie, był przejęty: może nie do końca rozumiał, o co chodzi, ale czuł, tak jak wszyscy, że to coś ważnego. Że to punkt zwrotny, jak lubi się mówić. Kolorował rysunek na odwrocie jadłospisu, ale ciągle przerywał i zerkał na tę twardą białą panią na ekranie. Ja też wpatrywałem się w telewizor, usiłując rozbudzić w sobie jakieś podniecenie, poczuć to, co czuł tamten pomocnik kelnera, co czuli kucharze. Powiedzmy, że zatwierdzą ją na stanowisku. Może zrobi to, co mówi – może tchnie nową energię w ściganie

instytucji finansowych, które obracają krwawymi pieniędzmi. Ale przecież instytucje wymyślą, jak to obejść. Południowe Regionalne Stowarzyszenie Lobbystów wysłał swój oddział uderzeniowy z białymi papierami w rękach i na korytarzach Kongresu znowu zabrzmiały dawne refreny o suwerenności ludu i niezniszczalnej tradycji. Nic się nie zmieni.

Martha jako jedyna osoba w lokalu nie zwracała uwagi na telewizor. Siedziała nieruchomo, patrzyła przed siebie, znad jej kubka kawy – bo nic więcej nie zamówiła – unosiła się para.

- Wszystko w porządku? – zapytałem, a ona wypuściła powietrze.

- Chyba tak. – Pokręciła głową. Jej włosy opadły. Pałeczka, która je przytrzymała, zniknęła, być może w przepastnej torebce Marthy, a może na podłodze Mamy Walker. – To znaczy nie. Bo to dziwne. Wciągnęłam cię w tę sprawę, a teraz... No, to po prostu dziwne. Nawet nie zapytasz?

- O co?

- Poważnie? – Martha spojrzała na mnie, na Jima Dirksa, usiłując rozszyfrować tego dobrego, łagodnego biznesmena, zbyt grzecznego albo zbyt nierozgarniętego jak na ten świat. – O dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset dolarów.

- A, to – odparłem. – Jasne. Chyba faktycznie się zdziwiłem.

- Ja myślę.

Miała ochotę na lunch i poprosiła, żebyśmy poszli coś zjeść, a teraz nic nie zamówiła. Co więcej, sama wybrała restaurację, więc ja przez cały czas pamiętałem o posterunkowym Williem Cooku. W końcu to jego ulubiona knajpa, a stolik, przy którym siedział ze swoim białym partnerem, znajdował się o, tam, widziałem go z naszego miejsca i to na mnie działało. Byłem roztrzęsiony i nie czułem się bezpiecznie. Przed oczami wciąż miałem ten jego przesadnie przyjacielski uśmiech, to jego porozumiewawcze spojrzenie. Podczas gdy Martha siedziała wpatrzona w jakiś mroczny krajobraz, który rozpostarło przed nią życie, ja zastanawiałem się, jak wytłumaczę posterunkowemu Cookowi, co tu robię, dlaczego zrozpaczony, oderwany od żony Jim Dirksen zajada lunch ze swoją nową białą przyjaciółką. No

i oczywiście to samo w drugą stronę: „A właśnie, Martho, to jest posterunkowy Cook – mój znajomy policjant, a przy okazji agent Linii Lotniczych...”.

W telewizji Donatella Batlish dokończyła argument – „rozważając każdą kwestię pod względem merytorycznym, bez żadnych uprzedzeń” – uniosła szklanę wody, wypła łyk i ponownie odstawiła. Następnie telewizja C-SPAN skierowała kamery na dwóch południowych senatorów o wydatnych policzkach, którzy nachylali się ku sobie i szeptali z ponurymi minami, świadomi, że są filmowani.

Co ja w ogóle wyrabiałem, do cholery? Byłem w samym środku śledztwa. Musiałem znaleźć człowieka. Bridge deptał mi po piętach.

– Kochanie? – odezwała się Martha. Lionel położył głowę na stole. Płakał. – Skarbie... skarbie, co jest?

Ale chodziło tylko o labirynt. Mały próbował rozgryźć labirynt na odwrocie menu, motyw: morskie stworzenia. Nie dawał sobie ze skurwysyństwem rady i przez to się rozplakał. To było właściwe – to było dobre. Przy wszystkim, co działo się w świecie jego mamy, co w ogóle działo się w świecie, Lionela pokonał labirynt, przez który mała ośmiornica próbowała trafić do swojej jamy.

Pochyliłem się nad stołem i pokazałem, gdzie należy zacząć. Chłopiec spróbował nieśmiało. Położyłem palec obok jego palca i wskazałem kierunek.

– Aha – powiedział. – No racja.

– To trudna łamigłówka – stwierdziłem. – Powoli. Nie śpiesz się.

Ruszył wolno, ostrożnie, ścieżką, którą mu zaproponowałem, i w końcu mu się udało. Zrobił parę kółek wokół słowa KONIEC, a ja powiedziałem:

– No i widzisz?

Obaj patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund.

– Co się mówi, Lionel?

– Dziękuję, panie Jimie.

– Nie ma za co.

Nie ulegało wątpliwości, że czułem coś do Marthy i jej syna, jakieś ciepło. Ale jednocześnie towarzyszyła mi świadomość niebezpieczeństwa, z tyłu głowy łopotała flaga ostrzegawcza. W każdej chwili mogłem wstać, powiedzieć, że miło was było poznać, i wrócić do pracy. Co ja wyrabiałem?

- Poznałam jednego takiego człowieka - powiedziała Martha, patrząc przeze mnie na wylot.

- Że co?

- Człowieka z Ohio. Ze Steubenville. - Przesylabizowała nazwę tego miasta, jakby była wymyślona. - Steubenville. Nie widziałam się z nim. Poznałam go w internecie.

Jej głos był odległy, cichy, ale pełen mocy. Potrzebowała mi to powiedzieć - powiedzieć komuś. Reszta restauracji oglądała telewizję. Lionel znowu był w świetle Lionela, rysował zamek na pustym kawałku menu.

- I on powiedział, że za dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset dolarów mógłby... no... - Odetchnęła głęboko i popatrzyła mi w oczy. - Bo podobno jest taka... jakby baza danych.

- Co takiego?

Ale od razu wiedziałem. Od razu wiele się wyjaśniło.

- Baza danych. W której jest napisane, gdzie oni są. - Nachyliła się przez stół. Nerwowo bawiła się palcami, wykręcała je. - Wiesz, wszyscy niewolnicy. I ten facet mówi, że jak mu zapłacę, to on może... może się dla mnie do niej dostać.

- Hm - odparłem cicho i niepewnie, jakbym dokładnie nie wiedział, o czym mówi Martha.

Tą bazą danych był TorchLight, wyczerpujący spis wszystkich osób, które obecnie lub w przeszłości przetrzymywano na jakiegokolwiek plantacji, w fabryce, kopalni, „więzieniu z robotami”, na platformie wiertniczej, w jednym z nieskończonej liczby miejsc przeznaczonych Osobom Przeznaczonym do Pracy. Szereg praw poszczególnych stanów obliguje każdą firmę i osobę prywatną wykorzystującą niewolników do raportowania w TorchLighcie wszystkich zakupów, sprzedaży i ucieczek,

wszystkich narodzin i zgonów, wszystkich obrażeń skutkujących bliznami. A całość tych danych jest rejestrowana i katalogowana.

Całość informacji niezbędnych klasie południowych właścicieli ludzi - żywo zainteresowanych stanem zdrowia i aktualną wartością swojej siły roboczej oraz przewidywalną dewaluacją tej wartości.

Byłem wobec tego hakera Marthy ze Steubenville bardzo sceptyczny. Przez lata, realizując różne zadania, wielokrotnie próbowałem się dostać do TorchLighta. Dostęp przydałby mi się z wielu powodów. Tę bazę chroniło jednak prawo, chroniły wewnętrzne zabezpieczenia, chroniło zamknięte oprogramowanie. Żeby ją otworzyć, praktycznie trzeba by siedzieć w biurze jakiegoś rządu.

- Ale kto... - zacząłem, a Martha bardzo szybko przerzuciła wzrok na syna, potem znowu na mnie, i nawet poczciwy Jim Dirkson to zrozumiał.

I oczywiście właśnie w tej chwili przyszła kobieta z moją kanapką i naleśnikiem małego oraz z dzbankiem, żeby dolać Marcie kawy.

- Ej, Liney, chcesz usłyszeć coś zwariowanego? - powiedziała Martha.

- Co? - Lionel podniósł wzrok. - Co zwariowanego?

- Chcesz posłuchać muzyki przy jedzeniu?

Wygrzebała z torebki duże słuchawki i podpięła je do jakiegoś przenośnego urządzenia nie większego niż kromka chleba, jednego z tych wspaniałych japońskich cacek z importu - jej siostra kupiła je chłopcu na urodziny. Kiedy Lionel znalazł się wewnątrz kokonu, a ja zacząłem jeść, Martha opowiedziała mi o jego ojcu.

- Nazywał się Samson. Sam.

- To nietypowe... no, jak na to mówią? Nietypowe imię służbowe. Oczy Marthy błysnęły ponuro.

- To nie było jego imię służbowe. Takie też miał, ale nie musimy o nim mówić. On by nie... On nie lubi o nim mówić. Nazywał się Sam, dobrze? Czasem Sammy. Pracował na krewetkowcu.

- W Luizjanie?

- W Alabamie. W Bayou La Batre.

Nie miałem doświadczenia z niewolnictwem na krewetkowcach, słyszałem tylko historie: upał, znój, kipiące morze i kołysanie fal.

- Była jakaś szalona akcja ratunkowa - powiedziała Martha. - Meksykanie. Łodziami. Zapomniałam, jak się na nich mówi.

- Chyba *los emprendedores* - odparłem, jakbym nie miał pewności. Jakbym nie miał w głowie katalogu wszystkich typów południowo- i środkowoamerykańskich oraz kanadyjskich partyzantów, wszystkich zagranicznych wolnych strzelców.

Był nawet film zatytułowany *Los Emprendedores*, a ja akurat go widziałem - trafił na ekrany podczas moich chicagowskich lat, a ja zakradłem się do kina przy Halsted Street i obejrzałem go dwa razy z rzędu. Edward James Olmos grał pirackiego *jefe*, Denzel Washington - stoickiego opka, a chyba James Woods albo ktoś w tym stylu - szlachetnego, ale targanego wątpliwościami kapitana straży przybrzeżnej, który ich ściga. Pod koniec jest słynna scena, w której dwóch wygnańców wyskakuje za burzę, wybierając spotkanie z rekinami.

Martha opowiedziała, że Samsona uratowano w skrzyni na takielunek, ukrytej pod pokładem, rzucanej przez fale. Wylądował w Jacksonville na Florydzie, a potem jakimś cudem znalazł się w New Albany w Ohio, gdzie wówczas mieszkała Martha - w miejscu równie przypadkowym dla niej, co dla niego.

Kurier UPS, biały mężczyzna o grubych ramionach dostarczający przesyłki do kliniki, w której pracowała, szepnął jej pewnego dnia po godzinach: „Próbujemy skombinować pomoc dla jednego chłopaka. Dasz radę coś zrobić?”.

- Myślałam, że mnie podrywa - wspominała. - Tamten kurier!

Poszła jednak na spotkanie i zobaczyła tego chłopaka - tego mężczyznę. Nosił wszystkie ślady swej podróży: na palcach pęcherze od masztu, plecy pokryte gąszczem nie do końca zagojonych blizn. Jedno oko wypalone po sześciu tygodniach w słońcu na morzu.

- Był taki piękny - powiedziała cicho. - Nie wiem, czego się spodziewałam. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Jakiejś, chudej, nieświadomej, łysej... rzeczy. Nie człowieka. Raczej potwora albo czegoś w tym stylu. Ale on był... - Zadrżała lekko, to był dreszcz wspomnienia, dreszcz zachwytu. - On był piękny.

- Czy wiesz - odezwałem się cicho - że prawo zabrania golenia OP na łyso?

- Tak? - Nieobecna. Pogrążona we wspomnieniach.

- Tak. Prawa stanowe. We wszystkich czterech stanach. Bez włosów czasami trudno stwierdzić, kto jest czarny, a kto biały.

- Aha.

Martha odwróciła się i spojrzała na syna, który nie zwracał uwagi na swoje naleśniki, tylko kołysał się do przodu i do tyłu ze słuchawkami na uszach.

- Jedz, kochanie. Musisz jeść - powiedziała do niego bezgłośnie.

Uniósł kciuk i bujał się dalej.

Martha i Samson zakochali się, ona i zbieg. To takie tandetne, mówiła mi teraz. Takie głupie. Ale to nawet nie była miłość, stwierdziła. To było coś stopień w górę od miłości.

- To znaczy, wiesz, coś więcej. Coś hardkorowego. Miłość, miłość, miłość. Kochałeś kiedyś?

Castle. Wielkie oczy w ciemności, długie ramię przerzucone przez moją pierś. Mój brat.

I Alix. Jedna kobieta. W Chicago, w tych dobrych czasach. Dziewczyna z magazynu w Townes Stores. Przepiękna, skomplikowana czarna kobieta, dzika, zaangażowana politycznie, romantyczna. Nigdy nie powiedziałem jej prawdy o sobie. Nawet w przybliżeniu.

- Nie - odrzekłem. Jim Dirkson całe życie był kawalerem. Maminsynkiem. - Raczej nie. Nic pamiętnego.

Kawa Marthy wystygła. W telewizji trwała przerwa w przesłuchaniu. Komentatorzy w studiu sapali jeden na drugiego na tle panoramy Waszyngtonu.

Dirkson słuchał Marthy z życzliwością, przekrzywił głowę, patrząc na nią z empatią. I ja też słuchałem, schowany za



Dirksonem, czujny i niespokojny, serce biło mi szybko jak u królika. Czekałem, aż do lokalu wejdzie posterunkowy Cook i zajmie swoje ulubione miejsce. Czekałem – niedorzecznie – aż na galerii dla widzów podczas przesłuchania Batlish dojrzę pana Bridge’a, chociaż po co on miałby tam być? I jak rozpoznałbym jego twarz?

Uważnie słuchając opowieści o ponownym pojmaniu Samsona – o tym, jak skonstruowano dla niego bardzo sprytną kryjówkę nad męską toaletą publiczną, jak Martha, tamten kurier UPS oraz jego współlokator bardzo, bardzo, bardzo ostrożnie nosili Samsonowi jedzenie, tak żeby nikt ich nie spostrzegł, jak z ogromną dyskrecją szukali mu połączenia lotniczego – myślałem o człowieku bez twarzy, który zajmował się tą sprawą. O człowieku w pokoju hotelowym w New Albany, który nasłuchiwał rozmów telefonicznych przez słuchawki, śledził punkty danych w oprogramowaniu satelitarnym, o człowieku bez twarzy, ale z sercem identycznym jak moje.

- I... - Musiałem odchrząknąć. - Co się z nim stało?

Zanim Martha odpowiedziała, zerknęła na Lionela, ale on teraz jadł w najlepsze, kołysał głową, szuflując kolejne kęsy naleśników.

- Byłam w klinice. Wiesz, w pracy.

Widziałem, że nie umie z tym żyć – z tym, że była wtedy w pracy. Spędzała z Samsonem każdą wolną chwilę, ale nie tamtą. Była w pracy, zadzwonił kurier UPS, mówił bardzo szybko, płakał w słuchawkę: przyjechała furgonetka, biała furgonetka, i oni go ciągnęli...

Położyłem rękę na jej dłoni.

- O Boże – powiedziałem. - O Chryste.

To bardzo szczególna umiejętność: udawać, że wszystko w porządku. Zachowywać się tak, jak powinien zachować się człowiek w danej sytuacji, nachylić się, lekko uśmiechnąć się ze współczuciem, zarazem chowając w środku straszliwą burzę emocji, pogłaskać dłoń przyjaciółki.

- Tak strasznie mi przykro.

- To nie twoja wina.

Nie, nie moja, pomyślałem. Nie moja osobiście.

A tymczasem mój umysł bez przerwy działał. Nie umiałem tego powstrzymać. Myślałem o jednej czy dwóch rzeczach, na które zwróciłem uwagę przez ostatnie trzy dni. O mieszkaniu Mamy Walker i o tym, co doktor V mówiła o wodzie. Odtwarzałem własne kroki. Podczas gdy Martha opowiadała swoją historię, ja prowadziłem śledztwo. Byłem w moim świecie.

- Aaa! - krzyknął Lionel, a ja aż podskoczyłem. Martha wrzasnęła i obróciła się do syna. - Aaa! - krzyknął znowu, ale przy tym zaśmiewał się i bębnił pięścią w stół. Z pasków bekonu i dwóch truskawek kucharze na placach chłopca ułożyli oczy i uśmiech, a on teraz po kolei je podnosił, pozbawiając plackowego ludka buzi. - Aaa! Moja twarz!

- Daj spokój, kochanie - powiedziała Martha czule, jakby bez przekonania. - Bądź grzeczny.

Lionel nareszcie zjadł, a po jedzeniu w aucie prędko zasnął ze śladami syropu klonowego rozmazanymi na policzkach. Zawiozłem nas do samochodu Marthy, wypiąłem chłopca z fotelika i podniosłem ostrożnie, tak by go nie obudzić. Czasem można, z ledwością, wyobrazić sobie wersję tego świata inną od istniejącej, wersję, w której istnieje prawdziwa sprawiedliwość, heroiczna szczerłość, właściwa każdemu człowiekowi klarowna świadomość, jak należy traktować innych. Czasem mógłbym przysiąc, że ją widzę, połyskującą na asfalcie, lśniąca między słowami w ustach obcego człowieka, zieloną, niemożliwą wizję - świata takiego, jaki być powinien, otaczającą niczym mgłą ten świat, który jest.

Prawdziwy świat był jednak pułapką i nie mogłem z niej uciec. Wiedziałem o tym i dlatego wiedziałem również, gdzie jest Jackdaw. Rozgryzłem to. Nie celowo, ale właśnie tak się często dzieje - mój mózg wykonuje robotę, kiedy ja jestem zajęty czymś innym.

Od początku byłem pewien, że to rozgryzę, bo zawsze mi się udaje i zawsze udawało.

- Jimmy?

Zaskoczyło mnie to zdrobnienie. W bocznym oknie od strony kierowcy pojawiła się twarz Lionela, który patrzył wprost na mnie zatroskany, przyglądał się mojej twarzy jak przez szybę akwarium.

- Dobrze się czujesz?

Może jęczałem albo coś w tym stylu. Zupełnie nie wiem, co robiłem, ale coś na pewno. On powtórzył to jeszcze trzy razy, zamiast pożegnania, nagle ogarnięty niepokojem.

- Dobrze się czujesz? Dobrze się czujesz? Dobrze się czujesz?

# 21.

**Zaczął padać** deszcz. Grube, ciemne krople leciały nieprzerwanie z ciemnego nieba. Oglądałem je z balkonu swojego pokoju.

Miło byłoby powiedzieć: Przykro mi, szefie, nie mam pojęcia. Nie rozgryzę tego. Niech mnie pan gdzieś przeniesie albo, nie wiem, spełni groźbę i przyśle po mnie furgonetkę, żeby zawieźć mnie z powrotem do Bella.

Ale wiedziałem. Niech mnie cholera, wiedziałem.

Fotografia była zamknięta razem z resztą akt, ale miałem ją przed oczami, równie wyraźną, jakbym na nią patrzył: delikatna twarz, zdezorientowana mina, zboląła, wystraszona. Och, Jackdaw, och, synku, och, biedny samotny chłopaku.

Na dworze lało. Deszcz rekompensował sobie własną nieśmiałość i to, że drażnił się z nami przez ostatnie parę dni. Walił strumieniami, kaskadami, dudnił o asfalt parkingu. Odległy kąt nieba zarysowała błyskawica.

Wyjąłem komórkę, zdjąłem okulary Jima Dirksona, złożyłem je i schowałem, a potem przysiadłem na krawędzi łóżka z telefonem między dłońmi. Tylko jedna rozmowa.

Deszcz był szarą ścianą.

Ta sprawa narastała we mnie, napierała jak rozpędzona woda na ściany zapory, nie tylko sama sprawa, ale także to miasto, dziewczyna, wspomnienia, wszystkie te czarno-czerwone wspomnienia, które zwały się na mnie i cisnęły, odkąd tu przyjechałem. I dlaczego wizje powracały teraz, dlaczego moja dawna historia ożywała jak błysk, spadała z szarego nieba Indiany? Dlaczego teraz? Dlaczego...

Mówiłem sobie, że nie wiem, ale wiedziałem. Miałem podejrzenie. Miałem pomysł.

A teraz miało być po wszystkim. Jeden telefon do Marylandu. Tylko jeden pieprzony telefon.

Wstałem. Komórka była twardym, płaskim prostokątem w mojej ręce, przedmiotem nie na swoim miejscu, obcym artefaktem. Była ciężka jak kotwica statku, była kolcem wbitym we wnętrze mojej dłoni. Wyobraziłem sobie, co by się stało, gdybym otworzył drzwi balkonu i cisnął tym cienkim przedmiotem na zalany deszczem parking. Wyobraziłem sobie, jak porywa go struga wody, aż do White River, jak telefon kończy na dnie jakiegoś ścieku, jakiegoś morza. Wyobrażałem sobie, że leżę na plecach z rozpostartymi rękami i nogami, niesiony z asfaltowego placu na szkaradną Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę przez rozjuszony prąd, nie stawiam oporu, aż wreszcie jakaś wściekła fala przewraca mnie i zatapia, pochłania całego.

Wszystko, co się stanie, kiedy zadzwonię, będzie przebiegać zgodnie z procedurą. Prawo dyktowało określone kroki. Przedstawię przemyślaną opinię na temat miejsca przebywania zaginionego, opartą na zebranych przeze mnie dowodach, po czym ja w terenie, a Bridge przy swoim biurku wspólnie opracujemy plan zatrzymania. Biuro Bridge'a złoży wnioski do przełożonych na końcu korytarza w Gaithersburgu, ja po otrzymaniu instrukcji zajmę pozycję, zaś Bridge wcieli w życie ustalony plan.

Gąszcz białych furgonetek, wycie syren, pałka i paralizator. Potem sąd do spraw zbiegów, komisarz, obrońca z urzędu, porównanie rysopisu zatrzymanego z rysopisem podanym w skardze, zestawienie odcisków palców z tymi w aktach.

Okazało się, że nacisnąłem guzik. Już dzwoniło. Wykonywałem telefon, który wykonałem w karierze już z tysiąc razy.

(No i proszę, co ja robię? „Z tysiąc razy”, jakby konkretna liczba zaginęła w mrokach pamięci. Do owego dnia wykonałem taki telefon dwieście dziewięć razy. Czasami wysyłałem esemesa. Splamiłem jednak sumienie dwustu dziewięcioma pozytywnymi identyfikacjami).

Telefon dzwonił mi w uchu, kiedy dzwonił w Gaithersburgu.

Byłem gotów, żeby to się skończyło, i skończyło się. Wiedziałem, gdzie jest ten człowiek, więc jebać Bartona, jebać Cooka i jebać doktor Venezię-Karbach – byłem gotów. Miałem słowa na czubku języka, gotowe, by je wypowiedzieć: „Gotowe. Załatwione”.

- Marshals Service, tu biuro pana Bridge’a.

Głos kobiety, jasny i radosny. To Janice. Jego asystentka. Kiedy odbierała, oznaczało to, że Bridge jest w terenie. W terenie albo na spotkaniu.

Okazja. To był Castle. Castle szepczący w ciemności. *Okazja.*

Janice, cierpliwa, pogodna:

- Halo?

- Tak – powiedziałem. - Halo. - Żaden inny głos nie wychodził mi równie dobrze. Zimny jak stal, płaski jak ubita ziemia, z przydymioną nutą południowego akcentu. - To ja.

Deszcz smagał liche drzwi balkonu, aż trzęsły się we framudze. Mój numer się nie wyświetlał – bo to numer polowy – ale podejrzewałem, że numer osobistej komórki Bridge’a też nie. Pusty, zamaskowany, komunikacja agenta z bazą, zupełnie jak w moim przypadku. Z perspektywy Janice brak numeru to brak numeru. W tych okolicznościach podobne założenie było szalonym ryzykiem. Jednym z wielu, które podejmowałem, które zamierzałem podjąć.

- Ojejku. Dzwoni pan ze spotkania?

Janice też miała lekki południowy akcent, taki współczesny, raczej z Atlanty niż z Little Rock. Szacowałem, że dobiega trzydziestki. Czerwona szminka, praktyczne obuwie. W domu pies, jakiś słodki i wierny.

- Tak – powiedziałem ostrożnie. - Zgadza się. Ciągle tu jestem.

- Czy pan mnie sprawdza?

Ton głosu Janice był cukierkowy, świergotliwy, niemal zalotny. W reakcji wypróbowałem pewien dźwięk, coś, czego nigdy nie słyszałem, ale wyobrażałem sobie, że musi istnieć, dopasowałem ton do tonu: zaśmiałem się pod nosem. To był szorstki śmiech w stylu Bridge’a.

- Nie, moja droga. Nie sprawdzam cię.

- No a może pan powinien.

Zastanawiałem się, czy on czasem zwraca się do niej per „Jan”. A ona do niego - per „Lou”. Zastanawiałem się, czy Lou widuje Jan na firmowych imprezach gwiazdkowych. Zastanawiałem się, czy przyprowadza żonę, sączy *eggnog*, wznosi toast, trochę się upija, wraca do domu taksówką, trenuje drużynę piłkarską swojego dziecka, odkłada na jego studia, zabiera vana do warsztatu dla vanów, kiedy zaczynają pisać hamulce. Zastanawiałem się nad całym zwykłym ludzkim światem.

- Co mogę dla pana zrobić?

Właśnie, co mogła dla mnie zrobić? Zaszedłem tak daleko, ale co teraz? Skupiłem się na głosie, na stylu, na najlepszym sposobie osiągnięcia tego, czego potrzebuję, zamiast na myśleniu, co robię i dlaczego. Gdybym się zatrzymał i pomyślał, mógłbym zadać sobie bardzo logiczne pytanie: czyś ty oszalał?

Co zamierzałem osiągnąć, sprzedając Janice ten chłodny, powolny, łagodny akcent? Tego wciąż nie bardzo wiedziałem, ani tego, dlaczego to zrobiłem.

Ze względu na tamten krzyżyk w aktach? Na niezgrabną stylistykę? Na nietypowo układające się fakty?

Nie chodziło o żadną z tych rzeczy. Już wcześniej widywałem bałaganiarskie akta. Widywałem w nich dziwne fakty i czasami udawało się je poukładać, a czasami nie. Tym, co teraz było inne, co skłoniło mnie do nietypowego działania, był głos Bridge'a. To, jak brzmiał podczas naszej ostatniej rozmowy, napięty jak struna. Podczas naszej rozmowy o 21.36, gdy Bridge po raz pierwszy zadzwonił przed czasem.

Moja dłoń bębniła o biurko, tak jak zawsze robiły moje dłonie.

- Mam do ciebie tylko szybkie pytanie. Na temat sprawy. - Wróciłem do rzeczowego tonu: koniec zabawy, Janice.

- Której sprawy?

Natychmiast zakręciło mi się w głowie. Ile jest spraw? Ilu zbiegów? Ilu Jackdawów? Ilu mnie?

Podałem jej numer sprawy, a ona odparła:

- Słucham?

Podałem raz jeszcze. Przeczytałem wolno, cyfra po cyfrze, a ona go powtórzyła, po czym powiedziała, że bardzo jej przykro, ale nie wie, o którą sprawę mi chodzi.

- Ten numer po prostu nie wyskakuje.

- Chłopak... - zacząłem i prawie wypowiedziałem jego imię, ale się powstrzymałem. Wstrzymałem oddech. „Ten numer po prostu nie wyskakuje”.

- Mam zapytać Marlenę?

- Nie. To nie... Nieważne. Zapomnij, że dzwoniłem.

Nie paliłem papierosa i nie chodziłem w kółko. Właściwie nawet nie myślałem. Rozłączyłem się, wyszedłem na balkon, słuchałem odległego wycia syren, podczas gdy wokół mnie waliły ściany deszczu. Dziwne, że to było tak kojące, dawało mi taki... nie powiem, że spokój, bo niezupełnie spokój, ale spokojne poczucie nieodwracalności. Byłem spadającym kamieniem. Skoczyłem, a teraz nie dało się odskoczyć.

Ten numer po prostu nie wyskakuje, powiedziała. Nie wyskakuje.

Rzecz w tym, że akta musiały istnieć. Skoro był zbieg, były i akta. Nie zatrudniano wolnych strzelców. Tak to działało, zwyczajowo i na mocy prawa. Kiedy plantacja traci człowieka, zgłasza się sprawę do miejscowego magistratu, który przygotowuje protokół i wnioskuje o udział służb federalnych. To sędzia powiadamia marszałów. Tak to działa - w ten sam sposób od 1787 roku.

Musiały istnieć akta, ale nie istniały.

Pan Bridge miał wiedzę o faktach, których ja nie znałem - zawsze tak było. Tak to działało. Teraz jednak z nagłą pewnością wiedziałem, że za każdym faktem w tej sprawie krył się jakiś nieznan fakt, wyczuwalny, ale niewidoczny, niczym porywacz, który oplata szyję ofiary szorstkim ramieniem.

Teraz to poczułem, poczułem na skórze śliski, ciepły deszcz, i teraz zaczęło mi walić serce, teraz zaczęło mi łomotać, teraz adrenalina buzowała mi w żyłach.



Oficjalnego śledztwa nigdy nie rozpoczęto. Żaden sędzia stanowy nie przygotował protokołu potwierdzającego rysopis przedstawiony przez zgłaszającego roszczenie. Nie zaalarmowano żadnego komisarza do spraw niewolników w Okręgu Południowym stanu Indiana. Nie było prawdziwego polowania. Nie było sprawy. Były tylko akta.

Skoro marszałowie nie polowali na Jackdawa, żeby zwrócić go właścicielom – skoro my nie polowaliśmy na niego w tym celu – to w jakim? Co miało się z nim stać, kiedy go znajdziemy?

To było najłatwiejsze pytanie.

Byłem potworem, ale w głębi duszy byłem dobry. Prawda? Prawda, że byłem dobry? Czyż nie miałem w sobie odrobiny dobra, zakopanego bardzo głęboko pod powierzchnią, pod Jimem Dirksonem, pod Kennym Mortonem, pod ogrodnikiem Albiem, pod każdym, kim i czym byłem? Pod spodem byłem dobry. Byłem i jestem. Dobry pod powierzchnią. W zagrzebanych częściach mnie jest jakieś dobro.

Nieruchomy obraz, ja i Castle, szepczemy radość, opowiadamy historie, chata najbliżej północnego ogrodzenia, robimy plany, szepczemy cicho, szaleńczo, z nadzieją.

Zacząłem poruszać się szybko. Wytarłem ręcznikiem krople deszczu, któremu pozwoliłem padać na głowę i twarz. Kiedy komputer się uruchamiał, zmieniłem koszulę, a potem spędziłem pięć minut na podstawowych poszukiwaniach, staromodnym grzebaniu, trzy akapity historii, dziesięć minut wytyczania linii palcem po mapie.

Potem wziąłem latarkę i inne rzeczy, których prawdopodobnie mogłem potrzebować. Bridge wkrótce dowie się, co zrobiłem. Niemal słyszałem tę urywaną rozmowę, Bridge i Janice, Jan i Lou: No więc mimo wszystko zapytałam Marlenę o tę sprawę dla pana i... o co zapytałaś... co...

Gdy tylko byłem gotowy ruszać, ruszyłem. Wiedziałem, gdzie jest Jackdaw, i wiedziałem, że muszę dotrzeć do niego szybko.

## 22.

**Kiedy dotarłem** do przydrożnego lenna Slima, burza zdążyła się wyszaleć, a chmury się rozwiały, ale gdzieś w międzyczasie zapadła noc. Ciemność ustąpiła miejsca innemu rodzajowi ciemności. Bładej twarzy księżyc, gwiazdom rozsianym po niebie.

Sklep spożywczy był nieczynny, miał pozamykane okiennice, podobnie jak warsztat. To mi pasowało. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i w mroku prędko ruszyłem przez parking, szybkim krokiem przeszedłem pod miedzianym łukiem, a potem wąską ścieżką w cieniu, ze spuszczoną głową, bijącym sercem, człowiek z misją, idący do strumyka.

Poprzednio prawie go nie zauważyłem. A nawet jeśli tak, chyba uznałem, że to odpływ: otwór u podnóża niewielkiego pagórka, ledwo widoczny pomiędzy przyczepami i za nimi. Ciekło z niego do płytkiego brązowego strumyka, który wił się za kempingiem.

Szybkim krokiem mijałem blaszane pałace z plemiennymi flagami, ignorując silne poczucie, że obserwują mnie dziesiątki oczu - małych oczek osadzonych w świńskich różowych twarzach, wyzierających przez żaluzje, przyglądających się, jak moje ciemne ciało, nieznajome i niemile widziane, przemieszcza się przez ich krużganek. Każda z tych świń mogła wyjść ze strzelbą i zastanawiałem się, co bym wtedy zrobił, ale żadna nie wyszła.

Zostawiłem za sobą osiedle przyczep, przeszedłem obok gąszczu stołów piknikowych i sprzętu, a potem ostrożnie ruszyłem w dół zbocza wąwozu, kołysząc ciężkim snopem światła latarki wzdłuż strumyka. Teraz, gdy po ulewie przybyło wody, stało się jasne, w którą stronę on płynie. Czarny otwór u podnóża wzgórek okazał się wlotem, a nie wylotem. Płytką strużką błotnistej wody była ubogą krewną strumyka, a w tym miejscu za kempingiem jakiś dawny inżynier zmienił jej bieg.

Strumyk nosił nazwę Pogue's Run. Znalazłem go na mapie. Sprawdziłem jego historię. Tę niewielką drogę wodną odkryto na przełomie wieków - osiemnastego i dziewiętnastego - odkryto, nazwano i odnotowano, naniesiono ołówkiem na wczesne mapy z czasów, kiedy miasto jeszcze nie było miastem, kiedy było skupiskiem chat, przystankiem na drodze do innych miejsc. Rzeczka okazała się niewygodna dla założycieli Indianapolis i wytyczonej przez nich siatki ulic. Zrobili więc to, o czym mówiła Mama Walker: zagonili tę rzecznię pod ziemię.

Podszedłem do strumyka. Moje obcasy zostawiały w błocku rozmazane ślady.

Okazało się, że pan Maris nigdy jednak nie odkrył, że jest śledzony. Nie znalazł w kieszeni topornego noża Jima Dirksa i nie wyrzucił go. Po prostu przyszedł nad rzecznię. Zniknął w tunelu. Zszedł do podziemia.

Woda w strumieniu była płytka, ale pędziła, lekko pulsowała, podniósłszy się po deszczu. Szedłem wolno, wybierałem pojedyncze kamienie, na których mogłem stanąć, aż wreszcie dotarłem do wlotu tunelu. Kiedy opadłem na czworaki, czułem, jak obmywa mnie woda rzeczki, pochłania moje ręce aż po nadgarstki, gna wokół kolan i stóp. Zaglądałem przez zmrużone powieki w nieskończony mrok rury. Ziała stamtąd zimna, mokra, zwierzęca woń.

Nic mi więcej nie pozostawało, prawda? To był ten moment.

Wzdrygnąłem się, przegnałem falę wspomnień, potem następną. Nazywano to szopą, ale była to raczej komora. Podziemne pomieszczenie. Raczej trumna, tak naprawdę to właśnie nią była, wąską, betonową trumną. Na cztery godziny trafiało się tam za naruszanie zasad higieny w ubojni. Na sześć, gdy się coś rozlało. Na całą noc za Myśli Przeciwko Dobrej Pracy. O każdej równej godzinie franklin uchylał wieko, świecił ci w oczy, słuchał, czy oddychasz, i znów to wieko zamykał.

Nic mi więcej nie pozostawało. To był ten moment. Nachyliłem się, zwarłem ramiona, ostrożnie pchnąłem tułów do przodu jak cyrkowiec nieufnie wkładający głowę do paszczy lwa. Kołysałem

się w przód i w tył, w przód i w tył, żeby oszacować szerokość otworu. Jackdaw, który mierzył metr siedemdziesiąt i ważył siedemdziesiąt kilo, wszedłby tu bez problemu. Bykowi takiemu jak pan Maris, pomyślałem, byłoby ciasno. Ale mógłby dać radę.

Ja zmieściłem się bez trudu. Zgasilem latarkę, schowałem ją z powrotem do kurtki i wepchnąłem do otworu całe ciało. Potem się podniosłem. Szedłem zgarbiony, ścigałem i pochylałem tułów, rozchlapywałem rozpędzoną, brudną wodę. Brnąłem naprzód z rękami wyciągniętymi na boki, ocierając czubkami palców o szorstkie ściany. Podążałem w ten sposób bardzo długo, zgięty niemal równoległe do ziemi, co jakiś czas przyklękając, aż wreszcie sufit znowu się obniżył, więc przez jakiś czas musiałem iść na czworakach, mocząc kolana i dłonie.

Czas mijał, a ja nie wiedziałem, ile go już upłynęło. Po prostu szedłem - niewidzialny człowiek kroczący w ciemności.

To brzmi, jakbym był opanowany, równie chłodny jak ta woda, spokojny i pewny siebie, ale ścisnęło mnie w żołądku. Nigdy nie musiałem wykonywać tej części roboty. Nie na tym polegała moja praca. Moje zadanie wyglądało następująco: namierzyć uciekiniera - uciekiniera, uciekinierkę lub uciekinierów - znaleźć kryjówkę, a potem wezwać kawalerię. Szedłem za okruchami: tropiłem ludzi przez kilometry prerii, w krzywych zaułkach Freedman Town, po nadmorskich deptakach i na plażach. I za każdym razem dzwoniłem do Bridge'a, żeby nadał bieg reszcie procedury, za każdym razem zawracałem, znikałem w dymie i odpływałem. Nigdy nie musiałem oglądać końcówki.

Raz zmusiłem się, żeby zostać. Chyba byłem wtedy w szczególnym nastroju. W jakimś podłym stanie. Bo zdecydowałem, że po zgłoszeniu sprawy chociaż raz muszę się zmusić do pozostania i obejrzenia finału.

To było w Massachusetts. To było w lutym. Mały college na dalekim, zimnym zachodzie stanu, gdzie wytropiłem człowieka w domu bractwa uczelnianego. Ukryli go w pomieszczeniu na strychu, przez trzy dni przynosili mu piwo i płatki śniadaniowe ze stołówki, szukając dla niego połączenia lotniczego. Ale do domu

bractwa przychodziło za dużo dziewczyn, za dużo kumpli od nauki i pijanych nowicjuszy, na strych zaprowadzono zbyt wiele osób, które przysięgły dyskrecję, więc sprawa się wydała – rozeszła się po całym kampusie. Po całym mieście. To było najprostsze śledztwo, jakie w życiu zamknąłem.

Ale sam nie wiem. Byłem wtedy przybity. Czułem się podle. Może przez porę roku, może przez łatwość zadania. Zmusiłem się, żeby zostać. Przebrałem się za profesora, takiego w muszce i tweedowej marynarce. Siedziałem, sącząc kawę, przy chybotliwym stoliku na dziedzińcu kompleksu mieszkalnego z widokiem na dom bractwa. Na wypadek, gdyby ktoś pytał, przygotowałem sobie opowiastkę, że jestem wykładowcą kontraktowym na wydziale historii rasowej, ale nie zapytał nikt. Patrzyłem, jak podjeżdżają furgonetki, jak funkcjonariusze wpadają do domu i jak zdezorientowani, oburzeni chłopcy z bractwa kręcą się przy wejściu, gdy oto marszałowie zabierają ich projekt charytatywny, wyciągają z budynku i wrzucają do wozu. Widziałem twarz tego chłopaka, pełną trwogi i upokorzenia, widziałem, jak mruga oczami, oślepiony śnieżną jasnością dziedzińca, jak krzyczy skołowany. Zabrnął tak daleko, a teraz musiał wrócić – jego nowi koledzy w bluzach z literami greckiego alfabetu bez przekonania wykrzykiwali słowa wsparcia, obiecywali pomoc, zbulwersowanym tonem ogłaszali, że ich ojcowie są prawnikami, gdy tymczasem marszałowie spętali biednemu opkowi ramiona za plecami, jakby był szaleńcem, a potem przypięli go do noszy w furgonetce. Ostatnim, co widziałem, były wierzgające stopy chłopca, rozpaczliwie kopiące we wzmocnione szkło tylnej szyby furgonetki, kiedy odjeżdżali.

W końcu tunel zrobił się trochę wyższy, tak że mogłem się wyprostować. Kląskanie moich stóp na oślizgłym betonie niosło się echem. Zapaliłem latarkę i szedłem za snopem światła, który rysował dziwne wzory na nieregularnych, parabolicznych powierzchniach tunelu. Nad głową miałem jego grubą skalną skorupę, wyżej glinę i kamienie rzeczne, dalej cienką warstwę gleby, a jeszcze dalej ulice i chodniki żyjącego miasta.

Szedłem tunelem, mamrocząc coś sam do siebie, jakiś dziwny wierszyk z mojego straszego dzieciństwa. Gdzieś tam przede mną był on, zbiegły Jackdaw, owinięty w kokon bandażu, czekający, aż wyślą go do Kanady. Zastanawiałem się, czy ktoś mu towarzyszy – ktoś z personelu pokładowego, żeby go pocieszyć, trzymać za rękę w ciemności. Może Maris? Wielki, twardy Maris? Albo posterunkowy Cook? Albo sam młody, bladolicy ksiądz Barton?

Pokręciłem głową w mroku. Nie wiem czemu, ale byłem pewien, że nie będzie ich przy nim. Nikogo z personelu pokładowego. Żadnego stewarda. Wyobrażałem sobie Jackdawa samego.

Samego, zawiniętego w bandażu, cierpiącego z bólu. Po tym, co powiedziała mi doktor V, kiedy zadałem jej ostatnie pytanie, co powiedziała nerwowo, w pośpiechu, o stopniu jego obrażeń: typowe rzeczy – wyczerpanie i odwodnienie, świeżo i wcześniej zabliznione rany. Oraz mniej typowe – objawy odpowiadające ostrej toksyczności.

- A co to takiego? – zapytałem, odgrywając Kenny'ego Mortona, odgrywając go na sto procent. – Co to znaczy?

- Że przyjął jakąś substancję lub połączenie różnych substancji – wyjaśniła lekarka Kenny'emu. – Że go otruto.

Podążałem ostrożnie przez ciemny tunel. Myślałem o człowieku, którego przyszedłem zobaczyć, o tym wszystkim, czego dokonał i co go jeszcze czekało. Tym, co go czekało, byłem ja, potwór powoli nadchodzący rurą, żeby go znaleźć i... wciąż dokładnie nie wiedziałem, co zrobić. Było za późno, żeby dać sygnał Bridge'owi i zniknąć. Jak to mówią, za dużo wiedziałem. A jednocześnie wciąż za mało. Na razie.

Przeszedłem co najmniej trzy kilometry. Tunel lekko opadał, robiło się też chłodniej. Powietrze było ciężkie i wilgotne, gęste od zastalego tlenu i woni zatechłej wody.

Zbliżałem się. Wyjąłem pistolet, którego prawie nigdy ze sobą nie nosiłem, ale dzisiaj go zabrałem. Wkrótce miałem znaleźć to

coś, cokolwiek to będzie - dyndającą kłódkę, zamurowane pomieszczenie, wlot jaskini zastawiony głazem.

Kiedy jednak tam dotarłem, kiedy znalazłem zamknięte drzwi, nie było w nich zamka. Właściwie nie było nawet samych drzwi. Przesuwałem dłońmi po obu stronach tunelu, próbując namacać szparę drzwi uchylnych albo wypukłość klamki, gdy nagle po prostu trafiłem na próżnię. Obróciłem się, przykucnąłem, podniosłem latarkę i zobaczyłem wąską szparę w tunelu, jakby ktoś zostawił tu dziecku do odnalezienia tajemne miejsce. Uklęknąłem i zgasłem latarkę, chociaż oczywiście jeśli on tam był - a wiedziałem, że tak, wiedziałem, że tak - to już mnie zobaczył, zobaczył kołyszący się snop światła, gdy nadchodziłem tunelem, zobaczył, jak świecę do jego kryjówki, która nie miała zamka ani drzwi.

Weszliby tam, gdyby było trzeba. To znaczy ludzie Bridge'a, zespół odzyskujący. Ci goście to byli wojskowi, tęgie skurczybyki. Wpadliby tu z granatami błyskowymi, wykrzykując rozkazy, wyciągnęliby i spętali dygoczącego chłopca góra w pół minuty. Ludzi Bridge'a nie obchodziłoby, w jakim on jest stanie. Przyszliby i go zabrali. Wystarczyło, żebym zadzwonił. Wy tłumaczyłbym się Bridge'owi z telefonu do Janice i udawania jego głosu, ha, ha, to tylko takie wygłupy. Może byłbym wciąż na tyle cenny, żeby nie wrzucili mnie do furgonetki obok Jackdawa.

Może należało po prostu zawrócić. Robić swoje. Robić to, na co zgodziłem się sześć lat wcześniej. Wystarczyło, żebym poszedł z powrotem na górę i wykonał ten telefon.

Wszedłem do tej komory, w głębszą ciemność, i zaczęła we mnie narastać empatia. Byłem nim. Byłem tym człowiekiem, który kulił się tutaj, czekał, wstrzymywał oddech, z przerażeniem obserwował zbliżające się światło. Waliło mi serce, tak jak pewnie waliło jemu. Czulem pot na czole - strach, który był jego strachem.

Śledztwo wydaje się czymś bardzo trwałym, nawet po zaledwie kilku dniach. Zaczyna się wydawać odrębnym stanem. Człowiek prawie zapomina, że wszystkie poszukiwania mają jakiś cel, a u

ich kresu, jeśli jest się dobrym, znajduje się to, o co chodziło. Zawsze przychodzi ten moment, kiedy otwiera się drzwi albo wieko, rozpina torbę, podważa pokrywę skrzyni, podnosi klapę wjazdu albo ciągnie za sznurek, żeby spadła drabina.

Podłoże w tym węższym korytarzu zmieniło się w krótkie schody z kamienia, trzy płytkie stopnie w dół. Byłem nami oboma. Byłem sobą, ale również człowiekiem na końcu tej drogi, patrzącym, jak mój własny cień rośnie. Człowiekiem, który słyszał, że nadchodzę. Stukot i chrzęst moich obcasów o kamienne schody był czymś pradawnym, co niosło się echem.

Byłem nim, patrzącym, jak to światło wżyna się w jego świat. Byłem sobą i byłem nim, przerażonym dźwiękami intruza. Czułem, że i we mnie narasta strach. Nie towarzyszył mi czujny niepokój drapieźcy, ale paniczny lęk jego zwierzyny.

Snop latarki padł bladym krążkiem na ścianę i zaczął brnąć przez niewielkie pomieszczenie.

Postanowiłem zawołać. Nie mogłem tego dłużej znieść.

- Kto tam? - zapytał on, wychrypiał te słowa cichym, desperackim głosem. - Kto idzie?

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Przesunąłem snop światła dokoła i znalazłem go, patrzącego na mnie. Skulonego na ziemi pod kocem, przyglądającego mi się z drżącymi policzkami. Niedużą betonową komorę, w której się ukrywał, oświetlała jedna lampka wyjścia awaryjnego, rzucająca przyćmiony blask na śliskie, ubłocone ściany. On jęczał, ja wciąż się zbliżałem, a to uczucie stawało się coraz silniejsze, to wrażenie oderwania od rzeczywistości i oglądania siebie samego, jak nadchodzę, zagrożenia mającego w ciemności, wyciągniętej ręki zła. Widziałem siebie tak, jak on mnie widział, idącego powoli, krok za krokiem, z pistoletem w zaciśniętej pięści; a on był przerażony i przyparty do muru, zapędzony na drzewo jak ranny niedźwiedź, okutany w koce, zagubiony w cieniu.

Jackdaw wyglądał fatalnie. Miał niezdrową, ziemistą cerę, leżał skulony na ziemi jak jakaś porzucona rzecz. Obok posłania ktoś



zostawił mu butelkę wody, z której pod ostrym kątem sterczała słomka. W drugim kącie pomieszczenia stał basen ze strużką sików na dnie. Chłopak miał na wpół zamknięte oczy, mrużył powieki w bladym świetle niczym kret. Jego skórę pokrywały rany, przebarwienia, żółte plamy sińców. Leżał na jakiejś pryczy czy sienniku, przykryty kocami i – tak jest – kurtką pana Marisa, dodatkową ochroną przed podziemnym chłodem. W kieszeni na pewno wciąż był mój nóż motylkowy. Jackdaw był powykręcany pod tymi wszystkimi cholernymi warstwami, trochę przykryty, trochę odsłonięty, jak dziecko, które nie śpi, jak Castle, jak ja. Dopiero później, kiedy w wyobraźni ponownie oglądałem to miejsce, przypomniałem sobie, że obok niego był półksiężyc świec, zdmuchniętych lub wypalonych, zatopionych we własnym wosku.

Pod tą powłoką nieszczęścia chłopak wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu: przystojny, o szlachetnych rysach, gwiazdor filmowy uwięziony w koszmarze. Nie ktoś, kto zabił dwie pielęgniarzki, to na pewno. Nie ktoś, kto zatłukł je na śmierć, wyskoczył przez okno i uciekł. Miał chudą twarz, delikatne oczy, twarz wyczerpaną i posiniaczoną, ale mimo wszystko i tak był pięknym dzieckiem. Z pewnością zbyt pięknym dla tego świata.

Stałem w ciemności, patrząc i nic nie mówiąc, a potem to Jackdaw zaczął rozmowę.

- Więc to ty, co?

Zostałem pod ścianą. W cieniu.

- To znaczy kto? - zapytałem. - Kim jestem?

- Daj spokój. - Jackdaw poruszył się pod kłębowiskiem koców, wyprostował się na tyle, żeby oprzeć się o ścianę. Nadał swojej delikatnej twarzy twardy wygląd: zacisnął zęby, wydał dolną wargę. - No, już. Dawaj. Od czego zaczynasz? Paznokcie czy jak?

- Co?

- Obrabiasz nogi, co? Masz kij? Palnik? Wiem, jakie wy macie sposoby. Widziałem filmy. Kije, obcęgi i w ogóle. Słuchaj. Nie powiem ci, gdzie to jest, więc rób, co masz robić.

Jego głos był taki sam jak twarz: ponury, przerażony, napięty z wysiłku, żeby zachować się.

- Co takiego mam robić? - zapytałem, sam również udając, udając, że wiem, co się dzieje. Byłem zbity z tropu. Między nami wisiała ciemność. „Nie powiem ci, gdzie to jest. Widziałem filmy”.

- Jakie filmy? Co za filmy widziałeś?

- Co?

Prawda docierała do mnie falami. Frazy i urywki, kawałki myśli, zrozumienie - Cook: „szczególny chłopak”, Janice: „ten numer po prostu nie wyskakuje” - aż wreszcie odetchnąłem głęboko, podszedłem i przyklęknąłem obok dygoczącego chłopca.

- Ty nie jesteś prawdziwym niewolnikiem.

Jackdaw zakasłał i spojrzał na mnie jak na wariata.

- Nie jestem i ty o tym wiesz.

- Ja nic nie wiem - odparłem i mówiłem szczerze. Jezu, jak szczerze.

- Jestem wolnym człowiekiem, ty gnoju. - Zebrał się w sobie, w jego spojrzeniu pojawiło się nieco siły. Popatrzył na mnie i oznajmił: - Wolnym człowiekiem. Od urodzenia.

# 23.

**Dźwignąłem go** i wyniosłem stamtąd.

Na wpół martwy chłopak prawie nic nie ważył. Nie wiadomo, ile czasu spędził za Płotem, a potem prawie tydzień tutaj, pogrzebany żywcem przez swoich wybawców. Chociaż byłem zmęczony, mogłem go nieść bez trudu i to właśnie zrobiłem – przerzuciłem go sobie przez ramię jak niesforne dziecko. Szarpał się, ale nie bardzo. Był słaby. Szedłem najszybciej, jak potrafiłem.

Kiedy zrobiło się zbyt ciasno, ciągnąłem go i pchałem. Mógłbym go, kurwa, toczyć. Przemieszczałem się w przeciwną stronę, nie tam, skąd przyszedłem, podążałem za podziemnym strumykiem, w kierunku, z którego płynął, oddalałem się od parku przyczep i walącego się królestwa Slima, licząc na to, że ten tunel musi mieć jakieś wyjście. Ciągnąłem Jackdawa, aż wreszcie je znalazłem.

Wyleźliśmy na drugim końcu, tam, gdzie woda rozlewała się w błotniste koryto White River na południe od centrum. Taszczyłem chłopaka w górę po bagnistym brzegu, aż wreszcie obaj padliśmy na ziemię obok rzeki. Nie było tu żadnego deptaka, żadnego chodnika, tylko nasyp, tylko wysepki rzadkiej trawy i luźne kamienie pokrywające piętnastometrowy odcinek zbocza od skraju wody do jezdni w górze.

Miejsce było oświetlone – ledwie – blaskiem skrawka księżyca oraz dwóch słabych latarni na wiadukcie nieco dalej w dół rzeki. Delikatnie położyłem chłopaka nad wodą, a potem zgiąłem się wpół, żeby złapać oddech i pomyśleć.

Nie miałem pojęcia, co robię – czy oddaję go władzom, czy ratuję, a jeśli ratuję, to przed czym.

Podniósł się na czworaki i wypluł długą strugę żółtej plwociny. Przylepiła mu się do dolnej wargi. Pochylił się, szarpały nim torsje.

- No, dawaj. Miej to z głowy.  
- Nie przyszedłem cię torturować.  
- Aha. No to strzelaj. Zastrzel mnie, czarnuchu. Tylko... - Jego bojowość trochę osłabła. Wzdrygnął się. - Tylko... nie w twarz, dobra? I... powiedz moim rodzicom, że przepraszam. Dobra? Możesz to zrobić?

- Posłuchaj mnie.  
- Są w Brightmoor, w Detroit, dobra? Tam się wychowałem, a oni dalej tam mieszkają. Dobra?

- Jackdaw.  
- Nazywam się Kevin - powiedział. - Kevin.  
Miałem ochotę dać mu w twarz. Miałem ochotę go przytulić. Tego biednego chłopaka, który błagał mnie o życie pod sierpem księżycy. Rzeka pęczniała od deszczu, kotłowała się obok nas.

- Powiedz rodzicom, że próbowałem być dobry, nie? Próbowałem... - Znowu płakał, wielkie łzy ciekły mu po policzkach. - Po prostu im powiedz. Charles i Chandra, dobra? W Brightmoor, w Detroit. Powiedz im...

- Przestań - przerwałem. - Nie przyszedłem cię zabić.  
Podniósł głowę i gapił się na mnie z otwartymi ustami.

- No to po co? Po co? Po co?!  
Nie miałem odpowiedzi. Spojrzałem na niego błagalnie, z żalem, jakby to on miał powiedzieć mnie, co ja mam, kurwa, zrobić. Gapiliśmy się zatem na siebie nawzajem z identycznymi minami, jak dwie głupie ryby. Ale było już późno, zbyt późno. Gdzieś nad nami na szosie jakiś samochód zatrzymał się z piskiem opon, usłyszałem trzask zamykanych drzwi i szybkie kroki na rzadkiej trawie, zbliżające się prędko.

To był Cook. Zobaczyłem brąz butów gliniarza i chwyciłem chłopca. Jestem potworem, ale odezwał się instynkt, więc postawiłem na jedyne, co wiedziałem: że ten chłopak, kimkolwiek był, cokolwiek się stało, wiedział coś, co interesowało tych ludzi, więc nie zabiją go, dopóki tego nie zdobędą. Złapałem Jackdawa, cofnąłem się z nim jak w tańcu, jeden krok, a potem stanąłem w wodzie. Powiesiłem go przed sobą jak tarczę.

- Stój! - krzyknąłem, a Cook, zbiegający ze stoku z pistoletem w ręku, wykonał polecenie, więc mówiłem dalej: - Rzuć broń i ręce do góry.

Ledwie go widziałem, ale dostrzegłem blask białych zębów, kiedy wykrzywił twarz w grymasie, i zobaczyłem pistolet rzucony między nas, w krzaki.

Jackdaw znieruchomiał w moich ramionach. Serce mu biło, był niczym przyciśnięty do mnie królik. Powoli wyjąłem swoją broń i przyłożyłem mu lufę do skroni.

Pozostali już nadchodzili. Najpierw wielki Maris, potem również Barton sunący przez mrok, otoczyli mnie i chłopaka półkolem, w połowie wysokości nasypu, i patrzyli z góry na nas stojących w wodzie. Barton był z nich trzech najmniejszy, drobny, blady, jak duch, czarna sutanna w czarną noc. Ale to właśnie Barton przeraził Jackdawa i dodał mu odwagi. Kiedy chłopak zobaczył księdza, zeszywniał w moim uścisku, przestraszony, spięty i gotowy do oporu.

- Nie denerwuj się - usłyszałem własny głos szepczący mu do ucha jak bratu, chociaż przykładałem mu broń do głowy. - Wszystko będzie dobrze. - A potem do Marisa: - Broń na ziemię, proszę.

- Nie noszę broni - odparł tamten mocno, chłodno, sugerując, że jej nie potrzebuje. Nie potrzebuje broni, żeby zabić kogoś takiego jak ja.

- Jak ty spiasz w nocy? - odezwał się posterunkowy Cook. - Jak ty, kurwa, spiasz w nocy, Jim? - Wycodził to imię.

Ale ja postąpiłem tak jak Bridge. Odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Kim jest ten chłopak?

- Idź do diabła - odparł Cook.

Ale to ja miałem broń w ręku. To ja miałem zakładnika. Zwróciłem się do księdza Bartona:

- Gadaj, kto to jest.

- Ten młody człowiek sam może ci to powiedzieć - odparł Barton, a Jackdaw, Kevin, zareagował na jego głos przyplywem

świeżej energii, szarpiąc się w moich ramionach.

Mruknąłem mu na ucho:

- Spokojnie. - A Bartonowi rzuciłem: - Nie. Ty mi to powiedz.

- Jest żołnierzem w armii Pana.

- Co to znaczy?

- Zapytaj go - odparł ksiądz Barton i tak jak ja nie spuszczałem wzroku z niego, tak on nie spuszczał wzroku z Kevina. - Zapytaj chłopca.

- Do cholery, pytam ciebie.

Tymczasem pan Maris, którego twarz była brązowa w bladym świetle, wciąż próbował się połapać.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał.

Cook odwrócił się do niego z niedowierzaniem.

- To złodziej czarnuchów. - Potem powiedział do mnie z wyzywającym uśmiechem: - Zgadza się? Złodziej czarnuchów. Łapacz dusz.

Maris miał oszołomioną minę. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, jakbym był duchem, mitycznym ogrem.

- On jest rządowy?

- Tak, kurwa - odparł Cook. - Rządowy.

Poczułem, że Kevin zareagował na tę nową informację. Poczułem zmianę w jego ciele, kiedy zrozumiał, jakie wybawienie tym razem go spotkało.

- To tajny agent - powiedział ksiądz Barton cicho, ze smutkiem, jak mądry rodzic, który tłumaczy dziecku, czym jest zło. A potem współczująco zwrócił się do mnie: - Jakież nieszczęścia widziałeś... Ileż bólu napotkałeś na tym świecie...

Maris zrobił krok w moją stronę, z zaciśniętymi i na wpół uniesionymi pięściami - gotów, skoro już wiedział, kim jestem, urwać mi głowę. Zrobiłem ćwierć obrotu, pilnując, żeby widział, jak mocno trzymam ich cenny ładunek.

- Już - warknąłem. - Gadać mi o tym chłopaku. Już!

Barton bardzo delikatnie skinął głową. Zaczynało wschodzić słońce, oblewając tę rozpaczliwą scenę mglistym żółtym światłem. Pięćdziesiąt metrów na południe biegł most kolejowy

pokryty od spodu graffiti niczym rysunkami naskalnymi. Barton zrobił krok w moją stronę i zaczął mówić. Patrzył mi prosto w oczy, mnie, trzymającemu broń i jeńca. Człowiek, który głosi prawdziwe słowo Boże nawet potworom w twarz.

- Pięć lat temu nasza organizacja dowiedziała się o pewnych działaniach podejmowanych przez tę konkretną plantację, Garments of the Greater South. Mieliśmy informacje z różnych źródeł. Opracowaliśmy sposoby zebrania dowodów tych działań. Przetransportowania ich na Północ. I upublicznienia. - W miarę jak Barton mówił, opuszczał go spokój duchownego, jego głos stawał się donośniejszy, ksiądz zaczął kiwać głową, jakby przemawiał przy ołtarzu, powoli unosił ręce jak w wezwaniu do modlitwy. - W ten sposób możemy wstrząsnąć fundamentami, pognębić nie tylko tę plantację, ale wszystkie plantacje... W ten sposób możemy uderzyć w samo serce dawnego zła. W ten sposób światu opadną łuski z oczu...

Barton zmienił się całkowicie, spod maski skrytego młodego księdza wyłonił się kaznodzieja straszący ogniem piekielnym. Jaki on jest, zastanawiałem się, po drugiej stronie zasłony w konfesjonale, kiedy mrucząc, udziela Bożego przebaczenia? Jaki jest na spotkaniach abolicjonistycznych darczyńców, gdy ściska im dłonie i skromnym gestem chowa do sutanny złożone czeki? Był tyłoma różnymi ludźmi. Odpowiadał potrzebnie. Był taki jak ja.

- No dobrze - powiedziałem. - No więc go zwerbowaliście. Wysłaliście go tam.

Barton skinął głową, stał z rozłożonymi rękami i uniesionymi dłońmi, głęboko oddychał. Teraz mówił do Kevina, który patrzył na niego z twarzą znieruchomiałą z odrazy.

- Pamiętam tamtą noc. Pamiętam, jaki byłem dumny, że cię poznałem, że cię znalazłem. Jacy byliśmy natchnieni. Jacy obaj byliśmy podekscytowani tym przedsięwzięciem.

- Przyszedł na moją uczelnię - odezwał się nagle Jackdaw, a ja szarpnięciem przyciągnąłem go bliżej siebie. - Ten tutaj. Po cywilnemu, wiesz, dzinsy, koszula i koloratka. Taki, kurwa, luzak.

Byłem na drugim roku w Earlham College. A on wbija na spotkanie czarnych studentów i zaczyna nawijać o odpowiedzialności. Mówi: ej, kto z was ma dość podpisywania petycji? Kogo już nogi bolą od chodzenia w marszach? Kto jest gotów zrobić coś naprawdę? A ja powiedziałem... - Kevin mówił cicho, drwiąco, z pogardą dla dawnego siebie. - Powiedziałem, że ja. Że ja. Cały byłem podjarany. - Wyczerpany zamknął oczy, zwisał w moich ramionach bezwładnie jak lalka.

- Ile czasu? - zapytałem Bartona. - Ile czasu musiał tam pracować, zanim zaryzykował życie, żeby zdobyć wasze... cokolwiek to jest?

Barton uniósł jeden palec chudy jak szczapa.

- Jeden rok.

Trzymając Jackdawa, czułem pulsujące ciepło jego serca. Czułem jego ofiarę, tego chłopaka z Detroit, chłopaka dorastającego z kumplami w wolnym świecie, grającego w kosza, chodzącego na uczelnię. Drugi rok studiów, humanistyka, podręczniki i zaliczenia, przybijanie piątek na dziedzińcu, a potem rok za Płotem. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, tylko że właśnie potrafiłem - potrafiłem dokładnie. Ja byłem niewolnikiem przy żywym inwentarzu, wśród kurzu, z zakrwawionym nożem w ręku, a on w szklanych ścianach, w szwalni, z igłą i nicią, ale podstawy były takie same. Nagie fakty zawsze są takie same.

- I spisał się... - Barton urwał, uśmiechając się, zrobił kolejny krok w naszą stronę i wyciągnął ręce do Jackdawa. - Spisałeś się doskonale. Kevin? Słyszysz mnie, Kevin? Spisałeś się na medal.

Jackdaw odchrząknął i splunął księdzu gęstą śliną prosto w twarz. Barton się nie wzdrygnął. Bardzo delikatnie uniósł rękę i starł plwocinę. Ja tymczasem jednym okiem zerkałem na pozostałych mężczyzn, którzy wciąż stali nieco wyżej. Na Cooka ze skrzyżowanymi rękami i przymrużonymi powiekami. Na pana Marisa, wielkiego i wściekłego, w skupieniu marszczącego czoło, wyczekującego odpowiedniej chwili. Szansy, żeby nas rozdzielić, żeby odepchnąć chłopaka na bok i móc rozerwać mnie na strzępy.



- Więc gdzie to jest? - Milczenie wszystkich obecnych. Ryk pędzącej rzeki, w oddali odgłosy samochodów. Na południowej nitce sześćdziesiątki piątki ktoś trąbił. - Dajcie spokój. Chłopak jedzie na Południe, spisuje się doskonale, zbiera dowody. Gdzie one są?

- Zapytaj chłopaka - powiedział Barton.

- Pytam ciebie - odparłem.

- Ten głupi pojeb nie wziął ich ze sobą - odezwał się Cook. Zrobił jeden krok w dół, a ja zacieśniłem chwyt, więc się cofnął. - Mówi, że je wyciągnął, ale ukrył gdzieś po drodze.

- Dlaczego?

- Bo jest dezorientowany - stwierdził Barton. - Zmęczony i dezorientowany.

- Chodzi o Lunę - powiedział Jackdaw. Nie Jackdaw: powiedział Kevin, student drugiego roku, i nie wydawał się ani zmęczony, ani dezorientowany. Ożył pod moim groźnie zgiętym ramieniem, przejął kontrolę nad własną historią. - Tam jest taka dziewczyna, Luna, to OP, i właśnie ona zdobyła te wasze drogocenne dowody. To ona w chuj ryzykowała, ta dziewczyna, która urodziła się jako niewolnica i spędziła w niewoli całe życie. - Mówił szybko, gorączkowo, głosem szorstkim od łez, narastającym z pasją, tak jak wcześniej narastał głos Bartona. - Powiedziałem, że jak mi pomoże, to ją też wyciągniemy. A potem wasi ludzie...

- To nie są nasi ludzie - przerwał Cook.

- Wasi ludzie...

Barton pokręcił głową.

- Pracujemy z różnymi jednostkami...

- Oni ją zostawili. Zostawili ją tam. Więc im powiedziałem... - Odchylił głowę do tyłu, przyciskając ją do mojej piersi. - Powiedziałem: idźcie po tą dziewczynę, to wam powiem, gdzie schowałem waszą jebaną kopertę.

Cisza. Słońce wschodziło. Ohydna woda chlupotała nam o stopy. Barton stał z zamkniętymi oczami, trochę śliny wciąż powoli spływało po jego policzku, na jego twarzy malowała się mieszanka bólu i wyrozumiałości.

A potem zrobił kolejny krok. Powiedziałem: „Stój”, ale mnie zlekceważył. Uklęknął w błotnistej wodzie u naszych stóp, brązowe fale oblewały mu krawędź sutanny, buty, cienkie brązowe skarpetki. Odezwał się głosem łagodnym, emocjonalnym i nagłym, jakby odprawiał obrzęd.

- Musisz się dobrze zastanowić, Kevinie. Musisz. Rozmawiamy o losie trzech milionów osób.

- Nie obchodzą mnie trzy miliony osób. Obchodzi mnie tylko jedna. Idźcie po nią, a powiem wam, gdzie to jest.

- Nie możemy tego zrobić - odparł Barton. - Ten plan przygotowaliśmy przez lata. Przez lata. Nie możemy tak po prostu gdzieś wejść i...

- Ona nie żyje - powiedział nagle posterunkowy Cook. - Dobrze? Ta twoja dziewczyna nie żyje.

Barton odwrócił się, żeby spojrzeć na policjanta. Maris również mu się przyglądał. Nastąpiła długa, brutalna cisza. Żaden z mężczyzn się nie odzywał, ale w mroku brzasku odczytywałem ich milczące porozumienie - nie zamierzali mówić o tym Kevinowi, bojąc się, jak zareaguje, co zrobi, ale teraz nic im już nie zostało. Nie mieli wyboru. Przyszedł rząd, był wśród nich potwór, sytuacja stała się kryzysowa, więc chłopak musiał się dowiedzieć.

Tymczasem twarz Kevina odrętwiała ze zdumienia i rozpacz. Czuję jego wąską klatkę piersiową przyciśniętą do mojej, czuję, jak ta rozpacz przeskakuje z jego serca do mojego niczym elektryczna iskra, a potem w końcu chłopak zajęczał. Głos wydobywający się z ust biednego

Kevina był niski i przeciągły, jak wycie zwierzęcia w potrzasku.

- Nie - mówił, choć był to bardziej dźwięk niż słowo. - Nie...

Barton beznamiętnie patrzył, jak chłopak krzyczy. Jego blade oczy wbijały się w cierpiącego Kevina niczym laser: prześwietlały go, kroїły, preparowały. Jestem przekonany, że gdyby mógł, rozplatałby tego dzieciaka i własnoręcznie wyciągnął z niego sekret.

Cook mówił dalej, wzdychając ze smutkiem.

- Dowiedzieli się, że pomogła ci uciec, więc poszli i ją ubili. Tak, żeby wyglądało na wypadek. Sam wiesz, jakie mają metody.

Kevin kręcił głową. Na jego twarzy malował się ból. Dobór słów przez Cooka był brutalny: ubili ją. Jak psa, jak wilka. Jak coś dzikiego.

- Nie, wiecie, nie - odezwał się Kevin. - Im nie wolno. Mogą ją karać, ale nie... kara śmierci... nie. Prawo zabrania. Prawo...

Pobożne życzenia. Pomyślałem tak, ale nie powiedziałem tego głośno. Rzeczywiście jest prawo. Są zasady. Brutalne niewolnictwo jest nielegalne. Ale zasady stale się łamie. Strażnikom uchodzi na sucho. Obciążenie pracą osiąga niebezpieczny pułap. Franklinów się przekupuje, franklinowie są niedbali, franklinowie mają w dupie. Zaskakująco wielu z nich to byli strażnicy. Kiedy miałem dziesięć albo jedenaście lat, znałem jednego OP, nazywał się Cat's Eye. Pewnego pracującego białego o imieniu Huey stale przezywał „Chujek”, po czym rzucał: „Ups, sorki”. Karali go za każdym razem, a potem on mówił tak znowu. Pewnego razu, kiedy robił w garbarni, wpadł do kadzi. Wypadek przy pracy, takie rzeczy się zdarzają. Pracujący biali jakimś cudem to przegapili, tak samo strażnicy, a nawet franklinowie - w sali były trzy żółte kombinezony, ale nikt nie zwrócił uwagi, dopóki nie przyszła pora, żeby to, co z niego zostało, wyłowić za pomocą długiego, zakrzywionego kija, który wisiał na ścianie. Smród był taki, że pierwsze trzy Rodziny, które potem pracowały w pomieszczeniu, musiały przewiązywać sobie twarze szmatami, mimo że wcześniej na tydzień zamknięto budynek na odkażanie.

- Tak - powiedział Cook. - Do dupy, stary, wiem. Do dupy.

- Właśnie - dodał Maris.

- Bóg tak chciał - stwierdził Barton - bo teraz jesteś wolny... Wolny, żeby nam powiedzieć...

Ale dla Kevina „Bóg tak chciał” to było już za dużo. Nie był w stanie słuchać o Bożej woli, szarpnął się, uderzył mnie kolanem, czego się nie spodziewałem, a może wcale nie chciałem go zatrzymać, może dlatego miał możliwość się obrócić, trafić

mnie w bok nogi, wyrwać mi broń z ręki i wycelować w księdza Bartona.

- Ty potworze! - krzyknął, a Barton odpowiedział:

- To nie ja jestem potworem, synu, ja...

Dwa strzały, jeden po drugim, pach, pach, ledwie słyszalne przy ryku pędzącej rzeki - pach, pach - rykoszetujące i nakładające się na siebie, i nagle wszyscy poruszali się jednocześnie w każdą stronę. Barton drgnął, jakby został trafiony, ale to nie on był trafiony, tylko ja, nagle poczułem ból w ramieniu. Upadając do tyłu z kulą w ciele, zobaczyłem, że to Maris strzelał, z podniesionego z ziemi pistoletu Cooka, a drugą kulę przyjął Kevin, prosto w pierś. Przewróciłem się, on przewrócił się na mnie i nie żył.

Nie powinien był umrzeć, ale umarł, a ja ciągle żyłem.

To ja powinienem był umrzeć.

Powinienem był umrzeć na farmie Bella w deszczu i w bagnie krwi, powinienem był umrzeć na chodniku w Chicago. Powinienem był walczyć z tamtymi ludźmi z furgonetek tak długo, aż musieliby mnie zastrzelić.

A teraz tutaj, nad tą szarą wzburzoną rzeką, to ja powinienem dostać kulę, a jednak trwałem i wciąż pragnąłem żyć.

Słońce dalej wschodziło. Oblewało światłem tę scenę, plamy krwi na płaskich kamieniach, wytartą trawę. Gniew i konsternacja pozostałych w całości skupiły się na mojej osobie. Maris i Cook obrócili się do mnie, a Maris nadal trzymał pistolet.

- Oddaj mi broń - odezwał się policjant.

W promieniach słońca zalśnił jego szkolny pierścień. Przewodniczący klasy, król zjazdu absolwentów. Wszyscy razem byliśmy tylko gromadką skołowanych ludzi nad rzeką.

- Oddam, jak skończę - odpowiedział Maris, a potem zwrócił się do mnie, chłodno, spokojnie: - Wstawaj.

Wstałem.

- Ręce do góry.

Barton klęczał w płytkiej wodzie, z głową Kevina na kolanach, i się modlił. Albo cicho klął. Albo głaszcząc policzek tego martwego dziecka, próbował wydobyć informację, na której tak rozpaczliwie mu zależało, wywabić ją na powierzchnię czarem lub pieśczętą. Maris szedł w moją stronę. Wydawało mi się szaleństwem, że zrobią to tutaj. Tu, gdzie w zasięgu słuchu już teraz przetaczał się poranny ruch. Barton trzymał chłopca, a Maris zbliżał się ze służbową bronią Cooka w rękę.

- Czekaj. Czekaj. - Cook był w ruchu, przemieszczał się szybko. Znalazł się między Marisem a mną. - Stój.

Przykucnął obok księdza i tak zbliżeni stykali się głowami, tworzyli łuk nad Kevinem, który leżał częściowo zanurzony w wodzie. Cook szeptał Bartonowi w kark, a ksiądz zaczął kiwać głową, w jego oczach zapłonął ogień.

- Co? - zapytał Maris, a potem głośniejszym głosem: - Co?

Był niecierpliwy, rozdymał nozdrza. Jego czoło parowało gniewem. Ten potwór, ten rządowy człowiek, ja - musiałem umrzeć, natychmiast. To było takie oczywiste.

Ale dwaj pozostali mężczyźni nadal rozmawiali, jeszcze z minutę lub dłużej, tymczasem Maris był z tego wyłączony, Kevin nie żył, a ja po prostu czekałem, aż w końcu Cook odsunął się i wstał.

- Dobrze?

Barton również się podniósł, łagodnie położył głowę Kevina na ziemi i wstał, raz za razem powtarzając „tak”, ja zaś widziałem, jaki Cook jest zadowolony z siebie, z tego, że udało mu się to sprzedać, o cokolwiek chodziło. Nawet wówczas, gdy arogancki duchowny podchwycił jego pomysł i go przejął - *mentalność Zabić drozda*.

- Oto, co zrobimy. - Jego głos był teraz spokojny, chłodny. Zniknął mamroczący ksiądz, zniknął płomienny kaznodzieja; teraz stał przed nami dowódca polowy, lider, stanowczy i zdeterminowany. - Pójdiesz i załatwisz, co trzeba - zwrócił się do Cooka. - Ale najpierw musisz zająć się ciałem. Masz na to sposób?

- Tak - odparł tamten. - Mam. - Spojrzał w dół na Kevina, ja również, i zobaczyliśmy, jak woda obmywa twarz chłopca, a jego oczy patrzą w słońce.

Następnie Barton zwrócił się do pana Marisa.

- Zabierzesz rządowego na miejsce i będziesz czekał. Rozumiesz mnie? Będziesz czekał. - Nie pozwolił Marisowi odpowiedzieć. Odwrócił się i ruszył nasypem pod górę, w stronę szosy. Krawędź jego sutanny ociekała wodą. - No dobrze - powiedział. - Jest niedziela. Idę na mszę.

Maris zrobił, co mu kazano.

Zawiózł mnie do Katolickiej Obietnicy Świętego Anzelma, gdzie byłem już wcześniej. Siedzieliśmy w zakurzonej głównej sali pośrodku kręgu składanych krzeseł.

Słuchaliśmy bicia kościelnych dzwonów, słuchaliśmy, jak motocykliści szpanują, odkręcając manetki gazu, słuchaliśmy warkotu i dudnienia hiphopowych kawałków dobiegających z SUV-ów na Central Avenue. Chciałem mieć tutaj radio, chciałem poprosić mojego strażnika, żeby puścił coś dla zabicia czasu. Coś lekkiego i łatwego. Jakiegoś Smokeya Robinsona, jakiegoś Michaela. Ale z panem Marisem nie dało się nawiązać kontaktu. Siedział naprzeciwko mnie z szeroko rozstawionymi nogami, między nimi trzymał strzelbę, wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. Ja siedziałem zamroczony, a moje ramię piekło i krwawiło. Ręce miałem związane za oparciem krzesła. Maris nie zaproponował mi ani pierwszej pomocy, ani wody.

- Gdyby to ode mnie zależało - powiedział w pewnej chwili, bardzo cicho, wciąż wbijając we mnie wzrok - byłoby to dla ciebie bardzo ciężkie. Powolne. Rozumiesz, o czym mówię?

Nie odpowiedziałem mu. Myślałem o Kevinie.

Myślałem o jego dawnej okolicy: o Brightmoor w Detroit.

Myślałem o jego rodzicach: o Charlesie i Chandrze.

Myślałem o tym, co zrobił, co próbował zrobić, i jak zginął. Łaknąłem muzyki, żeby oderwała mnie od tych myśli.

- Gdyby to ode mnie zależało - powiedział Maris - nie byłoby przyjemnie. Rozumiesz?

Nadal milczałem. Jemu jeszcze było mało. Wyciągnął krzesło z kręgu, przysunął je bliżej mojego, cały czas trzymając strzelbę między nogami. Rozwahałem sposoby na jego rozbrojenie, nawet z rękami przywiązanymi do krzesła. Niejednego się nauczyłem.

- Ilu już było? Ilu zgarnąłeś w tym swoim polowaniu? No ilu?

Kiedy wciąż nic nie mówiłem, Maris wydał nozdrza i zmrużył oczy.

- Nawet nie wiesz. Zgadza się? Więcej, niż umiesz się doliczyć? Więcej, niż pamiętasz?

Dwustu dziesięciu. Mógłbym mu powiedzieć, gdybym chciał. Dwustu dziesięciu od czasu Chicago, od rozmowy z Bridge'em w piwnicy budynku federalnego, od mojego szkolenia na pustyni w Arizonie. Dwustu dziesięciu włącznie z tym najnowszym: Jackdawem. Kevinem. Synem Charlesa i Chandry.

Kevinem z dzielnicy Brightmoor w Detroit w stanie Michigan.

Zacisnąłem dłonie i czułem, jak krew odpływa mi z ramienia.

Już prawie zapadł zmierzch, gdy drzwi opuszczonej świetlicy wreszcie otworzyły się ze skrzypieniem i do środka wszedł Barton, a za nim Cook.

Barton, już nie w stroju duchownym, ale w dżinsach i koszuli, niósł pod pachą laptopa. Cook oparł się o ścianę i żuł gumę, a ksiądz wziął krzesło z kręgu i pociągnął je za oparcie, żeby usiąść naprzeciwko mnie.

Otworzył komputer i obrócił go, tak bym widział ekran. Maris został na swoim miejscu, ze strzelbą opartą o kolana.

Barton kliknął znajomą ikonę i na wyświetlaczu pojawiła się mapa. Przedstawiała cały świat, potem zaczęła się powiększać, jakby kamera opadała z prędkością przyprawiającą o mdłości, pokazywała Stany Zjednoczone, potem Indianę, potem to miasto. Pośrodku miasta znajdowała się czerwona kropka, zapalała się i gasła, zapalała i gasła.

- Wiesz, co to takiego? - zapytał ksiądz.

- Wiem.

- Powiedz, co to jest.

Wpatrywałem się w kropkę. Byłem zahipnotyzowany.

- To ja.

- Zgadza się. - Barton zamknął komputer i wstał. - To ty.

- Jak to możliwe? - zapytałem, jakby to miało znaczenie. Jakby właśnie to było ważne. Próbowałem ustalić, co tu się dzieje. Co będzie dalej.

- Jak ci wiadomo, ten człowiek jest stróżem prawa. Ma dostęp do pewnych kanałów.

Cook machnął ręką.

- Pewien gość wisiał mi przysługę.

Popatrzyłem na niego w nowym świetle, a on spokojnie odpowiedział mi spojrzeniem i uśmiechnął się lekko, unosząc brwi. Jego mina mówiła: „to nic wielkiego”, ale obaj wiedzieliśmy - nawet jeśli Barton nie był tego świadomy - że wręcz przeciwnie. Wyobrażałem sobie reakcję pana Bridge'a, gdyby odkrył ten maleńki przeciek ze szczelnych ścian działu informatycznego US Marshals Service.

Barton nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Jesteś tropicielem i śledczym. Więc teraz będziesz tropił i śledził. Paczka, którą miał nam dostarczyć Kevin, zawierająca przedmioty o niezwykłym dla nas znaczeniu, nadal znajduje się na terenie Czwórki.

- Skąd wiesz?

Barton się skrzywił, a Cook odpowiedział za niego:

- No tutaj jej nie ma, co?

- W każdym razie - to znowu Barton - znajdziesz to, co zostawił tam Kevin, i nam przywieziesz. - Wskazał na laptopa. - Będziemy obserwować, dokąd się wybierasz. Będziemy patrzeć, jak jedziesz na południe, a potem znowu na północ. I wtedy wrócisz prosto do nas i przekażesz nam, co znalazłeś. Jeśli nie, to my znajdziemy ciebie. - Znow wykonał gest w stronę komputera. - I cię zabijemy.

Nie było sensu udawać, że nie zrozumiałem. Nie było sensu pytać o powód. Barton dokładnie rozumiał, kim jestem i jak to działa. Nie miałem odcisków palców. Nie miałem stałej



tożsamości. Dysponowałem przeszkoleniem oraz zasobami rządu Stanów Zjednoczonych. No i oczywiście gdyby mnie złapano, gdyby mnie torturowano bądź pobito, gdyby mnie zamordowano albo sprzedano na Południe, nikt by za mną nie tęsknił. Nikogo by to nie obchodziło. Człowiek niewidzialny to człowiek, którego można spisać na straty.

Mój wzrok jeszcze na chwilę pozostał na migającej kropce na ekranie.

Potem odwróciłem się do Cooka.

- Czegoś tu nie rozumiem. Śledzicie mnie, ale mój opiekun, mój szef, też mnie śledzi. Więc...

Cook już chciał odpowiedzieć, ale Barton uniósł dłoń, pokazując jej wnętrze, i tym gestem nakazał mu milczenie, tak jak mnie wtedy w Fountain Diner. Potem zniżył głos, przekrzywił głowę i zaczął udawać mnie, kogoś takiego jak ja, chłodnego, twardego tajnego agenta, który zgłasza się do bazy:

- Ale kanał - powiedział. - Z tego, co słyszę, ten zbieg wcale nie przedostał się przez Płot. Wygląda na to, że ciągle tam jest. Jak mam go dla was znaleźć, to muszę tam pojechać.

Zamknąłem oczy i kiwnąłem głową. Tak wyglądało moje życie, tak wyglądało moje przeznaczenie - być czyimś narzędziem, jednych albo drugich.

- Kiedy znajdziesz to, czego szukamy - dodał Cook - zadzwonisz do szefa i powiesz, że się nie pofarciło. Nie znalazłeś chłopaka.

- Ale kanał - mruknąłem.

- Potem przywieziesz nam paczkę - powiedział Barton. - I tyle. Będzie po sprawie.

- Po sprawie? - powtórzyłem.

- Tak - odparł Cook. - Po sprawie.

Dla Marisa tego było zbyt wiele.

- Nie - odezwał się. - Nie... - Ale tym razem to jego uciszyła władcza dłoń Bartona.

- Tak - powiedział ksiądz. - Ma ci się udać. Zrób to, jak należy. A załatwimy ci połączenie lotnicze do Kanady.

Maris wstał, położył strzelbę na ziemi i ostentacyjnie wymaszerował z kręgu krzeseł. Obruszony stanął, zachowując pewien dystans, po przeciwnej stronie sali, oparł się o framugę drzwi i skrzyżował ręce na piersi. Barton nie drgnął. Wciąż patrzył na mnie świecącymi oczami.

- W porządku - powiedziałem. - No to czego szukam?

- Chodzi o paczkę. Małą. Kopertę, miękką, zalepioną. Kiedy miał ją Kevin, został poinstruowany, żeby na odwrocie oznakował ją swoimi inicjałami, abyśmy mieli pewność. Nie wiemy, czy to zrobił. Ale na wierzchu jest symbol Garments of the Greater South. Znasz ten symbol?

Przytaknąłem. Znałem go. Znałem z tatuazu na obojczyku niewolnika Jackdawa, studenta Kevina. Znałem z pełnych akt sprawy.

- Czyli to jest zaplombowana koperta z GGSI. Gruba. Opisana na odwrocie - powiedziałem. Barton skinął głową. - Ale co w niej jest?

- Dowody. Mocne dowody, które pomogą obalić fundamenty niewolnictwa.

Prawie się roześmiałem: zawzięty obskurantyzm, zasłona tajemnicy.

- Czyli mam pojechać do Czwórki i polować na to coś, nawet nie wiedząc, co to takiego?

- Zrobisz - odezwał się Maris ze swojego miejsca na drugim końcu pomieszczenia - co kazaliśmy. - Chociaż ten jeden raz on i Cook byli zgodni.

- Albo cię zabijemy - dodał gliniarz.

Ale Barton spojrział na mnie z namysłem, wstając.

- Nie, powiemy mu. Powiemy ci. Panie Maris, panie Cook, poinformujecie naszego przyjaciela, jak skontaktować się z prawnikiem. I wyjaśnicie mu, co ma zdobyć. - Położył dłoń na mojej głowie i trzymał ją tak przez moment. - Niech zrozumie, dlaczego to takie ważne, żeby mu się powiodło. Nie tylko dla jego życia, ale dla życia nas wszystkich. - Nachylił ku mnie jasnowłosą głowę. - Stawiamy cię w trudnej sytuacji. Ale musisz to

zrozumieć. – Podkreślił to samo słowo, którego użył w rozmowie z Kevinem, to delikatne i potężne słowo „muisz”, zarazem miękkie i twarde, jak młotek zawinięty w aksamit. – Muisz zrozumieć, że to twoja okazja, żeby naprawić zło, którego się dopuściłeś. Żeby postawić znak w przeciwnej kolumnie. Tutaj możesz być żołnierzem. Możesz być dobry, synu. Możesz czynić dobro.

# 24.

**Spędziłem jeszcze** godzinę z agentami Podziemnych Linii Lotniczych, w chłodnym towarzystwie pana Marisa i Williego Cooka.

Powiedziano mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć. Opowiedziano o prawniku, o tym, gdzie i jak go znaleźć, o wszystkim, co było mi potrzebne, żeby rozpocząć polowanie na rzecz pozostawioną przez Kevina.

O tej rzeczy też mi opowiedzieli, o porażających dowodach, które miały wstrząsnąć fundamentami instytucji niewolnictwa. A ja musiałem bardzo się starać, udawać, że robi to na mnie wrażenie. Ogrom zbrodni, skandal, który zamierzali ujawnić.

To Cook wszystko mi wyłożył. Maris wciąż był wściekły, kipiał, łypiąc na mnie z dalekiego kąta pomieszczenia niczym czająca się śmierć. Garments of the Greater South Incorporated łamało – od dawna i systematycznie – prawa czystych rąk.

Już w 1994 roku GGSI utworzyło grupkę fasadowych firm w Kuala Lumpur, przez które rokrocznie przepuszczało artykuły bawełniane warte miliony dolarów. Plantacja w Alabamie eksportowała gotowe tekstylia do malezyjskich firm, te zaś zmieniały metki i sprzedawały produkty detalicznie w Stanach. Nawet po odliczeniu doli dla tych słupów, a także kosztów transportu, wydatków na łapówki, podrabianie zezwoleń i manewry logistyczne, operacja była dla obu stron ogromnie zyskowna.

Ale prawdziwą wisienką na torcie – tym, co miało na mnie zrobić największe wrażenie – była nazwa amerykańskiego partnera w tym procederze. To nie były jakieś ogórki, jak wyraził się Cook. Żaden rodzinny sklepik. Partnerem GGSI był nie kto inny jak Townes Stores, największy sprzedawca detaliczny w Stanach Zjednoczonych, z placówkami w trzydziestu sześciu stanach,

handlujący wszystkim od lodówek po perfumy, od drobnej elektroniki po książeczki do kolorowania. I oczywiście ubraniami – długimi półkami tanich bawełnianych ubrań.

- Wierzysz w to, chłopie? – zapytał Cook.

Oczywiście, że wierzyłem. On był miejskim policjantem robiącym potajemnie w Liniach Lotniczych. Ja – analitykiem lokalizacji handlowych, który potajemnie służył ustawie o zbiegłych osobach. Wierzę we wszystko. Wszystko się zdarza.

Jako pierwszy prawo czystych rąk uchwalił dawno temu stan Massachusetts. Stare dobre radykalne Massachusetts, gdzie szalony John Brown zbierał datki na swoje krucjaty, gdzie w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku narodziła się Liga Wolności Nella i Morrisa, a potem odrodziła się po 1910 roku. Łowisko Bostońskiej Straży Obywatelskiej, tak długo polującej na łowców niewolników, aż ci wynieśli się z miasta.

W 1927 roku legislatura Massachusetts uchwaliła, że od tej pory posiadanie, sprzedaż i konsumpcja dóbr wyprodukowanych z wykorzystaniem niewolniczej siły roboczej będzie przestępstwem.

Południowy interes – na swój dystyngowany i elokwentny południowy sposób – odpowiedział: A chuja. Toż to nielegalna regulacja handlu! Toż to protekcjonizm! Obywateli amerykańskich pozbawia się danego od Boga i chronionego konstytucją prawa do wydawania pieniędzy, jak im się żywnie podoba! Ten konflikt wartości trafił przed Sąd Najwyższy w postaci sprawy *Amalgamated Products kontra Hendricks*. Prokurator generalny Massachusetts twierdził, że każdy stan ma prawo strzec kondycji moralnej swoich mieszkańców. Noszenie ubrań pochodzących z plantacji szkodziło obywatelom tego stanu. A Sąd Najwyższy, o dziwo, przychylił się do tego stanowiska.

Inne północne stany prędko ustanowiły własne prawa czystych rąk, a w 1934 roku demokratyczna większość Roosevelta przypieczętowała sprawę federalną wersją ustawy. Jeśli czyjaś firma chciała robić interesy w którymkolwiek stanie czystych rąk, musiała przestrzegać tych zasad wszędzie tam, gdzie działała. Od

tamtej pory prawo czystych rąk stało się aktem wiary. W porządku, powiada Szlachetna Północ: musimy żyć z tą straszną rzeczywistością niewolnictwa, z usankcjonowanym przez państwo rasizmem w naszych granicach. Jesteśmy związani gospodarczo i politycznie ze złem zza Płotu, a wręcz przez nie wzbogacani, bo południowe podatki trafiają do skarbu państwa, a południowe zyski - na Wall Street. No i oczywiście prawo czystych rąk działa tylko w jedną stronę: żadne zasady nie zabraniają konsumentom z Południa cieszyć się owocami północnej produkcji.

Ale przynajmniej mamy balsam, który koi nasze sumienia: kiedy idziesz do sklepu w Milwaukee czy Peorii, nie wracasz do domu z krwią na rękach.

I właśnie to pocieszenie, ten komfort zamierzał zniszczyć ksiądz Barton.

Wysłał na Południe Kevina, a ten zdobył dowody na zмовę między GGSI i Townes Stores: dysk twardy pełen obciążających informacji, danych wewnętrznych z sześciu miesięcy - rejestrów transportów, rejestrów transakcji, numerów kont bankowych w czterech różnych krajach. Wszystko to dokumentowało powiązania handlowe między wielką siecią detaliczną a fabryką w stanie niewolniczym, które (myślał Barton... liczył Barton... marzył Barton... i namówił Kevina, żeby też o tym marzył) zbulwersują wrażliwych mieszkańców Północy. Obnażą nieudolność federalnych regulacji. Udowodnią, że cały ten kompromis jest zgniły do cna. Pokażą ludziom z Północy - lubiącym wierzyć, potrzebującym wierzyć, że okrutna dłoń niewolnictwa nie dotyka ich osobiście - iż w rzeczywistości mają z nią styczność każdego dnia. Że noszą niewolnictwo na nogach, ustawiają się po nie w kolejkach w czarny piątek po Święcie Dziękczynienia.

Barton zamierzał rzucić te dowody na pierwszą stronę wszystkich północnych gazet, dostarczyć je osobiście prokuratorom Okręgu Południowego stanu Illinois, któremu podlegała siedziba główna firmy Townes, i to miało zmienić świat.

Właśnie ten pomysł tak bardzo porwał Kevina, kiedy o nim usłyszał, właśnie na ten plan przystał z gorączkową ochotą. To właśnie ta perspektywa skłoniła go do podjęcia straszliwego ryzyka, do tego, że dał się przebrać, wytatuować i sprzedać.

Barton myślał, że takie odkrycie zmieni świat, myśleli tak jego adiutanci i Kevin również.

Ja nie wierzyłem w to ani przez moment. Umiałem przewidzieć przyszłość. Wiedziałem, co się stanie, a mianowicie – nic.

O wolności mówiono w czasach Starego Abe'a, a potem go zastrzelili i co się zmieniło? Nic się nie zmieniło.

Sto lat później doktor King śnił swój sen, mówił Ameryce, że czas zakończyć niedokończoną sprawę. Mieszkańcy Północy, czarni i biali, wyprawili się na Południe, zorganizowali Lato Wolności, przemierzali niewolnicze stany, niosąc świadectwo. Wielki tłum abolicjonistów zebrał się w wolnej od niedawna Georgii i przemaszerował stamtąd aż do Selmy w Alabamie. Odważna niewolnica z Montgomery odmówiła jedzenia do czasu poprawy warunków życiowych, czym zapoczątkowała strajki głodowe na całym Południu. Sprawę poparł prezydent: ustawa o prawach wyborczych, Nowa Agenda, „abolicja naszych czasów”.

I co potem? Potem BPP oficjalnie zaakceptowało przymusowe karmienie Osób Przeznaczonych do Pracy. A później prezydent Johnson zapomniał o Nowej Agendzie, gdy coraz bardziej grzął w wojnie teksańskiej. Ruch podzielił się na frakcje: zwolennicy kontra przeciwnicy użycia siły, „prawa dla nas” kontra „wolność dla nich”. Czarne Pantery uznano za organizację terrorystyczną. Doktor King, świętujący wielki sukces – przegłosowanie abolicji w Tennessee – został zastrzelony przed pokojem hotelowym.

Właściwie nic się nie zmieniało. Osiemnasta poprawka pozostała osiemnastą poprawką. Ameryka wciąż była Ameryką.

Więc co teraz sobie wyobrażał ten gorliwy ksiądz, ten smarkaty radykał opętany złudzeniami? I oni wszyscy: Maris, taki prawy, patrzący teraz spode łba, i Cook, opowiadający o nowej erze, która dzięki nim nastanie. Ja wiedziałem lepiej. Wiedziałem, co się stanie. Oczywiście, że to będzie szokujące, kiedy wszyscy

mieszkańcy Iowa i Idaho odkryją, że kupowane przez nich tanie T-shirty są splamione krwią. Temat trafi do gazet. Prezes Townesa zwoła konferencję prasową, pokręci głową, wydmie usta i powie: „Biorę na siebie całą odpowiedzialność”. GGSI zostanie zamknięte – może tak, może nie, a może tylko chwilowo – żeby przeprowadzić dochodzenie. Townes Stores zapłaci wysoką karę i zanotuje kiepski kwartał.

Z czasem ludzie znów zaczną kupować w Townesie, bo towar tam jest całkiem tani, nieważne skąd się bierze. Całkiem tani i całkiem niezły. Nic się nie zmieni. Ludzie będą kręcić głowami, wzruszać ramionami, niewolnicy będą cierpieć gdzieś daleko, Ziemia będzie się kręcić wokół Słońca.

No i właśnie w ten sposób usprawiedliwiłem to, co zrobiłem potem. Właśnie tak to wszystko przemyślałem, jadąc z powrotem do Capital City Crossroads, chociaż umęczone, krwawiące ciało Kevina wciąż jeszcze było świeże w mojej pamięci niczym ślady chłosty.

Wierzyłem – naprawdę wierzyłem, pozwoliłem sobie wierzyć – że jeśli znajdę tę kopertę ze skradzionymi danymi i przekażę ją księdzu Bartonowi, absolutnie nic się nie zmieni. Trzy miliony nie zyskają wolności.

Istniał natomiast sposób, żeby ta koperta wyzwoliła jedną osobę, a tą osobą byłem ja.

Wyszedłem na balkon swojego pokoju hotelowego i zapaliłem papierosa. Następnie zadzwoniłem do pana Bridge’a.



# 25.

**Nie wiem**, coś ty sobie wyobrażał, synu. Nie wiem, co ty chciałeś zrobić.

Pan Bridge mówił wolno, ale stanowczo, biło od niego opanowanie. Słuchałem go, stojąc na balkonie, paląc papierosa, czekając, aż wyrzuci z siebie to wszystko. Myślałem o innych sprawach. Patrzyłem, jak włączają się latarnie. Spoglądałem na widmo zachodzącego słońca.

- Dzwoniąc do mojego biura, wprowadzając w błąd funkcjonariusza federalnego organu ochrony porządku publicznego, dopuściłeś się poważnego naruszenia prawa. Nie wspominając o naruszeniu warunków naszej umowy.

Pan Bridge karcący krnąbrne dziecko. Pan Bridge wyliczający moje grzechy. Nad „funkcjonariuszem federalnego organu ochrony porządku publicznego” musiałem się chwilę zastanowić. Janice – chodziło mu o Janice.

- Podawanie się za agenta. Nielegalne posiadanie tajnych informacji.

Nie chciało mi się nawet odpowiadać na ten cały akt oskarżenia. Nie chciało mi się nawet powiedzieć „spierdalaj”. Niedzielny zmierzch wniósł do tego szarego miasta jakiś spokój, jakieś mgliste piękno. Byłem wyczerpany. Moje ramię pulsowało głęboko zagrzebanym bólem. Wciąż miałem brud na butach, na dłoniach, na kolanach – błotniste ślady podziemia.

Biedny Bridge myślał, że ciągle jestem parę kroków za nim i usiłuję dotrzymać mu tempa. W rzeczywistości byłem daleko na przodzie. Tak daleko, że ledwo mnie widział.

- Cicho, człowieku – powiedziałem w końcu. - Przymknij się na chwilę.

- Co?

- Powiedziałem: cicho. Posłuchaj mnie, dobra? Bo jesteś trupem.

- Czy ty... - Milczenie, jakiego jeszcze nie słyszałem: autentyczny szok. - Czy to była groźba?

- Bynajmniej. Stwierdzenie faktu. Sama prawda. Nie mówię ci niczego, czego już byś nie wiedział. Masz przejebane, ale ci pomogę. Pomożemy sobie nawzajem. W porządku?

- Ja...

Pan Bridge pozwolił, by to słowo rozpląnęło się w ciszy. W ciszy łatwej do odczytania. Powolnej i gęstej, lepkiej od strachu.

- Oto, co teraz będzie - powiedziałem, a on już się więcej nie zająknął, nie przerywał mi, tylko słuchał.

Kazałem mu się rozłączyć, wyjść z biura i zadzwonić do mnie z automatu telefonicznego w hali odbioru bagażu, drzwi numer siedem, międzynarodowego portu lotniczego Baltimore-Washington. Wyjaśniłem, że automaty znajdują się naprzeciwko darmowych telefonów, z których rezerwuje się samochód albo motel.

- Zapisuj - poleciłem, po czym podałem mu numer nowej komórki, jednorazówki, którą kupiłem w tym celu w sklepie przy Trzydziestej Ósmej Ulicy, w drodze powrotnej od Świętego Anzelma. - Czterdzieści pięć minut.

Raz jeszcze nastąpiło milczenie, gdy zastanawiał się, czy znowu zaprotestować, ale się rozłączył.

Stałem w ciszy balkonu, obserwowałem nieregularny ruch, typowy dla niedzielnych wieczorów, przesuwany się po Osiemdziesiątej Szóstej: najpierw jeden samochód, potem dwa, potem jeszcze jeden. Jeżeli źle zinterpretowałem ostatnie milczenie Bridge'a, jeżeli on okrutnie się uśmiechał, rozkoszując się tym, że po raz ostatni musi znosić cwaniakowanie tego krnąbrnego czarnucha, to furgonetki mogły zajechać z piskiem opon w każdej chwili.

Nie zajechały. Bridge prawidłowo odczytał sytuację: znalazł się w kiepskim położeniu, a jeśli ktokolwiek mógł go z niego wyciągnąć, to właśnie ja.

Wyobrażałem go sobie, faceta w średnim wieku, jak zbiega po schodach budynku Marshals Service do garażu, jak zasuwa na

lotnisko, wyciskając maksimum z silnika jakiegoś niemrawego amerykańskiego czterodrzwiowego auta, na które stać go za państwową pensję.

Po długich i trudnych dwudziestu czterech godzinach był to moment, którym powinienem się napawać. Wręcz delektować. Powoli pokazywałem Bridge'owi, co się stanie. Po tylu latach rządzenia mną zmuszałem go krok po kroku, żeby zrobił to, co chcę. Wyczołgiwałem się spod niego. Podnosiłem go i potrząsałem nim głową do dołu.

Jednak chwila śmierci Kevina nadal odbijała się echem w moim ciele. Raz za razem. Leciałem do tyłu, a on leciał na mnie. Krew z mojego ramienia mieszała się z krwią z jego piersi. To zmieniło wszystko – to był rozbrzmiewający we mnie dzwon. Szczelina na firmamencie świata.

Powinienem czuć się dobrze, ale czułem się tylko znużony. Tylko smutny. Przestrzelone ramię śpiewało cichym bólem, uwięziony w nim pocisk piekł niczym ogień, który tli się w palenisku.

Tak jak wtedy, gdy idzie się tunelem – można jedynie poruszać się naprzód. Wiedziałem, że cokolwiek się teraz stanie, stanie się prędko i albo się uda, albo nie.

Telefon zadzwonił po trzydziestu czterech minutach.

- Rozłącz się – powiedziałem.
- Co?
- Idź na górę. Oddzwoń z telefonu między wyjściem B trzynaście a B czternaście. Przy męskiej toalecie.
- Jeżeli mam zadzwonić z odlotów, to muszę kupić bilet.
- No to lepiej kup.

Pan Bridge oddzwonił punktualnie, z automatu między wyjściem B27 i B28. Nie przywitałem się. Po prostu zacząłem mówić.

- Ten chłopak, Jackdaw, ten niewolnik, którego śledziliśmy, był mułem. Opuszczając...

- Skąd masz tę informację?
- Nie przerywaj. Opuszczając GGSI, zabrał coś ze sobą. Kopertę.

Nie zdradziłem Bridge'owi, co w niej było, bo nie wiedziałem, czy on to wie. Nie zdradziłem, że niewolnik Jackdaw naprawdę był studentem Kevinem. Nie wiedziałem, czy Bridge o tym wiedział, a jeśli tak, to czy wiedział, że ja wiem. Zresztą jebać go. Nie zamierzałem dzielić się z Bridge'em żadną informacją, którą jeszcze nie dysponował, chyba że miałbym na tym skorzystać.

Przeszedłem do sedna. Do kluczowego punktu mojej wypowiedzi. Klina, który zamierzałem wcisnąć między mnie a niego.

- Materiał, który ma ten chłopak, was obciąża. To znaczy marszałów. Jeśli wyjdzie na jaw, twoja agencja będzie umoczona. Zgadza się?

Czekałem. W tym milczeniu było coś dziwnego i uświadomiłem sobie dlaczego: bo wstrzymywałem oddech, byłem zupełnie nieruchomy. Wypuściłem powietrze.

- Bridge?

- Tak?

- Czy nie odpowiadasz dlatego, że ty też nie znasz szczegółów, czy dlatego, że kazałem ci nie przerywać?

Chwila milczenia, a potem:

- Jedno i drugie.

Zmuszałem go, żeby się pocił - i bardzo dobrze, potrzebowałem, by był zdenerwowany - ale w gruncie rzeczy nie miało znaczenia, w jaki sposób marszałowie są umoczeni. Ważne, że byli. Może pośredniczyli w procedurze albo go ochraniali, a może po prostu w ważnym momencie procedury celnej odwracali wzrok. Jedna z tych rzeczy. Albo wszystkie. Dla mnie liczyło się to, że Bridge'owi paliło się pod dupą, podobnie jak wszystkim, których miał nad sobą.

Liczyło się to, że zależało mu na tym czymś, co zginęło - co ukrył Kevin. Marszałowie z dowolnej przyczyny chcieli to zdobyć tak samo jak Barton, a ja mogłem im to dostarczyć.

Bridge milczał, a ja w tle słyszałem dźwięki lotniska. Komunikaty o odlotach, kwilenie dziecka, stłumione pikanie jakiegoś małego pojazdu na wstecznym.

Mówiłem dalej.

- Więc kiedy ten człowiek uciekł, to wywołało szczególny problem. Dla Marshals Service. Nie można go było tak po prostu złapać, bo wtedy to, czym dysponuje, wylądowałoby albo w Kanadzie, albo przed sądem.

Znowu cisza.

- Ciągłe nie przerywasz, bo mam rację, tak?

- Tak.

- No dobra, więc teraz musisz odpowiedzieć. Teraz mam pytanie. - Tak naprawdę wcale nie miałem pytania. Znałem odpowiedź. Ale chciałem to usłyszeć od niego. - Tam, gdzie napisali: „Jest wiadomym, że zbieg miał w zamiarze udanie się do Indianapolis”... Chodziło o tortury, prawda? To małe „jest wiadomym”? Namówili jakiegoś franklina, żeby odwrócił wzrok, a współniczkę Jackdawa powiesili albo zakopali, aż wreszcie wygadała, co wie.

Milczenie.

- Odpowiadaj.

- Tak.

- Tak?

- Tak.

Musiałem odsunąć telefon od ucha. Obnażyłem zęby. Odchyliłem głowę. A więc torturowali ją, zanim ją zabili. Oczywiście. Od początku wiedziałem, że coś się za tym kryje, a co kryje się za wszystkim? Kiedy zdrapać lepką pajęczynę eufemizmów w stylu „jest wiadomym, że miał w zamiarze”, zawsze znajdzie się coś pod spodem i to zawsze jest przemoc. Zawsze jakaś przemoc.

Wypowiedziałem sam do siebie imię tej dziewczyny, imię, które Kevin wykrzyczał w niebo. Luna. Słońce całkiem już zaszło. Na ciemnym niebie pojawił się księżyc osnuty chmurami.

- Jedna sprawa... - odezwał się Bridge, a potem przerwał.

- Co?

- Nie wiedziałem.

- Czego nie wiedziałeś?

- Niczego. Kiedy dostarczyłem ci te akta, myślałem, że są prawdziwe. Przysięgam, Victorze.

Jezu Chryste. On chciał, żebym się przejął. I chciał, żebym wiedział, że on się przejmuje.

- Od początku zgadzałem się z tobą, jeśli chodzi o jakość tych akt. Również czułem, że coś jest nie tak. Kazałem ci robić swoje, bo na tym polega moja praca. Ale ty miałeś... liczne wątpliwości i dawałeś im wyraz. Byłeś w tej kwestii nieustępliwy.

- Powiedziałem, żebyś to sprawdził.

- I sprawdziłem. - Odchrząknął. - Zgadza się.

Wzbierało we mnie pewne uczucie: czułość. Empatia. Zdusiłem je w sobie. Mocniej ścisnąłem telefon. Skoncentrowałem się na ustaleniu kolejności zdarzeń.

- Więc zadzwoniłeś do szefa i zapytałeś go o akta.

- Ją.

- W porządku. Ją. A ona oddzwoniła kiedy? W piątek rano?

- Tak. I powiedziała, że nie mam się czym przejmować. Ale to... to mnie nie zadowoliło. Naciskałem. Rozłączyła się. Oddzwoniła w piątek wieczorem.

- O siódmej trzydzieści.

- Zgadza się. Powiedziała... - Pół sekundy niezdarne milczenia, szukania słów. - Poinformowała mnie o tle sprawy.

- Powiedziała ci, że członkowie twojej agencji biorą udział w oszukiwaniu Amerykanów na masową skalę. - Byłem teraz w takim nastroju, że chciałem usłyszeć bezpośrednie potwierdzenie moich przypuszczeń. - Bridge?

- Tak.

- I że prawdziwe zadanie polega na tym, by znaleźć tego chłopaka, zabić go, a dowody zdobyć i zniszczyć.

Milczenie. Całkowite milczenie. Martwe i smutne.

- Bridge? Wyjaśniła ci, że zadanie polega na znalezieniu i zamordowaniu chłopaka i spaleniu jego magicznej koperty. Tak czy nie?

- Tak.

- I dlaczego nie kazałeś jej spierdalać?

- To po prostu... to nie... To nie było dla mnie opcją.

Nie było dla niego opcją. Zachwyciła mnie ta fraza. Patrząc na świat przez kurtynę czerwonej furii, zastanawiałem się, w jakich okowach widzi się Bridge. Czy to lojalność? Czy szefowa coś na niego miała, informacje o jakimś żalonym wykroczeniu sprzed lat? A może to - aż zadławiłem się tym słowem - miłość? Może się pieprzyli, Bridge i ta tajemnicza „ona”? Na moment przycisnąłem telefon do brzucha, ścisnąłem ten tani kawałek plastiku, jak gdybym skręcał komuś kark, a potem znowu przyłożyłem go do ucha.

- ...chcesz, Victorze?

- To bardzo proste. Chłopak nie żyje.

- Nie żyje... jak...

- Zabili go przypadkiem.

Nie dałem mu czasu, żeby mógł się tym nacieszyć. Zazgrzytałem zębami. Przypuściłem atak.

- Ale paczka wcale nie opuściła Czwórki. Zostawił ją. Gdzieś.

- Dlaczego?

- Słuchaj mnie. Po prostu zostawił. Poczuli się zdradzony przez Linie Lotnicze, więc ją ukrył. Ona ciągle jest za Płotem. I nikt nie może jej zdobyć. Wysyłają po nią mnie. Rozumiesz? Zostałem skaptowany. Jestem teraz podwójnym agentem. Pracuję dla wroga.

Nareszcie Bridge przestał pytać o powody albo powtarzać „co?”. Nareszcie po prostu rozumiał.

- Pracujesz dla wroga, ale mi o tym mówisz.

- Ja mam warstwy, panie Bridge. Dużo warstw.

Wszędzie wokół mnie wzbierała ciemność niczym czarna woda. Ciemność mnie wchłaniała, ciemność była mną. Zamiast niej skoncentrowałem się na odległym świetle, gdzieś daleko, wysoko nade mną, skoncentrowałem się na tej połyskującej obietnicy, którą dostrzegłem, kiedy Barton powierzył mi nowe zadanie.

- Zdobędę to dla nich - powiedziałem Bridge'owi. - A potem przywiozę tobie. A ty w zamian dasz mi to, czego chcę.

- A mianowicie?

- A mianowicie wolność. Przyniosę ci kopertę, a ty wyciągniesz mi pluskwę. Odłączysz mnie, wyjadę do Kanady i nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz.

Dogoniłem Marthę, kiedy z torbą podróżną na ramieniu wychodziła ze swojego pokoju w połowie korytarza na parterze. Ja też trzymałem torbę, taką cienką, plastikową, jakie dają w hotelach na pranie.

- Martho - powiedziałem.

Odwróciła się i zobaczyła mnie bez okularów, w ubraniu pomiętym i w fatalnym stanie. Miałem krew na rękawie, krew wzdłuż całej ręki.

- Jim? - zapytała, ale ledwo wypowiedziała to imię, wiedziała, że Jima już nie ma. Zostawiłem Jima za sobą, roztopił się w błocie koryta White River.

- Nie nazywam się Jim - odparłem - tylko Victor.

- Co?

- Zresztą nawet nie Victor.

- Co... co masz w tej torbie?

Weszliśmy do jej pokoju, gdzie mogliśmy być sami. Był identyczny jak mój, ale miał dwa łóżka zamiast jednego dużego. Jedno z łóżek, to Marthy, było czyściutkie, zasłane, a to Lionela - zarzucone masą dziecięcych rzeczy: komiksami, małymi, tandetnymi zabawkami z plastiku, kosmitami, żołnierzami i superbohaterami. Martha powiedziała, że mały czeka w holu, aż ona zapakuje wszystko do samochodu. Tylko że ja jej powiedziałem, że nie może jechać.

- Nie. Co? Przecież... już się wymeldowałam. Wyjeżdżamy.

Wziąłem ją za rękę - i ścisnąłem.

- Posłuchaj - rzuciłem i niech mnie cholera, płakałem. Płakałem za Kevina, za siebie, za Castle'a. - Potrzebuję pomocy - powiedziałem. - Bardzo potrzebuję pomocy.

*Nigdy nie pracowałem na zbiorniku krwi, bo zbiornik krwi nie był stanowiskiem roboczym. Przez pierwsze dwa lata spędzone*



wewnątrz przenosili cię co trzy miesiące, więc w ciągu tego czasu robiłem w magazynie żywca, chłodziarce, na rogach i kopytach, przy skórowacze, na każdym możliwym etapie. Ale zbiornik krwi nie był regularnym stanowiskiem, bo nie wymagał, żeby regularnie się nim zajmować.

Był samowystarczalny. Nadmiar krwi z hali uboju spływał rurą i wypełniał zbiornik na zewnątrz, a dwa razy w roku przyjeżdżała cysterna, żeby to odessać.

Ale padał deszcz. Na obiekcie byli Chińczycy, to po pierwsze, po drugie deszcz, a do tego gruby Reedy się rozchorował.

Okazja nadarzyła się właśnie tak: raz, dwa, trzy. Castle mówił, że się pojawi, i pojawiła się, ot tak, jak podkowy wpadające z brzękiem na słupek: raz, dwa, trzy. Czy Castle wiedział, że okazja nadejdzie, czy też może nadeszła dlatego, że on tak powiedział? Tak czy owak nadeszła.

Słyszałem już wcześniej o Chińczykach, ale ich nie widziałem. Tamtego dnia rano obudzili nas przed kurami, a starych jeszcze wcześniej, i wszyscy oni klaskali i krzyczeli: Tianjin Jiachu! Tianjin Jiachu! To była nazwa firmy, naszego największego kontrahenta, ale dla mnie te słowa brzmiały jak magiczne zaklęcie. Wszyscy starzy i strażnicy byli albo marudni, albo wściekli, a wszyscy pracujący biali chodzili szybko i mówili głośno. Do roboty. Koncentracja. Róbcie to dla siebie nawzajem. Dla pana Bella.

Ja tamtego dnia kroilem jelita, wyciągałem grube sznury wnętrzości, starannie je zwijałem i układałem w kupki. Pracowałem może od kwadransa, kiedy tam wpadli, tłum ciekawskich Chińczyków, pojawili się w sali jednocześnie, a potem rozbiegli się na wszystkie strony: kłaniali się, zaglądali do stanowisk roboczych. Pracowałem dalej. Tak jak każdy. Mężczyźni i kobiety z Tianjim Jiachu mieli ochraniacze na kolana. Wpełzali pod urządzenia i mamrotali. Pod pachami nosili notatniki z klipsem. Franklinowie ustępowali im miejsca, pracujący biali też.

A potem wszedł pan Bell, w swoich wysokich brązowych butach, czystej białej koszuli i głębokoczerwonym krawacie. Ścisnął ręce Chińczykom, odpowiadał na tłumaczone pytania, a potem czekał i się uśmiechał, gładził wąsy, podczas gdy z kolei to jego odpowiedzi tłumaczono. Uśmiechał się do każdego z nas, na kimkolwiek spoczął jego wzrok, uśmiechał się i głaskał nas po głowach, a potem to samo robili Chińczycy, jakby w zachwycie. Czubkami palców grzebali nam w ustach. Jeden uszczypnął mnie w ramię, po czym się uśmiechnął, jakby zadowolony z tego, jaki jestem w dotyku, i pamiętam, jak dziwnie się czułem, było mi dziwnie i zarazem byłem dumny.

To pierwsza rzecz. A potem oczywiście spadł deszcz. Przyszła późnoletnia burza, jakiej jeszcze nie widzieliśmy, w każdym razie nie za moich czasów, deszcz walił kaskadami, bił o blaszany dach ubojni, zalewał najmniejsze dzieci, które na zewnątrz robiły na stercie... i przepętniał pompę krwi. Trzymałem w ręku nóż. Rozkrawałem ciężki brzuch wiszącej przede mną oskórowanej krowy. Nagle wpadł pracujący biały, woda ciekła mu z nogawek i rękawów. Wyszeptał coś gorączkowo do strażnika, strażnik skrzywił się, podszedł i odciągnął pana Bella, a pan Bell wygiętym palcem wskazał na grubego Reedy'ego.

Pan Bell uśmiechnął się pogodnie do zaniepokojonych Chińczyków, którzy pisali coś w swoich notesach i mamrotali rzeczy, których nie tłumaczono. Pan Bell oparł Reedy'emu rękę na ramieniu i powiedział: „Weź jednego. Wygarnijcie to”.

Pan Bell wybrał Reedy'ego, Reedy wybrał Castle'a, a Castle wybrał mnie.

Zawsze się zastanawiałem, czy Castle rozumiał. Czy dostrzegł okazję właśnie w momencie, kiedy Reedy położył ciastowatą dłoń na jego ramieniu? Czy wiedział, że to jest to? Że przecieka tutaj inny świat – ten drugi świat, świat naszej przyszłości? Czy może pomyślał po prostu: trafia mi się pół godziny wolnego od linii produkcyjnej, więc dam to samo bratu?

Bo Reedy powiedział po prostu: „Ty, chłopcze”. Dopiero Castle śmiał zakwestionować jego ocenę. Dopiero on powiedział: „Za

*przeproszeniem, proszę pana, chyba potrzebny mi jeszcze jeden”.*

*Castle musiał wiedzieć - ale czy wiedział? - musiał wiedzieć, o czym mnie nie było wiadomo, że pompa krwi, ze względu na prymitywny, nienowoczesny rozkład farmy Bella, jest wciśnięta w pas błotnistej ziemi między ubojnią a płotem. Castle musiał się domyślić - ale czy rzeczywiście? - że obecność Chińczyków pochłonie uwagę personelu i że to wszystko, w połączeniu z towarzyszącym nawałnicy mrokiem i migotaniem starej instalacji elektrycznej, da nam szansę większą niż kiedykolwiek, żeby wykorzystać okazję, na którą czekaliśmy, żeby odnaleźć historię, której Castle przez te wszystkie lata nigdy nie musiał mi opowiadać. Między nami a tą historią stał zaś tylko stary Reedy, gruby Reedy, smutny Reedy.*

*Z Reedym poszło prosto. Z jednymi było trudno, a z innymi łatwo - wśród strażników, wśród pracujących białych, wśród starych, nawet wśród franklinów. Reedy nosił okulary. Reedy był zmęczony. Miał siwe włosy i czerwone policzki. Raz, kiedy patrzył, jak maszerujemy z ubojni do kwater, zauważyłem, że kręci głową i patrzy w ziemię. Smutek.*

*- Dobra, synu - powiedział do Castle'a. - To wybierz jednego.*

*Castle wybrał więc mnie. Przykucnęliśmy w drzwiach ubojni i naciągnęliśmy grube kalosze, a potem poszliśmy wygarniać wodę ze zbiornika krwi, ale nie nadążaliśmy. Deszcz padał zbyt obficie, zatykał odpływy, Castle i ja pracowaliśmy, jak szybko się dało, ale poziom wciąż się podnosił, zalewało nam kostki i podchodziło do kolan, otaczała nas gęstniejąca masa.*

*- A, cholera - stęknął Reedy.*

*Obserwował nas niespokojnie z krawędzi zbiornika, przestępował z nogi na nogę, po raz setny wycierał krople deszczu z okularów. Nie miał ochoty wylądować w rowie z krwią razem z dwoma chłopaczkami. Ale jeszcze gorzej byłoby wrócić i powiedzieć panu Bellowi, że nie wykonali roboty.*

*- A, cholera - powtórzył, ściągnął płaszcz, schował broń do kabury i zszedł do nas do zbiornika, do Castle'a i do mnie.*

*Dalej lało. Deszcz walił wokół nas. Dwaj czarni chłopcy i jeden biały strażnik pracowali jak opętani, wiadrami i beczkami, a ja kątem oka obserwowałem słupy ogrodzenia. Ciągłe gadaliśmy o tym, jakie te słupy są wysokie, te strzeliste drewniane pale zwieńczone drutem kolczastym, z rozciągniętą między nimi siatką, ciągle gadaliśmy o tym, jakie są wysokie, ale nigdy o tym, jak głęboko tkwią. Bo to kolejne pytanie: jak mocno były osadzone w ziemi. Nigdy o tym nie myślałem, ale teraz deszcz zmieniał ziemię w błoto i widziałem, że słupy zaczynają się przechylać, poruszać się w tym błocie, tak tylko trochę, zaczynają się trochę poruszać i przechylać.*

*- Damy radę, chłopaki! - krzyknął Reedy, zupełnie się zapominając. - Damy radę! Jedziemy!*

*Ale nie miał racji. Choć wściekle wygarnialiśmy wodę, nie nadążaliśmy, nie było szans, deszcz wypełniał zbiornik szybciej, niż my byliśmy w stanie pracować. Reedy harował może nawet najciężej z nas wszystkich, stale przyśpieszał, pocił się i stękał, a ja obserwowałem, jak ziemia pod słupem ogrodzenia dalej zmienia się w błoto, jak słup tkwi w niej coraz luźniej. Natomiast Castle przyglądał się Reedy'emu, który teraz już nie tylko stękał, ale jęczał, który upuścił wiadro, padł na kolana, plusnął w błoto i runął do przodu.*

*- O Boże - wysapał, a potem wydał z siebie coś jeszcze. Już nie słowa, ale przeciągły zwierzęcy jęk.*

*- Panie Reedy! - krzyknąłem.*

*On wypowiedział sylabę, która brzmiała jak „po...”, a potem zamilkł. Zastygł z otwartymi ustami, jakby wymawiane słowo zgęstniało i utkwilo mu w gardle.*

*Pomóż mi. Poleć po kogoś. Podnieś mnie. Ale Reedy'emu już zabrakło słów. Twarz miał wykrzywioną, pociemniałą i czerwona; cała krew z ciała napłynęła mu do szyi i policzków, a ja byłem mokry ze strachu i od strumieni deszczu. Reedy patrzył na nas z dołu bezradny, machał rękami, wybałuszał oczy niczym wielka ryba.*

*- Już dobrze, proszę pana - powiedziałem automatycznie i ruszyłem ku niemu przez sięgającą do pasa gęstą wodę zmieszaną z krwią.*

*Castle złapał mnie mocno, przyciągnął do siebie i spoliczkował. Wielkie oczy Castle'a, szeroko otwarte w ulewie. Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął.*

*- Odwróć się, mały - powiedział. - Odwróć się i leć do ogrodzenia. Już!*

*Zrobiłem to - pobiegłem do ogrodzenia, schyliłem się, właśnie wyszarpywałem je z ziemi, kiedy za sobą usłyszałem wystrzał, jeden głuchy wystrzał pochłonięty przez deszcz. Już wyszarpnąłem słup. Już powaliłem siatkę.*

*- Chodź! - zawołał Castle, wciąż trzymając pistolet Reedy'ego, i pobiegliśmy.*

*Nie było czasu, ale jeszcze się obejrzałem i zobaczyłem ciało strażnika, jak się zsuwa i jak pochłania je ta cała krew.*

Część druga

# **POŁUDNIE**

*Oczywiście w każdej takiej organizacji zdarzają się różnice zdań, a Stany Zjednoczone nie uchylają się przed nimi. Każdy naród ma jednak swoje tradycje i Ameryka nie wyrzeknie się swoich tylko dlatego, że wymaga tego członkostwo w jakiejś instytucji.*

sekretarz stanu Henry Kissinger na konferencji prasowej zwołanej, aby ogłosić wystąpienie Stanów Zjednoczonych z Organizacji Narodów Zjednoczonych, 11 grudnia 1973

*Krzyżyk na drogę.*

sir Colin Crowe, stały przedstawiciel Wielkiej Brytanii przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, zacytowany przez londyńskiego „Timesa”, 12 grudnia 1973

# 1.

**Jechaliśmy** na południe przez cały poniedziałek, Martha i ja.

Jechaliśmy białą toyotą na numerach z Wisconsin, gruchotem Linii Lotniczych, który czekał na parkingu w Southside, dokładnie tam, gdzie zapowiedział Cook, z kluczami przyklejonymi taśmą do nadkola. Kiedy toyota dociągała do setki, zaczynała się trząść, więc jechałem niespełna dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę przez całą południową Indianę i zachodnią część Kentucky. W tamtych okolicach droga numer 65 zachowywała się raczej jak lokalna dwupasmówka niż duża międzystanowa autostrada, wiła się łagodnie, kręta niczym strumyk. Wspięliśmy się na Pasma Błękitne, a potem z niego zjechaliśmy wprost pod jasne, błękitne niebo Tennessee. Po drodze słońce wypaliło brzydką pogodę. Mijaliśmy czerwone stodoły, zielone pola i połacie kołyszącej się kukurydzy. Po porcelanowoniebieskim niebie płynęły delikatne białe chmurki, cały łuk nieboskłonu przypominał malowaną ceramikę. Każde miasteczko miało swój kościół z iglicą oraz wieżę ciśnień, a pobocze drogi pełne było drewnianych drogowskazów reklamujących antyki i domowe wypieki.

To wszystko nużyło mnie i napawało niepokojem. Przyjmowałem te obrazki, cukierkowe piękno nieba i urok krajobrazu, jako drwinę – wyniosłe szyderstwo ze strony szacownego Południa, do którego się zbliżaliśmy. *Ładniutko tu, prawda? Chodź no, siędnij tu sobie kapkę...*

Przez całą drogę słuchaliśmy Michaela. Zaczęliśmy od *Thrillera*, a potem cofnęliśmy się w czasie i puściliśmy *Bena*. Na okładce MJ miał wielkie afro i smętną minę.

Tragedię zawsze miał wypisaną na twarzy, od samego początku. Było to widać w jego oczach.

Posłuchaliśmy *Take Care of Our Brothers*, charytatywnego singla, który przyniósł biednemu Michaelowi tyle strapienia.



„Dbajmy o naszych braci”. Zebrano dzięki niemu mnóstwo pieniędzy na działania pomocowe, ale połowa fanów Michaela nazwała go frajerem, twierdząc, że ta piosenka to hymn usypiaczy sumień – więc się jej wyparł, a wtedy druga połowa fanów stwierdziła, że daje sobą pomiatać, szufladkować się, upolityczniać.

Czasami myślę, że on nigdy się już po tym nie otrząsnął. Czasami myślę, że resztę życia spędził, próbując uciec przed tym całym głównem, przed tym wszystkim, czym jest nasz kraj, ale oczywiście nie dał rady. Oczywiście to niemożliwe.

Ale Boże, te piosenki. Ten głos. Niósł nas przez całą drogę na południe.

- Uszanowanie. Czym państwu służyć?

Mężczyzna nie miał identyfikatora. Albo ten motel, Rambler's Roost, nie zapewniał pracownikom firmowych uniformów, albo recepcjonista lepiej się czuł w pogniecionej kraciastej koszuli, którą nosił rozpiętą, a pod nią miał T-shirt z logo jakiegoś browaru. Uważnie zmierzył nas wzrokiem zza lady.

- Potrzebny nam po prostu pokój - powiedziała mu Martha.

Trzymałem się z tyłu, w cieniu, w ciemnym, nieprzyjemnym holu Rambler's Roost, wśród niepasujących do siebie foteli i woni spalonej kawy.

- Tylko jeden pokój, co? - zapytał stary białas.

- Tak - odparła Martha.

- A ile łóżek?

Jego wzrok powoli krążył między nami dwojgiem: mną i Martha, Martha i mną. Rambler's Roost znajdowało się w miejscowości Pulaski w Tennessee, osiemdziesiąt kilometrów na północ od Płotu, ale oczywiście im dalej na południe, tym robiło się gęściej. Rosnące trudności dotyczyły nawet najprostszycy zadań. Czasem myślę o tym jak o rosnącym ciśnieniu atmosferycznym, jak o chodzeniu pod wodą: o dodatkowym wysiłku, jakiego wymaga bycie obsłużonym w restauracji, kupienie czegoś w sklepie. Zameldowanie się w motelu.

- Co pan znajdzie, będzie nam pasowało. - Martha mówiła przez zaciśnięte zęby. - Ma pan pokój czy nie?

- O, może i mam.

Recepcjonista obrócił się z rękami na biodrach, żeby zerknąć na przegródki na ścianie. W prawie każdej leżał klucz. Mężczyzna wybrał ten z numerem 12, wyjął go na ladę, ale kiedy Martha po niego sięgnęła, położył swoją płaską, ciężką dłoń na jej dłoni i szepnął:

- Słuchaj, skarbie. Wszystko w porządku? - Chrapliwym głosem, tak głośno, żebym dobrze usłyszał.

Martha nie odpowiedziała. Wyciągnęła rękę spod dłoni starego faceta, jakby uciekała z pułapki. Wzruszył ramionami i oddał jej klucz.

- No to w porządku - rzucił. - Doba hotelowa do dziesiątej trzydzieści.

Pokój numer 12 był nie lepszy niż hol. Nieokreślony, niemiły zapach, obdarte zasłony na umazanym oknie, cienki dywan pochlapany ponurym archipelagiem plam. Stało tam jedno łóżko, pojedyncze, a obok na podłodze - drugie, składane. Martha z ponurą miną podniosła róg narzuty, domyśliłem się, że szukając pluskiew, i poczułem ukłucie żalu, że ją tu sprowadziłem - że sprowadziłem tu sam siebie - że wszystko tak się ułożyło. Martha zniknęła w maleńkiej łazience, a ja patrzyłem na zamykające się drzwi. Nie miałem wyboru. Musiałem wykonać misję - miałem cel. Ale ta dziewczyna...

Na ścianie nad komodą wisiało lustro. Spojrzałem w nie. Powiedziałem sobie, że jest w porządku. Że wszystko będzie dobrze. Jutro o tej porze Martha wróci do Indianapolis i odbierze Lionela od siostry. Jutro o tej porze to wszystko będzie dla niej dziwnym snem - za dwadzieścia cztery godziny ja będę snem, z którego już się obudziła.

Nasz układ był prosty: jasny i klarowny. Pieniądze za usługę.

Pieniądze pochodziły z moich zasobów. Z tej całej nieznaczonej gotówki, którą Bridge zapewnił mi na nieprzewidziane wydatki -

gotówki, której za parę dni miałem już nigdy nie potrzebować. Miałem dwadzieścia kafla w kasetce w hotelowym sejfie. Miałem pięć tysięcy pod fałszywym dnem mojej walizki na kółkach. Kolejne pięć dwieście w schowku w altimie. Cztery studolarówki z jednego portfela i dwie z drugiego. Wreszcie ostatnie dwa tysiące pod podszewką jasnobrązowej sportowej kurtki.

Z całej tej puli odliczyłem Marcie jej dwadzieścia dziewięć i pół tysiąca dolarów i przyniosłem w torbie na pranie.

Powiedziałem jej prawdę - pewną wersję prawdy. Porcję wykrojoną z całości. Byłem agentem Podziemnych Linii Lotniczych. Jechałem do Czwórki, żeby odzyskać coś zgubionego, broń w walce ze starym wrogiem. Sama prawda, żadnych kłamstw. Sama prawda.

Problem w tym, że żadnemu czarnemu nie wolno było wjechać do któregośkolwiek stanu Twardej Czwórki bez towarzysztwa białej osoby, która ręczyłaby za jego miejsce pobytu i odpowiadała za jego postępowanie.

Potrzebowałem białej osoby.

- Wiem, że to dużo do strawienia - powiedziałem.

- Nie przejmuj się - odparła. - Spokojnie.

Opowiadałem dalej. Mówiłem szybko.

- Do przekroczenia granicy załatwię ci fałszywe dokumenty - wyjaśniłem. - Kiedy już znajdziemy się po tamtej stronie, wrócisz na Północ na swoich prawdziwych papierach, a te fałszywe spalisz. I będzie po wszystkim. Wrócisz do Indy, wezmiesz pieniądze i będziesz miała sprawę z głowy. Możesz je wykorzystać tak, jak zamierzałaś, albo... Nie wiem, wziąć małego i wyjechać z kraju. Polecieć do Europy. Więc...

- Tak - odparła.

Nie słuchała tego, co powiedziałem o Europie. O wyjeździe. Widziałem, że tej opcji nawet nie bierze pod uwagę. Martha zamierzała przekazać moje pieniądze temu błaznowi ze Steubenville w Ohio, który twierdził, że może załatwić jej dostęp do TorchLighta. Niemądry ruch, ale to nie mój problem. Martha

była dorosłą osobą, ja złożyłem jej ofertę i potrzebowałem tylko tego, żeby ją przyjęła, a ona to zrobiła. Weszła w to.

Wręczyłem jej torbę na pranie. Nie zajrzała do środka. Nie przeliczyła pieniędzy. Trzymała ją niedbale za plastikowe ucho, przypatrując się mojej twarzy z nowym zainteresowaniem.

- Mam jeden warunek.

- Jaki?

- Musisz mi podać swoje imię. Swoje prawdziwe imię. To mój jedyny warunek.

Zajął mi to chwilę. Musiałem go poszukać. Castle mówił do mnie „kochany”, a Bridge mówił do mnie „Victorze”. Przybierałem tyle różnych imion, jedno po drugim. A przecież naprawdę mam imię, autentyczne ludzkie imię, które matka szeptała mi na ucho, kiedy miałem cztery lata, zanim zabrano mnie z łęgu i umieszczono w szkółce. Słodkie, tajemne, prywatne imię.

Prawie powiedziałem jej Marcie, a potem postanowiłem, że zamiast tego podam jej swoje imię służbowe. Imię, które nosiłem u Bella. Mogło być. To wystarczająco blisko.

- Brother - powiedziałem. - Mam na imię Brother.

To było poprzedniej nocy. A teraz byliśmy tutaj, osiemset kilometrów dalej, a ja spoglądałem przez okno, stałem w spodniach i podkoszulku, obserwowałem czerwone tylne światła samochodów gromadzące się w ciemności. Martha wyszła z łazienki.

- O rany!

- Co?

Zmrużyła oczy, podeszła do mnie z zatroskaną miną.

- Twoje ramię. - Zrozumiałem, że trzymam się za nie, łapię się za miejsce, z którego ból promieniował do szyi i pleców. - Trzeba to wyjąć.

Cofnąłem rękę. Była lepka i błyszcząca od ropy.

- Cholera.

- Właśnie. Cholera. Infekcja na sto procent. - Martha zbliżyła się i przyjrzała ranie.

- Wyjmijmy to - powiedziałem. - Teraz.

Jutro nie będzie czasu. Dzisiaj nie było go na gorączkę, nie było na chorowanie. Szpital naturalnie nie wchodził w grę.

Martha zaś, często podróżująca bezrobotna asystentka medyczna, miała przy sobie, jak się okazało, praktycznie wszystko, czego potrzeba, żeby wyciągnąć z ciała kawałek zgniecionej metalu. Zestaw do zakładania szwów i bandaże, aspirynę i gazę, nawet mały skalpel.

- Jedyne, czego nie mam - powiedziała - to jakiegoś znieczulenia. Ale na pewno rano możemy podjechać do apteki...

- Nie - odparłem. - Teraz.

Pokręciła głową i spojrzała na mnie, rannego nieznajomego w ciemnym pokoju hotelowym. Nieznajomego, który zupełnie nie przypominał Jima Dirksa.

- W porządku, Brother. Połóż się na łóżku.

Przyniosła lód z automatu, owinęła ścierką i przyłożyła mi do ramienia, aż straciłem czucie.

- No, to powinno coś dać - stwierdziła, a ja nie umiałem stwierdzić, czy dało, czy nie: jej nóż wbił mi się w ramię i bolało jak cholera.

Skrzywiłem się. Wstrzymałem oddech. Moje ramię płonęło; moje ramię i moje plecy.

- Świetnie ci idzie - powiedziała Martha łagodnym, zachęcającym tonem, który już wcześniej słyszałem, kiedy zwracała się do synka. - Bardzo dobrze. Tak trzymaj.

Oddychała miarowo, wykonując ostrożne cięcia, a potem poczułem jej palce na moim ciele oraz w nim, drążące, rozumne istoty, pełzające insekty. Złapałem oburącz krawędź cienkiego materaca i ścisnąłem. Nie nadaję się do tego, pomyślałem. Nie nadaję się na żołnierza ani szpiega. To wszystko pomyłka.

- Widzę go - oznajmiła łagodnie Martha. - Już go widzę. Jest blisko powierzchni. Trzymaj się, Brother. Trzymaj się mocno.

Zaczęła szarpać, najpierw ostrożnie, potem szybciej, i poczułem, że pocisk się porusza, uwalnia. Zastanawiałem się, czy właśnie

tak będzie u Bridge'a. Kiedy lekarz Bridge'a wyjmie mi chip. To była część umowy, umowy, którą na nim wymusiłem. Oczywiście chip znajdował się głębiej niż ten pocisk i był silniej osadzony. Uwiązany do podstawy mózgu milionem maleńkich włókien. Mocno wetknięty między dwa górne kręgi.

A potem Martha jeszcze raz wciągnęła powietrze i wyszarpnęła pocisk.

- Mam go! - Obróciłem głowę i zobaczyłem, że uśmiecha się od ucha do ucha. - Jest! Mam skurwiela.

Jej palce w cienkich rękawiczkach pokrywała moja krew. Martha miała rozradowaną twarz. Uśmiechnąłem się słabo i z trudem usiadłem na łóżku. Upuściła pocisk w moją wyciągniętą rękę - był mały i brzydki, umazany krwią i tkanką, jego czarna miedziana główka była spłaszczona od impetu. Kiedy dziewczyna położyła mi go na dłoni, był ciepły, jak czerw albo czubek języka. Odłożyłem pocisk na szafkę przy łóżku, pod abażur lampki, a potem znowu się położyłem, żeby mogła mnie zaszyć.

Jakimś cudem teraz mniej bolało - to zaszywanie. Może po wyjęciu kulki lepiej się czułem. Może zaczynałem się do tego przyzwyczajać, do cudzych rąk w moim ciele. Może łatanie człowieka boli mniej niż otwieranie.

- Jesteś jakby inną osobą - powiedziałem Marcie, kiedy kończyła, po raz ostatni przeciągała czarną nić przez moją skórę. - Kiedy to robisz.

- Jak to?

- Jesteś po prostu... pewna.

- Jak to pewna?

Moją odpowiedź przerwał wystrzał, na dworze, gdzieś blisko. Głośny i charakterystyczny. Wyszarpnąłem z gniazdka wtyczkę lampki przy łóżku, w ciemności przetoczyłem się na Marthę i zasłoniłem ją sobą na ziemi, leżałem na niej, dysząc, ramię piekło mnie i pulsowało. Rozległ się drugi wystrzał, potem trzeci.

- Jak myślisz...

- Zostań tutaj - poleciłem i poczołgałem się do drzwi.

Zgarbiony zakradłem się korytarzem w kierunku recepcji, z pistoletem zatkniętym za pasek spodni, z raną, z której sączyła się krew. Szedłem tym wąskim hotelowym korytarzem w środku nocy z mroczną pewnością, że wydarzyło się coś nowego i strasznego. Że dzieje się coś niedobrego.

- O, witaj, chłopcze - odezwał się białas w recepcji. - Przyszedłeś dołączyć do zabawy?

Na zewnątrz kolejny wystrzał, a potem głośnie okrzyki: wiwaty, aplauz. Świętowanie. Nie strzelali w gniewie, strzelali w powietrze. Zerknąłem na telewizor recepcjonisty, na którym w CNN pokazywano fotografię Donatelli Batlisch, zdjęcie z akt, zamrożony portret.

- Czy ona... - Nie wiem, dlaczego zapytałem. Już wiedziałem. - Zatwierdzili ją?

- Nie, i nie zatwierdzą. Zajęli się nią i tyle. - Pokazał dłonią kształt pistoletu, pokazał pociągnięcie za spust. - Jeden strzał. Z tyłu w kark. Jakaś matka jest dziś dumna z synalka, to na pewno.

Nie musiałem mówić Marcie. Gdy wróciłem do pokoju, światło wciąż było zgaszone, ale telewizor grał, a ona siedziała na skraju łóżka, twarz miała skąpaną w blasku złych wiadomości.

Zamknąłem za sobą drzwi, a Martha podniosła się cicho i wyłączyła telewizję.

Stałem przy oknie z prawą ręką na lewym ramieniu, z dłonią zaciśniętą na ranie. Nie czułem żalu, nie całkiem. A już na pewno nie było to zaskoczenie. Ponownie czułem, że się do tego nie nadaję. Oto, co myślałem. Jakimś cudem urodziłem się w niewłaściwym życiu. W niewłaściwym ciele. Krew sączyła mi się z ramienia, zasychała w cienkiej bawełnie podkoszulka. Na dworze świętowanie nabierało mocy, tłum szczęśliwych mieszkańców Tennessee zebrał się w świetle księżyca wokół tylnej klapy matowobiałej półciężarówki, krążyły butelki piwa.

Za nimi ruch na drodze I-65 zelżał, samochody gnały na południe w stronę Płotu.

Twarz Marthy była nieruchoma, zawzięta i ponura.

- Byłeś tam kiedyś?
- Nigdy - odpowiedziałem. - Nigdy w życiu.



## 2.

**Przejście graniczne** pokonaliśmy bez problemów.

Było sześć szerokich pasów ruchu, sześć stanowisk strażniczych, sześć mechanicznych szlabanów, które unosiły się i opadały, przepuszczając po jednym samochodzie. Był pas z napisem BIALI (OBYWATELE ALABAMY), pas BIALI (INNI OBYWATELE STANÓW ZJEDNOCZONYCH), pas KOLOROWI AUTEM (POZWOLENIE Z ALABAMY) oraz ten, na którym my stanęliśmy: KOLOROWI AUTEM (INNE POZWOLENIE ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH).

Przy Płocie pracują federalni, agenci specjalnego wydziału Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego noszącego nazwę Internal Border and Regulation, czyli służba pogranicza wewnętrznego. Ci z IBR noszą wysokie czarne buty, żółte kurtki i okulary lustrzanki, a w kaburach pod pachą - pistolety samopowtarzalne. To właśnie jeden z funkcjonariuszy IBR, mocno opalony rudawy blondyn, uprzejmy, o kamiennej twarzy, dał znak, żebym opuścił szybę toyoty, to on nachylił się nade mną do siedzącej z tyłu Marthy, on pobieżnie przekartkował nasze papiery - papiery, które załatwił mi pan Bridge, papiery najwyższej próby, ze szczerego złota. On następnie grzecznie zwrócił się do Marthy: „Czy może pani poprosić swojego Murzyna, żeby wysiadł z auta?”, on przeprowadził mnie przez rząd skanerów, on włożył mi pod język palce w rękawiczce, on przesunął mi rękę po czaszce, on zaświecił mi latarką w dupę i uniósł mi jaja, on przebiegł płaskimi dłońmi po każdym centymetrze mojego ciała. To on natychmiastowo i całkowicie pozbawił mnie kontroli nad moim ciałem, a potem mi ją zwrócił, mamrocząc: „Jesteście w porządku”. Powiedział to do Marthy, nie do mnie. „Możecie jechać”.

IBR to służba federalna, ale po drugiej stronie Płotu są jeszcze trzy inne, a każda ma własny ceglany budynek najeżony flagami i antenami radiowymi: Wydział Drogowy Alabamy, Biuro Szeryfa Hrabstwa Limestone oraz Międzystanowy Patrol do spraw Kolorowych, oddział w Alabamie. Wszystkie te służby mają ustawowe prawo zatrzymać każdy pojazd przepuszczony przez IBR, ale z niewiadomego powodu tego ranka żadna nie postanowiła zatrzymać nas i naszej białej toyoty.

Po drugiej stronie przejścia granicznego widniało łacińskie motto - AUDEMUS JURA NOSTRA DEFENDERE - jaskrawobiałe na lawendowym tle, a dalej wesoła przydrożna zielona tablica: WITAMY W PIĘKNEJ ALABAMIE.

Jechałem, a Martha siedziała z tyłu. Obserwowali mnie; wyobrażałem sobie, jak mnie obserwują. Bridge w Marylandzie, Barton i spółka w Indy, ze wzrokiem wlepionym w ekrany. Moja kropka zmierzała na południe, przecięła linię.

Ja sam oczy miałem szeroko otwarte, czekałem, aż zobaczę, na ile sposobów zmieni się teraz świat, kiedy wjechaliśmy na drugą stronę, przekroczyliśmy granicę cywilizacji i znaleźliśmy się na mrocznej ziemi, gdzie biali utrzymują władzę okrucieństwem i strachem. Czekałem, aż niebo pociemnieje, aż pod chmurami zaczną krążyć wrony. Widziałem jednak tę samą krętą szosę, ten sam rozległy zielony krajobraz, to samo cukierkowo błękitne niebo. Wszystko identyczne po obu stronach Płotu.

- Halo - powiedziała Martha. Musiała mówić już od pewnego czasu. Nachylała się między fotelami. - Brother? - Lekko się do niej obróciłem, przez co zabolalo mnie ramię. - Wszystko w porządku?

- Nie martw się - odparłem. - Udało ci się. Jesteśmy kwita. - Znowu patrzyłem na drogę. Prowadziłem ostrożnie, powoli i spokojnie. - Mamy dziewięćdziesiąt dwa kilometry do Green Hollow. Jak mówiliśmy, zajedziemy tam na rynek. Potem zawrócisz. Znajdziesz pobocze, gdzie będziesz się mogła zatrzymać, i spalisz te papiery, tak jak ci pokazałem. Później

wrócisz do swojego synka. Zostawisz toyotę na tamtym parkingu przed Townes Stores.

- Na rogu Southport i Emerson.
- Zgadza się. I wiesz, gdzie są pieniądze.

Martha milczała. Pod nami przemykała czarna szosa, mijały nas latarnie, drzewa.

- Dobrze - powiedziała.
- I dziękuję ci, Martho. Dziękuję.

Dwie godziny później ze spuszczoną głową szedłem nasłonecznionym chodnikiem przez tętniący życiem rynek miasteczka Green Hollow w Alabamie, rozglądając się za człowiekiem na koniu, rozglądając się za prawnikiem.

To było tak, jakbym trafił nie tylko do innej części kraju, ale do innej epoki. Wąsaci mężczyźni w fedorach, panie w kwiecistych sukienkach z krótkimi rękawami, uśmiechnięte, pchające duże wózki dziecięce. Wszyscy uśmiechnięci. Delikatny brzęk powitalnych dzwoneczków, gdy ci szlachetni ludzie wchodzili do sklepów pod różnokolorowymi markizami, które furkotały na wietrze. Ludzie uchylali kapeluszy, przytrzymywali drzwi wchodzącym i wychodzącym z restauracji o nazwie Cotyledon Café - schludnego wolnostojącego różowego budynku. Wzdłuż okna frontowego stała skrzynka pełna peonii, a szyld dumnie oznajmiał krągłymi, pisanymi literami: TO JEST LOKAL SEGREGACYJNY.

Drugą restauracją przy rynku był lokal General Bobby's, sieciówka serwująca smażone kurczaki, która - akurat o tym wiedziałem - należała do tego samego konglomeratu co Hamburger Stand w Indianapolis, gdzie jadłem kilka dni wcześniej. Tak właśnie postępują te duże firmy, kiedy nie chcą, żeby klienci wiedzieli, że robią za Płotem duże interesy: filie, holdingi, dywersyfikacja.

Szedłem wokół rynku, pod bajecznie błękitnym niebem z chmurkami białymi jak bawełniany puch. Minąłem dwóch białych mężczyzn w kapeluszach, światowców konwersujących

poważnym tonem o tym, co jeden nazwał „wczorajszym niefortunnym zajściem”.

- Pytanie, co innego można było zrobić - rzekł drugi i obaj światowcy z powagą pokiwali głowami. - Wiem, wiem. Co innego można było zrobić?

I kiedy oni poważnym tonem dyskutowali o tragicznej niezbędności zamachu, ich Murzyni stali za nimi wpatrzeni w chodnik, niewidoczni i niemi. Za białą panią pchającą wózek szła zaś czarna kobieta, znacznie starsza, taszcząc pojemnik z pieluchami i siatki z butiku. I wreszcie byłem ja, przemierzający ten akwarelowy świat niczym duch. Zupełnie jakby istniały tutaj dwie rzeczywistości, nałożone jedna na drugą jak folie w rzutniku.

Ale gdzie był prawnik? Gdzie byli mężczyzna i jego koń?

- Więc jak załatwimy te sprawy? - zapytałem pana Marisa w Indianapolis, u Świętego Anzelma, w tej ich lichej centrali. Kiedy Barton znowu poszedł, kiedy zostałem sam z jego adiutantami.

Cook streścił mi historię, a potem on i Maris opisali, jak mam nawiązać kontakt.

- Sprawy? - powtórzył Maris. - Nie. Słuchaj. Zrozum.

- My nie załatwiamy spraw, człowieku - wtrącił Cook, opierając się o framugę drzwi, dłubiąc w zębach wykałaczką i słuchając uważnie. - My załatwiamy kontakty.

- Co to znaczy?

Maris nie obrócił głowy. Nie spuszczał lodowatego wzroku z mojej twarzy, gdy tymczasem Cook mówił.

- Pan Promyczek powie ci tylko, dokąd masz jechać i jak znajdziesz prawnika. Co będzie dalej, to zależy już tylko od ciebie i tego prawnika. Rozumiesz?

A potem Maris, bardzo powoli i bardzo niskim głosem:

- Wiemy tylko to, co wiemy.

- Dobra - odparłem. - Dobra. A kim jest ten prawnik?

- Wiemy tylko to, co wiemy - powtórzył Maris, choć to trochę inaczej, niż gdyby powiedział, że nie wie, kim jest prawnik. Ze wszystkich, których poznałem, właśnie pana Marisa najtrudniej

było rozszyfrować. Jego ostre rysy tworzyły idealną maskę. - Miasto nazywa się Green Hollow - wyjaśnił. - Trzydzieści kilometrów na północny zachód od Birmingham. Tam znajdziesz pomnik. Na placu.

- Na którym placu?

- To małe miasteczko, człowieku - powiedział Cook. - Plac jest tylko jeden.

- Pójdziesz tam. W dzień powszedni. Dowolny. Między jedenastą dwadzieścia pięć a jedenastą trzydzieści pięć. Staniesz pod mężczyzną i jego koniem. Tam zaczekasz na prawnika.

No więc byłem: minęła 11.28 w Green Hollow w Alabamie, na jedynym placu w mieście. Zacząłem się pocić. Papiery miałem w porządku, nie do zdarcia, ale istniała granica tego, jak długo można się kręcić w miejscu publicznym, w pojedynkę, w swojej czarnej skórze, bez względu na papiery. Na rynku służby ochrony porządku były obecne w dwóch postaciach: przyjaznego miejscowego gliniarza z komendy policji w Green Hollow, który stał z rękami za plecami, na szyi miał lśniący srebrny gwizdek, uśmiechał się do dzieci i pozdrawiał przechodniów skinieniem głowy, oraz funkcjonariusza Międzystanowego Patrolu do spraw Kolorowych, oddział w Alabamie, stojącego na dachu, całego na czarno, w kamizelce kuloodpornej, hełmie i z karabinem. Albo próbował nie rzucić się w oczy i mu to nie wychodziło, albo, co bardziej prawdopodobne, zależało mu, żeby jego obecność odnotowała każda osoba na placu - a zwłaszcza osoby czarne.

Ja przynajmniej byłem dotkliwie świadomy, że on tam jest, kiedy rozglądałem się po placu w poszukiwaniu cholernego pomnika człowieka i konia. Jedyne posągi, które widziałem, były nie takie, jak trzeba: pierwszy, szary i szpetny, przedstawiał mężczyznę na dziobie ścigacza, weterana wojny teksańskiej dźgającego powietrze palcem wskazującym, jakby dowodził niewidocznym wojskiem, ale na niego zwracało uwagę wyłącznie stado cherlawych gołębi, które gnieździły się na rondzie jego kapelusza. Drugą statuą był posąg niskiego mężczyzny w okularach, ubranego w garnitur z połowy wieku, który radośnie machał ręką,

a za nim szedł pies rasy beagle. Okrążyłem rynek trzykrotnie, szukając człowieka i konia, ale na próżno.

Zrobiłem jeszcze jedno kółko. Przed wejściem do Cotyledon stała gromadka czarnych. Rozmawiali cicho, czekając, jak się domyśliłem, aż ich panowie zjedzą lunch. Natomiast wewnątrz, sama przy dwuosobowym stoliku, siedziała Martha Flowers.

Co, do cholery? – pomyślałem, czując osobliwy przypływ złości i... czego? Ulgi? Co, do cholery?

Rozstaliśmy się na obrzeżach miasteczka, na parkingu stacji benzynowej Qatar Star. Powiedziałem tylko: „Pożegnaj ode mnie małego”, a ona na to: „Obiecuję”, po czym wysiadłem z samochodu i udałem się na tył stacji, żeby skorzystać z toalety dla kolorowych, a gdy wyszedłem, Marthy nie było, tak jak zaplanowaliśmy.

Teraz powinna stać już na przejściu granicznym i ze swej dużej, nieuporządkowanej torebki wygrzebywać prawdziwe prawo jazdy wydane w Indianie.

Zamiast tego była tutaj, studiowała menu Cotyledon Café, krzyżując nogi w kostkach, jak porządna południowa ślicznotka, jak swoja własna zła siostra bliźniaczka. Spojrzałem dwa razy, by się upewnić, że to Martha, a potem odwróciłem wzrok, bo nie wiedziałem, ile razy wolno patrzeć przez szybę restauracji na białą kobietę, zanim zwróci na to uwagę patrolowiec.

Jeszcze raz okrążyłem plac. Pokrywała mnie teraz obfita warstwa potu: z desperacji, dezorientacji, jakiejś kwaśnej mieszanki wściekłości i strachu. Martha Flowers smakowała przy rynku kawałek placka, a tymczasem gdzie, do chuja, był ten koń? Gdzie, do chuja, był ten prawnik?

Potknąłem się na nierównym chodniku i o mały włos nie wpadłem na szerokie plecy idącego powoli białego mężczyzny z laseczką. Odetchnąłem. Zwolniłem kroku. Przeszedłem ostrożnie pod dębami i czarnymi latarniami. Przeszedłem obok sklepu wielobranżowego, kina, kafejki internetowej. Na trawie w parku widziałem rozsiane grupki kilkunastu czarnych kobiet

i mężczyźni, którzy leżeli obok siebie, drzemali albo rozmawiali i pili z papierowych kubków.

A potem w końcu po raz trzeci obszedłem ten głupi pomnik, zanim postanowiłem przeczytać tabliczkę: HENRY SMITH, ZAŁOŻYCIEL MIASTA, I JEGO WIERNY TOWARZYSZ, KOŃ.

Koń. Pies, który wabił się Koń. Gdzieś tam Willie Cook miał ze mnie porządny ubaw.

Oparłem się o płot otaczający pomnik, a potem natychmiast się zreflektowałem i stanąłem prosto. Zegar na gmachu sądu wskazywał 11.35 - czy było za późno? Czy już nawaliłem?

W myślach przećwiczyłem hasło i odzew, które podał mi Maris.

„Piknie dzisiaj, prawda?” - miał na mój widok powiedzieć tajemniczy prawnik, a ja miałem mu odpowiedzieć: „Pięknie i pysznie jak w śmietanie wiśnie”.

Ćwiczyliśmy to trzy razy. Maris: „Piknie dzisiaj, prawda?” - jego afrykański akcent sprawiał, że prowincjonalna gwara brzmiała trochę śmiesznie - a ja: „Pięknie i pysznie”.

Prawnik cię wypatrzy, mówił Maris. Pozna cię po tym, gdzie i o której godzinie stoisz. Restauracja znajdowała się po drugiej stronie placu. Myślałem o swojej przyszłości. Myślałem o domu w Kanadzie, bajkowym małym domku z dymiącym kominem. O śniegu na okapie i na gałęziach klonów. O widoku na zamarzniete jezioro.

Nie próbowałem liczyć, jak blisko albo jak daleko znajduję się teraz od farmy Bella, ani w linii prostej, ani drogami, które mogłaby pokonać transportowa furgonetka.

Kiedy podniosłem wzrok na mieszkańców Green Hollow zajmujących się codziennymi sprawami, zakupami, jedzeniem, rozmową, nie widziałem białych, a jedynie czarnych: gdy im się przyglądałem, mogłem przysiąc, że widzę dym, który unosi się z ich ust - dym bijący z ich ust niczym spaliny, widziałem, że z ust i nosa każdej czarnoskórej osoby wydobywa się jednakowa chmurka wściekłego dymu, mgiełka niesie się ulicą, wypełnia powietrze, a biali tym oddychają, o niczym nie wiedząc.

Ktoś postukał mnie w ramię, więc się odwróciłem. Był czarny, żyłasty, miał ogrodniczkę, niósł łopatę.

- Pięknie dzisiaj, prawda? - zapytał mężczyzna z łopatą.

Odpowiedziałem:

- Pięknie i... - a on rączką łopaty rąbnął mnie w bok, mocnym ciosem, który zwałił mnie z nóg.

Zatoczyłem się w ramiona drugiego mężczyzny, mężczyzny, którego wcześniej nie zauważyłem, który złapał mnie i mocno trzymał za ręce.

- Co, do chuja? - powiedziałem albo zacząłem mówić, ale ten pierwszy rzucił:

- Zamknij się, chłopcze - po czym upuścił łopatę i uderzył mnie pięścią w brzuch.

Zgiąłem się wpół, ale tamten drugi za mocno mnie trzymał. Świeża rana w ramieniu zapiekła żywym ogniem, a brzuch bolał w miejscu, gdzie dostałem. Wierzgałem i wiłem się w powietrzu jak insekt, gdy tymczasem pierwszy mężczyzna cofnął się tanecznym krokiem, zaciskając pięści, a wielkolud, który mnie trzymał, szepnął:

- Prawie już.

- Co? - zapytałem.

- Morda, czarnuchu! - krzyknął pierwszy i uderzył mnie w skroń.

Przez mgłę bólu widziałem, że patrolowiec na dachu przypatruje się nam obojętnie.

- Ej - odezwałem się, ale rzucili się na mnie, znowu mnie bili, cisnęli na ziemię, kopali w tors.

Skręcałem się w konwulsjach, jęczałem, zwijałem się jak embrion, a kątem oka dostrzegałem, że wesoły gliniarz po drugiej stronie placu ogląda to wszystko z lekkim rozbawieniem i kręci głową, zupełnie jakbym ja i ci ludzie byli niesfornymi dziećmi na placu zabaw. Widziałem dwóch białych mężczyzn w fedorach, którzy stali przed apteką, śmiejąc się i mamrocząc między sobą. Widziałem ich wszystkich, dobrych ludzi z Green Hollow, mężczyzn, kobiety i dzieci; wszystkich zacnych mieszkańców, którzy przystanęli, żeby obejrzyć przedstawienie.



Tamci kopnęli mnie jeszcze parę razy, chociaż dostatecznie się wiłem, wykręcałem się w tę i we w tę, tak aby większość uderzeń przyjąć na piszczele, plecy albo twardy kręgosłup. Splunąłem na piach różową śliną i podniosłem się na czworaki, złapałem równowagę, płasko opierając dłonie na szorstkiej trawie. Obaj mężczyźni stali nade mną z zaciśniętymi pięściami i patrzyli z góry.

Zastanawiałem się, czy po miasteczku rozeszła się wieść. Zastanawiałem się, czy dotarła do stolika Marthy w Cotyledon. Miałem nadzieję, że ona będzie miała dość rozumu, żeby nie ruszyć się z miejsca. Nie zdradzić się, nie wybiec z lokalu, wołając moje imię - Jim, Brother, jakiegokolwiek.

- Nie wstawaj - syknął większy z dwóch mężczyzn, więc posłuchałem, nie podniosłem się, a obaj pochyłali się nade mną jak dwaj bogowie, patrząc spode łba.

Ten, który do mnie syknął, wydawał się groźny i zimny, jak wykuty z żelaza. Rozluźniłem ramiona, zamknąłem powieki, a wtedy dźwignęli mnie z piachu. Ponieśli mnie jak worek ziemi, jeden z przodu, drugi z tyłu, moja głowa zwieszała się na bok. W uszach mi dzwoniło, a w brzuchu narastał gęsty supeł bólu, tam gdzie na początku trafił but jednego z mężczyzn.

Potaszczyli mnie w ten sposób, bezwładnego, z głową odchyloną do tyłu, przez rzadki trawnik gmachu sądu do dużego samochodu, który czekał przy krawężniku. Dołączyła do nich jakaś kobieta, szła krok albo dwa za nami. Jej włosy ciasno oplatał pomarańczowy materiał. Miała masywne ramiona, mocną sylwetkę, maszerowała zdecydowanym krokiem. Patrzyła na mnie gniewnie, gdy przemierzaliśmy trawnik. Jej oczy były jak dwa kamienie głęboko osadzone w głowie.

- Ty jesteś tym prawnikiem? - zapytałem.

- A wyglądam ci, kurwa, na prawnika?

Podeszła blisko. Z mojej perspektywy, niesionego w taki sposób z głową do tyłu, była jakby do góry nogami. Szybkim, precyzyjnym ruchem wyjęła strzykawkę oraz małą fiolkę. Szarpałem się, ale nie mogłem nic zrobić - mężczyźni trzymali

mnie mocno, gdy ona napełniła strzykawkę i wbiła mi igłę w bok szyi. Wszystko zafalowało mi przed oczami. Wrzucili mnie do bagażnika samochodu.

- Witaj w Twardej Czwórcie - powiedział jeden z głosów, szorstki i roześmiany, gdy cały świat mi uciekał. - Dużo lepiej już nie będzie.

### 3.

**Kiedy świat** i ja znów odnaleźliśmy się nawzajem, pływałem w jakimś różowawym południowym morzu. Przebywałem gdzieś daleko. Fruwałem, ale jednocześnie byłem pod ziemią. Byłem pod miastem Indianapolis, z powrotem w żalonym tunelu Jackdawa, otoczony ociekającymi glinianymi ścianami, ciemnością, chorobą i zimnem. Byłem na farmie Bella, byłem w szopie zakopanej w ziemi, przez szparę widziałem czarne rządowe buty franklina, coś zrobiłem, ale co? Byłem też w hotelu Capital City Crossroads, w piwnicy, tam gdzie basen i siłownia, i byłem na planecie, o której Castle zwykł mrużyć mi do ucha, na planecie zwanej przyszłością.

Wstałem. I upadłem. Najpierw na kolana, a potem, po chwili zastanowienia, do końca, na plecy. Poczulem coś obcego na udzie, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że to mój fiut, klapnięty na bok jak kawałek liny. Byłem całkiem goły, co zdawało się przezabawne i jacyś ludzie się śmiali, zatem ja też zacząłem się śmiać. Mój głos brzmiał jak dziwaczny chichot, zupełnie mi nieznanym, więc przestałem.

- Wracaj na krzesło - odezwał się kobiecy głos, stanowczy, ale nie odpychający. Było w nim lekkie drżenie wesołości. - No już. Dawaj.

Wykonałem polecenie, jak najlepiej mogłem. Najpierw oparłem przedramiona na siedzeniu krzesła, potem dźwignąłem się i obróciłem. Musiałem zatrzymać się w połowie drogi, żeby złapać oddech, znieruchomiałem z dupą w powietrzu, wdychając zapach piwnicy - co to za piwnica, do cholery? - i znowu słyszałem śmiech, pływający po wszystkich zakamarkach mojego mózgu.

Ukłucie i pieczenie. Tamta fiolka, mały, pękaty słoiczek trucizny. Ktoś mi coś wstrzyknął. Nie wiem co, ale byłem ugotowany. Byłem na łodzi - byłem na deskach, bez dwóch zdań.

- Siadaj, skarbie - odezwał się tamten głos, a potem dołączyła należąca do niego twarz.

To była kobieta z placu, ta, która mnie dźgnęła. Pomarańczowa chusta zniknęła: kobieta miała krótkie dredy, niczym najeżone korki. Kucała przede mną. Miała przebiegłe spojrzenie, rubinowe usta i gładką skórę. Podniosła czerwony ręcznik kąpielowy, który spadł mi z kolan na podłogę. Pewnie zakrywał moją nagość, gdy byłem nieprzytomny - wziąłem go i znów się zasłoniłem.

- Posłuchaj mnie - zacząłem.

- Cicho, chłopie. Nie w tym stanie.

- Ej, przecież z nim dobrze - rzucił ktoś, mężczyzna, z drugiej strony pomieszczenia.

Potem ktoś powiedział:

- Pięknie się trzyma.

- Pięknie i pysznie - dodał ktoś trzeci, a wtedy wszyscy parsknęli śmiechem. Ale tym razem nie ja.

- Posłuchajcie - powiedziałem, a kobieta znowu mnie uciszyła, stanowczo, więc ucichłem.

Kuchnia była pełna ludzi. Kuchnia! Znajdowałem się w kuchni, niedokończonej i pospolitej, w piwnicy. Jeden z mężczyzn siedział na ladzie i machał nogami. Inny opierał się o lodówkę, obejmując ramionami jakąś dziewczynę, jakby byli ukochanymi z dawnych lat.

Wszyscy byli ubrani na czarno. Wszyscy mieli ogrodniczki z logo na piersi. Wszyscy chodzili boso albo w sandałach.

Grała muzyka. Trochę to trwało, zanim do mnie dotarła, ale teraz ją słyszałem i była jak cukier. Dęciaki. Trąbki. Saksofony? I perkusja: werble i talerze. Muzyka była szybka, słodka i toczyła się po pomieszczeniu. Smakowałem ją. Jak twardą landrynkę.

- Wybacz brutalność na placu - powiedziała kobieta z dredami. - Jak dwóch czarnych wsiądzie razem do samochodu, to jest porozumienie przestępcze. Jak paru czarnych chłopaków skopie innemu dupę, to nic się nie dzieje. To nikogo nie obchodzi. Jak czarni się leją, gliny nie patrzą. Patrol też nie. Odwracają się.

- Odwracają? - powtórzył mężczyzna siedzący na blacie. - Co ty, Ada. Raczej robią zakłady.

- Fakt - przyznała Ada. Wyciągnęła rękę, dotknęła mojej skroni, a ja się skrzywiłem. Ależ mnie bolała głowa. - W każdym razie to musiało wyglądać autentycznie. Więc wybacz.

- No dobrze - powiedziałem. Zamrugalem powiekami, usiłując wyostrzyć wzrok na tę kobietę. - Jesteś tym prawnikiem?

- Szlag by cię. Od razu do interesów, co?

- Jesteś?

- Nie - odparła. - Nie jestem.

Ada wstała. Właściwie była dziewczyną - miała ze dwadzieścia dwa lata, może dwadzieścia trzy. I niewolnicą. Oni wszyscy byli niewolnikami. Ogrodniczki, buty albo boso. Niewolnikami domowymi. Wszystko się we mnie przewracało. Muzyka pędziła, oszalała: wysokie, piskliwe linie instrumentów dętych i terkot perkusji.

- Kto jest prawnikiem? - zapytałem.

- Posłuchaj, zamknij się - powiedziała Ada. - Mocno cię cmoknęłam olanzapiną. W tym stanie nie nadajesz się do gadania o interesach, chłopie.

Pokręciłem głową, nie ustępując. Znowu spróbowałem wstać, zachwiałem się, a kobieta imieniem Ada zdecydowanym ruchem posadziła mnie z powrotem na krześle. Z bliska zobaczyłem logo wyszyte na pasku jej ogrodniczek: młotek opleciony przez węża. Brzoskwinia wisząca na kokardzie.

- Siadaj, dobrze? - Odwróciła się. - Niech ktoś przyniesie temu biednemu chłopakowi szklanek wody.

- Ja...

- Ja to zrobię, Ada. - Ktoś inny. Ilu ludzi tu było?

- Słuchajcie...

- Siadaj!

W tej piwnicy trwała swego rodzaju impreza, a ja siedziałem tak przez godzinę, może dwie, ludzie mnie mijali i obchodzili wokół, ci piękni czarni ludzie w ogrodniczkach i sandałach,

z zapuszczonymi afro albo dreadami, postaci we śnie, gdy tymczasem w mojej głowie wszystko pływało i pływało. Obok balii zimnej wody stały nieoznakowane skrzynki z winem. Podawano sobie talerz z ciasteczkami, w kącie było też wiadro z orzeszkami i drugie na łupiny.

Przez jakiś czas kołysałem się w takt muzyki, próbując chwycić rytm. Ktoś włożył mi do ręki szklanę wody, wypilem całą i potrzebowałem więcej, więc ktoś przyniósł mi więcej.

- Postaraj się odprężyć - powiedziała dziewczyna, która przyniosła mi wodę, patrząc na mnie nieśmiało.

Roześmiałem się - na samą myśl, na myśl o odprężeniu. Rozbawiła mnie. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio to robiłem: kiedy nie robiłem nic. Kiedy działałem bez konkretnego celu. Barton, Bridge, wszyscy na mnie czekali. Indianapolis, Gaithersburg. Cały świat czekał.

Ale udało mi się. Odprężyłem się. Następną godzinę, a może było ich kilka, spędziłem, usiłując zliczyć wszystkich ludzi w pomieszczeniu. Odnosiłem wrażenie, że stale ktoś przychodzi lub wychodzi, wszyscy przyjaźni, głośni, roześmiani. Przybijali piątki. Rzucali żarty, wybuchali pogodnym, wesołym śmiechem. O, stary, na sto procent! Co powiedziała? Nie gadaj! Nie gadaj!

Zdawało się, że otacza mnie olbrzymi tłum, wesoły, ożywiony bezlik czarnych ludzi, ale w pomieszczeniu było tylko pięć osób - w każdym razie kiedy ogarnąłem się na tyle, że dałem radę liczyć. Oprócz Ady dwie kobiety: Maryellen, niska, chochlikowata, z bardzo długimi, gęstymi włosami związanymi w jeden duży warkocz, który zwisał jej między łopatkami. To ona przyniosła mi wodę. Oraz Shai, nieco starsza, wąskooka i uważna. Większym z mężczyzn był Otis, bardzo ciemnoskóry, mocno umięśniony. I wreszcie ostatni, Marlon, z niechlujną kozią bródką. To on mnie uderzył, ale również on teraz przyszedł z kawałkami lodu owiniętymi cienkim papierowym ręcznikiem i delikatnie przyłożył mi je do sińca nad uchem, ukrytego pod włosami.

- Jestem taki koleś, który mocno wali - powiedział, poprawiając okład. - Nic nie poradzę.

- Nie macie imion służbowych? - zapytałem Marlona, ale odpowiedziała mi Maryellen z drugiego końca pomieszczenia, choć nie sądziłem, że mnie tam słyszy.

- O, mamy. Tyle że ich nie używamy.

Uśmiechnąłem się. Spojrzałem na nią i odkryłem, że mój umysł nie przypisuje jej kolorowi skóry określonej klasyfikacji. Dziki miód, jasne tony, cała reszta tego pieprzenia. W ogóle nie potrafiłem przywołać tabeli pigmentacji, którą po raz pierwszy pokazano mi sześć lat wcześniej w Arizonie. Jeśli to wszystko nie wypali, te wszystkie przygody, i wyląduję z powrotem pod komendą Bridge'a, będę miał kłopot. I właśnie dlatego powiedziałem:

- Dzięki, kurwa, Bogu.

- Za co? - zapytał Marlon.

- Nic takiego. - Ostrożnie zdjąłem z głowy okład z lodu i jeszcze raz mu podziękowałem.

- Wszystko spoko? - zapytał, a ja odparłem:

- Wszystko spoko.

Marlon wyrzucił lód do zlewu.

Muzyka na chwilę ustała, kiedy ktoś zmieniał stronę taśmy, po czym wróciła potężniejsza. Śpiewało kilka głosów, czasem były to słowa, a czasem tylko dźwięki. Szorstkie, nierówne melodie, wysokie harmonie, a potem szybkie, nakładające się na siebie, gwałtowne pasáže. Mocne uderzenia perkusji, klaśnięcia i gwizdki. Nie wiedziałem, co to za muzyka, ale brakowało mi jej od zawsze. Chciałem znać ją wcześniej - chciałem znać tę muzykę całe moje życie.

Czułem, że dochodzę do siebie, kropla po kropli, jak osuszona studnia napełniająca się ponownie. Wstałem, co wszyscy nagrodzili brawami, a potem umarli ze śmiechu, gdy skłoniłem się ironicznie. Możliwe, że trochę tańczyłem. Uprzejmie odmówiłem grubego jointa, którym poczęstowała mnie Maryellen, bo nie chciałem sprawdzać, jak marihuana działa w połączeniu z olanzepiną.

Z powrotem usiadłem przy kuchennym stole, a wtedy po raz pierwszy zauważyłem bardzo starego białego mężczyznę. Mógłbym przysiąc, że wcześniej go tam nie było, że na pewno bym go zobaczył, ale z drugiej strony sprawiał wrażenie, że był tam od zawsze, od stuleci: przysunięty do stołu na wózku inwalidzkim, ubrany jak na pogrzeb, w czarny garnitur z cienkim czarnym krawatem. Wszyscy pili z puszek i butelek, ale jego zagięte palce zaciskały się na niskiej szklance, w której były tylko lód i ostatnie kropelki czegoś ciemnobrązowego.

- Czy ta szklanka jest pusta, synu?

- Słucham?

Wyglądałem przez okno - piwnica miała dwa wysoko umieszczone okna ogrodowe, przez które można było zerknąć na ziemiste niebo. Zastanawiałem się, gdzie właściwie jestem.

- Dostyc tutaj ciemno, ale wydaje mi się, że moja szklanka jest pusta. - Mężczyzna mówił zmarniałym szeptem, ale wciąż słyszało się w nim dawny, zacny południowy akcent. - Tak mi się wydaje. Czy byłbyś uprzejmy mi ją napełnić? Butelkę czerwonego johnnie walkera znajdziesz w szafce obok lodówki.

Przyglądał mi się zażawionym okiem. Znalazłem whisky i nalałem mu do szklanki.

- Dziękuję, młody człowieku. Bardzo dziękuję. - Biały starzec sęczył powoli, oblizując cienkie, spękane usta. - Chyba nie mieliśmy jeszcze przyjemności.

- Ten człowiek ma na imię Elijah, proszę pana. - To mówiła Ada. Zmaterializowała się obok mnie i oparła mi dłoń na ramieniu.

Starzec obrócił głowę, żeby na nią popatrzeć.

- Elijah? - zapytał, a potem powoli znowu spojrział na mnie.

- Zgadza się, mecenasie. - Ada zerknęła na mnie ostrożnie, a ja powiedziałem:

- Tak, proszę pana. Elijah. - A potem, ponieważ wydawało się to właściwe, dodałem: - To zaszczyt pana poznać.

- Cała przyjemność... - Odchrząknął z trudem. - Cała przyjemność po mojej stronie.



Był niepełnosprawny, zapewne w wyniku wylewu. Połowa jego ciała osunęła się i rozlała jak stopiona świeca. Ma sto lat, pomyślałem. Tysiąc. Sprawiał wrażenie wiecznego, jakby był stary od zawsze i od zawsze siedział niczym blade widmo na tym staromodnym wózku.

- Dobrze, Elijah. - Spojrzał na mnie i oblizał czubki pożółkłych zębów. - Dobrze. Rozpocząłeś swą podróż. Odnajdziesz drogę do wolności. Złe czasy masz za sobą, Elijah, ale przed tobą wiele niepewności. Nie wyobrażam sobie... - Kolejna przerwa, kolejne przeciągłe odchrząknięcie. - Nie wyobrażam sobie, co teraz czujesz. Ale wiedz, że tutaj, chłopcze, tu, w tym domu, jesteś mile widziany. Tutaj znajdziesz - rozpostarł wykręcone artretyzmem palce, jak tylko się dało - schronienie.

- No - odezwałem się, a potem, bo cóż innego można było powiedzieć, dodałem: - Dziękuję.

- Tak, panie mecenasie - powiedziała Ada w moim imieniu. - Elijah jest w drodze. W drodze do ziemi obiecanej.

- Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze - rzekł prawnik. - Niech cię Bóg strzeże.

A potem, tak po prostu, zasnął: przechylił głowę na bok, a powieki zamknęły mu się jak u lalki.

- Proszę pana? - odezwała się Ada. - Panie Russell?

- Odpadł - stwierdził Marlon, przechodząc obok z butelką piwa w zaciśniętej ręce.

- Aha. - Ada poklepała dłoń starca. - Chyba masz rację.

- Wiesz, któregoś dnia po prostu umrze.

- Cicho bądź! - Gdy Marlon odchodził, uśmiechnęła się do prawnika z nieskrywaną czułością. - Ale to prawda. Raz się budzi, raz odpływa. Pewnego dnia po prostu się nie obudzi.

Wokół nas grupa cichła. Ludzie rozmawiali stonowanymi głosami, mamrotali. Duży Otis i mała Maryellen usiedli na krześle, na którym wcześniej siedziałem ja - ona na jego kolanach, mocno przytuleni.

- O każdym mu mówimy, że ma na imię Elijah. Tak po prostu jest prościej.

Podrapałem się w czoło.

- Mam z nim rozmawiać. Tak mi powiedzieli.

- No to proszę bardzo - odpowiedziała Ada. - Rozmawiaj.

Popatrzyłem na prawnika, potem na nią, zobaczyłem, że się śmieje, więc i ja się roześmiałem.

- Kto by pomyślał, prawda? - Ada pokręciła głową. Przykryła kolana starca kocem, odgarnęła mu z oczu kilka siwych kosmyków. - Ale spróbuj powiedzieć Duchowi Świętemu tam na Północy, że wszystkim tu kieruje gromada Murzynów.

Cook powiedział mi praktycznie to samo, śmiejąc się, ale bez uśmiechu, kiedy jechaliśmy Meridian Street do pomnika: *mentalność Zabić drozda*.

- Więc on... - Popatrzyłem ostrożnie na śpiącego starca. - On jest waszym właścicielem.

Ada znowu się roześmiała. Miała głęboki, melodyjny śmiech.

- Owszem, Elijah. Właścicielem domu, podwórka oraz wszystkiego i wszystkich w środku.

- Ufacie mu.

- O, musimy. Musimy. Jemu bardziej niż komukolwiek. Słyszałeś o tak zwanej sprawie Gullivera?

Słyszałem. Coś mi świtało. Znałem się na tych sprawach. Raz jeszcze spojrzałem na mężczyznę, próbując odszukać znajome rysy twarzy pod warstwami starości. Przez pewien czas miałem obsesję na punkcie historii prawa niewolniczego, przestudiowałem wszystkie wystąpienia przed Sądem Najwyższym, uczyłem się na pamięć długich fragmentów wyroków i zdań odrębnych. *Hospital Corporation kontra Missisipi. Schools of Florida. Conroy kontra Wilson*.

Ada odświeżyła mi pamięć w kwestii „sprawy Gullivera”. OP, którego dotyczyła, imię służbowe Gulliver, był niewolnikiem z Luizjany należącym do drobnego farmera nazwiskiem Peabody, który zabrał go do stanu Nowy Jork na ślub swojego kuzyna. Paru tamtejszych chłopaków zaczęło grozić Gulliverowi przed klubem nocnym, gdzie czekał na zakończenie wesela, a on się bronił - i wylądował w więzieniu federalnym pod zarzutem posiadania

broni. Po ośmiu miesiącach odsiadki pojawiła się tam grupa miejscowych abolicjonistów, żeby go zabrać, zanim zdąży to zrobić Peabody. Następnie wnieśli pozew o uwolnienie Gullivera, zgrabnie argumentując, że więzienie federalne to wolne terytorium, tak jak parki i pomniki narodowe, a przebywanie w nim przez ponad sześć miesięcy uruchamia klauzulę miejsca zamieszkania: zgodnie z tym prawem chłopak się przeprowadził, więc chłopak jest wolny.

Sąd okręgowy w Nowym Jorku przychylił się do tej opinii i Sąd Najwyższy może też by to zrobił, gdyby nie wysiłki złotoustego prawnika z Alabamy. Jednego z tych wytwornych południowych dżentelmenów palestry, z kosią bródką, białym garniturem i czerwonymi szelkami - w niczym nieprzypominającego tej udręczonej skorupy człowieka, która siedziała naprzeciwko mnie przy małym stoliku, zaciskając uwiędłe dłonie na szklance.

- Zapowiadało się na jedną z tych przełomowych spraw, wiesz? - powiedziała Ada. - Silny cios w zasady podróży z posiadaczem. Ale potem z niewolniczych ziem napatoczył się prawnik jak rakietka i zaczął opowiadać, że... Jak to szło? Nie długość podróży się liczy, ale... - Pstryknęła palcami, próbując sobie przypomnieć. - Marlon! Słuchaj, jak...

- Intencja - odezwał się cicho prawnik, otwierając jedno oko. - Nie długość posiadania, ale intencja posiadacza jest decydująca w świetle prawa.

- Właśnie. Właśnie, mecenasie.

Okno znowu się zamknęło. Starzec oddychał wolno, łagodnie, wdech i wydech.

- To przesądziło sprawę. Sądowi Najwyższemu spodobał się ten argument - powiedziała Ada. - Gulliver wrócił do domu w łańcuchach. Peabody sprzedał go na platformę.

Na tę myśl poczułem ukłucie smutku, cierpki smak żalu. Każdy w końcu gdzieś trafia. Pomyślałem o Marcie, siedzącej skromnie w Cotyledon Café. Na pewno już jej tam nie było. Już od dawna. Miałem nadzieję, że wyjechała, i miałem nadzieję, że nie.

Otworzyło się oboje oczu prawnika, małych, atramentowych, mokrych. Starzec uniósł szklanę.

- Za Gullivera.

Niewolnicy również unieśli swoje butelki, wszyscy razem, i odezwali się chórem:

- Za Gullivera!

Wypili, po czym wrócili do swoich rozmów, a oczy mecenasa znowu się zamknęły.

- Muszę przyznać, Ado, że nie rozumiem - powiedziałem, przyglądając się starcowi, którego broda powoli osuwała się na pierś. - Naprawdę nie rozumiem.

- Niech zgadnę. - Ada się zaśmiała. - Nie rozumiesz, dlaczego stąd nie spierdolimy.

- Właśnie. No bo... - Wskazałem na skurczoną postać prawnika, na wpół pijanego, na wpół śpiącego. Jeśli dobrze widziałem, nie było żadnych psów. Nie było straży.

- Ucieknę i co potem? - Poklepała starego po czubku głowy, podeszła do blatu i zaczęła robić kawę. - Pojadę na Północ? Oddam życie w ręce tego twojego szalonego księdza? Do końca życia będą za mną chodzić w sklepach? Otis, skarbie, mamy mleko?

Otis przyczłapał i otworzył lodówkę, a Ada nasypała kawy do ekspresu.

- Będą mnie zatrzymywać, kiedy prowadzę samochód? Zastrzeli mnie jakiś gliniarz, jak będę szła ulicą?

- Albo w domu - dodał Otis.

Ada kiwnęła głową.

- Wy słyszycie, co się odwała tu na Południu - powiedziała. - My słyszymy, co się odwała na Północy.

Włączyła ekspres, który zaczął bulgotać i robić swoje. Oparła się o krawędź blatu.

- Słuchaj: różne mogłam mieć życie, w różnych miejscach się urodzić. Ale tutaj, w tym domu? U tego starego, głuchego białasa, który miał ze sto lat, już kiedy przyszłam na świat, i tak go zżera poczucie winy, że nie prześpi na trzeźwo ani jednej nocy? Kasy

w cholere, wielka, stara rezydencja, idealna kryjówka dla zbiegów. Jasne, chłopie, jasne. Możemy się stąd zwinąć, kiedy chcemy. Każdy z nas. Prawda, Otis?

- Pewnie. - Otis kiwnął głową, mieszając cukier w kubku. - Zgadza się.

- Ale robimy tutaj dobrą robotę, nie? Naprawdę dobrą robotę.

Po wypiciu kawy ruszyłem za Adą w stronę schodów, mijając Marlona, który właśnie odwoził starego prawnika od stołu. Pchał go obok Shai, Otisa, Maryellen, obok pustych pudełek po winie piętrzących się na blacie - chwiejnego kartonowego wieżowca, który groził runięciem na lepkie płytki na podłodze.

## 4.

**Słuchaj.** Mój kuzyn mówi, że można ci ufać. Mój kuzyn mówi, że temu człowiekowi, co przyjedzie z Północy, mam opowiedzieć, ile się da. - Ada mówiła szybko. Nie patrzyła przy tym na mnie. - Więc zrobię tak: powiem ci to, co ci powiem. Nie będziesz zadawał żadnych pytań.

- W porządku - zgodziłem się. - Kim jest twój kuzyn?

- Nie mówiłam, żebyś nie zadawał pytań?

- Tak.

- No więc? Powiem ci to, co ci powiem, a ty słuchaj.

Ada i ja byliśmy przed domem, kiedy wschodziło słońce. Rezydencja za naszymi plecami lśniła bielą, miała szczyty, wieżyczki i wypolerowane rozsuwane szklane drzwi, przez które wychodziło się na pokryte łupkiem patio, gdzie siedzieliśmy, pijąc kawę. Po nocnej wrzawie i ciasnocie świat w świetle poranka wydawał się duży i cichy, miękki i chłodny. Falista dolina tuż za domem, trawa prawdziwie zielona, zroszona, bezkresna.

- Dobra. Chcesz wiedzieć o tym kontrakcie domkniętym tydzień temu. W niedzielę będzie tydzień. Zastanawiasz się, co poszło źle.

- Jak to kontrakcie?

Ada się skrzywiła.

- Jaja sobie robisz? Dalej jesteś przyćpany? Mówiłam: skończ z pytaniami. - Syknęła, pokręciła głową. Ale nie umiała się powstrzymać. - Pewnie, że to jest kontrakt. Myślisz, że w co my się tutaj bawimy? Czynimy dzieło Boże, ale nie jesteśmy głupi. Kasa z góry albo nikt nigdzie nie jedzie. - Wypiła łyk kawy, przesunęła językiem po zębach. - Ale z tym teraz, z nim... Rzecz w tym, że z nim nic nie poszło źle. Z nim wszystko poszło, jak trzeba. Dokładnie według planu.

- Ale coś jednak poszło źle - stwierdziłem.

- Słuchaj: zamknij się. Dobra? Słuchaj.

Byłem zachwycony twarzą Ady. Była szeroka, z mocnym afrykańskim nosem i wydatnym czołem. Ada znowu ukryła krótkie dredy pod pomarańczową chustą. Zastanawiałem się, czy to na użytek sąsiadów. Posiadłość osłaniał wysoki, gęsty żywopłot, ale sąsiadów prawnika zapewne skonsternowałby widok dwojga czarnych na jego patio, którzy rozsiedli się na gustownych meblach ogrodowych i rozmawiają o trasie podróży zbiega.

- Ten chłopak. Ten, którego szukasz. Zrobił, co mu powiedzieliśmy. Wysłaliśmy do niego wiadomość cztery miesiące temu. Powiedzieliśmy, która to będzie noc i jak to przebiegnie. Że ma się rozchorować. I tak zrobił.

Miałem więcej pytań, ale chwilowo zachowałem je dla siebie. Ada się rozkręciła, mówiła teraz szybko. Od przyjaciół z Północy przyszła wieść o chłopaku, który potrzebuje się wydostać razem z paczką, na której zdobył pracę. Załatwiono płatność.

- I mieliśmy izbę, wiesz.

- Izbę?

Ostre spojrzenie - *żadnych pytań, głupku* - a potem mi odpowiedziała.

- Izbę chorych. W niedzielę do punktu opieki w części zachodniej są przydzielane dwie dziewczyny, a tamtej nocy obie były od nas.

Monica Smith, lat dwadzieścia cztery, i Angelina Croth, lat dwadzieścia siedem. Dwie dziewczyny z klasy robotniczej w wykrochmalonych białych uniformach pielęgniarek, bojowniczkami za Sprawę - gotowe podjąć pracę na plantacji, przejść wszystkie konieczne testy, uzyskać niezbędne zezwolenia z Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego, żeby opiekować się populacją OP. Pracować tam, jak długo będzie trzeba, żeby zyskać zaufanie, zmiękczyć osobę z działu kadr odpowiedzialną za grafik, załatwić sobie dyżur w ustaloną noc.

- Kiedy chłopak trafił do punktu opieki, rzygał dalej, niż widział, dokładnie jak mu mówiliśmy, i nasi ludzie już go mieli.

Tym razem swoje pytanie zmieniłem w stwierdzenie.

- Na plantacji musi być trudno sprawić, żeby wysłali cię do szpitala.

Ada kiwnęła głową.

- Zachorować łatwo. Sztuka polega na tym, żeby zachorować dostatecznie ciężko. Tam jest sporo obrażeń. Pracujesz z igłami, nożami taśmowymi. Możesz się przewrócić, rękaw może ci się wkręcić w wał napędowy. Znałam człowieka, któremu gorące żelazko poparzyło twarz. Zabrali go do punktu opieki i wypuścili po godzinie. Większość obrażeń leczy się w populacyjnym albo wręcz na hali. Obandażują cię, może dadzą zastrzyk ze sterydów, i wracasz do pracy. Żeby trafić do szpitala, najlepsze jest zatrucie. W fabryce odzieży, wiesz, jak pracujesz na hali, to tam jest dużo środków przemysłowych. Szczeliwo. Chemikalia i preparaty czyszczące. Robisz to z głową, nie przedawkujesz, bierzesz tak, żeby było z tobą kiepsko, żebyś prawie wykitował. Wtedy na pewno cię zabiorą.

Te słowa pchnęły mnie z powrotem w dół, do tunelu pod Indianapolis, do tego chłopaka. Ta bladość skóry Kevina. Chemikalia i preparaty czyszczące. Ten chłopak... Ten piękny, zniszczony chłopak...

Teraz nie mogłem o tym myśleć. Teraz była robota.

- No dobra, więc trafił do szpitala, chory jak diabli. Miał paczkę.

Ada się skrzywiła, poruszyła głową tam i z powrotem.

- Nie wiem. Niektóre szczegóły w ogóle do mnie nie dotarły, wiesz? Ale z tego, co rozumiem, paczka poszła prosto do kierowcy. W ogóle nie trafiła na izbę. Ale musiałbyś spytać pielęgniarek, czego nigdy nie będziesz mógł zrobić. Przy okazji, nie pytaj mnie, co takiego było, kurwa, w tej kopercie, bo nie wiem i mnie nie obchodzi.

Czyli Jackdaw w izbie chorych. Zegar tyka, dostarczenie transportu do czternastometrowej naczepy z czterema tysiącami dwustoma surowymi zwojami na eksport zaplanowane jest na 20.49, a cała reszta ładunku znajduje się w skrzyniach i paletach i ma pojechać Czerwoną Autostradą.

Chłopak tam jest i jakimś cudem paczka też. Trafia do kieszeni kierowcy. Może kierowca udaje, że kocha się w którejś z tych uroczych młodych pielęgniarek, w Monice albo Angelinie, i może



wpada z kwiatami, a tamta go przytula, mówi „dziękuję” i wtedy wsuwa mu przesyłkę do kieszeni.

A może jedna z naszych pielęgniarek wyrzuca tę kopertę przez okno, kiedy kierowca akurat przechadza się po terenie, żeby rozprostować nogi, zanim znowu siądzie za kółkiem.

Ada tego nie wie. Ada mówi, że jeśli chcę wiedzieć, jak paczka trafiła od dziewczyn do kierowcy, musiałbym zapytać którąś z nich.

- Czego nigdy nie będziesz mógł zrobić.

- Jasne.

Natomiast Jackdaw, ciało Jackdawa, drogocenny ładunek - on wyjechał w beczce.

Oczywiście ciężarówki są załadowywane w zabezpieczonej strefie, a ochrona plantacji dwukrotnie sprawdza każdą rzecz: otwierają każdą skrzynię, świecą do każdego pudełka na każdej palce. Ale rozumiecie, ci dobrzy też są sprytni, ci dobrzy też bez przerwy pracują. W Great Dismal Swamp jest taki jeden warsztat, centrum badawcze finansowane przez Czarne Pantery, w którym autentyczni inżynierowie wymyślają najróżniejsze popieprzone rzeczy, szukając genialnych pomysłów: jak przemycić ludzi przez te wszystkie kontrole. Okazuje się, że jedynym, czego po zapakowaniu nie otwiera się do ostatecznego sprawdzenia, są odpady medyczne. Więc może by tak zrobić gumowy pęcherz wielkości człowieka, z cieniutką rurką, taką jak dla nurka, żeby ktoś mógł tam przeżyć wśród tych wszystkich odpadów? Może by zabrać gościa do szpitala, zaaranżować wszystko tak, jakby uciekł oknem, a tak naprawdę wyjedzie w beczce?

Ada opowiadała i można było to poczuć. Ja mogłem to poczuć. Jak to jest być zapakowanym w ciasny i lepki gumowy kostium, zgiętym wpool i wsadzonym do beczki, pogrzebanym żywcem. Jak to jest toczyć się w niej bezradnie, odbijać się od ścian, w ciemności i ciepło, i smrodzie. Do tego z trucizną chlupoczącą w trzewiach, z preparatami czyszczącymi i chemikaliami... A przerażenie rośnie, bo kiedy wywożą cię z punktu opieki

w kierunku strefy załadunku, masz pewność: zaraz cię złapią. To nie może się udać i się nie uda.

- I tyle - powiedziała Ada. - To ten trudny kawałek. Potem chłopak jest w ciężarówce, ciężarówka przejeżdża przez bramę, przejeżdża przez granicę Alabamy. Wolność. - Klasnęła w dłonie, jakby otrząsała z nich pył, jakby mówiła: misja wykonana.

- I tak było?

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Mówię, że taki był plan. Ale z tego, co wiem, to owszem, tak było. Wiemy, że ciężarówka wyjechała. Wiemy, że pielęgniarki zrobiły swoje. Tyle wiemy.

- Dobrze - odparłem. - Dobrze.

Ale nie było dobrze. Nic z tych rzeczy. Nie dowiedziałem się niczego, co chciałem usłyszeć. Kevin wyjechał w beczce, a koperta - w kieszeni kierowcy. Co dalej?

- Gdzie chłopak wysiadł z ciężarówki?

- To już nie moja działka, tylko kierowcy.

- Gdzie kierowca dał mu paczkę? Jak chłopak dotarł dalej na północ, kiedy nie jechał już ciężarówką?

- Nie słuchasz, człowieku. Przecież mówię, że nie wiem.

Mój kubek kawy był pusty. Wstałem. Spojrzałem na trawnik, na słońce. To było za mało. Stanowczo za mało. Spojrzałem z góry na Adę, która wciąż siedziała na krześle.

- Chcę rozmawiać z pielęgniarkami.

- No, to będzie trudne, bo nie istnieją. - Uśmiechnęła się. - Nigdy nie istniały.

Byłem wzburzony. Byłem nieszczęśliwy. Dotrzyj do prawnika, powiedział Barton, a on wskaże ci właściwy kierunek. No więc dotarłem i co zdobyłem? Słońce powoli rozlewało się po trawie, rozjaśniając jej zieleń centymetr po centymetrze. Zbliżało się z każdą chwilą.

- W porządku, no to z kierowcą. Jak mogę się skontaktować z kierowcą?

- Nie wiem.

- Ada. Proszę.

- Mówię ci wprost, człowieku, nie wiem. Pielęgniarki były od jednego gościa, którego zna Marlon, faceta z Atlanty. A do kierowcy dotarły, kiedy już tam pracowały.

- Jak?

- Dwie ładne pielęgniarki? A jak myślisz? Słuchaj, dobra? Nie mam żadnych kontaktów do kierowcy. Nie mam nazwiska ani numeru. Musiałbyś iść do GGSI i zapytać.

- Jak mam to zrobić?

Parsknęła śmiechem. Potem spojrzała mi w twarz i zaraz spoważniała.

- Synu, my stamtąd ludzi wyciągamy, a nie odwrotnie.

Wstała. To był koniec rozmowy. Ziewnęła, a potem wylała osad z kawy na ziemię wokół kwitnących drzew mecenasa Russella.

- A dziewczyna? - zapytałem cicho.

Ada zaczęła z odpowiedzią. Czekala tak długo, że kiedy odparła: „Jaka dziewczyna?”, wiedziałem, że udaje.

- Luna.

Tym razem odpowiedź padła zbyt szybko.

- Nie znam tego imienia.

- Znasz. To ona zdobyła paczkę.

Nie wiedziałem, jak to zrobiła, Ada tym bardziej, ale to Luna odwalila czarną robotę. „Właśnie ona zdobyła te wasze drogocenne dowody”. Jackdaw, zapłakany, stojący w rzece. „To ona w chuj ryzykowała”.

Ada jednak kręciła głową, zaciskając szczękę.

- Nie wiem, o kim mówisz.

- Jasne, że wiesz. - Zamknąłem oczy, w moich myślach był Jackdaw, Kevin, z którego wypływało życie. - I jak sądzę, wiesz, że myślała, że zdobędzie wolność.

- No cóż - rzuciła Ada i to właściwie był cud, bo chociaż przed chwilą powiedziała, że nie wie, o kogo mi chodzi, że nigdy wcześniej nie słyszała tego imienia, teraz dodała: - Cóż, to nie był jej czas.

- Najwyraźniej.

- Cokolwiek jej obiecywali, to nie były moje obietnice, rozumiesz? - Twarz Ady przybrała wyzywający wyraz. To była twarz kobiety, którą widziałem na rynku, tej, która patrzyła z marsową miną, kiedy inni mnie bili i ładowali do samochodu. - To nie były moje obietnice.

Ruszyła do drzwi, a ja poszedłem za nią. Teraz potrafiłem myśleć tylko o Lunie - dałbym głowę, że Kevin powiedział jej to samo, co powiedziano jemu. Dałbym głowę, że ona też łyknęła jakąś truciznę, jakieś chemikalia czy preparat czyszczący, zachorowała i trafiła do punktu opieki, a po przebudzeniu odkryła, że Jackdaw zniknął, a ona wciąż tam jest. Porzucona. Jedyna rzecz gorsza niż całe życie w niewoli: drwiąca iskra nadziei, zgaszona w jednej chwili. I oczywiście wiedziałem, co spotkało ją potem. Kiedy odkryto, że paczka zniknęła, a Luna miała w tym swój udział, była torturowana, tak powiedział Bridge. Torturowana i zabita - to informacja od Cooka.

Właśnie to wykończyło Kevina. To przeważało, kiedy Cook ogłosił smutną wiadomość. „Ona nie żyje. Dobrze? Ta twoja dziewczyna nie żyje”.

Unieszkodliwiona, potem torturowana, potem zabita.

Ale to było pokłosie. Trup na poboju. Sama robota przebiegła bez zarzutu: Kevin trafił do punktu opieki, pielęgniarki załadowały go do beczki z krwią i wsadziły do ciężarówki, a potem same zniknęły. Paczka trafiła do kierowcy. Wszystko zgodnie z planem. Więc gdzie ona, do cholery, była?

- Ej... Ej!

Z domu szybkim krokiem wyszedł Marlon i wpadł na wchodzącą Adę. Krzyczał jednak do mnie. Chwycił mnie za ramiona, nagle i gwałtownie.

- Ej! Znasz, kurwa, jakąś białą pannę?

# 5.

**Marlon** mył trzy stare cadillaki prawnika, które wyprowadzał na podjazd jeden po drugim, zerkając przy okazji, czy nikt się nie czai, czy nie zagląda, czy na ulicy nie dzieje się nic dziwnego. No i znalazł: różowego południowoafrykańskiego hatchbacka, potwornie rzucającego się w oczy na spokojnej, majątnej, podmiejskiej uliczce. Na przednim siedzeniu drzemała jakaś biała dziewczyna.

W piwnicy uparł się, żeby trzymać Marthę na muszce.

Powiedziałem, że to nie jest konieczne, a Ada mnie poparła, ale Marlon odparł:

- Nie wiemy, co to, kurwa, za laska.
- Nie wiemy nawet, kim jest on - dodała bardzo cicho Shai, mając na myśli mnie.

Na szczęście nikt jej nie usłyszał.

Siedzieliśmy wśród krępującej atmosfery w piwnicznej kuchni, która rano była zupełnie innym miejscem: w zlewie piętrzył się chwiejny stos wczorajszych naczyń, cienkie pasma słońca znajdowały lepkie plamy na betonowej podłodze.

Byliśmy tam ja, potem Martha, której z nerwów podskakiwały kolana, a twarz miała bladą z niepokoju lub strachu. Potem Shai, a obok niej Marlon, siedzący naprzeciw Marthy i celujący w nią z czterdziestki piątki, podczas gdy dziewczyna opowiadała swoją historię. Ada stała przy zlewie, ze skrzyżowanymi ramionami, słuchała.

- Zobaczyłam, jak cię... Zobaczyłam, jak ci ludzie... - Martha ugryzła się w język. „Ci ludzie”. Skrzywiła się. - Zobaczyłam, jak cię biją. Przestraszyłam się. - Bez kocich okularów, bez badziewia z drogerii we włosach wyglądała doroślej, niż do tego przywykłem. - Śledziłam samochód. Próbowałam być ostrożna.

- No to raczej, kurwa, głupio zrobiłaś - stwierdził Marlon.

- No to raczej musimy lepiej pilnować, czy nie mamy ogona.

Te słowa wypowiedziała stojąca przy zlewie Ada, a przygana bynajmniej nie poprawiła Marlonowi nastroju. Syknął i odchylił się w tył z kwaśnym uśmiechem. Shai bardzo łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu i zobaczyłem, że to pomaga, że napięcie opuszcza jego ciało. Tak działa miłość.

- No dobrze - powiedziała zniecierpliwiona Ada. - Słuchaj. - Wskazywała na przemian mnie i Marthę. - Znasz tę kobietę?

- Tak.

- Ufasz jej?

Zawahałem się przez ułamek sekundy i to wahanie nabrzmiało straszliwą świadomością tego, kim jestem i co teraz robię. To nie Marcie nie ufałem, ale sobie.

- Tak. - Kiwnąłem głową. - Ufam.

- W porządku. - Ada wzruszyła ramionami. - Dalej chcesz tam iść, żeby szukać kierowcy?

Ada tworzyła plany, knuła intrygi. Była jak ksiądz Barton, jak posterunkowy Cook, jak ja. Przysunęła sobie krzesło do stołu i opowiedziała, co jej chodzi po głowie. Martha mogła się teraz przydać z tego samego powodu, dla którego się przydała, kiedy musiałem przekroczyć granicę - ze względu na swój kolor skóry. Kiedy Ada mówiła, szczegółowo opisywała, jak to się może udać, ja kątem oka obserwowałem Marthę i widziałem, jak bacznie słucha. Jej spojrzenie, tak często rozbiegane na wszystkie strony, w tej chwili było uważne i skupione. Przygotowywała się.

Plan był szalony. Ryzykowny jak diabli, to na pewno. Ada i jej grupa bardzo niewiele mogli mi powiedzieć o GGSI, o rozkładzie i zabezpieczeniach siedziby głównej. W większości dysponowali wiedzą z drugiej lub trzeciej ręki, często nieaktualną. Plotki, szeptaki, pogłoski o tym, jak jest w środku. Jeśli chodzi o moje konkretne pytania, potrafili odpowiedzieć tylko na kilka z nich: tak, zostaniemy sprawdzeni na wejściu i skontrolowani na wyjściu. Owszem, na całym terenie znajdowały się kamery, ale nie w miejscach dostępnych wyłącznie dla białego personelu - prawo

stanowe Alabamy zabrania monitoringu pracowników bez powodu.

Przyszło mi do głowy, że warto by zapytać Adę, czy coś wie o jedynym budynku, którego przeznaczenia nie umiałem rozszyfrować na podstawie zdjęcia satelitarnego w pełnych aktach - o tym nieopisanym obiekcie wciśniętym za Instytut Innowacji Rolniczych - ale oczywiście nie mogłem tego zrobić, bo wtedy musiałbym wyjaśnić, gdzie i jak widziałem takie zdjęcie.

Doszliśmy do końca rozmowy. Plan został ustalony - na tyle, na ile to możliwe - a Martha wciąż milczała. Jej dłonie również były nieruchome; nie bawiła się pierścionkami, nie przygryzała kosmyka włosów. Odnosiłem dziwaczne wrażenie, że oglądam jej prawdziwe ja, które wyłania się z zastygłego kształtu aktualnego ciała, jakby ta osoba znajdowała się wewnątrz drugiej osoby przez cały ten czas.

Popatrzyłem na nią, kiedy już wszystko zostało powiedziane.

- Nie musisz tego robić - odezwałem się. - Masz już swoje pieniądze.

Powoli obróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

- Ale co ze Steubenville? - zapytała, a ja zamrugalem.

- Słucham?

- Twoim zdaniem to się nie uda. Ten cały zwariowany numer z człowiekiem ze Steubenville. Tym, który mówił, że może dla mnie wejść do tamtej bazy danych.

- Do TorchLighta. Nie. Wątpię.

- Więc?

- Więc?

Doskonale znałem tę jej minę. Widziałem, co widzi Martha: okazję.

- Ale jeśli ten plan... jeśli jej... Przepraszam, jak...

- Ada.

Martha uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję. Jeśli pomysł Ady wypali i uda nam się dostać do środka, to czy nie sądzisz, że wtedy będziemy mogli wejść do

bazy bezpośrednio? Kiedy będziemy wewnątrz? Kiedy będziemy tam? Prawda?

- Prawda.

- Więc właśnie. Więc nie mogę przegapić tej szansy.

- Ale... - zacząłem, lecz zobaczyłem coś w jej twarzy, w jej oczach. Urwałem.

- Zadzwoń do siostry. Zajmie się Lionelem jeszcze jeden dzień.

- Wiem. Martho...

Urwałem.

- To niebezpieczne - wymówiła te słowa bardzo powoli. - To bardzo ryzykowne. Rozumiem. Ale... Ale jeśli istnieje sposób, żeby sprawdzić, co się stało z tym człowiekiem. - Powiedziała to jakby w formie pytania, lecz w jej głosie nie było nic pytającego. - To właśnie to zrobię. Muszę.

- Ale zrozum...

- Wiem.

- Nie mogę ci niczego obiecać.

Protestowałem bez przekonania. Była stanowcza, ale mógłbym jej to wyperswadować. Mógłbym jej powiedzieć, że istnieje inny sposób. Mógłbym całkiem się otworzyć, zerwać pustą maskę i pokazać jej swoją twarz. Mógłbym powiedzieć, żeby o wszystkim zapomniała.

Ale to była moja szansa i zdawałem sobie z tego sprawę. Powiedziałem Marcie, że jeśli ona tego chce, to ja jej tego nie pozbawię. Powiedziałem, że jeśli pomoże mi się dostać do środka, to ja spróbuję zdobyć dla niej to, czego szuka. Powiedziałem to, bo jej potrzebowałem. Musiałem ją mieć. Moja empatia jak zwykle była zmieszana z podstępem.

Przez resztę dnia byliśmy dopieszczani w domu prawnika przez ludzi prawnika, konstruowaliśmy, szlifowaliśmy, doskonaliliśmy naszą historię. Shai chodziła to na górę, to na dół, wyjmowała ubrania z szafy prawnika i jego zmarłej żony. Ja w końcu dostałem brzoskwiniowy sweter oraz spodnie Marlona, czarne spodnie bez kieszeni.



- To jest to - powiedział Marlon. - Tak będzie dobrze. Uwierz mi, człowieku, oni tam nie lubią, jak czarnuch może gdzieś coś sobie schować.

Nie widzieliśmy już więcej starego, ale słyszałem go - słyszałem trzy czy cztery razy - jęczącego przez sen w sąsiedniej sypialni.

## 6.

**Czwartkowy** ranek. Żywy i jasny. Ja i Martha, wystrojeni i gotowi. Zamknęliśmy drzwi jej sedana na rozległym parkingu Garments of the Greater South.

Martha, wykąpana i lśniąca, profesjonalistka ubrana w nie-naganną czerwoną garsonkę z zieloną broszką na piersi - ponadczasowe rekwizyty z kolekcji dawno zmarłej żony prawnika. Martha w starym dobrym przebraniu wymuskanej białej pani, a ja w brzoskwińowym swetrze i spodniach bez kieszeni, już ze służalczym uśmiechem na ustach, już chodzący wstydliwym krokiem. Wyjąłem z bagażnika czarną walizkę na kółkach, pełną narzędzi pracy.

Postawiłem ją na asfalcie, a Martha czekała. Wyciągnąłem rączkę walizki. Martha ruszyła przodem, a ja za nią. Ja odpowiadałem za bagaż. To było Południe. Obejrzała się, ja podniosłem wzrok i spojrzeliśmy sobie w oczy, tylko przez sekundę, ostatnie ludzkie spojrzenie, z którym tam wchodziliśmy.

Plantację nietrudno było znaleźć. Przy drodze stanowej numer 4 zobaczyliśmy dużą zieloną tablicą zapowiadającą specjalny zjazd, jak do uniwersytetu, bazy wojskowej albo parku rozrywki. Na tablicy znalazło się nawet motto firmy - UPRAWIANE W AMERYCE, SZYTE NA POŁUDNIU! - oraz logo, które wcześniej widziałem na obojczyku Jackdawa: dumne duże G, w którym bezpiecznie kryły się pozostałe litery. To logo czekało na mnie gdzieś na bezkresnym Południu, ozdabiało ową kopertę, igłę w stogu siana, którą zamierzałem znaleźć.

Identyczny symbol znajdował się na każdym z trzech budynków łącznie tworzących siedzibę główną GGSI, szklanych wieżowców górujących wyniośle nad parkingiem, połyskujących w słońcu. Logo widniało też na jednej z flag łopoczących na betonowym placu przed budynkami. Flagi były trzy - firmy, stanu Alabama

oraz Stanów Zjednoczonych. Flagi, tłoczony beton i elegancka fontanna. Była też wielka, abstrakcyjna rzeźba z brązu, opływowa i strzelista, a gdy podeszło się bliżej, okazywała się wcale nieabstrakcyjna: to torebka nasienna, prosta torebka nasienna uczyniona heroiczną, torebka nasienna bawełny jak łuk triumfalny.

Widywałem korporacyjne place. W Waszyngtonie, na Manhattanie, w Bostonie. Ten niczym się nie różnił. Był dokładnie taki sam.

Mocno ścisnąłem uchwyt walizki na kółkach. Dogoniłem Marthę, ale nawet nie spojrzała na mnie zza okularów przeciwsłonecznych. Jej ludzkie oczy były teraz ukryte. Zatrzymała się przed drzwiami środkowego budynku, a ja rzuciłem się, żeby je otworzyć. Przeszła obok mnie, nie mówiąc „dziękuję”. Zanurzyła się w swojej roli, gotowa do działania.

Po wczesnojesiennym cieple parkingu w sklepionym holu panował chłód. Na ścianie w głębi widniał napis GARMENTS OF THE GREATER SOUTH INCORPORATED, prawie dwumetrowe litery, bawełnianobiałe na ścianie błękitnej jak błękitne niebo, a obok gigantyczny kolaż zdjęć wesółych azjatyckich dzieci kopiących piłkę, robiących fikołki, dźwigających solidne tornistry, odzianych w jaskrawe bawełniane ubrania.

- Tak? - Recepcjonistka czekała za biurkiem wielkim jak statek kosmiczny, między dwoma rzędami wind. Czerwona szminka, blond włosy, niebieskie oczy, gustowny złoty naszyjnik. - W czym mogę pomóc?

Skłoniłem głowę, a Martha się uśmiechnęła.

- Jak się pani dziś miewa? Nazywam się Jane Reynolds z Peach Tree Management Systems. Przyszłam do pana Matthew Newella.

- Ahaaa - odparła kobieta za półkolistym biurkiem, zawieszając się na tym „aaa”, wyciągając to słowo w pytanie, gdy tymczasem pisała coś na komputerze i uruchamiała kalendarz. - Czy jest pani umówiona?

- No, tak i nie - odparła Martha. Choć wciąż miałem pochyloną głowę i spuszczone wzrok, usłyszałem w jej głosie, że mówiąc to, mrugnęła okiem. - Spotkaliśmy się na KON-ie w czerwcu. I Matty... Przepraszam, Matthew, pan Newell... był taki miły, że powiedział, że mogę wpaść, jeśli kiedyś będę w okolicy.

- Ach - powiedziała blondynka. - Rozumiem.

KON to Konferencja Organizacji Niewolniczych. Można było spokojnie założyć, że plantacja wielkości GGSI wysyła tam sporą delegację. Pozostawało natomiast niewiadomą, czy Matthew R. Newell, zastępca wiceprezesa do spraw transportu, w tej delegacji uczestniczył. Ryzykowaliśmy, ja i Martha. Ryzykowaliśmy razem.

- Czy mogłaby pani zadzwonić i sprawdzić, czy jest u siebie? Oczywiście powinnam była przekręcić do niego wcześniej, ale akurat byłam umówiona w Blessing i pomyślałam...

Blondynka już przystąpiła do działania, rzuciła Marcie pusty uśmiech i uniosła palec w geście typu „chwileczkę”. Przytrzymała słuchawkę ramieniem i wcisnęła guzik na konsoli. Na drugim końcu holu otworzyła się winda, ale nikt z niej nie wysiadł. Po drodze wszystko z Marthą omówiliśmy, każdy szczegół, różne możliwości i ewentualności, ale teraz to ona rządziła - musiało tak być. Ja miałem za zadanie chodzić ze wzrokiem wbitym w ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ja miałem za zadanie uśmiechać się i nie przestawać.

W holu nie było ochrony. Nie było mocno zbudowanych mężczyzn z przenikliwym wzrokiem i zgrubieniem przy biodrze. Zapewne recepcjonistka miała przycisk alarmowy pod biurkiem albo pedał u stóp. Może także broń. Były również kamery, niezakamuflowane: jedna nad biurkiem recepcji, skierowana pod kątem w dół, oraz po jednej nad każdym rzędem wind. Kamery w przestrzeniach publicznych, mówiła Ada, ale nie w strefach prywatnych. Nie w biurach kierownictwa. Tak było wedle jej wiedzy, zgodnie z najnowszymi informacjami. Liczyliśmy na to, ale nie mieliśmy pewności.

Recepcjonistka zasłoniła dłonią mikrofon słuchawki.

- Przepraszam, mówiła pani, że skąd jest?  
- Z Peach Tree, proszę pani - odpowiedziałem. - Peach Tree Management Systems.

- Jesteśmy firmą consultingową - wyjaśniła Martha, rzucając mi poirytowane spojrzenie, słudze, który odezwał się niepytany. - Wydajność w miejscu pracy. Ale jak mówiłam, to głównie wizyta osobista. Po prostu chciałam się przywitać.

Złożyłem dłonie, a tymczasem blondynka jeszcze kilka razy powtórzyła „hmm”, a potem znów zaczęła coś mamrotać do telefonu.

Stałem, czekałem, uśmiechałem się i patrzyłem w podłogę, walcząc z prostą, mdlącą, przyprawiającą o zawroty głowy świadomością tego, gdzie dokładnie jestem. Kołysałem się na krawędzi. Przez te drzwi. W górę tymi windami. Za te trzy wieże...

Oddychałem bardzo powoli. Martha wpatrywała się w przepastny hol i nie umiałem zgadnąć, o czym myśli. Byliśmy pogrążeni w swoich rolach. Sprowadziłem nas tutaj i czułem straszliwy ciężar tego faktu na swojej skórze, a gdy recepcjonistka znowu podniosła wzrok i się uśmiechnęła, uśmiech jej krwistoczerwonych ust był szerokim, palącym uśmiechem diabła.

- Ma pani szczęście - zwróciła się do Marthy. - Jest u siebie i zaraz zejdzie.

- Och, cudownie. Wprost idealnie.

- Tak. - Kobieta pociągnęła nosem. - Pani Murzyn będzie musiał przejść kontrolę.

Znowu, jak na granicy. Głowa i pachy, zęby i język; spodnie w dół, koszula w górę. Mieli do tego pokój, przylegający do holu, oraz specjalnego człowieka, wolnego czarnego, który milczał i patrzył spode łba, niezdarnie przesuwając palcami po moim ciele. To musiało być w szkółce u Bella, pierwszy raz, pierwsze z takich przeszukań, jakiego doświadczyłem w życiu. Lekcja numer jeden: twoje ciało nie jest twoje.

To miejsce, ta plantacja, to była zupełnie inna półka niż farma Bella. Sam rozmiar oraz zakres pracy – odmienny wszechświat niewolnictwa w porównaniu z marnymi piętnastoma hektarami, na których się wychowałem, z zieloną trawą, wybiegami dla świń, zagrodami dla bydła, silosami. Świat, do którego miałem zaraz wejść, był przedsiębiorstwem działającym całą dobę, ultranowoczesnym i ultrawydajnym, ze skomputeryzowanym systemem śledzenia inwentarza i kompleksowymi protokołami kontroli pracowników. W lewym górnym rogu pokoju znajdowała się kamera, chłodnym wzrokiem oglądająca mężczyznę i mnie. Jednocześnie byłem tutaj i byłem tam, czułem na piersi dłoń tego zmęczonego strażnika i szorstkie dłonie strażników Bella wieki temu.

To jest dużo gorsze, pomyślałem, a zaraz potem: Nie, nie, nic nie może być gorsze. Ale to było przecież bezcelowe, sama idea porównywania. Przykładania jednego koszmaru do drugiego.

- Dobrze. - Znudzony ochroniarz przerwał milczenie, wyprostował się, ściągnął rękawiczki i cisnął je do kosza. - Teraz torba.

Szybko otworzył walizkę na kółkach, którą ciągnąłem za sobą, i przetrząsnął jej zawartość: ubranie Marthy na zmianę, buty na zmianę, wyłączony laptop, który otworzył i zamknął bez zainteresowania.

- W porządku - powiedział. - Jesteś czysty.

Ale zanim zdążyłem opuścić rękę, owinął mi coś wokół nadgarstka, cienki pasek papieru, jasnozielony, który sam się zakleił, cholernie mocno, szarpiąc mi włoski na ramieniu.

- To opaska identyfikacyjna - wyjaśnił. - Identyfikuje cię jako Osobę Przeznaczoną do Pracy i członka naszego personelu.

- Zaraz! - rzuciłem. - Zaraz, zaraz!

- Nie martw się. Opuszczając kompleks, znowu tędy przejdiesz. Ale na terenie każda osoba o ciemnej skórze musi nosić opaskę. - Pokazał mi swoją, w chłodnym czerwonym odcieniu.

- Ale nie macie osobnego koloru dla takich jak ja? Murzynów takich jak ja, którzy... którzy są tylko gośćmi?

- Nie, człowieku, nie mamy. - Jego głos był suchy, pozbawiony humoru. - Rzadko się tacy trafiają.

Martha czekała na mnie w holu, śmiała się, opierając dłoń na ramieniu niskiego, grubego białego mężczyzny w sportowej marynarce, który także się śmiał. Był to Newell - natychmiast rozpoznawalny ze zdjęcia na firmowej stronie internetowej, na której znaleźliśmy go wczoraj po południu na starym laptopie ludzi prawnika, gdy szykowaliśmy plan.

Uwagę zwróciła na niego Martha - na fotografię uśmiechniętego, kluchowatego frajera, na jego żaloszny tytuł i nędzną historię w firmie. „To ten. Tego faceta chcemy”.

I oto był, ten facet, którego chcieliśmy, tęgawy, z rzadkimi włosami i różowymi policzkami, ubrany w spodnie z materiału i wypolerowane buty. Martha trzymała rękę na jego przedramieniu i oboje zaśmiewali się jak starzy znajomi.

- Oczywiście, że tak - powiedział Matty Newell z nadzieją. - Babki takiej jak ty się nie zapomina.

- Chciałabym tak myśleć - odparła Martha, a w jej śmiechu dzwonił fałsz. - Bardzo bym chciała.

- No i zastałaś mnie akurat w dobrym nastroju, muszę przyznać. To był dla nas dobry tydzień, diablo dobry tydzień.

Moje myśli pobiegły do Donatelli Batlisch, do nagrania z motelowego telewizora: kobiety, która nagle leci do przodu po strzale z pistoletu, bezwładnie pada na ziemię. Dobra wiadomość dla południowych interesów, szczęśliwe dni dla GGSI. Ale nie, nie. Newellowi chodziło po prostu o późne przymrozki.

- Zaraz Halloween, a u nas całe akry jeszcze kwitną. Nie co roku ogląda się takie rzeczy, o nie.

I przez sekundę, gdy zbliżałem się do nich przez hol, mój fałszywy uśmiech był prawdziwy, był uśmiechem uznania dla Marthy. Patrzyłem, jak z podziwem kiwa głową. Patrzyłem, jak dotyka łokcia Newella. Jezu. Była jak ryba w wodzie.

- Och, panie Newell...

- Proszę, proszę, Jane. Mów mi Matty.

- W porządku... Matty. -Wymówiła to imię, jakby mówiła: „Herkulesie”. Rozpromienił się. - Matty, to jest mój współpracownik.

Newell spojrzał na mnie. W jego małych oczkach pojawiło się zakłopotanie. Na szyi, na smyczy, nosił identyfikator w plastikowym etui. Twarz miał miękką, czoło wysokie, zupełnie jak na fotografii. Jednak od czasu pozowania do firmowego zdjęcia zapuścił taki mały kucyk w stylu Tommy’ego Jeffersona, który niespecjalnie mu pasował.

- Twój... yyy... współpracownik?

- Współpracownik, asystent. - Martha puściła do niego oko i bezgłośnie powiedziała: „sługa”. - Zwał, jak zwał. Robi, co mu się każe.

Matty zmierzył mnie wzrokiem i uśmiechnął się blado.

- To po prostu dosyć... - Wzruszył ramionami. - Cóż, szczególna robota dla czarnucha.

Tak, tak. Uśmiech, uśmiech.

- Och, wiem, proszę pana, wiem. - Zerknąłem na Marthę, na panią Jane Reynolds, upewniając się, że wolno mi mówić. - Chyba jestem szczególnym czarnuchem.

Matty’emu Newellowi na moment opadła szczęka, a potem parsknął nerwowym, gardłowym chichotem, kręcąc głową na ten nasz dziwny świat. Na dworze flagi mocno furkotały na silnym wietrze. Na kolażu azjatyckie dzieci trwały zamrożone w wesołych fikołkach.

- No, chodźcie na górne piętro - powiedział Newell. - Dobrze się rozejrzyjcie. A potem pogadamy o tym, co chcecie sprzedać.

W całym budynku obowiązywała ta sama przyjemna gama kolorystyczna, łagodna biel i delikatny błękit, a na każdej ścianie wisiały kolejne błyszczące fotografie w dużych formatach. W drodze do windy wisiało zdjęcie gospodyni domowej gdzieś z Azji Południowo-Wschodniej, która sięga do szafy po stos ręczników - solidnych, bawełnianych, które z drugiej strony



ściany podawał jej czarny niewolnik, uśmiechnięty, unizony i niewidoczny.

Nie zbladłem. Nie zwolniłem. Przeszedłem obok fotografii, tuż za Marthą, zwracając uwagę na różne rzeczy.

Zwróciłem uwagę na układ oświetlenia w długim korytarzu: dwie lampy, potem trzy, dwie, a potem trzy. Zwróciłem uwagę na spodnie niewolników na fotografiach, czarne jak spodnie Marvina, jak te, które miałem na sobie wraz z nieagresywnym brzoskwiniowym swetrem. Zwróciłem uwagę na miękkość białej wykładziny dywanowej. Zwracałem uwagę na wszystko.

Winda bezdźwięcznie powiozła nas na górę, dostatecznie szybko, żeby strzeliło mi w uszach. Stałem, na zmianę zaciskając i rozluźniając szczękę, w milczeniu, jakbym chciał wymazać sam siebie spod tylnej ściany kabiny. Patrzyłem wszędzie, tylko nie w górę, nie w kamerę zamontowaną w górnym rogu. Przyglądałem się panelowi przycisków na drzwiach windy. MURDOCK ELEVATORS, głosiła tabliczka z nazwą producenta. Z Murdock w Luizjanie. Martha śmiała się i flirtowała z panem Newellem.

- Och, nie - mówiła właśnie. - Nic z tych rzeczy. Przyjechaliśmy z biura w Birmigham, ale firma ma centralę w Georgii.

- W Georgii, hę? I co słyhać w Stanie Kapitulantów?

- Oj, przestań. - Martha szturchnęła Newella w ramię.

Zaśmiał się, zerknął na nią nerwowo, z nadzieją, że jej nie uraził, po czym prędko zapewnił:

- Oczywiście tylko tak się drocę. Było, minęło i tak dalej. Każdemu stanowi wolno wybrać własną drogę. Przecież jesteśmy w Ameryce.

Kiedy on mamrotał te drewniane banały, mnie przed oczami znów błysnęła Batlish, lecąca naprzód, z wyciągniętymi rękami, błysnął spanikowany tłum. Zastanawiałem się, o czym myśli Martha. Winda brzęknęła i wyszliśmy wprost na słońce - całe górne piętro zajmowało jedno pomieszczenie z oknami zamiast ścian. Promienie słoneczne zalewały blaskiem ten jasny, otwarty penthouse z marmurowymi podłogami.

- To moje biuro - powiedział pan Newell, a potem natychmiast parsknął i machnął rękami. - Żartuję, oczywiście. To taras obserwacyjny, nazywamy go amboną. Uwielbiam zabierać tu ludzi. Stąd można naprawdę poczuć to miejsce.

Podszedł do szyby i dał znak, żebyśmy dołączyli - cóż, żeby dołączyła Martha. O mojej obecności właściwie zapomniał. Byłem walizką na kółkach. Robiłem, co mi kazano. Nie warto o mnie myśleć.

Stanął obok Marthy.

- To jest coś, no nie?

- Rzeczywiście.

Spowity peleryną niewidką, ja także patrzyłem. Większość budynków była podobna do tego, w którym się znajdowaliśmy. Świeciły i mrugały do siebie przez szerokie zielone trawniki. Stały w skupiskach, podzielone na sektory, oddzielone krętymi ścieżkami, czarnymi drogami serwisowymi i wysokimi ogrodzeniami z siatki. Byłem w obu miejscach jednocześnie. Byłem znowu w hotelu Capital City Crossroads, patrzyłem na zdjęcie satelitarne z pełnych akt, i autentycznie byłem tutaj, na tej plantacji, w obecności realnego. Im byłem bliżej, tym wszystko stawało się coraz prawdziwsze, jak własne ciało.

Zająłem się korelowaniem, dopasowywaniem budynków, na które patrzyłem, do rozmazanych obrazów z akt: biura, obiekty gospodarcze, centrum załadunku i odbioru, warsztat maszynowy. Pięć ceglanych wież ośrodka populacyjnego, skupionych wokół wysokiej wieży ze szklaną kopułą.

Mój umysł spostrzegł coś, czego brakowało, zanim zorientowałem się, co to takiego. Gdzie ludzie? U Bella podwórka były nas pełne, krzątających się i pokrzykujących, czasem śpiewających, wrzeszczących na siebie nawzajem albo owrzaskiwanych przez strażników i pracujących białych. Tu w dole, na zielonym trawniku GGSI, nie widziałem żywej duszy. Wszyscy są wewnątrz, pomyślałem. Trwa zmiana. Harują niewolniczo. A jednak...

- No dobrze, więc tam są fabryki odzieży - powiedział Matty Newell, wskazując przemysłowe budynki wielkie jak stadiony futbolowe, oblepione rusztowaniami z rur i bębnow, buchające strumieniami ciemnego dymu. - To w zasadzie serce tego wszystkiego.

Newell spoglądał na idealnie zadbane trawniki i eleganckie obiekty z wyraźną satysfakcją, pokazywał nam je z wysokości niemalże z dumą właściciela, jakby GGSI należało do niego, a nie na odwrót.

- Wewnątrz odbywa się odziarnianie - dodał. - Czyszczenie, suszenie i tak dalej. Mamy tu największe odziarniarki bawełny wysokiej wydajności w całym stanie.

- Niech mnie! - odparła Martha. - Nie żartuj.

Tymczasem mój wzrok to odnalazł, ten abstrakcyjny prostokąt w cieniu Instytutu Innowacji Rolniczych, mały, ciemny budynek, który na zdjęciu lotniczym nie miał numeru ani nazwy.

Oczywiście nie mogłem zapytać Newella, co to jest. Nie mogłem poprosić Marthy, żeby ona go zapytała. Byłem czarny. Byłem nieobecny.

- Tak na marginesie, to przedsiębiorstwo działa na okrągło - mówił Newell, a Martha wciąż kiwała głową, patrząc na niego oczami szeroko otwartymi z zachwytem. - Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Pracujemy tu w systemie zmianowym: rano, po południu, wieczorem i w nocy. Ani chwili nudy. Codziennie jest dzień święty dla jednej siódmej populacji, więc nigdy nie musimy wstrzymywać produkcji. Mamy też siedem Wielkanocy. I siedem Bożych Narodzeń. Jedyne, co nas stopuje, to poważne wypadki, a... - zacisnął pięść i postukał się, ha, ha, w łyse czoło - nie było tu żadnego od dwudziestu dziewięciu miesięcy. - Uśmiechnął się, szeroko i promiennie, i puścił do mnie oko. - Twoi kuzyni nie mają tu na co narzekać, synu. Słowo daję.

Chyba oczekiwał, że odpowiem, więc odpowiedziałem.

- Na pewno ma pan rację, panie Newell. Na pewno ma pan rację.

- Mówię poważnie, synu. To nie jest niewolnictwo sprzed pięćdziesięciu czy nawet sprzed dziesięciu lat. Kiedy ludzie myślą o niewolnictwie, wciąż, po dziś dzień, wyobrażają sobie bicz, psy i kolczaste łańcuchy na szyjach, całe to paskudztwo. Ale dziś jest dziś. Dziś jest dwudziesty pierwszy wiek. Popatrz tam. - Znów wyciągnął tłusty palec ze złotym pierścieniem między drugim a trzecim stawem, zmuszając mnie, bym spojrzał. - To jest ośrodek populacyjny. W tych budynkach mieszka cztery tysiące ludzi. Mamy tam świetlicę, a także siłownię, z której członkowie naszego zespołu nie tylko mogą, ale muszą korzystać. A widzisz ten budynek pośrodku, ten z wieżyczką na czubku? Stamtąd strażnicy mogą zajrzeć do każdej celi, a z każdej celi widać strażników. Więc wszyscy wiedzą, że są bezpieczni. Każdy opiekuje się każdym. Nawiasem mówiąc, ten projekt sięga czasów Jeffersona. Więc masz przed sobą dumną tradycję. - Nagle zacisnął dłoń na moim ramieniu, mocno i serdecznie, jak członek bractwa studenckiego. - Zapomnij o biczach, dobrze? Zapomnij o paralizatorach. BPP je dopuszcza, pewnie o tym wiesz, ale mogę ci powiedzieć, bo znam ludzi z piątego piętra, że my tutaj nie używamy paralizatorów. Może raz na sto lat ktoś uzna to za konieczność. Bo to jest przedsiębiorstwo oparte na zachętach, rozumiesz? - Jego palce na moim bicepsie zamykały się mocno jak kajdany. - I powiadam ci, czasem ludzie mówią: czym oni karmią tych biedaków? A potem idę do domu na klopsy i myślę sobie: kurczę, chciałbym być teraz w kantynie z opkami! - Parsknął. - Chciałbym! Tylko nie mów mojej żonie!

Zaśmiałem się, głośno i porządnie. Dalej, Victor. Dalej, Brother. Załatw to. Znajdź tego głupiego kierowcę, ustal, co się stało z kopertą. Przywieź to cholerstwo z powrotem. Tylko tyle musiałem zrobić. Śmiałem się i śmiałem.

Newell, zachęcony moim śmiechem, nakręcony na przechwałki, zwrócił się z powrotem do Marthy.

- Mogę ci powiedzieć coś szalonego? - Nachylił się do niej z poważną miną. - Gdyby Garments of the Greater South był oddzielnym państwem, nasz produkt krajowy brutto byłby wyższy

niż Rhode Island! – Odchylił się, wybałuszył oczy, czerwony na twarzy. – To ci dopiero, prawda?

– Oj tak – zgodziła się Martha. – Oj tak.

Tym, co stąd widziałem, a co nie znalazło się na zdjęciach satelitarnych w aktach, były same pola bawełny, niekończące się hektary, ciągnące się z ośrodka w każdą stronę niczym krajobraz księżycowy wokół stacji kosmicznej. I choć z tej wysokości nie mogłem ich dostrzec, wiedziałem, że tam są, setki Osób Przeznaczonych do Pracy, zbyt małych, żeby było je widać, zagubionych między białymi rzędami bawełny. Przez sekundę czy dwie wpatrywałem się w te odległe pola, myśląc o tym, że kiedy będzie po wszystkim, kiedy porozmawiam z kierowcą, a on wskaże mi następne miejsce, dokąd muszę się udać, wyjdę stąd, a ci ludzie, których nie widziałem, ale wiedziałem, że cierpią, zostaną tu na zawsze.

Co zrobić z taką świadomością? Czy ścisnąć ją w rękę jak kamień? Cisnąć z ogromnej wysokości i patrzeć, jak spada. Czy może przełknąć i czuć ją w gardle aż do śmierci?

Winda brzęknęła.

– No dobra – powiedział Newell. – Chodźmy na dół.

Martha naprawdę była jak cholerna ryba w wodzie.

Weszliśmy do małego gabinetu Matty'ego Newella na trzynastym piętrze, na końcu wychłodzonego klimatyzacją korytarza lekko pachnącego kawą, stłoczyliśmy się tam we trójkę z szafami na akta, jego gładkim czarnym biurkiem i komputerem. Martha i ja ćwiczyliśmy to, powtarzaliśmy w kółko, raz za razem, w piwnicy prawnika, a gdy tylko Newell zamknął za nami drzwi, natychmiast ruszyła do dzieła. Odpaliła rakietę.

– No więc skoro już tu wpadliśmy w odwiedziny – powiedziała, a on uśmiechnął się szeroko i zacmokał.

– Czyli zaczynamy? Będziesz mi zachwalać swój produkt.

Martha puściła do niego oko.

– Masz mnie. Ale to będzie bezbolesne, Matthew, obiecuję.

– Matty.

- Matty. Chcę ci tylko zadać proste pytanie.

- W porządku.

Miał ściągnięte brwi. Splecione palce. Czytałem mu w myślach - stojąc przy drzwiach z gorliwym uśmiechem, jak dobry chłopiec, posłuszny chłopiec, widziałem, co myśli: *I tak o niczym nie decyduję. Na nic nie mogę się zgodzić ani odmówić.* Pokazał nam teren. Tyle miał do zaoferowania. Jego uśmiech był z góry przepraszający - wkrótce się przekona, ta ładna pani z Peach Tree Management Systems, która spadła z nieba do jego marnego życia, że on o niczym nie decyduje. Dobrze go wybraliśmy.

Mój wzrok skakał po kątach pomieszczenia, od jednego do drugiego. Nic. Oczywiście kamera mogła być mała. Ukryta w gipsie, wkręcona w lampę. Ale nic widocznego.

- Proszę tylko, żebyś odpowiedział na jedno pytanie - powiedziała Martha. - I to diabelnie proste.

- Aha...

- To jest takie pytanie, że wiesz... - Uderzyła się dłonią w czoło.  
- Pff!

- Aha. - Pan Newell się zaśmiał. - Jasne. Łapię.

- Oto ono. Co wy tutaj sprzedajecie?

Newell wydał policzki. Rozłożył dłonie.

- Bawełnę? Artykuły bawełniane? - rzucił niepewnie, nieśmiało, jak dziecko, które ktoś próbuje nabrać. Zaczekał, żeby sprawdzić, czy trafił, a potem spróbował ponownie. - Markę? Albo... - Poszukał chwytliwego słowa. - Styl życia?

- Nie, mój panie - odrzekła Martha, powoli kręcąc głową. Biła od niej taka pewność siebie, aż miałem ochotę bić brawo. - Wy tutaj sprzedajecie czas.

Wtedy ruszyła na dobre, stanowcza i zdecydowana, odstawiła numer jak żywcem wyjęty z filmu *Muzyk*, a ja tymczasem gruntownie lustrowałem gabinet Newella, ruszając tylko oczami: dwie przysadziste szafy na akta, regał aż do sufitu, pełen segregatorów i zbiorów przepisów, solidne przemysłowe biurko z metalowym szkieletem i szklanym blatem, na którym stały trzy równo ułożone fotografie (pani Newell, pan i pani Newell, pan

i pani Newell i ładny czekoladowy labrador). Ukryty i niewidoczny, ale z pewnością obecny był przycisk alarmowy z czytnikiem linii papilarnych: najprawdopodobniej pod spodem biurka, ewentualnie pod siedziskiem fotela. Za Newellem, po prawej stronie, znajdowały się pojedyncze drzwi. Z pewnością nie do prywatnej łazienki. Nasz pan Newell nie cieszył się takimi przywilejami. Raczej do szafy. Magazynu.

Podczas gdy ja przemierzałem wzrokiem tę jego dziupłę pomniejszego kierownika, Martha waliła do Matty'ego z obu rur:

- Macie tu cztery tysiące dwustu trzydziestu dwóch ludzi - zawiesiła głos, tylko nieznacznie, chytrze zaznaczając, że zna tę liczbę, odrobiła pracę domową - i to ich czas sprzedajecie. Każda godzina dobrej pracy, jaką dają tej firmie, każda minuta, to jest właśnie wasz produkt. Powiedzmy, że bierzemy jedną Osobę Przeznaczoną do Pracy i umieszczamy ją gdziekolwiek na diagramie. Okej? Rozwija bele. Obsługuje krosna. Bez znaczenia. Jest z górnej półki, jest zaufana, wstukuje kody wzorów. Okej?

- Okej...

- Powiedzmy, że pracuje przez godzinę. Ile minut jest w tej godzinie?

Newell się zawahał. Wiedział, że kryje się tu jakaś sprytna odpowiedź, ale nie potrafił na nią wpaść.

- Sześćdziesiąt?

- Nie, mój panie - powiedziała Martha, powiedziała Jane Reynolds, akwizytorka roku. - Może pięćdziesiąt. Może trzydzieści. Może sto! Wszystko zależy od tego, co dzieje się w głowie tego człowieka, co dzieje się z jego ciałem. My w Peach Tree sprzedajemy minuty. Dzięki naszemu systemowi zachęt i korekt dodajemy minuty do godzin odpracowywanych przez waszych OP. I wiesz, co to daje?

- Yy... - Bał się odpowiedzieć. Bał się, że nie trafi. - Lepsze ubrania?

- Więcej pieniędzy, panie Newell! - Martha rozłożyła ręce. - Daje więcej pieniędzy.

Newell zachichotał.

- No, mam nadzieję!

Przez ułamek sekundy ogarnęło mnie surrealistyczne podniecenie, że sprzedamy nasz produkt. Pani Reynolds i ja wrócimy do biura w Birmingham i powiadomimy o sukcesie, odnotujemy go w systemie, przybijemy piątki z innymi zespołami akwizytorów, umówimy spotkanie z technikami, żeby ustalić dalsze kroki. Jane Reynolds zostanie pracownikiem miesiąca. Ja dostanę... co? Jaką nagrodę otrzymałby współpracownik wyzwoleniec? Alternatywne wszechświaty, inne rzeczywistości.

- Wiesz co? - powiedziała Martha. - Pokażę ci. Mogę ci pokazać?

- Jasne - zgodził się pan Newell. Wstał, jakby to miało go gdzieś zaprowadzić. - Pokaż.

- Albercie?

Wyskoczyłem z tylnego kąta jak diabełek z pudełka.

- Tak, proszę pani!

- Możemy zaczynać?

Powiedziała to z lekką irytacją, jakby nie mogła uwierzyć, że jeszcze wszystkiego nie przygotowałem. Widziałem dyskretne spojrzenie, które rzuciła Newellowi, a on je odwzajemnił: ci Murzyni! Otworzyłem walizkę, otworzyłem laptopa i nacisnąłem parę klawiszy. Newell usunął mi się z drogi, stał niepewny we własnym gabinecie z rękami za plecami, kucyk sterczał mu nad różowym karkiem.

- Dobrze - rzekła Martha. - Jedziemy. Albercie, zgasisz światło?

- Wyłącznik jest tam. - Newell wskazał palcem, a ja skoczyłem w tamtą stronę.

- To, co ci pokażę - powiedziała Martha, uruchamiając pierwszy slajd z logo Peach Tree, które pobraliśmy z ich strony, i rzucając go na roletę w oknie gabinetu - jeśli poświęcisz mi chwilę, jest zaledwie próbką autorskiej technologii oferowanej przez Peach Tree. Tylko smaczkiem. Więc... - Slajd zniknął i nie pojawił się następny. - Co... - mruknęła Martha w ciemności. - Albercie?

- Co się stało? - zapytał Newell.

- Ojejku - stęknąłem. - O mammo.



- Albercie! - Jej głos uległ zmianie. Był ostry jak tłuczone szkło. - Albercie, czy będziesz uprzejmy z powrotem zapalić światło?

Zrobiłem to, szybko. Martha stała wzburzona, trzymając się pod boki. Newell był skonsternowany, niepewny.

- Pani Reynolds... Jane, czy wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście, panie Newell.

- Bardzo cię proszę: Matty.

- Po prostu, rozumiesz, Matty, przysyłają mnie tutaj z zadaniem, ale nie dają mi sprzętu, który działa. Ani... ani... - To była jedyna skaza w jej kreacji, wahanie trwające zaledwie ułamek sekundy. Jane Reynolds oczywiście powiedziałaaby „czarnucha”. - Ani pomocnika, który umie robić, co do niego należy.

Newell nie zwrócił uwagi na to wahanie. Nie zwracał uwagi na nic oprócz okazji, żeby wykazać się jako mężczyzna. Wyskoczył zza biurka. Podał jej chusteczki.

- Rozumiem, naprawdę. Proszę, pani Reynolds...

- Jane - odparła.

- Jane.

Matty Newell uśmiechał się niewyraźnie, z bladym, pełnym nadziei blaskiem w oczach. Martha wzięła od niego chusteczki i wytarła łzy z kącików oczu. Prawdziwe łzy. Omal się nie roześmiałem. Wciąż stałem przy wyłączniku światła, tuż za progiem, niewidzialny i cichy. Chryste, jaka ona była w tym dobra.

- Mam bardzo dobrą prezentację. - Wskazała na laptopa. - Naprawdę. Jest świetna.

Pozwalała, żeby to był jego pomysł. Prowadziła go za rękę, trzymając na tyle mocno, żeby szedł za nią, ale na tyle lekko, żeby nie był tego świadom. Autentycznie zachowywała się jak ryba w wodzie. A może każda kobieta potrafi to zrobić z każdym mężczyzną, jeżeli chce.

- Bardzo bym chciała, żebyśmy mogli to zrobić sami, tylko we dwoje.

Temu szybkiemu, prostemu, profesjonalnemu zdaniu - „Bardzo bym chciała, żebyśmy mogli to zrobić sami, tylko we dwoje” -

nadała odrobinę niuansu. Dokładnie tyle, ile trzeba.

- Wiesz co, Jane? - powiedział biedny, głupi Newell. - Chodźmy do stołówki, postawię ci lunch. Dobrze? Zjemy lunch i... i opowiesz mi, co dla mnie masz. Nie musisz zawracać sobie głowy tą całą techniką i w ogóle. Po prostu wszystko mi wyłożysz i przedyskutujemy to. Może być?

Jej spojrzenie bezbrzeżnej wdzięczności - Newellowi wybawcy, Newellowi dżentelmenowi - to było coś cudownego.

- Och, Matty, to byłoby takie miłe z twojej strony. A my naprawdę mamy znakomity produkt.

- Oczywiście. Bardzo chętnie o nim posłucham.

Wstał. Martha zamknęła laptopa, na który wgraliśmy tylko ten jeden slajd, i ruszyła za Newellem do drzwi.

- A, zaczekaj - powiedziała i spojrzała na mnie przez pół sekundy, przez ćwierć sekundy, żeby się upewnić, że to nadal nasza gra. Skinąłem głową, tak lekko, że Newell nie mógł tego zauważyć, a wtedy Jane Reynolds zapytała: - Czy mój chłopiec miałby gdzie zaczekać?

- Ach.

Newell zatrzymał się speszony. Chyba naprawdę zapomniał o mojej obecności.

- No, właściwie może zaczekać tutaj. Drzwi zamkną się za mną i nie otworzą, aż wrócimy. Może być?

Oczywiście nie pytał mnie. Jane Reynolds powiedziała, że jej to pasuje, więc Newell wyprowadził ją na korytarz, kładąc jej dłoń na plecach.

Po zamknięciu drzwi odczekałem pięć minut. Stałem absolutnie nieruchomo i liczyłem. Trzysta sekund.

Licząc, stałem dokładnie tak, jak Jane Reynolds chciała by zastać swojego chłopca: w kącie, ze spuszczoną głową, niczego nie dotykałem, jak wyłączony robot.

Po doliczeniu do trzystu zerwałem się do działania, a w mojej głowie odezwała się piękna nowa muzyka, tamte dzikie rytmy z piwnicy mecenasa. Zagrała we mnie głośno, więc kiedy

przystąpiłem do pracy, robiłem to w tempie, które narzucała. Poruszałem się po małym gabinecie niczym tryl werbli, niczym gama wznosząca.

Przysunąłem fotel Newella do regału, stanąłem na siedzisku i powiodłem palcem po górnym rzędzie segregatorów: kurz. To samo na drugim rzędzie i wszystkich kolejnych aż do podłogi: kurz, kurz, kurz, wszystkie te grube segregatory i kodeksy to właściwie dekoracja.

Przeciągnąłem fotel z powrotem za biurko. Już wiedziałem, dokąd to zmierza: wiedziałem, że w końcu będę musiał wejść do komputera Newella. Mieliśmy dwudziesty pierwszy wiek – wszystkie ważne dokumenty, wszystko, co ma znaczenie, na pewno znajdowały się na dysku twardym albo na serwerze. Nie chciałem jednak uciekać się do hakerstwa, jeśli dało się tego uniknąć, więc modliłem się o trochę szczęścia, liczyłem na nie jak wariat. Wyciągnąłem wąską szufladę biurka, przesunąłem zszywacz i nożyczki, a potem przeniosłem się do szafy na akta, wyginając w dłoni spinacz.

Umówiliśmy się z Marthą na dwadzieścia pięć minut. Piętnaście minut w gabinecie Newella na zdobycie dwóch informacji, na których nam zależało – jednej dla mnie i jednej dla niej – plus pięciominutowy margines z każdej strony.

Minęło już dziewięć minut, pięć cichego liczenia i cztery pracy, kiedy wsunąłem koniec spinacza do tandetnego zamka szafy na akta. Czułem się tak, jak czułem się pod Katolicką Obietnicą Świętego Anzelma przed siedmioma dniami – w poprzedni czwartek, całą wieczność temu. Włamać się do budynku, otworzyć biurko: to były proste zadania, drobne projekty niewymagające myśli ani skupienia, niebudzące wyrzutów sumienia czy żalu. Surowy termin, konkretne zadanie. Obróciłem spinacz, znalazłem haczyk dziecinnego mechanizmu, obróciłem raz jeszcze i poczułem, że ustępuje. W mojej głowie grała muzyka, skoczna, triumfalna.

Szafa na akta miała pięć szuflad. Szedłem od góry do dołu.

Zamówienia, rejestry, dzienniki serwisów technicznych - jedna gruba teczka ze szczegółami setki różnych ciężarówek i przyczep. Przesuwałem palcem wskazującym po grzbietach wiszących teczek. Czterdzieści pięć sekund na szufladę: wyciągnąć, szybko sprawdzić, zatrzasnąć. Raporty wypadkowe, dokumenty ubezpieczeń, rejestracja pojazdów. Dolna szuflada zawierała sprawy finansowe: zamówienia i faktury, kwartalne podsumowania kosztów paliwa, raporty dotyczące ogólnego kosztu serwisowania floty.

Zakopany na samym dnie ostatniej szuflady, ukryty pod grubymi wiszącymi aktami, leżał stos poskręcanych kartek spiętych gumką recepturką.

To, czego szukałem, nie byłoby schowane, ale i tak sięgnąłem po ten plik, wyszarpnąłem go z ukrycia. Był to pozaginany maszynopis z nerwowymi rysunkami na krawędziach. *Ja też Pana kocham: Opowieść o zakazanym romansie*. Autor: Matthew R. Newell.

- Jezu Chryste, Matty - mruknąłem i wsunąłem kartki z powrotem, gdzie były. - Jezu Chryste, ja pierdołę.

Znowu odwróciłem się w stronę biurka i poruszyłem myszką, żeby uruchomić komputer. Strzeliłem palcami. Nie usiadłem. Pochyliłem się nad biurkiem, zgąłem plecy i wziąłem się do roboty.

Kiedyś w Chicago ktoś podrzucił mi adres strony internetowej US Marshals Service z listą otwartych spraw. Siedziałem przerażony na bibliotecznym stanowisku, zasłaniając ekran własnym ciałem, zasłaniając przed światem moje zdjęcie z akt zrobione pięć lat wcześniej. Pamiętam, że wtedy pomyślałem: Czy to tak wyglądam? Kliknąłem na miniaturkę, żeby powiększyć fotografię. Te oczy... te oczy! Wzdrygnąłem się przed własnym zdjęciem na ekranie jak przed zdjęciem samego diabła. Czy to naprawdę byłem ja?

Moja znajomość komputerów, umiejętność hakowania bazy danych, przebicia się przez firewall, to wszystko przyszło później. Tego wszystkiego nauczyli mnie ludzie Bridge'a. Cztery miesiące

szkolenia w Arizonie, w tym dużo czasu spędzonego w ciemnych pomieszczeniach na poruszaniu się po bazach danych, penetrowaniu bezpiecznych serwerów, nauce podążania śladami ludzi w internecie.

Nie musiałem forsować żadnych firewalli, żeby dostać się do komputera słodkiego, durnego Newella, ponieważ hasła zapisał ołówkiem na odwrocie fotografii przedstawiającej jego, żonę i psa. Przeszukałem dysk twardy. Wpisałem hasła wyszukiwania, sprecyzowałem, znalazłem arkusz kalkulacyjny „Baza kierowców kontraktowych”, żyjący w jego komputerze, ale sklonowany na serwerze sieci wewnętrznej, ostatnio aktualizowany dziesięć dni wcześniej.

Kierowców identyfikowały tutaj kody złożone z czterech znaków. Od Angie z Whole Wide World Logistics miałem już symbol HR59, teraz zaś mogłem przypisać mu nazwisko: William Smith.

William Smith. Znieruchomiałem, patrząc w ekran, z dłońmi opartymi po dwóch stronach klawiatury. Zegar w prawym górnym rogu monitora dawał mi jeszcze dziewięć minut. Przy nazwisku nie widniał żaden numer telefonu. Żaden adres e-mail. Żaden oczywisty sposób komunikacji.

Wpatrywałem się w to nazwisko, czułem, jak czas wyslizguje mi się spod nóg, słyszałem, jak muzyka szaleńczo przyśpiesza w mojej głowie, zastanawiałem się, ilu Williamów Smithów musi być w całej pieprzonej Alabamie. O ilu Willych, Billych i Billach mówimy w samym rejonie Birmingham? Zamiast numeru telefonicznego pana Smitha był jakiś sześciocyfrowy numer, zapewne prawa jazdy, oraz – po kilku ukośnikach – bardziej niezrozumiały kod: OWB 9, B8. Cyfry i litery. Zastrany William Smith.

Zacisnąłem pięść i uderzyłem nią w biurko, aż komputer podskoczył i zadrżał. Spokojnie, Victor. Spokojnie, Brother. No już, spokojnie.

Nie mogłem znaleźć swojego człowieka, ale wciąż mogłem znaleźć człowieka Marthy. Wypełnić swoją drugą powinność – drugi powód, dla którego tu byłem. Zapamiętałem płataninę

numerów identyfikacyjnych Williama Smitha i zamknąłem arkusz kalkulacyjny, a potem znowu zanurkowałem w dysk twardy, gorączkowo stukałem w klawisze, oddychałem ciężko. Miałem jeszcze siedem i pół minuty i tylko trzy z nich zajęło mi dotarcie do tego, na co Martha gotowa była wyłożyć prawie trzydzieści tysięcy - do niesławnej bazy danych TorchLight: ze wszystkimi ludźmi w niewoli na terenie całej Czwórki. Trzy miliony osób, skatalogowanych według imienia służbowego, według PIN-u, według blizn i znaków szczególnych, wszystko uporządkowane i łatwe w obsłudze.

Oto był - oto był Samson. Ukochany Marthy i ojciec Lionela. Człowiek i jego los, czarno na białym przede mną na ekranie. Trwałem tak przez minutę, zgarbiony, z szeroko otwartymi oczami, znieruchomiały w kontemplacji.

- O cholera - powiedziałem cicho.

Przeczytałem ponownie tę prostą historię. Przygotowywałem się, żeby opowiedzieć ją Marcie. To właśnie chciała wiedzieć i teraz się dowie. Najgorszy scenariusz.

Dwa piknięcia z korytarza. Obróciłem głowę w stronę drzwi, które powoli się otworzyły.

O trzy minuty za wcześnie.

Nie było gdzie się kryć. Nie miałem broni. Zacisnąłem pięści, kiedy drzwi stanęły otworem i zobaczyłem w nich Newella, jego mokasyny na dywanie, jego duży brzuch, jego tęgą prawą dłoń zaciśniętą na klamce. Jego oczy szeroko otwarte ze zdziwienia, gdy próbował zrozumieć to, co widzi: czarnego mężczyznę stojącego za jego biurkiem, z palcami na klawiaturze. Dla pana Newella równie dobrze mogłem być małpą albo koniem stojącym na dwóch nogach i stukającym w klawisze. Martha pojawiła się za nim w cieniu, wciąż jeszcze na korytarzu. Rzuciła przeproszające spojrzenie: *Zatrzymałam go tak długo, jak...*

- Co... - odezwał się Newell. - Co... co ty, u diabła, wyrabiasz?

- Nie ruszaj się - rzuciłem, ostro i płasko. - Nie ruszaj się.

W nim jednak instynktownie odezwało się jakieś niedorzeczne męstwo i zasłonił swoim ciałem Marthę, by ochronić ją przed

jednoosobowym powstaniem niewolniczym w swoim gabinecie. Ale Martha również szybko myślała: weszła do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi. Zrobiła z palców pistolet i wcisnęła mu w plecy, a Newell natychmiast nabrał się na najstarszą sztuczkę świata. Podniósł ręce do góry.

- O Boże - powiedział do niej. - Ty... - Jego gruby kark się zaróżowił. - Ty jesteś w to zamieszana? O co tu chodzi?

Martha nie odpowiedziała. Ja dalej mówiłem do Newella, jakbym tresował psa.

- Powoli podejdź do przodu - poleciłem. - Z rękami w górze.

Posłuchał. Podniósł wyżej ramiona, deformując kiepsko skrojoną marynarkę, wyciągając koszulę ze spodni.

- Ja przecież nigdy... nigdy nie skrzywdziłem żadnego Murzyna - powiedział. - Nigdy. - Mówił szczerze. Wierzył w to.

- Na kolana. Spleć dłonie za głową.

Ukląkł, wykonując serię niezgrabnych ruchów - gruby, przestraszony, niezdarny mężczyzna, usiłujący poruszać się tak, żeby nie wyglądało to agresywnie. Już na kolanach zaryzykował tęskne spojrzenie w stronę biurka, guzika alarmowego, telefonu. Wiedział, że nie żyje. Przez całe życie, w ponurym, mrocznym, strachliwym zakamarku swojego burżuazyjnego umysłu, dochodzącym do głosu w środku nocy, wiedział, że ten moment nadchodzi, że nadchodził od początku. To właśnie tym strachem jest podszyte bycie panem. Newell pracował w firmie wartej miliony dolarów, notującej zyski na poziomie Rhode Island, zbudowanej na grzbietach czarnych ludzi trzymanyh w klatkach, musiał więc istnieć powód, że są tam trzymani - nie mogło chodzić tylko o to, że ich cierpienie użyźnia pola bawełny i napędza pakowarki, bo jakże to? Musieli być zamknięci dlatego, że pod skórą, pod uśmiechami, które GGSI wymalowało na ich twarzach, są potworami.

I oto teraz w końcu nadszedł ten moment. Patrzyłem na niego z góry, tylko ja, bez broni w ręku, a on dosłownie się trząsł, drżały mu pełne policzki i gruby kark.

- Słuchaj, Matt - powiedziałem jak najspokojniej. - Co to znaczy OWB?

Newell zamrugał.

- Co?

Pocił się. Obfity pot pokrywał mu czoło niczym szkliwo. Martha patrzyła to na niego, to na mnie; to na mnie, to na niego.

- OWB - powtórzyłem. - To jakiś skrót. Z twojej listy kierowców kontraktowych. Powiedz mi, co oznacza.

- To... to Osiedle Wolnych Białych. - Głos drżał mu jak osika. - To... nasi biali. Mieszkają tutaj... OWB znaczy po prostu... że tam mieszkają.

On tu był. Kierowca ciężarówki. Pracujący biały. Pieprzony William Smith mieszkał tutaj.

Zbliżyłem się do pana Newella, ukląknęłam przed nim. Szeroko otworzyłem oczy i zacisnąłem zęby. Nie zamierzałem zabijać Matty'ego, ale jego strach był cenny. Użyłem go jak pistoletu, jak banknotu studolarowego, jak wygiętej końcówki spinacza do otwarcia zamka.

- OWB dziewięć - wyrecytowałem. - B osiem.

- Osiedle Wolnych Białych strefa dziewięć. Budynek B osiem. To... to coś jak... kompleks mieszkalny. Sam nie wiem.

- Jest jakiś powód, żeby poszedł tam niewolnik?

- Poszedł... dokąd?

- Do Osiedla Wolnych Białych.

- Tak. To znaczy... tak. Rzadko, ale generalnie tak. Czarnuchy... Przepraszam. Przepraszam pana. Niewolnicy... Przepraszam... Osoby czarnoskóre... Przepraszam. O Boże. - Oblizął wargi. Z nosa płynęły mu smarki. Kiedy potem Matty Newell opowiadał tę historię, na pewno mówił, że miałem co najmniej strzelbę. Może karabin maszynowy. A Martha po pistolecie w każdej dłoni. I oboje byliśmy obwieszani nożami.

- Niewolnicy tam chodzą? To nie jest dziwne?

- Nie jest.

Dobra. Dobra. Miałem to, czego potrzebowałem, prawie. Muzyka znowu się rozkręciła, napinała mi pierś. Poczulem, że budzi się



we mnie mdlące poczucie obrzydzenia, gdy pojąłem, co się stanie. Co będę musiał zrobić. Ten człowiek tu był. Wiliam Smith. Był tutaj. Otworzyłem górną szufladę biurka Newella i zacząłem w niej grzebać, rozmyślając w pośpiechu.

- Dobra.

- Co... - odezwał się pan Newell. - Co pan robi?

- Nie ruszaj się stamtąd, człowieku. Nie ruszaj się.

Został na kolanach, z rękami za głową.

Spojrzał na Marthę, ale ona nawet tego nie widziała. Stała teraz przy biurku, znalazła stronę, którą czytałem, kiedy weszli. Wpatrywała się w ekran. Och, Martho.

Z biurka Newella wyjąłem nożyczki, a jemu oczy wyszły na wierzch.

- Nie - odezwał się wyższym głosem. Cofał się na kolanach, z rękami za głową, powtarzając swój refren: - Nigdy nie skrzywdziłem żadnej murzyńskiej osoby.

- Milcz, proszę.

Rozpiąłem koszulę. Zdjąłem buty. Wyciągnąłem nożyczki w prawej dłoni i wycelowałem nimi w Newella.

- Jak mam się dostać do strefy dziewiątej Osiedla Wolnych Białych?

Powiedział mi to, co chciałem wiedzieć. Kiedy mówił, uniosłem nożyczki do szyi i zacząłem ciąć. Kroilem, krew leciała wielkim strumieniem. Dokładnie tam, gdzie miałem zamalowany tatuaż, dokładnie u nasady szyi. Potrzebowałem krwi. Potrzebowałem świeżej rany. Wiedziałem, że tutaj trzeba być bardzo chorym, rzygać i srać, żeby zwrócił na ciebie uwagę lekarz. Ale paskudna rana to jeszcze nie koniec świata. Zastryk sterydowy, bandaże i gotowe.

- Martho - odezwałem się - tam na dolnej półce jest apteczka. Możesz wziąć z niej trochę gazy?

Ona wciąż stała przy komputerze. Zahipnotyzowana przez ekran. Już na nas nie patrzyła. Cała jej uwaga skupiona była na monitorze, na którym wciąż wyświetlały się twarz i los Samsona.

Martha zrobiła pół kroku naprzód. Wyciągnęła rękę w kierunku ekranu w drobnym geście rozpacz.

Sam wziąłem sobie bandaż. Powoli owinąłem nim szyję. Kiedy skończyłem robić opatrunek: trzy grube warstwy gazy na świeżej, wiarygodnej ranie, zasłaniające miejsce, gdzie powinienem mieć opiekuńcze G symbolu GGSI, kiedy dowiedziałem się od pana Newella wszystkiego, co niezbędne, by dostać się na drugą stronę kompleksu, wyciągnąłem kable z drukarki i komputera, jeden po drugim. Martha wciąż wpatrywała się w monitor, nawet kiedy zgasł.

Miałem jeszcze kilka pytań do pana Newella, gdy na wszystkie odpowiedział, pchnąłem go na ziemię.

- Ja nigdy... - powtarzał, łkając. - Nigdy...

- Wiem - odparłem. - Nigdy nie skrzywdziłeś żadnej murzyńskiej osoby. Ale teraz cię zwiążę, za ręce i nogi, zaknebluję cię, żebyś był cicho, i wsadzę do szafy.

Wziąłem się do dzieła. Zrobiłem to szybko. Kiedy tam trafił, z dala od guzika alarmowego, z dala od telefonu, delikatnie odciągnąłem Marthę od biurka. Wziąłem ją za rękę. Zmusiłem, żeby spojrzała mi w oczy.

- Posłuchaj, co teraz będzie. Zjedziesz windą na dół. Przejdziesz szybkim krokiem przez hol, podziękujesz tamtej blondynce, wsiądziesz do samochodu i pojedziesz na północ.

- Tak - odpowiedziała. - Dobrze.

- Słuchasz mnie?

Przed oczami nie miała już ekranu, ale nadal tam była. Była z nim, była z Samsonem, daleko stąd. Ścisnąłem jej dłonie, ścisnąłem oddzielnie każdy palec, starając się zwrócić jej uwagę, sprowadzić Marthę z powrotem do siebie.

- Zabierz Lionela z domu siostry, weź te pieniądze, które ci dałem, i jedź do Kanady. Albo poleć jeszcze dalej. Gdziekolwiek. W jakieś dobre miejsce. Rozumiesz?

- Tak.

- To jest dość kasy, żeby zacząć nowe życie, i chcę, żebyś to zrobiła, dobrze? Zabierz tego chłopca z Ameryki. Zabierz go stąd.

- Ty... - Popatrzyła na mnie. Bez koszuli, bez butów. Owiniętego gazą. Proste czarne spodnie wyglądały teraz wstrętne, żałośnie. Ubiór niewolnika. - Co ty robisz?

- Muszę to dokończyć.

- A jak potem się stąd wydostaniesz?

- Coś wymyślę.

Jej spojrzenie nareszcie odzyskało ostrość. Martha znów była w gabinecie.

- Jak? Jak to wymyślisz?

# 7.

**Biedny** pan Newell, choć oniemiały ze strachu, zdołał kolejno odpowiedzieć na moje pytania, nawet na to, które nie przyszło mi do głowy - czym jest ta linia wokół posiadłości, przerywana czarna linia, która zastanowiła mnie, gdy po raz pierwszy zajrzałem do pełnych akt. To pociąg. Podziemny. Nie ogrodzenie pod prądem ani rura, ale pociąg pod ziemią. Dowożący Osoby Przeznaczone do Pracy z ośrodka populacyjnego na stanowiska robocze.

Wyjaśniło się, dlaczego z tarasu, dokąd Newell zawiózł nas, żeby zaszpanować, nie widziałem żadnych ludzi przy pracy. Niewolnicy znajdowali się daleko na polach bawełny, niewolnicy harowali na górnych piętrach szwalni, niewolników transportowano pod ziemią, gdzie byli niewidoczni. A nie obok budynków głównej siedziby firmy, pełnych wesołych Mattych Newellów, którzy odbywali spotkania w salach konferencyjnych i wykonywali telefony, nie krzywdząc żadnej murzyńskiej osoby.

Trzeba zjechać windą służbową, powiedział Newell. Drzwi otwierają się wprost na peron. Więc zjechałem. Bez koszuli i butów, ucharakteryzowany półtorametrowym bandażem i jasnozieloną opaską na mojej czarnej skórze, zjechałem windą służbową z gabinetu Newella na trzynastym piętrze. Stałem z lekko pochyloną głową, a mózg mi płonął.

Kiedy winda jechała, zacząłem słyszeć muzykę, głośną, bojową muzykę, a gdy drzwi się otworzyły, znalazłem się w olbrzymim pomieszczeniu pełnym śpiewających mężczyzn.

Byli bez koszul i bez butów, tak samo jak ja, stali do mnie tyłem, tylko plecy i głowy, całe rzędy pleców i głów, setki mężczyzn z podniesionymi głosami, stojących zupełnie nieruchomo.

- Te silne ręce są twoje - śpiewali chórem. - Mój duch i plecy moje. - Melodia była prosta. Dziecinna czteronutowa

przyśpiewka. - Co dzień wszystkie me znoje. - Zacząłem przepychać się naprzód, znalazłem miejsce w tłumie. - Dla GGSI w prawdzie stoję.

Teraz byłem wśród nich i nikt nawet na mnie nie spojrział, nikt nie zapytał: kim ty, kurwa, jesteś? Byłem kolejnym mężczyzną bez koszuli, w czarnych spodniach i z opaską na rękę, z bandażami jak u mumii, oplatającymi szyję i ramię.

- Jak dawniej łaskę swą daj... - Słuchałem słów. Uczyłem się ich na pamięć. - Boże, chroń GGSI.

To było już wszystko. Potem piosenka zaczynała się od nowa i ja też ją śpiewałem.

- Te silne ręce są twoje...

Znalazłem miejsce między dwoma mężczyznami. Pierwszy był mniej więcej w moim wieku, może nieco młodszy, miał wydatne kości policzkowe i małe oczy. U drugiego, w średnim wieku, widziałem szerokie czoło i bulwiasty nos. Obok niego stał człowiek o uderzającej twarzy, kanciastej brodzie z dołeczkiem, wystających kościach policzkowych... a potem kolejny i kolejny - najróżniejsze twarze i kolory, które świat nazywa czarnym: brązowy i śniady, i żółty, i pomarańczowy, miedziany i rdzawy, i złoty.

- Te silne ręce są twoje...

Śpiewali - śpiewaliśmy - bez entuzjazmu czy radości. U Bella też śpiewaliśmy, idąc przez podwórze albo pracując na stercie, tak samo jak niewolnicy za czasów Dawnego Niewolnictwa: spirituals i przyśpiewki robocze, ze sprytnymi tekstami, niemądrymi tekstami, które wyrażały tęsknotę za wolnością albo wyśmiewały pana przy użyciu nonsensownych wyrazów, dla niego niezrozumiałych. Ale to - to było inne śpiewanie. Spoglądałem kolejno na tych ludzi, którzy śpiewali mechanicznie, ze wzrokiem skierowanym przed siebie, poruszających ustami jak kukiełki. Śpiewali głupi refren o tym, jak bardzo kochają swoich szefów i swoją pracę.

Nie było w tym żadnej duchowości. To coś zupełnie innego.

W tłumie nie było kobiet. Kobiety były gdzie indziej. Gdzie były kobiety? Coś się we mnie obluzowywało, tu, w dole, z tymi wszystkimi mężczyznami. Coś się obluzowywało. Czułem, że zaraz się przewrócę, ale nie mogłem tego zrobić – żaden z tych ludzi się nie chwiał. Stali zupełnie nieruchomo, patrzyli prosto przed siebie, tylko śpiewali.

Skupiłem się więc na pomieszczeniu. Zacząłem zwracać uwagę na różne rzeczy. Znajdowałem się na stacji metra, na peronie, w miejscu, które znałem z Nowego Jorku, z Waszyngtonu, z setki innych polowań. W przepastnej przestrzeni oświetlonej słabym blaskiem lamp zwisających z wysokiego, sklepionego sufitu. Betonowa podłoga kończyła się niczym przepaść nad zatopionymi w dole torami. Skupiłem się na pomieszczeniu i na brzmieniu własnego głosu, który śpiewał razem ze wszystkimi.

- Te silne ręce są twoje...

Tłumiłem to w sobie, tłumiłem w sobie to wszystko, musiałem to w sobie tłumić, sprawić, że moja twarz będzie jak ich twarze, pozbawiona wyrazu, że ruszać się będą tylko usta. Byłem jednak za blisko, za blisko ich twarzy. Przez całą swoją karierę pod komendą Bridge'a zawsze bałem się tej strony akt, na której znajdowała się fotografia, prawdziwa ludzka twarz człowieka, którego szukałem, a teraz znalazłem się wśród nich – tutaj nie było pieprzenia o opakach, o „Osobach Przeznaczonych”, tutaj nie było niewolników, cała ta abstrakcja opadła jak skóra zdzierana z ciała, i to byli ludzie – prawdziwi, kurwa, ludzie, każdy z tym jednym życiem, jakie mu dano, a ich życie było właśnie takie.

Muzyka urwała się w połowie wersu – „mój duch i ple...” – i przestaliśmy śpiewać.

- Wyciągnąć ręce. - Głos dobiegł z wysoka, płaski i zniekształcony przez interkom. - Dłońmi do góry.

Wszyscy wykonali polecenie: wyprostowali ręce, unieśli dłonie. Ja też. To był ten moment. Moje rozpędzone emocje utonęły w nagłym żarze paniki. Newellowi udało się rozplątać i wytoczył się, krzycząc, na wyłożony dywanem korytarz. Albo może to

Martha - zatrzymali ją w holu. Zatrzymali ją w samochodzie. Nie nadawała się, żeby...

- Głowy do tyłu.

Odchyliliśmy głowy. Patrzyliśmy w sufit. Mężczyźni wokół mnie wykonywali rozkazy tępo, jak roboty. To wyglądało na codzienną procedurę. Protokół.

Na lewym nadgarstku miałem zieloną opaskę, którą założył mi strażnik. W prawej dłoni trzymałem kartkę, którą Newell wypełnił i podstemplował pod moją komendą. Tymczasowy Wewnętrzny Kompleksowy Certyfikat Podróżny. Pozwolenie. Papiery przejazdowe. Zauważyłem, że niektórzy mężczyźni wokół mnie również mają podobne przepustki. Inni nie. Niektórzy oprócz zielonej opaski mieli na rękach, na różnej wysokości, opaski w innych kolorach. Cały świat systemów, zasad i przepisów.

Znowu głos z interkomu:

- Trzymać pozę.

Chwila zamrożona w czasie. Pomieszczenie pełne mężczyzn z nagimi torsami, z odchylonymi głowami, z wyciągniętymi i uniesionymi rękoma. Ludzie jak drzewa.

- Czterdzieści pięć lat i młodsi: ręce do dołu.

Większość mężczyzn opuściła ramiona. Ja także. Starsi mężczyźni nadal trzymali ręce w górze.

Przez peron szedł jakiś mężczyzna. Niewolnicy rozstępowali się, by go przepuścić. Był czarny, tak jak my, ale miał koszulę i wysokie buty. Znalazł się kilka kroków ode mnie, ale nie spojrzał w moją stronę, nie zobaczył mnie, intruza, stojącego tak jak wszyscy ze spuszczonego wzrokiem. Nadjeżdżał pociąg - czułem znajomy pęd zatęchłego powietrza pchanego tunelem - ale nikt się nie ruszał.

Ten strażnik albo nadzorca, kimkolwiek był, szedł od człowieka do człowieka - między tymi, którzy wciąż trzymali ręce w górze - i szukał czegoś w ich ustach. Wpychał im palec wskazujący między wargi, siłą rozwierał szczęki, a potem poruszał nim wewnątrz, po podniebieniu, pod językiem, i wyjmował. Twarz miał zawziętą, podłą, zupełnie jak Harbor, okrutny chłopak,

koszmar mojego dzieciństwa na farmie Bella. Myśląc o Harborze, pomyślałem o Castle'u, a wtedy zakręciło mi się w głowie i poczułem, że świat się wali, że moje różne życia zlewają się w jedną płaszczyznę – a tymczasem nadzorca najwyraźniej znalazł człowieka, którego szukał. Wyjął palec z jego ust, kazał mu się pochylić i zaczął go oklepywać wzdłuż całego ciała.

Pociąg zajechał na stację, drzwi się rozsunęły. Nikt nie drgnął.

– Wyprostuj się – powiedział nadzorca czy strażnik. – Idziemy.

Mężczyzna powyżej czterdziestu pięciu lat kiwnął głową, opuścił ręce i pozwolił poprowadzić się przez tłum w kierunku wyjścia na końcu peronu, a jego twarz wciąż była równie beznamietna jak pozostałe twarze. Ale jego oczy... Zobaczyłem to, błysk w jego oczach – zobaczyłem to! – lekkie rozwarcie powiek. Absolutne, skrajne przerażenie. Czytałem o aktualnych programach zniechęcających, które prowadzono teraz na plantacjach, o tym całym gównie, które trafiło do internetu, odkąd opuściłem farmę Bella. Teraz mieli prawo przywiązać człowieka do deski i lać mu wodę do ust, symulując tonięcie. Mieli prawo stosować elektrowstrząsy – nauka pozwalała precyzyjnie dobrać napięcie. Najróżniejsze zastosowania ciemności. Hałasu. Oczywiście wszystko starannie uregulowane, zawsze z funkcjonariuszami BPP na miejscu.

Ten mężczyzna, ten ponadczterdziestopięciolatek, wyprowadzili go. Bez żadnego wyraźnego sygnału wszyscy wsiedliśmy do pociągu.

Wagon mieścił dwudziestu czterech ludzi, po dwunastu z każdej strony. Nie było siedzeń. Staliśmy, patrząc wprost przed siebie. Pociąg ruszył ze stacji, a my znów zaczęliśmy śpiewać: powtarzać bez końca tę samą piosenkę, bez żadnych modyfikacji. W wagonie nie było okien. Mężczyzna naprzeciwko mnie miał wydatny tors, tęgi kark i głęboko osadzone oczy. Pociąg jechał głośno przez tunel, świszczął i ryczał w ciemności. Przez śpiew i terkot trudno było myśleć.



Trasa wokół plantacji była prosta, w sumie czternaście przystanków, ale ja musiałem przebyć tylko cztery: z siedziby głównej do konserwacji obiektów, z konserwacji obiektów do szwalni numer 1, ze szwalni numer 1 do szwalni numer 2, ze szwalni numer 2 do Osiedla Wolnych Białych. Spojrzałem za tęgiego mężczyznę o wydatnym torsie. Za jego plecami, tam, gdzie jedna metalowa płyta, z jakich zbudowany był wagon, stykała się z drugą, znajdowały się małe litery: USŁUGI PRODUKCYJNE STIPELY, LOUISVILLE, KENTUCKY. Tuż pod słowem „Kentucky” obluzowywała się jedna maleńka śruba – widziałem jej główkę, podobną do płaskiego srebrnego insekta, wystawała ze ściany wagonu niczym tajemnica. Wpatrywałem się w tę śrubę, gdy z kłopotem pędziliśmy naprzód.

Na pierwszym przystanku – konserwacja obiektów – wsiadła biała kobieta w średnim wieku ubrana w pomarańczowy kombinezon Biura Praktyki Pracy. Śpiew ustał, ale pociąg ruszył dalej, a ona szła środkiem, odliczając głowy przy użyciu małego ręcznego klikera, po jednym pstryknięciu na każdego z nas. Robiła to, w zamyśleniu gwizdząc pod nosem, tak jak można by robić, idąc wśród kur w kurniku. Nikt na nią nie patrzył. Nikt nie patrzył na nikogo innego. Po prostu śpiewaliśmy dalej. Ja wpatrywałem się w małą obluzowaną śrubkę.

- W porządku, moi drodzy – powiedziała kobieta pogodnie. – Dziękuję bardzo. – Następnie ruszyła do następnego wagonu.

W szwalni numer 1 wysiadło dziewięciu niewolników, a ich miejsce zajęło dziewięciu nowych. Nie spojrzałem na ich twarze.

Zamierzałem znaleźć Williama Smitha i zadać mu swoje pytania. Dowiedzieć się, gdzie jest paczka, spierdolić stąd – *Jak? Jak to wymyślisz?* – i po nią pójść.

Powinienem coś czuć. Powinienem być podniecony, powinienem cieszyć się okazją, która wreszcie nadeszła.

Ale tam, w wagonie, otoczony przez ludzi, którzy będą tym pociągiem jeździć wiecznie, gówno czułem. Chciałem tylko to załatwić. Załatwić to i zjeżdżać.

Między trzecią a czwartą stacją pociąg znów się zatrzymał.

- Włożyć ręce - poleciał głos przez interkom, a zanim zdążyłem się zastanowić, co to znaczy, przede mną i przed każdym innym w wagonie spadła i zadyndała para kajdan. Po jednej na pasażera, pojawiły się i zawisły jak maski tlenowe w samolocie, kiedy ciśnienie w kabinie gwałtownie się obniży. Poszedłem za przykładem pozostałych. Zrobiłem to, co oni. Uniosłem ręce i wsunąłem je do otworów. Kajdany zacisnęły się automatycznie, wznając mi się w nadgarstki. Wciąż miałem przepustkę, mój Tymczasowy Wewnętrzny Kompleksowy Certyfikat Podróżny. Trzymałem go mocno między kciukiem i palcem wskazującym.

Na obu końcach wagonu otworzyły się drzwi. Weszli dwaj mężczyźni, po jednym z każdej strony, czarni mężczyźni, tacy jak ten z peronu, który wyprowadził ponadczterdziestopięciolatka. Pomniejsi przedstawiciele władzy, jakkolwiek ich tu nazywano. Jeden z nich miał psa. Nosili mundury w tych samych kolorach co strażnik, który skontrolował mnie w holu, w tych samych co dywan w gabinecie Newella: bawełniana biel i błękit nieba.

- Dobra, panowie - odezwał się pierwszy, ten, który przyszedł z przodu. - Kto się dzisiaj czuje dobrze? - Był wyższy od drugiego, miał szeroki tors i ciemne, lśniące oczy. Miał zwawy, pobudzający ton głosu. - Kto się czuje dobrze?!

Wszyscy odpowiedzieli jednocześnie:

- Ja!

- Świetnie. Kto się czuje silny?

Tym razem byłem gotowy. Dołączyłem się.

- Ja!

Mężczyzna znowu kiwnął głową, rozpromieniony.

- Słuchajcie, wszyscy to wiecie: GGSI was kocha.

Wszyscy pasażerowie odezwali się chórem:

- Dziękujemy, GGSI.

- Słuchajcie, GGSI o was dba.

- Dziękujemy, GGSI.

Drugi nadzorca, ten na końcu, z zapalem potakiwał i bezgłośnie powtarzał wszystkie odpowiedzi. Stał, trzymając smycz psa. Jego uważna mina pasowała do wyrazu pyska zwierzęcia.

- Chcę was o coś zapytać, panowie. - Nadzorca, który prowadził to przedstawienie, oblizał wargi. Podskakiwał na piętach. Pies węszył. Bałem się tego psa. - Kto nam daje te ubrania?

- GGSI.

- Kto nam daje jeść?

- GGSI.

- Zgadza się. Śpiewajcie, bracia. Śpiewajcie ze mną.

I znów wróciliśmy do pieśni, do silnych rąk, ducha i pleców. Teraz, w obecności stróżów prawa, wszyscy śpiewali z wyraźnie większą werwą. Tymczasem dwaj nadzorcy szli wzdłuż wagonu, po jednym z każdej strony, sprawdzając wszystkim papiery. To wcale nie była czysta formalność - mieli długopisy, uważnie kontrolowali dokumenty, a wokół nich wciąż trwały śpiewy.

- Twoje w porządku. - Patrzyli każdemu w oczy, potem na przepustkę, i kiwali głową. - Twoje w porządku. Twoje w porządku.

Moja przepustka była niekompletna. Kiedy nadzorca po mojej stronie nadchodził, razem ze swoim psem, udało mi się dobrze przyjrzeć Tymczasowemu Wewnętrzkompleksowemu Certyfikatowi Podróżnemu mężczyzny siedzącego obok i zobaczyłem, jak Newell mnie wyruchał. Na przepustce tamtego, nie w jakiejś kratce, ale po prostu na samym dole, tam, gdzie był kawałek miejsca obok podpisu, znajdował się atramentowy odcisk kciuka. Na mojej, przypadkiem albo celowo, Newell go nie umieścił.

Wciąż śpiewałem. Rozwahałem opcje. Miałem skute rękę. Wpadłem w pułapkę, zamek się zatrzasnął. Nie było rozwiązania. Śpiewałem dalej.

Patrzyłem, jak nadzorca przesuwa się wzdłuż rzędu ludzi, patrzyłem, jak moja obłąkańcza gra dobiega końca. Wiedziałem, że powinienem się bać. Że powinienem czuć przerażenie człowieka, który znalazł się w pułapce.

Zamiast tego myślałem tylko: „Zawiodłem cię”, przelotne uczucie, jak modlitwa - ale nie byłem pewien, do kogo się modłę. Kogo zawiodłem?

Nadzorca stał teraz przede mną, omiatał wzrokiem moją twarz. Wyjął mi kartkę spomiędzy palców i przyjrzał się jej uważnie. Jego mina nie uległa zmianie, jego okrągłe policzki nie stężały.

- Jak dawniej łaskę swą daj - śpiewałem. - Boże, chroń GGSI.

Mężczyzna nieznacznie odwrócił się w kierunku drugiego nadzorcy, żeby sprawdzić, gdzie on jest, potem wziął moją przepustkę, a gdy włożył mi ją z powrotem do ręki, na dole widniał odcisk kciuka.

- Twoje w porządku - powiedział i poszedł dalej.

Kiedy skończyli, kajdany rozluźniły się nieco, na tyle, żebyśmy wysunęli ręce, ale wciąż dyndały i kołysały nam się przed oczami, kiedy pociąg szarpnął i ruszył dalej.

Następnym przystankiem było Osiedle Wolnych Białych, więc wysiadłem.

To jedna z tych chwil, o których wciąż myślę. Chryste, wciąż o niej myślę.

Próbowałem ją odegrać. Drobne, szybkie, niebezpieczne ruchy: szybko włożyć kciuk do ust i go wyjąć, przesunąć nim po podpisie Newella, przycisnąć umazaną opuszkę w rogu mojego dokumentu. Ukradkowe ruchy. Raz, dwa, trzy.

Myślę o tamtej chwili cały czas, o tym, jak miło byłoby powiedzieć „dziękuję”. Powiedzieć cokolwiek. Temu człowiekowi, który był mi obcy. Mojemu bohaterowi. Ucałowałbym go. Wracam myślami do farmy Bella, do Chicago, do tysiąca drobnych uprzejmości, którymi zbroiliśmy się przeciwko światu.

Strefę dziewiątą Osiedla Wolnych Białych było widać, gdy tylko otworzyły się drzwi pociągu - brzydki blok mieszkalny otoczony wysoką siatką z drutu. Ruszyłem tam czym prędzej, szybko, patrząc przed siebie, wysoko unosząc kolana. Przebiegłem obok wysokiej wieży strażniczej, biegłem z wyprostowanymi plecami, trzymając przed sobą swój dokument i myśląc: „Tak czy inaczej już prawie po wszystkim”.

Furtka w ogrodzeniu była otwarta. Kiedy ja wchodziłem, wychodziło stamtąd dwóch białych w zmiętych niebieskich ubraniach roboczych z symbolem GGSI, więc zszedłem im z drogi i spuściłem wzrok. Nie zwrócili na mnie uwagi. Osiedle Wolnych Białych składało się z budynków mieszkalnych z bladego piaskowca, takich ciasno stojących, niewyróżniających się domów, jakie widuje się na obrzeżach biednych miast – każde mieszkanie miało małe balkon na froncie, wychodzący na betonowe podwórko w dole. Cztery balkony na piętrze, pięć pięter w górę. Mieszkania jak klatki, jak szuflady w biurku z żaluzjowym zamknięciem, identyczne i wymienne, jak przegródki w ścianie.

Znalazłem budynek B i wcisnąłem dzwonek mieszkania numer 8. Musiałem stać spokojnie, musiałem zmusić ciało do bezruchu. Wcisnąłem dzwonek raz jeszcze i czekałem.

Przejrzeli go, myślałem. Williama Smitha. Uciekł. Nie żyje.

Ale kiedy ponownie nacisnąłem guzik, rozległy się kroki, ktoś pędził tysiąc kilometrów na godzinę, dudniąc, zbiegał po schodach.

- Przestań dzwonić – odezwał się zza drzwi stłumiony głos. – Przestań dzwonić!

Drzwi do korytarza gwałtownie się otworzyły. Człowiek podobny do szmacianej lalki, z chudą szyją i długimi, tłustymi włosami heavymetalowca, wytknął głowę na podwórko i rozejrzał się prędko.

- Włóż, człowieku. Włóż. Do kurwy nędzy, włóż!

## 8.

**Z Billym** Smithem było bardzo, bardzo niedobrze.

- O rany, o rany, o rany - powtarzał, mamrotał bez przerwy, cały czas kręcąc głową, zgrzytając zębami, przeczesując ręką tłuste włosy heavymetalowca. - O rany, o rany.

- Panie Smith, może usiądziemy? - zapytałem, pytałem kilka razy, ale on nie mógł albo nie chciał usiąść.

Kazał mówić sobie Billy, wszyscy mu, kurwa, mówią Billy, ale tylko tyle powiedział z sensem, przynajmniej na początku. Obserwowałem go z jednego z dwóch składanych krzeseł, a on palił papierosa i krążył po malutkim mieszkaniu jak tygrys w klatce, sypał za sobą popiół, przestępował i omijał styropianowe pudełka po jedzeniu i puste butelki po piwie. Billy nie przypominał żadnego kierowcy ciężarówki, jakiego w życiu widziałem: chudy i tyczkowaty, z nerwowym, rozbieganym wzrokiem, który stale uciekał w kąty pomieszczenia.

- Musisz im powiedzieć, człowieku, że mi, kurwa, przykro - powtarzał w kółko przez pierwsze kilka minut, które spędziliśmy razem, nieważne, o co pytałem, nieważne, od czego chciałem zacząć. - Musisz im powiedzieć, że mi, kurwa, przykro! Dobra?

- Jasne - odparłem. - Wiadomo. Ale posłuchaj. Billy.

- Powiesz im? Proszę.

Nie umiałem go zmusić, żeby zwolnił. Nie umiałem go zmusić, żeby mnie posłuchał. Billy działał na jakiejś płaszczyźnie poza moim zasięgiem. Powietrze w mieszkaniu było gęste i pachniało, cuchnęło wystraszonym człowieczkiem, nałogowcem, któremu skończyło się to, co pozwalało mu szorować po dnie życia.

- Zrobiłem, co mogłem, dobra? Przykro mi, rzeczy nie zawsze... Zrobiłem, co mogłem, dobra? - Odpalił kolejnego papierosa od tego ostatniego i gorzko pokręcił głową. - Nie wiem, po co się w ogóle wplątałem w ten syf. Naprawdę, poważnie, nie wiem. -

Zaciągnął się, drżał, pulsował. – Wszystko zależy od tego, kto ma dyżur na bramie, wiesz, i tam miał być Murph, ale go nie było, więc nic nie mogłem zrobić, przykro mi. Powiesz im? Powiesz?

– Panie Smith! – odezwałem się bardzo głośno, mocno uderzyłem dłonią w blat stołu i, nie wiedzieć czemu, to na niego podziałało.

Przestał się poruszać. Potarł palcami oczy, potrząsnął głową, a potem w końcu dobrze mi się przyjrzał: nagi tors, czarne spodnie, zielona opaska.

– Z którego ośrodka się wymknąłeś?

– Nie należę do tutejszej populacji, Billy. Jestem z zewnątrz.

– Pieprzysz. – Zrobił wielkie oczy. – Jak się tu dostałeś?

– Nie ma znaczenia.

– Jezu. Jezu Chryste, ja pierdolę. – Podbiegł do okna, powoli uniósł jedną żaluzję i wyjrzał na dwór, trzymając się za pierś. – Jezu!

No i ruszył, krążył po nowej ciasnej orbicie wokół mieszkania. Ten człowiek miał w głowie cały kosmos, jakąś mieszaną strachu i żalu oraz, jeśli się nie myliłem, początki głodu narkotycznego.

– Oni tu idą – powiedział. – Oni tu, kurwa, idą.

– Kto, Billy?

– Szefowie, człowieku. – Patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami. – Szefowie zawsze przychodzą, człowieku. To nie jest mój dom, czaisz? Mogą tu wejść, kiedy chcą. Mają takie prawo, co nie? To mój dom, wiesz, ale należy do nich. Czynniki idzie prosto z mojej pensji. Wszystko. Jedzenie. Woda. Gaz. Wszystko. – Nakręcał się, mówił szybko, milion nerwowych kilometrów na godzinę. – Mogą sobie wejść w każdej chwili. Mój ziomek Jackie Boy z budynku C... jego capnęli za porno. I to z czarnymi laskami, a oni tego, kurwa, nienawidzą. Z miejsca go wyjebali. Znałem jednego gościa z WB sześć... Bolo, Bowler, Bowser, jakoś tak... Trzymał woreczek koksu w zbiorniku kibla, wiesz? Wypieprzyli go natychmiast. Sprzedaliby go na platformę, gdyby tylko miał choć kroplę krwi czarnucha, bez jaj. – Billy wrócił do okna i zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na dwór. – Nie, człowieku, nie: oni tu mogą wejść, kiedy tylko chcą. To dlatego tak świruję,

wiesz? - Przemierzył pokój dwoma szybkimi krokami i usiadł naprzeciwko mnie, nagle i gwałtownie. - No to jedziemy, dobra? Co chcesz wiedzieć? - Uderzył pięścią w stół. - Co chcesz, kurwa, wiedzieć?

- Mówiłeś coś o Murphie. Kim jest Murph?

- Nikim, kurwa. Murpha nie było. Murpha, kurwa, nie było.

Murph to jeden z ludzi obsługujących bramę, ale kiedyś był kierowcą, tak jak Billy. Murph wisiał Billy'emu niejedną przysługę. Dzięki Billy'emu Murph naćpał się więcej razy, niż dało się zliczyć - „i zaruchał, człowieku, zaruchał i napierdolił się ze sto razy”. I to właśnie Murph w ostatnią niedzielę wieczorem miał kontrolować kierowców na punkcie wyjazdu pojazdów ciężkich. Ciężarówki i ich kierowców sprawdza się oddzielnie, wyjaśnił mi Billy w swoim szczególnym stylu. Ciężarówki są przeszukiwane podczas załadunku, a potem ponownie, przez zupełnie inny zespół, przed zapieczętowaniem. Załadowane przyczepy holuje się do jednego z siedmiu PWPC, gdzie podczepia się je do ciągników. To tam przychodzą kierowcy, do PWPC, to tam otrzymują przepustkę, zanim wsiądą do kabiny.

- Poważnie - powiedział gorzko Billy i wydmuchnął z sykiem długą smugę dymu. - Nie wiem, jak się wpieprzyłem w ten syf.

Może on nie wiedział, ale ja miałem pewne przypuszczenia. Ada domyślała się, że zdecydował seks - dwie ponętne pielęgniarki abolicjonistki - ale patrząc na Billy'ego, jak się zaciąga, drga, pulsuje, uznałem, że musiało chodzić o narkotyki.

- Wszystko zależy od tego, kto przeszukuje, wiesz, a to powinien być Murph. Ale miałem tę jebaną kopertę. Trzymałem ją.

Billy'ego poinstruowano, żeby zostawił kurtkę przewieszoną przez balkon - budynek ósmy, drugie piętro - a potem on ją wkłada tamtej niedzieli i proszę bardzo: w kieszeni jest miękka koperta. Normalnie nikt nie zbliżyłby się do PWPC z czymkolwiek przypominającym kontrabandę, tylko że tego wieczoru miał tam być Murph - cały plan zależał od jego nieuwagi. A potem Murph złapał grypę.



- Uwierzysz? - Jeden papieros do popielniczki, nowy odpalony. - Grypę, kurwa.

A tymczasem Kevin jest w fatalnej kryjówce: w beczce gówna, beczce krwi, beczce przypiętej do platformy ciężarówki. Ciężarówka szarpie, koła turkoczą, wokół niego chlupocze płyn, otacza go chora, ciasna, ciemna przestrzeń. A potem, po tylu kilometrach, Billy wyciąga go z ciężarówki na myjni. Kevin jest gotowy na połączenie lotnicze - a gdzie Luna? Gdzie paczka?

- Billy?

- To był po prostu pech.

- Billy!

- Pieprzony pech.

- Billy, gdzie to jest?

Zmrużył oczy i spojrzał na mnie.

- Co?

- Paczka, panie Smith. Chcesz mi powiedzieć, że w ogóle nie opuściła plantacji? Chcesz mi powiedzieć, że ciągle tu jest?

- Tak, jest tutaj. - Był bliski łez. Patrzył na mnie z otwartymi ustami. Przyciskał brudne palce do skroni. - Właśnie to chcę powiedzieć: jest tu. - Wstał gwałtownie, tak szybko, że się zachwiał i prawie przewrócił. - Trzymam ją, kurwa, w lodówce.

Mój bilet do wolności dokładnie odpowiadał opisowi.

Miękka koperta, trzynaście na osiemnaście centymetrów. Gruba na centymetr. Z przodu logo GGSI, a z tyłu inicjały Kevina. Przesunąłem czubkiem palca wskazującego po jego odręcznym piśmie.

Nie czułem nic. Położyłem dłoń na kopercie i czekałem na przyływ emocji, których się spodziewałem: marzenie o nowym życiu w Małej Ameryce, drzewa klonowe, zamarzniete jezioro i dym z komina mojego drewnianego domku.

Koperta wydawała się niczym. Wydawała się małą paczką, trzynaście na osiemnaście centymetrów, z lekkim zgrubieniem pośrodku.

Co za szaleńczo odważny chłopak. Jackdaw, urodzony jako Kevin. Co za jaja. Cały czas okłamywał tych pieprzonych

nawiedzonych głupców. „Idźcie po tą dziewczynę, to wam powiem, gdzie schowałem waszą jebaną kopertę”. Nigdy jej nie miał. Nigdy jej, kurwa, nie wziął do ręki.

To był tylko dziki blef. Nabrał Bartona, nabrał mnie, nabrał wszystkich, a wszystko po to, żeby wyciągnąć tę swoją Lunę.

A teraz nie żyła. A teraz nie żyła.

Ja zaś znalazłem się wewnątrz jego świata, znowu go opłakiwałem, tego szalonego, dzielnego chłopaka: on leżał tam martwy w wodzie, a ja byłem tutaj.

Billy Smith stał nade mną, drgał, kołysząc się na piętach, trzymał ręce w powietrzu, dyszał ciężko.

- Tak, człowieku, chętnie się tego pozbędę. Poważnie. Złe sny przez to mam. Kurewsko złe sny.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Jego oddech był gorący i nieświeży. - Kojarzysz tę babkę? Tę, co ją zastrzelili? To mi się śniło, człowieku. Noc wcześniej. Składała to swoje, wiesz, zeznanie, nie? W moim śnie. Przy długim stole z mikrofonami. I ci wszyscy brzydki faceci się na nią gapili. Wiesz, ci z flagami w klapach marynarek.

Stałem naprzeciw Billy'ego, trzymając kopertę, czując jej niewielki ciężar w dłoni.

- Wszyscy, kurwa, świrowali, wyzywali ją od najgorszych, od kochanki czarnuchów i tak dalej, a potem ktoś po prostu podszedł od tyłu i... - Billy ułożył palce w kształt pistoletu, skrzywił się i strzelił. - Łup, odstrzelił jej łeb, rozumiesz? To było w moim śnie. Śniło mi się, a następnego dnia pokazali to, kurwa, w wiadomościach!

Wetknąłem kopertę za pasek spodni, z tyłu, na plecach. Wciąż czekałem, aż coś poczuję - dreszczyk szansy, euforię zwycięstwa. Czekałem, aż poczuję, że nadchodzi moja przyszłość.

- Dobra, człowieku, no to, kurwa, jak? - zapytał Billy. - Ktoś po ciebie przyjedzie? Masz coś zaklepane?

- Nie.

- Co? To co ty... jak ty się stąd wydostaniesz?

- Coś wykombinujemy, Billy - odparłem. - Coś wykombinujemy.

- My? - Wybałuszył oczy osadzone w wąskiej twarzy. - O nie, kurwa, o nie. Ni chuja.

Przepychaliśmy się tak przez chwilę, Billy i ja. On próbował uświadomić mi coś, co już wiedziałem, co pewnie wiedziałem znacznie lepiej niż on: że to niemożliwe. Ludzie próbowali wszystkich sposobów, człowieku, powiedział. Dawali się pakować do skrzyń. Zaszywać w fotelach. Zawijać w towarze załadowanym na palety. Chowali się w silniku. Czepiali się podwozia.

- Jackdaw się wydostał - odparłem. - Ty go wyciągnąłeś.

- Tak, ale to było zaplanowane. Słyszysz, co do ciebie mówię, człowieku? Rok to, kurwa, planowali. Byłem w to zamieszany, a sam nawet nie wiem, ile nad tym myśleli. Więc co ty chcesz zrobić? No co? Wyjechać sobie, kurwa, w szoferce?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Choć ta opcja rzeczywiście była wśród tych, które rozważałem. Była na liście, którą pisałem i poprawiałem w umyśle, na której rozwiązania układały się w kolejności prawdopodobieństwa. Mogłem wziąć Billy'ego jako zakładnika albo udać, że to robię, wystrugać drewniany pistolet z nogi jego kanapy, zrobić bombę z części lodówki, przypiąć mu ją do piersi i oznajmić tym przy bramie, że go zabiję.

W tym planie było tyle wad, tyle pytań.

Przeanalizowałem całą mapę terenu, pomyślałem o budynkach przylegających do jego obrzeża. Co z Instytutem Innowacji Rolniczych? Co z czarnym budynkiem, który stał za nim? Był oznaczony jakoś inaczej, był odrębny. Przyszło mi do głowy, że tak oznaczony budynek może działać niezależnie, może mieć własny system wejść i wyjść.

Wady i pytania. Pytania i wady.

Wstałem. Minął kwadrans, potem półgodzina. Wykonywałem własną wersję tańca Billy'ego, krążąc w kółko po niewielkiej przestrzeni, a tym razem to on siedział i patrzył, jak myślę.

Podziemne tunele. Wozy dostawcze. Parking dla pracowników.

Wyrzależem przez okno. Nad plantację zachodziło słońce, cienie kładły się na betonowym podwórku, a jaskrawozielone trawniki za płotem robiły się coraz ciemniejsze, kiedy w mojej głowie zaczął się wykluwać prawdziwy plan – nie był to dobry plan, nic z tych rzeczy, ale chyba najlepszy ze wszystkich złych.

– Billy, wolno ci wychodzić do miasta, jeśli masz ochotę?

– Jasne. Wiadomo. No pewnie. – Przyględał mi się uważnie zza stołu, z papierosem dyndającym z kącika ust. – Nie jestem niewolnikiem, człowieku. Muszę się tylko wpisać na listę przy wyjściu, powiedzieć, dokąd idę i o której wrócę, a potem wpisać się na wejściu.

– Dobrze. – Kiwnęłam głową. To już coś. Usiadłem naprzeciwko Billy'ego. – Pojedziesz do miasta, znajdziesz automat telefoniczny i zadzwonisz pod numer, który ci dam. Powiesz dokładnie to, co ci każę, a człowiek w słuchawce odpowie: „w porządku”. Potem nie będziesz się ruszał z miejsca. Dziesięć minut później rozlegnie się alarm Turnera.

– Co? Co ty, kurwa, gadasz?

– Posłuchaj. Zadzwonisz pod ten numer – podałem numer w Marylandzie, mojego człowieka wewnątrz systemu, deus ex machina – i wtedy włączy się alarm Turnera. Wszystko tu pozamykają i wyślą wozy.

Alarm stanowił element systemu Turnera. To system obrony wzajemnej. Każda plantacja w każdym hrabstwie Twardej Czwórki musiała utrzymywać pojazd opancerzony zwany wozem Turnera, a wraz z nim mały oddział uzbrojonych strażników, których można wysłać do innych plantacji, gdyby wybuchło tam powstanie – zgodnie z założeniem, że zagrożenie jednej plantacji to zagrożenie dla wszystkich. Nazwę system zawdzięcza oczywiście Natowi Turnerowi, niewolnikowi z Wirginii, który w 1831 roku wraz z towarzyszami wymordował pięćdziesiąt parę osób, chociaż sam system stał się powszechny dopiero po tak zwanej rewolcie Starmana w Karolinie w 1972 roku.

– I co, rozumiesz? – zapytałem Billy'ego. – Rozlegną się syreny i wyjedzie wóz.

- A co potem? Gdzie ty będziesz?

- Ja będę w tym wozie.

Ten plan nawet mógł się udać. Oczywiście wciąż pozostało do ustalenia parę spraw - jeszcze jedna podróż pociągiem, jeszcze kilka powtórzeń „Te silne ręce są twoje”. Jeszcze kilka sztuczek, lecz byłem gotów spróbować, i Billy chyba też, ale potem jednocześnie rozbrzmiały wszystkie możliwe dźwięki.

Łopot wirnika śmigłowca. Ryk silników kilkunastu szybko nadjeżdżających pojazdów. Trzask drzwi samochodów, tupot butów na schodach. Koszmar Billy’ego na jawie.

Krzyknąłem do niego i obejrzałem się przez ramię, biegnąc do okna, ale Billy zemdłał - leżał nieprzytomny. Okno nie wchodziło w grę. Drzwi poszły w drzazgi. Kilkunastu ludzi krzychało: „Stój!”, krzychało: „Na ziemię!”, krzychało: „Na ziemię, czarnuchu!”. Las luf. Ja na kolanach. Wykonywałem polecenia: ręce w górze, dłonie splecione za głową, głowa w dół...

Nie miałem pistoletu. Nie miałem noża. Miałem tylko tę kopertę, trzynaście na osiemnaście centymetrów, miękką i oznaczoną. Wyrwano mi ją i pociągnięto mnie po schodach.

## 9.

**Wiedziałem**, że znajduję się pod ziemią, ale to właściwie wszystko, co wiedziałem.

Byłem sponiewierany. Wyciągnięto mnie z Osiedla Wolnych Białych, skopano, tłuczono pałkami i wsadzono do wozu opancerzonego. Przepchnięto przez jakieś drzwi i wrzucono do windy. Ten sam producent co w siedzibie głównej, zauważyłem tępo. Murdock Elevators z Murdock w Luizjanie. Ktoś przyłożył mi do brzucha paralizator, poraził mnie i upadłem.

Teraz leżałem na stalowej podłodze. Miałem bolesne sińce na rękach i nogach. Metal, na którym leżałem, był zimny. Ja byłem nagi. Skuto mi dłonie, skuto mi stopy, łańcuch przeciągnięto przez jedno i drugie kajdany, a następnie przez kółko przyśrubowane do podłogi.

Parę razy traciłem i odzyskiwałem przytomność.

Za kogo ja się miałem? Wyobrażałem sobie, że wyjdę stąd tanecznym krokiem? Wyjadę w szoferce, jak mówił kierowca?

Za kogo ja się miałem?

Przez pewien czas wydawało mi się, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze. Ciemna sylwetka skulona w kącie.

- Czy to ty? - zapytałem nawet, szepcząc, z respektem, ale potem udało mi się obrócić głowę i nikogo tam nie było. Byłem sam.

Kiedy jednak znowu się ocknąłem, usłyszałem czyjś oddech. Płytki oddech i lekkie stukanie - stuk, stuk, stuk.

- Obudziłeś się?

Poruszyłem się, zadzwoniły łańcuchy.

Mężczyzna, który się odezwał, kimkolwiek był, znajdował się na drugim końcu pomieszczenia. Wciąż wydawał ten cichy dźwięk, stuk, stuk, stuk.

Obróciłem głowę, zwalczyłem spazm bólu i zobaczyłem go. Był razem ze mną w klatce, opierał się o grube stalowe drzwi, miał skrzyżowane ramiona, znudzoną minę. W jednej ręce trzymał moją kopertę, kopertę Kevina, trzymał ją na osiemnaście, z lekkim zgrubieniem pośrodku. Trzymał ją w prawej dłoni i stukał nią, stuk, stuk, stuk, o lewy biceps.

Mężczyzna był mi znany, ale nie potrafiłem go skojarzyć. Szeroki kark, bardzo blada skóra. Matowe spojrzenie.

- No już - powiedział. - Wstawaj.

Przypomniałem sobie, gdzie go widziałem. Fountain Diner, mój pierwszy posiłek w Indianapolis. Partner Cooka, ten o szerokim karku i czerwonej twarzy. Posterunkowy Morris, który nie kapnąłby się, że się pali, chyba że jakaś ładna babka by mu powiedziała. Czyli chyba ktoś mu coś powiedział.

- Wstawaj - powtórzył. - Pora iść.

Część trzecia

# PÓŁNOC



*Kompromis nie jest najgorszym z grzechów, ale najpracowitszym. Jedynym, który popełniamy wszyscy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedem dni w tygodniu.*

— wielebny Kevin Shortley,  
*O rzeczach koniecznych*, 1982

*Nie jesteś sam  
Z tobą jestem ja  
Choć dzieli nas cały świat  
Przy tobie będę stać*

— Michael Jackson,  
*You Are Not Alone*, 1994

# 1.

## **Kolejny pokój** hotelowy.

Może motelowy. Nie wiem. Morris jechał przez jakiś czas, mętny zbiór ciemnych godzin, ze mną na tylnym siedzeniu nieoznakowanego srebrnego sedana, do którego mnie wepchnął, trzymając za głowę, a potem zobaczyłem neon z napisem WOLNE POKOJE. Zobaczyłem przysadzisty parterowy budynek, po czym stanąłem przed drzwiami z numerem 4. Kolejny brzydki pokój hotelowy z widokiem na kolejny opuszczony parking w kolejnym niewidzialnym mieście.

Morris zapukał do drzwi z numerem 4, a otworzył mu Willie Cook - Cook z tym swoim uśmiechem rekina, z tańczącymi oczami. Nie był w mundurze, miał podwinięte rękawy, żuł gumę, a ręce podniósł, jakby witał starego przyjaciela.

- No dobra - powiedział. - Udało ci się.

- O Boże - odezwała się za nim Martha. - O mój Boże...

Jej głos przypomniał mi o tym, jak muszę wyglądać, sponiewierany, obandażowany, skuty.

Cook, nie odwracając się, rzucił:

- Ty się nie ruszaj, mała.

Patrzyłem, jak Martha powoli siada z powrotem na krawędzi łóżka. Ułożyłem usta w uśmiech. „Wszystko dobrze”, pomyślałem najgłośniej, jak się dało. „Wcale nie jest tak źle, jak to wygląda”. Morris zdjął mi przynajmniej kajdany z nóg. Przynajmniej znowu miałem na sobie spodnie.

Pozwoliłem, żeby Morris wepchnął mnie do pokoju, i stanąłem tam, gdzie mnie postawił: przed koślawym hotelowym stoliczkiem między częścią kuchenną a sypialną. Cook usiadł na jedynym krześle przy tym stoliku i położył nogi na blacie jak człowiek pracy odprężający się po ciężkim dniu. Na blacie znajdował się też rewolwer - nie jego służbowa broń, ale jakiś krótkolufowy -

oraz laptop z wygaszaczem ekranu z wyścigu Indy 500: kolorowe samochody poruszały się po geometrycznych trasach na uśpionym monitorze.

Morris rzucił Cookowi kopertę, a ten ją złapał, trzymał przez chwilę i położył na stole. Jego duży złoty szkolny pierścień stuknął głucho w tanie drewno.

- No dobra - powiedział znowu. - Niezła robota.

Morris wziął sobie piwo, a potem usiadł z westchnieniem na zbyt mocno wypchanym fotelu przy oknie. W jednej ręce trzymał butelkę, w drugiej służbową broń wycelowaną w Marthę.

Dziewczyna nie wyglądała dobrze. Sprawiała wrażenie na wpół oszalałej ze zmęczenia i dezorientacji. Przynajmniej nie miała żadnych sińców na twarzy, żadnej krwi w kącikach ust. Jej oczy były ciemne i spanikowane, wzrok skakał z Morrisa na Cooka, z Cooka na mnie.

Boże, powinna była uciec. Powinna uciec ode mnie w Indianapolis, w Green Hollow, w Garments of the Greater South, powinna była uciec. Powinna uciec ode mnie już milion razy.

- Nie rozumiem - powiedziałem do Cooka. - O co tu chodzi? Co ona tu robi?

Nadmuchał balona z gumy, przebił go zębami.

- Zapomniałeś?

- O czym?

- O twojej smyczy. O laptopie księdza Bartona śledzącym twoje ruchy. - Ten sam laptop stał teraz obok rewolweru na stole.

- Nie zapomniałem - odparłem. - Ale rozumiałem, że po odzyskaniu zaginionej przesyłki miałem wrócić prosto do Indianapolis i oddać ją księdzu Bartonowi.

- Aha. Rzeczywiście taki był plan.

Pytania opornie wydostawały się na powierzchnię mojego umysłu, jedno po drugim, a potem wszystkie razem, jak zwierzęta wyłaniające się z błota. Czy oni od początku wiedzieli, że zamierzałem ich zdradzić, przekazać tę cholerną kopertę marszałom? Czy przejrzał mnie tylko posterunkowy Cook, czy

również ksiądz Barton? I co z Morrisem, który, jak mówił mi Cook, nic nie wiedział o jego działalności w Liniach Lotniczych – jak to możliwe, że teraz biegał na posyłki, no i w jaki sposób? Jak zyskał władzę pozwalającą wyciągnąć człowieka z otchłani megaplantacji?

Na głos wypowiedziałem jednak tylko jedno pytanie, jeszcze raz to pierwsze:

– Co ona tu robi?

– Jest naszym ubezpieczeniem – odparł Cook. – Żebyśmy dostali to, czego nam potrzeba. – Obrócił się na krześle i wskazał na Marthę. – Powiedz mu, kotku.

– Mają go – odezwała się. Jej głos brzmiał tak, jakby dobiegał spod wody. – Mają Lionela.

Odwróciłem się z powrotem do Cooka. Właśnie naciskał językiem swoją gumę do żucia, rozciągał ją w cienką różową membranę.

– Dlaczego? – zapytałem. – Dlaczego?!

– Spokojnie, chłopcze – rzucił Morris, kierując broń z Marthy na mnie. – Uspokój się.

Martha wstała, z dłońmi zaciśniętymi przy ciele, więc znowu w nią wycelował.

– Ty też.

– Proszę – powiedziałem do Marthy. Próbowałem ją uspokoić. Siebie też. O cokolwiek tu chodziło, ci goście raczej nie żartowali.

– Proszę. Usiądź.

Jakby Marcie tego wszystkiego było mało. Zaledwie parę godzin wcześniej dowiedziała się o Samsonie, a teraz coś takiego. Usiadła na skraju łóżka, odchyliła głowę do tyłu i patrzyła na sufit, a blask księżyca padający nierówno przez żaluzję oblewał bok jej twarzy, czyniąc ją starą i smutną.

– Wiozłem ją do was – powiedziałem do Cooka. W żołądku kwitło mi nowe, mroczne uczucie, wypełniało mnie niczym krwotok wewnętrzny, i wiedziałem, że ten mrok słychać w moim głosie. – Wiozłem tę kopertę do was wszystkich.

- Oczywiście, że wiozłeś - odparł. - Oczywiście. - A potem nowy temat, tak na marginesie: - Wiesz, nigdy mi nie wspomniałeś, jak się nazywa ten twój człowiek. To znaczy twój agent. W Marshals Service.

Och, Martho, pomyślałem. Och, Martho. Teraz jeszcze to.

- Bridge - powiedziałem cicho. - Louis Bridge.

- Aha. No proszę. - Cook strzelił gumą. - Bo tak sobie myślałem, że śmiesznie by było, gdybyśmy mieli tego samego człowieka.

I oto ona. Odpowiedź. A nawet wiele odpowiedzi, które przyszły razem, wszystkie naraz.

- To znaczy, mój człowiek to babka. - dodał Cook. - Zastępczyni marszala Shawna Lawler. Nigdy jej nie poznałem, ale przez telefon brzmi cholernie seksownie. Jeśli kogoś kręcą białe kobiety.

Zerknął w stronę Marthy.

- Nic nie... - odezwała się. - Nic nie...

Znowu wstała, więc Morris warknął:

- Siadaj!

A ona zapytała:

- O czym on mówi?

- Ja i ten twój chłopak, Jim czy Victor, czy... jak do niego mówisz? Brother. Podoba mi się. Ja i Brother jesteśmy tacy sami. Mamy ten sam mały sekret. - Z powagą wstał od chwiejnego motelowego stolika, powoli wycelował we mnie palec i wyrecytował: - Złodziej czarnuchów. Łapacz dusz. Człowiek rządu. - Opuścił palec i usiadł. - Zupełnie jak ja.

Czekałem, aż Martha powie coś jeszcze, cokolwiek, ale nie odezwała się. Mogła powiedzieć: „Nie wierzę w to”, mogła powiedzieć: „To nie może być prawda”, ale z jej kąta pokoju nie dobiegło ani jedno słowo.

Nie spojrzałem na nią ponownie. Nie mogłem już na nią patrzeć.

Przynajmniej Cook przestał się uśmiechać. Te wszystkie uśmiešky i mrugnięcia okiem, ta cała poza cwane go światowca, zniknęły w jednej chwili. Bez tego uśmiechu Cook wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Siedział sztywno na krześle, a jego

twarz stała się zmęczona, zamknięta, w jego oczach był smutek, przypominał ciemną wodę ledwo widoczną pod taflą morza.

Zastanawiałem się, jak ja teraz wyglądam, kiedy wreszcie przestałem się starać – kiedy niczego nie udaję. Zastanawiałem się, jak wyglądam w tym małym pokoju, sam z tym, co powiedział Cook, z tym, że prawda o mnie w końcu wyszła na jaw.

- Uwierz mi, chłopie, wcale mnie to nie cieszy – powiedział Cook niskim głosem. – Nic z tego mnie nie cieszy. Ale jesteś moją szansą, rozumiesz? Jesteś moją szansą. – Znowu wstał i mówiąc, pochylał się nad stołem. Tłumacząc, próbując tłumaczyć. – Mam tylko zdobyć tajemnice Bartona. Takie jest moje zadanie: zdobyć jego sekrety, a będę wolny. Taki jest układ. Dwa lata nad tym pracuję i dwa lata on mnie trzyma na samym dole drabiny. Jako chłopca na posyłki, goryla, czy inne gówno. Dwa lata. – Podniósł rękę i rozłożył dwa palce. Potem gwałtownie odwrócił się do Marthy. – A potem pojawił się twój przyjaciel. – Nie spojrzałem na nią. Nie mogłem. – Smutny, mamrotliwy Jim Dirkson, gadający o żonie w kopalni. To była moja szansa. Wmusiłem cię księdzu: zróbmy to, ja poprowadzę. Naucz mnie, ojczy. To była moja szansa, żeby poznać jakieś tajemnice, dostać się do środka. Agentka Lawler cały czas powtarza: zdobądź, co nam potrzebne, i będzie po sprawie. Będziesz wolny.

Ilekcroć wypowiadał to słowo, „wolny”, było mi niedobrze. Boże, co oni zrobili z tym człowiekiem. Co zrobili ze mną. Zmienili nas w potwory, przyczajone, wężące okazję.

- Ale potem ty – wycelował we mnie palec i nim pokiwał – ty okazałeś się tym, kim jesteś. Okazałeś się taki jak ja. A ja wtedy: zaraz, zaraz! To nawet lepiej.

Morris beknął, głośno i przeciągle. Rozparł się w fotelu i znudzony wykonywał obowiązek strażnika, z pewnością siebie białego mężczyzny, który nadzoruje czarnego i kobietę. Wpatrywałem się w Cooka, przypominałem sobie jego podniecenie tamtego ranka nad brzegiem White River. Kevin leżał martwy, Maris był wściekły, Barton rozpaczał, Cook chwycił okazję. Ja miałem wtedy swoje objawienie, a on miał swoje.

- Wytłumaczyłem Bartonowi, że powinien cię wysłać po tą kopertę. Opowiedziałem, że możemy śledzić twojego chipa, że mam solidną wtykę u marszałów. A potem zadzwoniłem do agentki Lawler.

Ja dzwoniłem do Bridge'a, wysyłając go na lotnisko, a Cook - czy jak ten człowiek się nazywał - dzwonił do Lawler. W Gaithersburgu urywały się telefony.

- Powiedziałem jej: słuchaj, kotku, pamiętasz te dowody, na które Barton jest taki napalony? Co ty na to, żebym ci je załatwił? Nielegalna zmowa. Poważne naruszenia prawa federalnego. No, spodobało jej się. Była zachwycona.

Nie było sensu tłumaczyć Cookowi, że jego agentka chciała zdobyć dowody w tym samym celu co mój agent: żeby się ich pozbyć.

- I jeszcze lepiej, powiadam. Co ty na to, mówię, że skołuję ci jednego takiego skurwysyna jak ja, takiego złodzieja czarnuchów, tyle że ten przeszedł na ciemną stronę? Pracuje jako wolny strzelec dla Linii Lotniczych. Co będzie, jak ci to wszystko skołuję? Jak to dostaniesz, to wtedy będziesz mnie musiała puścić wolno, no nie? Wtedy puścisz mnie wolno.

Podniósł kopertę ze stołu, a ja byłem zaskoczony bólem, który nagle poczułem. Czuję, jakby to była część mojego ciała, jakby trzymał w ręku moje serce. Na samą myśl, że przesyłka wróci teraz do Marylandu, że pogrzebią ją marszałowie, po tym wszystkim, co przeszedł Kevin, żeby ją zdobyć, co przeszła Luna. A nawet ja. Ale przecież od początku miała tam trafić, prawda? Ani przez chwilę nie zamierzałem jej przywieźć księdzu Bartonowi, żeby ogłosił jej zawartość całemu światu.

Jednak w świetle oświadczenia Cooka zacząłem opłakiwać tę alternatywną przyszłość, tęsknić do zwycięstwa, którego tak naprawdę nigdy nie rozważałem.

- No więc tak się sprawy mają, chłopie - powiedział Cook. - Wyjmiemy z koperty ten dysk twardy i podłączymy do laptopa. - Wskazał komputer na stole. - Żeby sprawdzić, czy aby nie zrobiłeś jakiegoś szacher-macher, jak mawiał mój tatko.

Upewnimy się, że mamy to, co myślimy. A potem zadzwonię do agentki Lawler.

Oderwał górę koperty. Podniosłem rękę, dzwoniąc łańcuchami.

- Ale zaczekaj. Co, jeśli Barton ma rację? - zapytałem. - Jeśli na tym dysku rzeczywiście są informacje, które mogą... - Jakie to były słowa, te obłąkane, pełne nadziei słowa? - Wstrząsnąć fundamentami? Zmienić świat? Po prostu... co wtedy?

- Daj spokój - odparł. - Barton pieprzy od rzeczy.

- Tak, wiem. Wiem. - Zrobiłem krok w stronę Cooka, kątem oka obserwując Morrisa. - Ale mówimy o przyszłości. Przyszłości tego kraju. Mówimy o trzech milionach niewolników.

Wtedy Cook powiedział coś znajomego, coś, co sam czułem - i to wcale niedawno.

- Ja nie myślę o trzech milionach - powiedział. - Ja myślę o sobie.

- Czekaj...

- Ej... Ej! - Otworzył kopertę. Wyjął to, co było w środku. Podniósł wzrok na mnie. - Co, do chuja?

Ruch z drugiej strony pokoju, Morris wstawał z fotela.

- Co to jest?

Wszyscy wpatrywaliśmy się w to, co Cook trzymał w dłoni, a potem nagle ruszyła się Martha. Podniosła się z łóżka tak samo, jak Morris podniósł się z fotela, szybko, jakby to zgrali. Złapała butelkę piwa Morrisa i rozbiła ją o krawędź stołu, robiąc z niej broń, która zaskoczyła Morrisa w pędzie, więc właściwie on sam wbił sobie jej potłuczone krawędzie w brzuch.

Wrzasnął, kiedy Martha wbiła butelkę głębiej, a ja rzuciłem się naprzód, podrywając stolik na Cooka i pchając go na ścianę, tak że mocno uderzył w nią głową i na nas obu posypał się tynk.

- Szlag by to - warknął Cook i sięgnął po rewolwer, który pojechał po blacie, ale w momencie, gdy złapał broń, ja chwyciłem go za rękę.

Walczyliśmy o nią, kiedy nagle przez ramię usłyszałem krzyk Marthy:

- Cholera! Gnoju!



Podskoczyłem gwałtownie, ściągnając nasze ręce ze stołu. Cook ścisnął pistolet, a ja ścisnąłem jego palce, i obaj wrzeszczeliśmy. Morris jedną ręką trzymał się za ranę w brzuchu, ale w drugiej miał swój pistolet i próbował wziąć na cel Marthę, która właśnie wtoczyła się za łóżko.

Wykręciłem Cookowi palec, a wystrzał zabrzmiał w tym małym pokoju jak eksplozja. Morris upadł, ale w locie zdążył jeszcze raz do mnie strzelić. Nie poczułem kuli – nie poczułem jej, bo nie trafiła we mnie, ale w Cooka, z jego gardła trysnął gejzer krwi, a oczy zrobiły się wielkie i białe, wielkie jak oczy Castle’a. Jak jego oczy w ciemności, w deszczu. Ogromne oczy, patrzące błagalnie. Castle chciał wrócić i pomóc Reedy’emu, ale powiedziałem, że nie możemy zawrócić, ja też się bałem, ale szansa już by się nie powtórzyła, nie taka. Reedy umierał, deszcz walił, a słupek ogrodzenia był obluzowany, widziałem, jak się obluzował, i to była nasza jedyna szansa, jedyna szansa, jaka się nam trafi. Powiedziałem Castle’owi to, co mówił mnie, co mówił mi tyle razy, że my jesteśmy inni, że czeka nas coś więcej, a on odparł, że jak zginiemy, to na pewno nie! Jak nas złapią podczas ucieczki i ubiją albo sprzedadzą na platformę! Bał się, ja to rozumiałem, ale ja też się bałem, do cholery, tylko że to nie miało sensu, żeby tak stać i się kłócić, musieliśmy lecieć, musieliśmy lecieć, kurwa! Złapałem go za szyję i powiedziałem, że lecimy, a on znowu, że nie, opierał się i mnie odpychał, więc ścisnąłem go za gardło, oczy zrobiły mu się wielkie, a potem jeszcze większe, aż w końcu przestał walczyć, a ja uciekłem, uciekłem sam. Deszcz zmył ze mnie krew, kiedy biegłem, i zasłużyłem sobie na wszystko, co mnie od tamtej pory spotkało.

- Nie żyje – mówiła Martha. Krzyczała. - Victor! Brother! On nie żyje. Za późno.

Cook leżał pode mną. Byliśmy na ziemi. Przyciskałem ręce do jego szyi, próbując tamować krew, wepchnąć ją z powrotem. Próbowałem go uleczyć, ale jego oczy były otwarte, nieruchome, białe.

Bardzo wolno go puściłem. Krew miałem wszędzie, krew na dłoniach, na całych rękach, na nagim torsie. Wstałem. Pokój był cały w czerwieni.

- Dobrze - mówiła Martha. Trzęsła się. Ja też się trząsałem. - Dobrze. Dobrze. Dobrze.

## 2.

**Stopnie** pomnika były szare i śliskie od deszczu.

Stałem pod posągiem Męczennika, trzymając ręce w kieszeniach. Nie paliłem papierosa. Nie odchyliłem głowy do tyłu, żeby poczuć krople na policzkach. Nie ruszałem się. Stałem pod Starym Abrahamem, po cichu bawiąc się zieloną opaską, którą wciąż miałem na nadgarstku. Nie robiłem nic, tylko czekałem.

Ulice były właściwie puste. Roześmiane głosy niosły się raz po raz od strony zagłębia barów przy Georgia Street jakieś pół kilometra dalej. W głębi Market Street zobaczyłem wspartą na sobie parę, która chwiejnie wsiadała do taksówki.

Ale tak późno w nocy wszystkie sklepy i biurowce pierścieniem okalające Monument Circle były zamknięte. Tu, w samym środku miasta, o tej godzinie byłem tylko ja, tylko ja i podobizna Lincolna. Obaj byliśmy podobiznami.

No i co konkretnie czuł Victor, stojąc tam i czekając? Co ze Starym Victorem – co się działo w jego głowie?

Nie wiem. Byłem wyzuty z emocji, wymył je ze mnie deszcz. Pewnie istnieje wersja tej historii, w której stoję tam i rozpiera mnie radość. Może powinienem był płakać, strużki łez powinny żłobić moje kamienne policzki. Monumentalne. W jakiejś innej rzeczywistości mogły mnie nawet od środka sieć brzytwy żalu.

Ale nic z tych rzeczy, nie dla mnie. Tylko stałem, tylko czekałem, skulony, owinięty płaszczem, z rękami głęboko w kieszeniach.

W jednej miałem broń, luźny ciężar w głębi kieszeni.

W drugiej zaciskałem prawą dłoń na naddartym rogu koperty, na zmianę zwijałem go i rozwijałem.

W górze, na niebie, widziałem niewyraźny, brudny zarys księżyca. Nade mną, w cieniu, gigantyczna twarz Abrahama

Lincolna patrzyła z dezaprobatą na miasto, na kraj, na te wszystkie niedokończone sprawy.

- Victor?

- Tak. Wejdz na górę.

Oto pan Bridge szedł po schodach, stopień po stopniu, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, a ja wbrew sobie poczułem leciutkie ukłucie rozczarowania. Coś we mnie liczyło na niespodziankę. Może zastępca marszala Bridge będzie emanował gęstą aurą tajnego agenta? Może okaże się chudy jak tyczka, będzie miał metr osiemdziesiąt wzrostu, przyjdzie w kowbojkach i znoszonym stetsonie? Albo w jarmułce? Albo będzie czarny?!

Niestety. Bridge był Bridge'em. Krzaczaste siwe wąsy i wysokie, spadziste czoło. Jasnobrązowe spodnie z kantem i nieco ciemniejsze eleganckie buty, kiepsko wybrane na deszczową późną jesień w Indianie. Stał przede mną, przede mną i moim Abrahamem, suplikant przed księciem i doradcą. Był tym grubawym menadżerem średniego szczebla o tępym wzroku, jakiego widywałem w najbardziej pogardliwych wyobrażeniach. Oto mój dręczyciel.

Podniosłem rękę, podchodząc bliżej, a on podniósł swoją. Miał brązowy, zwyczajny krawat..

Bawiłem się zagiętym rogiem koperty, kiedy on wspinał się po schodach.

Bridge był sam, zgodnie z moim poleceniem. W głębi Meridian Street widziałem samochód, którym przyjechał. Wysiadł od strony kierowcy i nie umiałem stwierdzić, czy z tyłu ktoś jest, ale to nie miało znaczenia. Tu, na stopniach, byliśmy tylko ja i on. Zbliżał się bez torby czy teczki, z uniesionymi rękami, tak jak kazałem. Przemyślałem te wszystkie szczegóły, odpowiednio dobrałem okoliczności: miejsce publiczne, ale miejsce publiczne spowite ciemnością, samo centrum w środku nocy. Była pierwsza w nocy, w niedzielę. Dwa dni, odkąd z Martha wróciliśmy na Północ. Prawie dwa tygodnie, odkąd Kevin został wciśnięty do beczki i wtoczony do ciężarówki. Jedenaście dni, odkąd zameldowałem

się w hotelu Capital City Crossroads i dostałem pokój w tym samym korytarzu co Martha z synem.

Włożyłem dłoń do drugiej kieszeni, a Bridge zatrzymał się gwałtownie i uniósł wyżej rękę. Uśmiechnąłem się. Docierał do mnie poblask pewnego uczucia, odległy, ale wyraźny: dobrze mieć władzę, nawet tylko nad jednym człowiekiem, w jednej chwili, na moment.

Nie sięgałem po broń. Wyjąłem kopertę.

Wzrok pana Bridge'a przepełniła ulga. Łatwo go było przejrzeć, łatwiej niż kiedykolwiek, bo teraz nie dzieliła nas już nawet linia telefoniczna. Po prostu stał tutaj, trzy metry ode mnie, z twarzą tak otwartą i prostą, jakby narysowało ją dziecko. Wyciągnął rękę, zupełnie jakbym miał oddać mu to ot, tak po prostu, a ja widziałem wszystko w jego obliczu: to napięcie, które skądś mu narzucono.

Schowałem kopertę z powrotem do kieszeni, a on szybkim ruchem wysunął język i oblizał wargi.

- To ta paczka?

- Tak.

Skinął głową, znów oblizał usta.

- Muszę ci to przyznać, Victorze. Dobra robota. Nie wiem, jak ci się to udało, ale dobra robota.

- Jestem zawodowcem.

- Tak. - Kiwnął głową: „tak”. - No, mam nadzieję, że nie zaskoczy cię to, że i ja jestem gotów dotrzymać umowy. Gdybyś tylko...

Zrobił jeszcze jeden krok po schodach i teraz poszła do góry moja druga ręka, ta z bronią. Stanął.

- Co to jest? - zapytałem. - Co jest w kopercie?

- Otworzyłeś ją?

Cały Bridge. Pytaniem na pytanie. Odpłaciłem mu tym samym:

- A jak, kurwa, myślisz? - W jego spojrzenie nad siwymi wąsami wkradał się niepokój. Nie podobał mu się mój ton. - Oczywiście, że otworzyłem.

Zresztą nadal była otwarta, znajdowała się w mojej kieszeni otwartym końcem do góry. Wyjąłem jej zawartość i uniosłem w słabym, deszczowym blasku księżyca. Mała, wąska fiolka z mocnego plastiku albo polistyrenu, pełna przejrzystego płynu i zamknięta zakrętką. W środku wciąż – po tym, jak wykradła ją Luna, jak fiolka trafiła do kurtki Billy’ego, jak Billy spanikował i schował ją do lodówki, jak miałem ją ja, potem Morris, potem Cook, a potem znowu ja – wciąż pływało coś jeszcze. Coś mikroskopijnie małego.

- A więc?

Pan Bridge wydał wargi. Zniknęły pod jego wąsami.

- Nie jestem naukowcem.

- No, ja też nie.

Czekałem. Bridge już rozumiał, jak się sprawy mają. Nic mu nie oddam bez tej rozmowy.

- To jest... jeśli dobrze rozumiem... to są komórki.

- Ludzkie komórki?

- Tak i nie.

Wycelowane w niego broń.

- Bridge.

Wykrzywił twarz. Nie wiedział, jak odpowiedzieć. Nie wiedział, czy może. Oczywiście ja już się dowiedziałem, co to jest. Byłem u Świętego Anzelma. Znalazłem księdza Bartona, tak jak się spodziewałem, w opłakanym stanie, po tym jak jego człowiek Cook w tajemniczy sposób zniknął razem z narzędziem do śledzenia mnie. Wziąłem przez zaskoczenie pana Marisa, poszeptalem mu słodko, przyciskając lufę do jego pleców, a potem porozmawiałem sobie z księdzem Bartonem. Zrobiłem dokładnie to samo, co teraz – w jednej ręce trzymałem broń, a w drugiej tę maleńką fiolkę. Gapił się na mnie, gdy pokazałem mu obie te rzeczy, a ja powiedziałem: „No, to chyba nie jest, kurwa, dokumentacja finansowa jakiegoś malezyjskiego słupa, co?”.

Kiedy wziąłem go na muszkę, ksiądz wyjaśnił mi, co to jest, przyznał, że wiedział od początku – że wysłał mnie tam, skazał mnie na ten los, skazał Kevina, w oparciu o kłamstwo. Prawda

była zbyt ciężka, zbyt poważna, żeby powierzyć ją biednym, głupim Murzynom, których tak pracowicie starał się uratować. Kolejna warstwa, kolejna warstwa w głąb.

Pokazałem cholerstwo temu potworowi i zagroziłem, że je zniszczę - spalę, zanim zdąży je komuś pokazać. Otworzyłem zapalniczkę i zbliżyłem ją do koperty, aż w końcu młoda, miękka twarz Bartona stopiła się ze strachu. „Proszę” - powiedział. „Proszę...”

A teraz przede mną stał Bridge, z tą samą zrozpaczoną miną, z tym samym zatroskanym „proszę”. Podrapał się w kącik wąsa.

- To komórki hybrydowe, Victorze. Z komórek jajowych, które... które pobrano od ludzkich pacjentów.

- Od niewolnic.

Westchnął. Podniósł wzrok na pomnik, jakby ze strony Męczennika mógł liczyć na ukojenie. Chciałem tego. Po prostu tego potrzebowałem. Potrzebowałem, żeby to powiedział.

- Co jest, panie Bridge? - Teraz to ja szedłem w jego stronę, schodziłem do niego po schodach z pistoletem w jednej ręce, a kopertą w drugiej. - Myślisz, że się wycofam? Że to jest ta jedna rzecz, z którą nie mógłbym żyć? Po tym wszystkim, z czym musiałem żyć, myślisz, że z tym nie mogę?

- Dobrze - powiedział. - Dobrze. GCSI ma placówkę medyczną, tak? Komórkę jajową pobiera się od ludzkiego pacjenta i, jeżeli dobrze rozumiem, usuwa się jądro. A potem nowy materiał, to znaczy nie nowy, ale pobrany od innych pacjentów... Posłuchaj, to, nad czym pracują, nad robieniem... - Bridge nie był naukowcem. To brzmiało jak szaleństwo, ale zgodne z prawdą, więc to powiedział: - Nad robieniem ludzi. Trudno to zrozumieć.

Ale ja rozumiałem. Rozumiałem lepiej niż on. Do tamtego czarnego budynku na mapie, który przylegał do Instytutu Innowacji Rolniczych, zabierali dziewczęta takie jak Luna, wykradali im komórki jajowe, oddzielali DNA, tworzyli hybrydy, hodowali linie komórkowe.

Barton miał na opisanie tego własny język, obrócił to wszystko w biblijny horror: „Stawiają siebie w roli Boga. Samozwańczo

tworzą materię życia”.

Ja ująłem to jeszcze zwyczajniej, wciąż kierując lufę w stronę szerokiego brzucha Bridge'a:

- Hodują niewolników.
- Cóż - odparł. - Próbują.

Wzbierały we mnie: mój gniew, moje obrzydzenie, moja dzika czerwona emocja. Wzbierały szybko, wiedziałem, że tak będzie, i z trudem panowałem nad głosem. Panowałem nad spokojem.

- Co do tego mają marszałowie?

- Pewne elementy mojej instytucji - zaczął, a po tym, jak na mnie patrzył, jak mnie taksował, poznałem, że szuka granicy mojej wytrzymałości. Chce sprawdzić, ile zniósę. - Zaznaczam, że nie ja. Ale inni... są zaangażowani. Pomagają w załatwianiu niezbędnej technologii.

- W załatwianiu.

Bridge skinął głową.

- Powtarzam: nie ja. Jesteśmy dużą organizacją, Victorze, wielopoziomową. Ale owszem. Jeśli populacja trzymana w niewoli, jeśli nie będą... Jeśli technicznie przestaną to być ludzie... Pewne problemy konstytucyjne, pewne problemy polityczne... zostaną rozwiązane.

Przechyliłem fiolkę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, poczułem delikatny ruch płynu. Właśnie to chciał upublicznić Barton, to desperacko chcieli zataić marszałowie: nie jakieś bankowe nieprawidłowości, nie dowody zmywy fiskalnej. To. Następny etap. Przez dwa wieki ulepszano maszynę niewolnictwa, wymyślano nowe tortury, które sprawiają, że ludzie będą pracowali dłużej i ciężiej. Pozbawiali niewolników imion, rodzin, ducha. Oto dalsza droga: ludzie bez rodowodu, bez przeszłości i przyszłości, bez roszczeń do wolności. „Te silne ręce są twoje... Mój duch i plecy moje...”

Bridge zbliżył się do mnie o stopień.

- Sądzę, że rozumiesz, dlaczego z wielu różnych przyczyn jest ważne, żeby wiedza o tych eksperymentach, na tak delikatnym etapie, nie została upubliczniona. To wszystko. - Wreszcie



nabierał śmiałości. Wreszcie w jego głosie był nerw. Bridge widział koniec, był gotowy. - Dlatego oddasz mi tę paczkę, Victorze, a ja ją wezmę. Zweryfikujemy, że to właściwy materiał, po czym go zniszczymy. A następnie spełnimy twoją prośbę. Damy ci wolność.

- Kiedy? I kto to jest „my”?

- W tej chwili. - I oto nagle w jego głosie znowu brzmiała dawna pewność siebie. - Przyjechałem tu z Gaithersburga z technikiem, Lance'em Cormerem. Doktor Cormer pracuje w specjalnym dziale naszej instytucji i jest przygotowany.

- Przygotowany na co?

- Przygotowany, żeby zająć się obiema sprawami. Może szybko przeprowadzić wstępne testy materiałów, które przyniosłeś, by się upewnić, że to jest to, czego szukamy. Że nie zrobiłeś... nie zrobiłeś jakiejś sztuczki. - Podrapał się w czoło. - Zaznaczam, że ja tak nie myślę. Ty walisz prosto z mostu, Victorze. Zawsze tak było.

Lekko nadął policzki, przechylił głowę, a ja poczułem, że coś się zmieniło, że teraz zaśpiewa w innej tonacji.

- Ponadto, Victorze, chciałem powiedzieć: dziękuję ci za twoją służbę ojczyźnie.

Musiałem się roześmiać. Roześmiałem się.

- Dobra - powiedziałem. - Nie ma za co.

- No i jeszcze... powodzenia.

Już się nie zaśmiałem. Co jeszcze? Da mi złoty zegarek?

Próbowałem zajrzeć w oczy Bridge'a, sprawdzić, ile głębi jest w jego słowach. Czy mówił tylko to, co mówił, czy może przeproszał mnie za to, co mi zrobił, za to, co cały świat Bridge'ów zrobił światu takich jak ja.

Czy w tym momencie powinienem był czuć podobną wspaniałomyślność i szlachetność? Czy powinienem był wyciągnąć do niego rękę, położyć swoją czarną dłoń na jego białej dłoni i uśmiechnąć się: nic się nie stało, życie toczy się dalej? Nie czułem tej szlachetności, nie wtedy. Nie po tym, przez co przeszedłem w ciągu ostatnich dwóch tygodni, a wcześniej przez

sześć lat. Żeby poczuć gotowość przebaczenia, musiałbym chyba być nadczłowiekiem. Mnie cechowały i nadal cechują wszystkie ludzkie wady i słabości. Nie chciałem mu wybaczyć, więc tego nie zrobiłem. Z drugiej zaś strony, chciałem do niego strzelić i patrzeć, jak leci w dół po stopniach, ale nie zrobiłem również tego. Powiedzmy, że wyszło na zero.

- To bardzo ważne, Victorze, abyśmy obaj zrozumieli, że cały ten problem to tylko jeden incydent w całej historii. Kwestia złego wycucia czasu. Pośpieszyliśmy się, a agenci mojej instytucji za bardzo chcieli pomóc. To wszystko. Ale z czasem to - gestem wskazał fiolkę, a ja widziałem tę energię w czubkach jego palców, widziałem, że chciałby po prostu wyrwać mi ją z rąk; trzymałem mocno - to wszystko będzie zupełnie legalne.

- Wątpię. Myślę, że z czasem...

Nie potrafiłem dokończyć zdania. Bo pomyślałem: on oczywiście ma rację. Oczywiście, że tak. Bo zawsze tak jest: sprawy się pieprzą. Nic się nie polepsza. Zawsze się pogarsza. Piętrzą się różne incydenty, a potem znowu się rozmywają. Pojawia się Batlish, maści powierzchnię, a potem zostaje zniszczona. Znika. Czas wszystko pogarsza. Złe jest szybsze niż dobre. Podłość to chwast, który sam nie więdnie - rośnie i się rozprzestrzenia.

- Raz jeszcze - powiedział Bridge - żebyśmy się zrozumieli. Przejdziemy razem cztery przecznice do furgonetki, gdzie czeka doktor Cormer. Ty zatrzymasz te materiały przy sobie. Doktor Cormer przeprowadzi drobną operację usunięcia urządzenia nadawczo-odbiorczego z twojego kręgosłupa. Zajmie to około czterech i pół minuty.

Cztery i pół minuty, pomyślałem. Kurwa, cztery i pół minuty.

- A potem, zanim doktor Cormer i ja pozwolimy ci wysiąść, oddasz nam materiały, a doktor Cormer dokona weryfikacji. Gdy będzie po wszystkim, rozejdziemy się. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Skinąłem głową.

- Tak? Odpowiada ci? - zapytał.

- Prawie. Co z papierami?

Bridge przytaknął, teraz już bardzo skwapliwie.

- Mam dla ciebie komplet. Wilson Teller, urodzony w Albany w stanie Nowy Jork. Nienotowany, bez przeszłości. Paszport i prawo jazdy.

- Czyste?

- Czyściutkie.

- Po czym to poznam?

- Poznasz po tym... - Wzruszył ramionami. - Po tym, że ja tak mówię. Czy to ci odpowiada, Victorze? - Uśmiechnął się, bardzo, bardzo nieznacznie. - Panie Teller?

Poruszyłem głową w tę i we w tę. Przeszłam z nogi na nogę.

- Victorze, czy możesz z tym żyć?

- Tak - odparłem. - Mogę. Mogę z tym żyć. Pięknie i pysznie. - Te trzy ostatnie słowa wymówiłem szczególnie wyraźnie, „pięknie i pysznie”, żeby zarejestrował je mikrofon, który miałem przy sobie. Mały jak guzik, wetknięty w ucho niczym aparat słuchowy. Załatwił mi go Barton. W Katolickiej Obietnicy Świętego Anzelma miał ukryte najróżniejsze gadżety, pochowane w skrytkach i za sztucznymi ścianami. Powiedziałem to głośno i wyraźnie: - Pięknie i pysznie.

Pan Bridge prowadził furgonetkę, a ja jechałem z tyłu z doktorem Cormerem, który nie miał na sobie białego kitla ani niczego, co wskazywałoby na to, że jest doktorem. Tylko czarny garnitur i czarne spodnie, bez krawata, oraz - z powodów bezpieczeństwa, a przynajmniej tak twierdził - plastikową maskę pozbawioną rysów, mocno naciągniętą na całą twarz niczym druga skóra. Otwory na oczy, na nos i na usta. Jechaliśmy w milczeniu, wpatrywałem się w pustą twarz doktora Cormera, czterdzieści pięć minut naprzeciwko siebie na siedzeniach furgonetki, jakbyśmy zanurzali się w jakiś sen pełen znaczeń.

Po czterdziestu pięciu minutach dojechaliśmy do jedyne miejsce, jakie może się znajdować czterdzieści pięć minut drogi od Indianapolis: do pustego i bezkresnego pola kukurydzy. Widziałem je przez maleńkie tylne okna wozu. Skręciliśmy na

żwirową dróżkę, podskakiwaliśmy, zapuszczając się coraz głębiej w kukurydzę, aż wreszcie zatrzymaliśmy się przed białym namiotem postawionym pośrodku ziemnego kręgu między dwoma zagonami.

Bridge zgasił silnik, wysiadł i otworzył tył furgonetki. Zamaskowany doktor Cormer opuścił wóz, a ja za nim, i wszyscy trzej pośród wielkiej ciemności Indiany weszliśmy do namiotu. Deszcz ustał i wyłonił się księżyc niczym płaska, matowa moneta. Gwiazdy rozsiane jak maleńkie rany klute. W blasku księżyca biały namiot świecił słabym światłem.

Wewnątrz znajdował się stół przykryty białym papierem, otoczony lampami chirurgicznymi. W kącie pykał generator napędzający światła oraz przysadziste srebrne urządzenie nie większe od lodówki w pokoju w akademiku.

- Proszę zdjąć koszulę i podkoszulkę.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział ten doktor, ten duch. Wiedziony dawnym odruchem, próbowałem rozpoznać jego akcent, odnaleźć człowieka ukrytego za głosem. Na próżno.

- Proszę położyć się na brzuchu. - Głos neutralny. Pusty. Było coś pięknego w tej nicości, coś czystego.

- Tak - odparłem. - Dobrze.

Położyłem się i usłyszałem, jak maszyna ożywa. Przez na wpół przymknięte powieki zobaczyłem Bridge'a przestępującego z nogi na nogę. Usłyszałem tę szpilkę w moich plecach, jak krzyczy, protestuje.

Cztery i pół minuty. Odliczałem. Minuta na przygotowania, rozsmarowanie mi na plecach jakiegoś żelu, chłodnego i lepkiego, jak wazelina. Poczułem płaski dysk przyłożony w połowie wysokości pleców, a potem przesuwany małymi kółkami, w górę i w górę. Słyszałem pikanie, jeden sygnał co dwie sekundy. Słuchałem. W górę i w górę po drabinie mojego kręgosłupa, w dwusekundowych odstępach. Pii, pii, pii.

Bridge obserwował wszystko z kąta, marszcząc czoło, szczerze zafascynowany. Cały drżałem. Doktor Cormer przesunął dysk wolniej, potem rozległ się jeden długi sygnał,

a potem poczułem ostre ukłucie, kiedy coś wbiło mi się w ciało. Usłyszałem mamrotanie doktora:

- Dobrze, mam. Tutaj jest.

Pomyślałem o Marcie, kochanej Marcie, która wyciągała mi kulę z ramienia - „Jest! Mam skurwiela” - i się uśmiechnąłem. Bridge to zobaczył i wydał się zaniepokojony, może się zastanawiał, jakim cudem mogę się teraz uśmiechać. Podszedł i przykucnął.

- Doktorze, zlokalizowaliśmy obiekt?

- Zlokalizowaliśmy - odparł tamten swoim bezdźwięcznym głosem. - Jesteśmy gotowi, ale jeszcze nie wydobywamy.

- Teraz, Victorze - szepnął Bridge - musisz mi dać paczkę.

- Co?

- Koperta, Victorze. Musimy ją teraz obejrzeć i zbadać zawartość. Ty musisz poczekać.

- Co... Dlaczego?

- Musimy się upewnić, że to autentyk, zanim cię wypuścimy.

- Mówiłeś...

- Wiem, co mówiłem, i przepraszam, że konieczne było wprowadzenie cię w błąd. Ale to bardzo ważne, żeby wszyscy byli zadowoleni, zanim zakończymy operację. To jedyny sposób.

- Panie Bridge - powiedziałem.

- Co?

- To mogło być...

- Co?

- Teraz - rzuciłem. - Teraz!

- Co? - zapytał Bridge, ale ja mówiłem do mikrofonu, a wybuch był głośny i natychmiastowy, donośny huk i powiew wiatru od strony pola kukurydzy, kiedy namiot zwiało, a krąg ziemi zalało światło.

Naturalnie Bridge był uzbrojony, w ładny rządowy pistolet, i jak się okazało, doktor Cormer również. Obaj byli uzbrojeni, ale nie tak, jak uzbrojony był pan Maris. Chodzący czołg w ciężkich czarnych butach, spodniach i koszuli we wzory maskujące, trzymający strzelbę, oświetlony od tyłu przez reflektory półciągarówki i rzucający przed siebie długi cień, kiedy krzyknął:

- Rzucić broń, rzucić, już!

Bridge odrzucił pistolet, który wylądował w piachu u stóp Marisa. Ten szybkim krokiem ruszył naprzód ze strzelbą niczym członek organizacji paramilitarnej i stanął na broni, wdeptując ją w ziemię. Ja wciąż leżałem na macie, wciąż podłączony do maszyny - z igłą w kręgosłupie, z długim, cienkim kablem rozciągniętym przez plecy. Jeszcze nie wolny.

Doktor Cormer, człowiek bez twarzy, nadal nie był gotów się poddać. Maris znowu krzyknął:

- Rzuć to! - ale tamten wciąż stał butnie, na pewno wbrew naukom ze szkolenia, więc Maris salwą ze strzelby posłał go do tyłu w piach.

- Nie! - wrzasnąłem ze stołu. - Nie!

Maris nic nie powiedział. Prędko obszedł teren, szukając innych wrogów. Z fotela na przodzie półciężarówki wyłonił się ksiądz Barton. Spokojnie podszedł do pana Bridge'a, trzymając w dłoni rękojeść długiego, zakrzywionego noża.

Stoczyłem się ze stołu do doktora Cormera, który leżał na ziemi u moich stóp.

Musiałem go uratować. Tylko o tym myślałem. Musiałem go naprawić, żeby on dokończył naprawiać mnie. Namacałem krawędź maski pod jego kołnierzykiem i ją ściągnąłem. Zobaczyłem młodego czarnego mężczyznę z miłą twarzą i cienkim wąsikiem.

Ale nie żył. Rządowy technik był trupem, leżał obok mnie, równie martwy na piachu, jak Cook na motelowym dywanie. Ksiądz Barton lewą ręką przyciskał cenną kopertę do piersi; w prawej trzymał nóż. Bridge klęczał na ziemi z rękami za plecami. Maris przyciskał lufy strzelby do tyłu jego głowy.

Barton ukląkł obok Bridge'a niczym ksiądz pocieszyciel, ale jego słowa były cichym, okrutnym pomrukiem.

- Nie znam skali pańskich zbrodni, ale wiem, jak zostaną zmyte. Zostaną zmyte krwią. One... Nie! - warknął ostro i chwycił Bridge'a za twarz. Chwycił jego powieki, rozwarł je. - Nie, nie wolno ci zamknąć oczu. Nie wolno ci.

Ramieniu Bartona brakowało jednak tej samej pewności, która była w jego głosie. Ksiądz powoli podnosił nóż, zbliżając go do grubego gardła Bridge'a, niepewny co do kąta. Maris niecierpliwie trzymał strzelbę.

- Nie - odezwałem się. - Nie. Stój.

Maris zdezorientowany spojrzał na mnie z góry. Barton natomiast kiwał głową. Rozumiał - sądził, że rozumie.

- Chcesz pistolet? - zapytał mnie. - Czy nóż? - Nie czekał. Opuścił okrutne ostrze i podał je mnie, skulonemu na ziemi, wciąż podłączonemu do maszyny cienkim sznurem, który ciągnął się za mną. - No, dalej. Zrób to.

- Nie - powtórzyłem. Odłożyłem broń. - Puśćcie go. Macie, czego chcieliście. Czego my chcieliśmy. Proszę bardzo, powiedzcie światu. Ale tego człowieka wypuście.

Maris spojrzał na mnie chłodno.

- Twoje współczucie jest źle ulokowane.

- On wykonywał swoją pracę.

- To żadne wytłumaczenie. Absolutnie żadne.

Barton jednak nie był taki pewien. Wyglądał jak młody, nieśmiały ksiądz, którego udawał, kiedy go poznałem w Fountain Diner, jękający się, skruszony.

- Nie jestem... Nie wiem - powiedział. - Jak możemy pozwolić mu żyć? Takiemu człowiekowi?

- Takiemu człowiekowi? - powtórzyłem cicho. - A kim ty jesteś? Kim ty jesteś?

Kiedy odjechali, kiedy zostaliśmy sami na polu kukurydzy, Bridge powoli wstał. Koszulę miał wyciągniętą ze spodni, włosy dziko zwichrzone. To był człowiek, który siedzi w biurze, gryzi piórek. Te przygody były dla niego nowością.

- Dziękuję - powiedział. - Chryste, Victorze. Dziękuję.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać, ale ja wdrapałem się z powrotem na stół. Wciąż pozostawałem podłączony. Byłem gotowy to zrobić.

- Panie Bridge, umie pan obsługiwać to draństwo czy nie?

Czułem, kiedy to się działo. Czułem, jak to coś się ze mnie wyrывa, jak puszcza nerwy, jeden po drugim. Jasne rozbłyśki bólu wystrzeliwały mi wzdłuż kręgosłupa. Wrzeszczałem, ale nie było odwrotu, już nie można było tego cofnąć. Bridge złapał tę rzecz, wychwycił ją płaskim dyskiem i wyłowił, wyszarpnął z mojego ciała, a ja krzyczałem i krzyczałem, i wszystko zrobiło się czarne, czarne jak wystrzał, czarne jak słońce, które gaśnie.

Kiedy się ocknąłem, byłem sam.

Bridge zniknął. Zniknęły wszystkie ślady po namiocie, tyczki i płótno, maszyny i generator.

Byłem sam na polu kukurydzy, leżałem na wznak, pierwszym, co poczułem, była masa bandażu na plecach. Krew sączyła się i oblewała mnie kałużą. Czułem się jak porzucony przez obcych. Jak skamielina z pradawnego morza, które wyparowało.

Leżałem tak, dopóki nie poczułem, że mogę wstać, a potem stałem, dopóki nie poczułem, że mogę iść, a potem ruszyłem szukać telefonu.



### 3.

**Ukochany** Marthy nie był martwy. Sprzedano go na platformę. Znajdował się w Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Właśnie to odkryłem w TorchLightcie w gabinecie Newella.

Samsona po ponownym złapaniu – po krótkim, szczęśliwym życiu na wolności, po tym, jak zakochał się w Marcie, spłodził Lionela i znowu został znaleziony – spotkał los wielu uciekinierów, którzy dali się złapać: sprzedano go za ułamek wartości zarządcom platformy wiertniczej *High Water* w SSE.

SSE powstała podczas wojny teksańskiej jako morskie terytorium Stanów Zjednoczonych, zarządzane wspólnie przez Departament Obrony i Departament Energii. Ponieważ platformy w zatoce i wydobywana przez nie ropa są uznawane za kluczowe dla interesu narodowego, uchwalono prawa zmieniające lub zawieszające przepisy, które regulowały sposób traktowania Osób Przeznaczonych do Pracy w obrębie Strefy. Na morzu nie było franklinów.

Na farmie Bella, kiedy kusiała nas niesubordynacja, kiedy nie byliśmy posłuszni i kiedy upominaliśmy się nawzajem: „Cicho, chłopie, nie bądź głupi” – zawsze myśleliśmy o SSE. „Co ty robisz?” – mówiliśmy. „Chcesz, żeby sprzedali cię na platformę?” W czasach Dawnego Niewolnictwa, w Marylandzie czy Wirginii, krążyły pogłoski o rozpalonym piekle krainy bawełny; u Bella drżeliśmy na myśl o SSE. Wtedy owe straszliwe obrazy dryfowały w naszej wyobraźni, tak jak teraz – widziałem to – w wyobraźni Marthy, kiedy myślała o człowieku, którego kocha. Mechaniczna wyspa unosząca się na ciemnych wodach, spowita czarnym dymem. Forteca w skorupie z rusztowań i metalowych pokładów, z masztami wysokich kominów. Gaz płonący na pomarańczowo w wylotach, anteny satelitarne obracające się powoli na wieżach.

- Może byłoby lepiej - powiedziałem do Marthy - gdyby rzeczywiście nie żył.

- Nie - odparła. - Nie.

Opowiedziałem jej wszystko. Opowiedziałem jej o tobie, skarbie. Opowiedziałem jej całą historię. Siedząc na cienkiej narzucie w pokoju hotelowym, opowiedziałem jej o farmie Bella i o tobie, opowiedziałem jej o Chicago i o Bridge'u, opowiedziałem jej o Bartonie i Jackdawie, i doktorze Cormerze, i polu kukurydzy.

O tym, co mówiłeś, o dwóch światach, o tym i tym drugim, o nas teraz i później, o tym, czym jesteśmy i czym będziemy.

Jesteśmy w Chicago, a ja wciąż jeszcze nie byłem w Kanadzie. Jesteśmy w Chicago, nie na stałe, ale w tej chwili. Dzisiaj. Chciałbym, żebyś zobaczył to wszystko, co ja widzę. Na lunch poszedłem na hot doga z ulicznego wózka. Zjadłem trzy, myśląc o tobie. Kupiłem jednego Lionelowi, a potem jeszcze jednego.

I oto jestem w windzie, jadę odwiedzić firmę produkującą windy. Martha i jej mały są w kawiarni Joey's po drugiej stronie ulicy. Martha czyta „Chicago Tribune”. Lionel czyta komiksy i pije mleko czekoladowe. Hatchback Marthy stoi dokładnie naprzeciwko, widać go od drzwi frontowych budynku, w którym się teraz znajduję. Jest zaparkowany w taki sposób, żebyśmy mogli szybko się wydostać, gdyby zaszła potrzeba. Lionel wie tylko tyle, że wyruszyliśmy po przygodę, i to wystarczy. Wystarczy z nawiązką.

W tym świecie, w prawdziwym świecie, wysiadam z windy na zieloną wykładzinę dywanową. Buty mam czarne i wypastowane na wysoki połysk, mój krok jest zdecydowany i pewny. Przyszedłem o kilka minut za wcześnie, tu, do biura Hugh Moorland Elevator and Escalator Company, prywatnego przedsiębiorstwa założonego w 1927 roku, osiągnącego roczne obroty o wysokości niemal 1,2 miliardów dolarów. To firma macierzysta Murdock Elevators z Murdock w Luizjanie.

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

- Dzień dobry. Jestem umówiony.

Miły pan się uśmiecha. Zaprasza mnie, żebym usiadł. Siadam i kartkuję jakieś czasopismo.

Martha i ja odkryliśmy, że projekty wind różnych marek bardzo się różnią. W grę wchodzi wiele wysoce technicznych informacji zależnych od danego producenta: działanie mechaniczne systemów pneumatycznych, wytrzymałość lin na rozciąganie, instalacja elektryczna w kabinie, projekt i ruch przeciwwagi. Nawet rozmiar i kształt przycisków, ich czas reakcji i względna jasność po naciśnięciu.

Nigdy nie wiadomo, który z tych szczegółów – jeśli w ogóle jakiś – okaże się istotny z perspektywy celu, którym w tym przypadku, jako niewielki element dużo większego planu, jest jednoczesne unieruchomienie wszystkich wind we wszystkich budynkach na plantacji składającej się z trzydziestu dwóch różnych obiektów.

- Pan Powell?

- Nie da się ukryć! – wołam. Podrywam się z fotela.

- Miło pana poznać – mówi kobieta. – Zapraszam do mnie.

- Z miłą chęcią – odpowiadam, znajdując w sobie głos wesołego faceta ze Środkowego Zachodu, wojownika szos, komiwojażera.

To jest dziś. Kolejne plany wchodzi w życie. Kolejne pomysły są w grze. Każdy dzień to dwa światy; każdy dzień dzielimy na dwa.

Mapę wybrzeża Zatoki Meksykańskiej z aktualnym położeniem wszystkich platform wiertniczych niełatwo było znaleźć, ale nam się udało. Zdobycie schematu technicznego konkretnej platformy takiej jak *High Water* okazuje się jeszcze trudniejsze, ale „trudne” nie znaczy „niemożliwe”.

Wszystko może się zdarzyć. Wszystko jest możliwe.

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim najserdeczniej dziękuję mojej żonie, Dianie Winters, i naszym dzieciom, Rosalie, Ike'owi i Milly. Kocham was.

To takie szczęście, że moją agentką literacką jest Joëlle Delbourgo – powierniczka i przyjaciółka – i że moich spraw na Zachodnim Wybrzeżu pilnuje Shari Smiley, a teraz również Joel Begleiter. To właśnie dzięki Joëlle ta książka trafiła do Mulholland Books / Little, Brown – w dobre ręce redaktorów Joshuy Kendalla i Wesa Millera. Ich wrażliwość i entuzjizm mnie odmieniły.

Wielkie dzięki wszystkim moim nowym przyjaciołom z wszechświata Hachette: Reagan Arthur, Pam Brown, Sabrinie Callahan, Benowi Allenowi i ich zespołom. Wiedziałem, że każda firma, w której jest Michelle Aielli, to firma dla mnie.

Jestem bardzo wdzięczny artyście Oliverowi Mundayowi za piękną okładkę tej książki.

W Indianapolis pomogło mi wiele osób. Dziękuję moim studentom, kolegom i przyjaciołom z programu MFA na Uniwersytecie Butlera (nazwanego na cześć założyciela uczelni, Ovida Butlera, zasłużonego abolicjonisty z Indiany), posterunkowemu Danielowi Rosenbergowi i jego kolegom z Komendy Miejskiej Policji Indianapolis, Paulowi Baconowi i jego rodzinie, Wilmie Moore z Towarzystwa Historycznego Indiany, Charlesowi Harrisowi i jego kolegom z Peerless Pump, profesorowi Antwainowi Hunterowi, również z Uniwersytetu Butlera. Wyrazy szacunku i wdzięczności kieruję również do literackiej społeczności w Indy, zwłaszcza do Ośrodka Pisarzy Indiany, Biblioteki Publicznej Indianapolis oraz pracowników i sympatyków Indy Reads.

Pomogli mi również Kevin Hastie, Brooke Pierce, Ian „Gee” Chu i jego kuzyn Dan, doktor Jason Organ, a w kwestiach prawa konstytucyjnego profesor Morton Horowitz, który poświęcił mi dużo swojego cennego czasu.

Dziękuję wszystkim z Quirk Books z Filadelfii, szczególnie Jasonowi Rekulakowi, za skierowanie mnie na ścieżkę, którą teraz podróżuję.

Choć potraktowałem jej bieg dość swobodnie, rzeczka Pogue's Run naprawdę istnieje i naprawdę w większości płynie pod miastem. Dziękuję Stuartowi Hyattowi za to, że zapoznał mnie z jej tajemnicami. W Indianapolis można odwiedzić Monument Circle, ale nie ma tam posągu Lincolna. Pomnik Żołnierzy i Marynarzy, wzniesiony po zakończeniu wojny secesyjnej, był pierwszym tego typu monumentem w Ameryce ku czci zwykłego żołnierza.

## O AUTORZE

Ben H. Winters jest autorem ośmiu powieści. Najnowsza z nich to *World in Trouble*, zamykająca trylogię *Ostatni policjant*, nominowana do Anthony Award i Edgar Award, przyznawanej przez Mystery Writers of America. *Countdown City* zostało uznane przez NPR za najlepszą książkę 2013 roku i otrzymało Philip K. Dick Award dla wybitnego dzieła science fiction. *Ostatni policjant* otrzymał Edgar Award za 2012 rok. Amazon.com i „Slate” uznały tę powieść za jedną z najlepszych książek 2012 roku. Nakładem Wydawnictwa RM ukazały się jego powieści *Ostatni policjant* oraz *Opuszczone miasto*.